

NOWA

WSTĘP: DAWID KAIN

ANTOLOGIA GROZY
HORROR ONLINE

NOWA

Antologia grozy HORROR ONLINE

2012

*Zgromadzone tu teksty są owocem Halloweenowego Konkursu Literackiego Horror Online,
który odbył się w 2011 r.*

Autorzy:

Marek Grzywacz,
Paweł Mateja,
Paul T. T. Rogue,
Paweł Pietrzak,
Dariusz Kick,
Karolina Stasiak aka Zeter Zelke,
Krzysztof Krasowski,
Krystian Kochanowski,
Bartosz Mikołajczyk,
Paweł Różycki,
Robert Bączkowski,
Maciej Rogoziński,
Maciej Andrzejewski,
Izabela Ficek,
Weronika Borek,
Dominika Świątkowska,
Hubert Malak,
Szymon Plasota,
Karolina Cisowska,
Piotr Kucharski.

Redaktor prowadzący: Mariusz Juszczyk

Wybór tekstów: Mariusz Juszczyk, Łukasz Radecki, Paweł Waśkiewicz

Skład: Mariusz Juszczyk

Korekta: Mariusz Juszczyk, Łukasz Radecki, Paweł Waśkiewicz

Projekt okładki: Mariusz Juszczyk

Zdjęcie na okładce: sxc.hu

Konwersja: Paweł Mateja

Prawa autorskie do poszczególnych opowiadań są własnością ich autorów.

Wszystkie prawa zastrzeżone.

ISBN: 978-83-62255-02-3

SPIS TREŚCI:

Wstęp	7
Marek Grzywacz, „ Nowa ”	9
Paweł Mateja, „ Zupa z gawronów ”	36
Paul T. T. Rogue, „ Paradoks kata ”	58
Paweł Pietrzak, „ To, co wylazło spod stołu ”	82
Dariusz Kick, „ Bar u Karlika ”	91
Karolina Stasiak aka Zeter Zelke, „ Forma życia ”	99
Krzysztof Krasowski, „ Rozmowy przed końcem pracy ”	110
Krzystian Kochanowski, „ Zawiła sprawa ”	116
Bartosz Mikołajczyk, „ Nieoczekiwanie ”	124
Paweł Różycki, „ Wyznanie ”	132
Robert Bączkowski, „ Rundka ”	138
Maciej Rogoziński, „ Dziwności ”	163
Maciej Andrzejewski, „ Pejzaż ”	170
Izabela Ficek, „ Srebrny Sznur ”	174
Weronika Borek, „ Pętla Adrianny ”	194
Dominika Świątkowska, „ Pisarz ”	199
Hubert Malak, „ Podróż do raj ”	208
Szymon Plasota, „ Powiedz czego pragniesz ”	214
Karolina Cisowska, „ Sielanka ”	228
Piotr Kucharski, „ Sprawiedliwość ”	245

Dawid Kain

WSTĘP

Nie będę się tutaj rozwodził nad genezą literackiej grozy, nie będę wymieniał najwybitniejszych twórców, wspominał tekstów przełomowych i siejących postrach.

Na początek napiszę o własnych początkach.

Pierwsze opowiadanie grozy napisałem mając siedemnaście lat. Wpadłem na pomysł, który wydawał mi się dość fajny, no i chciałem nastraszyć swoją ówczesną dziewczynę. Za jednym posiedzeniem ukończyłem liczącą trzy strony historię o cierpiącym na rozdwojenie jaźni mordercy niemowląt i przez jakieś dziesięć do piętnastu minut czułem się artystą spełnionym. Później doszedłem do wniosku, że tekst nie jest wystarczająco realistyczny, by kogokolwiek nastraszyć. Nie miałem oczywiście zamiaru pisać go od nowa. Nie chciało mi się nawet robić żadnych poprawek. Postanowiłem za to dodać na marginesach „krwawe” odciski palców, a później wymięłem kartki, jakby autor zapisków stoczył z nimi morderczą walkę. Efekt był niezły. Jak na razie wszystko szło po mojej myśli.

Dałem dzieło mojej dziewczynie, uśmiechając się tak, jak uśmiechnąć się umie jedynie aspirujący psychopata. Wtedy właśnie mój szokujący projekt natrafił na pierwszą przeszkodę. Zmięte kartki przejęła niespodziewanie matka dziewczyny: kobieta po sześćdziesiątce, raczej nie gustująca – jak mi się wydawało – w żadnych odmianach horroru. Mogłem uciec i nigdy więcej nie pojawiać się w tamtym domu. Ale nie zrobiłem tego, bo byłem ciekawy reakcji. O dziwo wcale nie bałem się, że zostanę wyklęty. Cieszyłem się, że tak właśnie może się stać.

W sąsiednim pokoju słychać było szelest kartek i skrzypienie desek podłogi.

Starsza pani pojawiła się znowu po dwóch kwadransach. Położywszy na biurku zmięte i zakrwawione kartki, wymamrotała, że „takich rzeczy to ja już nie chcę nigdy czytać”. W jej oczach była jakaś groza, jednak wtedy nie brałem pod uwagę, że mogła przerazić ją kulawa forma dzieła, a nie jego porażająca treść. W przyпіływie megalomanii uznałem słowa matki mojej dziewczyny za pierwszą pozytywną recenzję.

Minęło trzynaście lat. Teraz siedzę i piszę wstęp do antologii zawierającej teksty twórców zaczynających się właśnie bawić literackim horrorem. Nie wątpię, że każde z zamieszczonych tu opowiadań jest o parę klas lepsze od moich pierwszych, zakrwawionych i pomiętych trzech stronnic.

Nie mam pojęcia z jakim nastawieniem siadali do pisania autorzy, z których dziełami przyjdzie się Wam za moment zmierzyć. Niektórzy mogli chcieć nastraszyć kogoś bliskiego, inni przekuć w słowa koszmar, który przyśnił im się poprzedniej nocy, jeszcze inni zamarzyli sobie, że osiągną mistrzostwo we wzbudzaniu niepokoju – bo wzbudzając niepokój u kogoś, zmniejszamy ten w sobie. Pobudki nie są aż tak istotne. Dopóki ktoś się boi, zawsze znajdzie się ktoś, kto będzie go chciał nastraszyć. Mówię tutaj o lęku, ale lęk jest przecież czymś, co ciężko zdefiniować, podobnie jak ciężko zdefiniować literacki horror. Strach ma podobno wiele twarzy, wiele twarzy ma też sam gatunek: jednym kojarzy się z duchami, żywymi trupami i wampirami, a innym z tym ulotnym wrażeniem, że z otaczającą nas rzeczywistością coś jest bardzo nie w porządku, z przekonaniem, że coś większego, ciemniejszego wisi nad nami wszystkimi – jakaś kosmiczna groza, Cthulhu, Bóg, Pustka, Śmierć, czy jeszcze inny, dotychczas nienazwany koszmar.

Już za moment skończę pisać ten wstęp, a wtedy w nocnej ciszy być może usłyszę odległe stukanie klawiatur i zacznę się bać nie na żarty. Bo jak Polska długa i szeroka dziesiątki a może nawet setki zapaleńców piszą właśnie swoje straszne historie. Nie śpią, żeby później inni nie mogli zasnąć spokojnie.

Czego i Wam życzę.

Marek Grzywacz

NOWA

Nowa była magiczna. W upale, gdy głowa nagrzana, wydawała się nierealna. Miejscówka, którą znalazła, całkiem jednak rzeczywista. Ściany szare i kruszejące, ale mało pomazane przez gnojów ze sprejami. Szyb brak. Tam, gdzie powinny być parapety, goły mur i białe plamy ptasiej sraki. Trochę śmieci, ale bez smrodu, paskudztw w stylu zużytych kondomów czy butelek po piwie pełnych szczyń.

Zwieźć jakieś meble i ideał. Szkoda, że dopiero teraz, pomyślałem.

– Całkiem kurwa elegancko – przyznał Marcin.

Nowa uśmiechnęła się rozbrajająco. Magia wynikała nie tylko z tego, że była najbardziej „swoją” dziewczuchą jaką poznaliśmy. Dogadała się z nami szybciej, niż powiedziałbyś „z kobietą nigdy nie będziesz żył jak z kumplem”. Nie, żeby dało się ją traktować jak kolegę. Kiedy patrzyło się na nią... jakby w jej głowie siedział napalony facet, wydający instrukcje jak wykonać każdą czynność, by istotom płci męskiej robiło się gorąco.

– Nigdy tu nie byłem, seryjnie – mówił dalej Marcin.

Kama wyglądała, jakby miała urodzić kamień nerkowy wielkości ludzkiej głowy. Widziała, jak się patrzymy, jak Marcin zerka na tamtą. Babki są proste, mówi się, że ciężko je odczytać, ale to bzdura. Zareagować tak, jakby chciały – to już sztuka. Miałem ochotę pocieszyć. Szepnąć na ucho głupi komentarz. Tyle, że nie wypadało.

– Postawili magazyny. Tam na krańcu miało być biuro – tłumaczył Damian. – Splajtowali, budowa na dobre nie ruszyła. Myślałem, że lepiej ogrodzone będzie.

Rzeczywiście, na placu były ze trzy małe magazyny i szkielet większego budynku. Ale liczył się ten. Nieważne czym miał być, odtąd należał do nas. Nowa zatknęła flagę, zaklepane.

– Kawalek drogi tu jednak jest. Na rowerze – podkreśliłem.

– I przegapiliście taki obiekt? – Nowa nie dowierzała. – Panowie, dupy z was, a nie krajoznawcy.

– Tu masz rację, mała. – Marcin nawijał jak nakręcony. – Ja tam wycieczek nie lubię.

Kama chciała coś wtrącić, ale się zawiesiła. Z szeroko otwartymi ustami prezentowała się cholernie śmiesznie. Wyczułem napięcie, więc wyciągnąłem butelki.

– Oblewamy? – spytałem.

Marcin pracował nad korkiem. A ja wiedziałem, że tyle, ile nam zostało spędzimy właśnie tu.

Dzień później mieliśmy już ogrodowe krzeselka i pufy. Dowieźliśmy autem ojca Marcina. Byliśmy tak dumni, jakbyśmy sami postawili tę rudere.

Dotychczas najlepszym, co mogło się przytrafić, był nasyp nieużywanej boczniczy. Sala Pożegnań okazała się luksusem. Tak zacząłem ją nazywać. Nie na głos, wyśmialiby. Ale fakt, miała służyć długiemu żegnaniu się.

– Będziemy siedzieć jak te zjeby? – spytała Nowa między łykami piwa. – Jakież rozrywki?

– Znam dużo dobrych – odparł Marcin. – Ale wiesz, bardziej dla par.

Zaczął się.

Kama próbowała zabić Nową wzrokiem. Czego oczekiwała? Dostał się na Zarządzenie Sportem, daleko, przecież nie mógł jej wziąć. Zresztą nie utrzymałby fiutka na wodzy bez kogoś, kto by go pilnował.

A ona młodsza. Ciekawsza.

Miałem nadzieję, że Marcin zachowa się wporzo. I, że nie. Jednocześnie.

Nowa wyjęła z torebki skręta.

– Nieźle – powiedziałem. – Skąd?

– U was ciężko o dobrą trawę. W ogóle dostać coś. Brat załatwił.

Gdy w powietrzu zawisł dym, Damian skrzywił się demonstracyjnie.

– Co, zielska nie lubisz? – spytała. – Czy nigdy nie dali?

Wzruszył ramionami, jak to on. Zaciągnęła się i nagle wstała. Zbliżyła się i pocałowała, wpuściła dym do jego ust. Kaszłał.

– Dorosły chłop, a jarać nie umie! – krzyknęła. Zarumienił się, ryknęliśmy śmiechem. Nawet Kama nie wyrobiła.

Z Nową nudzić się nie dało.

Wróciłem tak ululany, że mimo osiemnastki bałem się starych. Na szczęście ojciec spał przed telewizorem. Matki ani śladu, znów na plebani. Zrozumiałbym, jakby proboszcz posuwał spraszane

babki. Ale chyba serio się tam modlili i takie. Cóż, starość.

Mimo to przemknąłem na górę jak zawodowy ninja. Przyzwyczajenie.

Nie mogłem spać, wlałem w Internet. Zaczęło mi się poważnie nudzić. Klikałem losowe łącza, grałem w idiotyczne gierki. Włączyłem Skype'a i dawno nie używane GG.

Ktoś pisał na Gadu, z godzinę wcześniej. Tylko link, przeniósł na stronę do wrzucania zdjęć.

Fotka nieznaney mi dziewczyny. Raczej nieładnej, oprócz dużych, przenikliwych oczu. Coś w rogu. Czerwone, dodane z łapy w Pajncie litery. Powiększyłem.

TO SIĘ POWTÓRZY!

Pomyłka lub jakiś świr. Nie zastanawiałem się. Uciekłem do wyra.

Rano znalazłem zdjęcie na mailu. W temacie wiadomości to samo ostrzeżenie.

Brawo idioto, pogratulowałem sobie. Było wrzucać dane na Facebooka?

Naszą miejscowość nazywano miastem. Ja poprawiałem na miasteczko. Co prawda dumna stolica powiatu, ale jakoś za ciasna, by to „miasto” przeszło przez gardło. Niby mieliśmy wszystko, co potrzeba. Nikt nie pędził krów na pastwisko przed oknami. Ale po tylu latach znaleźmy każdy kąt.

Identyczne scenki dzień w dzień.

Dlatego czuwałem nad komórką z obawą.

Był czas ucieczek, a ja czułem, że zostanę. Matura poszła średnio. Kasy brak, musiałem się dostać za darmo. Żeby nie utknąć tu, jako pomocnik w sklepie czy kasjer na Orlenie.

W dodatku sam. Łudziłem się, że zostanie jeszcze ktoś, konkretna osoba, ale bałem się.

Na szczęście czekała ekipa. To się liczyło, na razie nic innego.

Sala Pożegnań była najważniejsza.

Oszukuję się, że jeśli nie zapomniałbym przeklętego pendrive'a, nie zaczęłoby się. Przynajmniej nie dla mnie.

Oczywiście miałem powód. Jak debil zostawiłem w pamięci coś, co mogło mnie spalić. Pendrive został w Sali, byłem pewny. Odłączyłem od laptopa, z którego puszczaaliśmy muzykę, rzuciłem na pułę i zapomniałem. Jeśli ktoś zawinął, miałem przerąbane.

Miasto przejechałem ostrożnie. Piłem, a nie chciałem pożegnać się z prawkiem. W lesie przygazowałem. Ciemnica, mogłem się wyróżnić, ale gnałem bez zastanowienia.

Zostawiłem rower przy płocie. Gdy się zbliżałem, usłyszałem głosy. Zamarłem.

– Jeśli się nie postarasz, nic z tego.

– Kurwa, to jednak trochę dziwne.

Pełen zaskoczenia okrzyk bólu.

– Ugryzłaś mnie!?

– Będę gryźć, póki nie pobawimy się tak, jak lubię – droczyła się seksownie, poczułem niepożądany ruch w bokserkach.

– Dziabnęłaś do krwi!?! Wredna sucz!

– O, tak dobrze. Do roboty!

Plaśnięcie. Zduszony krzyk. Hałasował jak mało kto, a ona wydawała takie odgłosy... Poczuję się źle. Nie dlatego, że podsłuchiwałem. Coś było nie tak. Niby nic nie widziałem, ale po skórze przeszła fala chłodu, choć było upalnie. Zapomniałem, że przyjechałem po coś.

Wracałem jeszcze szybciej.

Wyobraźnia ponosiła. Mrok lasu wydawał się gęstnieć.

Wróciłem rano. Marcin miał pomagać ojcu, niezręczne spotkanie nie groziło. Myślałem, że nikogo nie zastanę, była chyba dziesiąta. Myliłem się.

Damian siedział na krześle, czytał. Machnął ręką na powitanie. W głośniczku lapka pyркаł wakacyjny dance.

– Co czytasz? – spytałem od niechcienia, szukając wzrokiem pendrive'a.

Pokazał okładkę.

– „Lśnienie”? Nie czytałeś tego w gimnazjum? I parę razy potem?

– A co, są na to jakieś limity? – bąknął, wracając do lektury.

Nie powstrzymałem się. Musiałem komuś powiedzieć.

– Marcin różnie Nową.

Nie oderwał oczu od kartki.

– To chyba dobrze, nie? – mruknął. – Dla ciebie?

Udałem, że nie wiem o co biega. O dziwo, postanowił coś dodać.

– Masz zdjęcia Kamy na penie.

– Przypadek.

– Znad morza. W bikini. Nie wiem skąd masz, ale założę się, że ćwiczyłeś przy nich nadgarstek. Szczerze, nosisz je przy dupie? Nie możesz się rozstać?

Zatkało mnie. W jego ustach to była wręcz tyrada.

– Masz? – zapytałem tylko.

Wyciągnął z kieszeni. Wziąłem bez słowa. Potem chciałem wyjść.

– Nie zostaniesz? – Był zawiedziony.

– Sprawy. Nie mów nikomu, okej? – poprosiłem.

Tak, jakby nikt nie wiedział.

Wracając myślałem o ostatnich latach. Taki okres, że się roztrząsało. Bo kiedy, później? Po-tem się tylko wspomina, wtedy to jeszcze była rzeczywistość.

Marcin był z nielicznych prześladowanych dzieciaków, które zamiast się izolować, robią coś ze sobą. Między gimnazjum i liceum dał czadu. Zaczął uprawiać sport, zamiast tylko kibicować. Zrobił się silny. Nie jakiś kark, nadal na oko dość niepozorny. Chudy, ale nabity – zawsze mówił, że tacy są najlepsi fighterzy. W zasadzie nie zmienił się bardziej, niż inni w tym wieku. Ale na zewnątrz... budził respekt. Zaczął przesadzać. Jeździł na mecze z braciakiem, wracał obity. Jak się spił, potrafił wziąć w obroty gościa, co mu się nie spodobał. Ogarnął się dopiero, jak brat trafił do pierdła.

Kama przysłała w pakiecie z przemianą.

Prowadzał się z nią, rozdziewiczył. Kolej rzeczy. A mi zaczęło to doskwierać. Dostałem fioła, po szczeniacku. Starąłem się być najlepszym przyjacielem, zawsze obok, aż jej koleżanki ostrzegały, żebym przystopował. Po scysji z Marcinem spasowałem. Odpuściłem, choć słabość ujawniała się czasami. Ale to już każdy ignorował, w ekipie takie rzeczy się wybacza.

Zajechałem pod monopolowy. Pogadałem ze sklepową, trochę mi przeszło.

Łyknałem Sprite'a. Robiło się coraz goręcej.

Pod wieczór znowu dostałem dziwnego maila. Tym razem zdołał przykuć moją uwagę na dłużej. Oprócz zdjęcia i ostrzeżenia był w nim odnośnik do artykułu.

Papieros sam znalazł się w ręku. Obiecałem matce nie jarać w domu. Jednak tak mnie wciągnęło, że się zapomniałem.

Pięć ofiar. Sprawca nieujęty. Rozcięte brzuchy. Ślady spermy we wnętrzościach. Poważne błędy podczas śledztwa.

– Co to do kurwy nędzy jest?

Pomyślałem, że przyda się mózgowiec. Napisałem na Skypie do Damiana. Wyskoczyło okienko z niezbyt zadowoloną twarzą.

– Dostałeś linka? – zacząłem. – Czytałeś?

– Co tobie? Makabra to moje terytorium.

– Ktoś mi to wysłał. Wiesz o co biega?

– W podstawówce jeszcze byliśmy, wtedy to była głośna sprawa. Do dziś typa nie złapali. Jakiś mafijny bonzo, emerytowany gangster. Policja obserwowała dom i, jak wyjechał, zrobili wjazd. Co znaleźli? Córkę facia, zgwałconą i porzniętą na kawałki. Gniła w piwnicy, komedia, nie zauważyli, że zniknęła. A później? To dopiero masakra. Słuchasz?

– Ehe.

– Zrobił se trasę po Polsce. Cztery miasta, cztery dziewczyny. Znak rozpoznawczy, no, dymał we flaki. W otwarty brzuch, kurna, lepiej niż w filmach o seryjnych zabójcach. I wiesz co? Wiadomo kto, twarz znana każdemu glinie, i co? Lipa. Wielka obława i nic. Zbłąźnili się.

– Podsyłam fotkę. – Tknęło mnie. – Jedna z ofiar?

– A co ja, kartoteka? Sam szukaj.

– Wykaż się, stary.

Chwilę nie odpowiadał.

– Człowieku! – Huknęło z głośników. – To córa zabójcy! Pierwsza ofiara. Kto ci to wysłał?

– Bo ja wiem.

– Masz zdrowo pogrzanego wielbiciela. Jakaś gotka się do ciebie zaleca?

– Gdzie widziałeś u nas gotki?

– Ale metalowy są. Może miłośniczka horrorów, jak tak, to mnie umawiaj.

– Haha, dowcip.

– Słuchaj, spadam. Mam coś na głowie – powiedział.

– Co? – Zainteresowałem się.

– Przyjęli mnie. Będę studiował w stolicy, nieźle? Muszę podzwonić, nara.

Pięknie, pomyślałem. Zostałem tylko ja.

Ja i Kama.

Marcin się nie zjawił. Wpadła Kama, wypiliśmy za studia Damiana. Zjawiała się Nowa. Gadała o głupotach, jakimś filmie. Wypaliła dwa jointy i oznajmiła, że spada. Co dziwne, Kama zawinęła się z nią. Wymieniliśmy podejrzliwe spojrzenia. On myślał, że ja wysypałem, ja, że on. Wzruszyłem ramionami. Jeśli miała być wojna, okej, nie moja sprawa.

Sięgnął po „Lśnienie”. Kończył. Skubany, pomyślałem, wciąż dobrze czuje się tylko pochłaniając książki.

Nie miałem co ze sobą zrobić. Siadłem. Zapaliłem szluga. Wstałem. I wtedy, przez wyrwę w płocie, zobaczyłem sylwetkę postawnego kolesia w dali.

– Kurwa! – Przyłgnąłem do ściany. Damian westchnął, zniesmaczony.

– Co się dzieje? – spytał.

– Pod lasem ktoś jest. Obserwuje nas.

– Jak? Ma rentgena w oczach?

– Przez dziurę w płocie.

Podszedł do okna, nie wypuszczając książki z dłoni.

– Przewidziało ci się – stwierdził.

– Był tam!

Mina jakby połknął cytrynę. W całości.

– Już wiem o co biega. Te mordercze maile. Lekka paranoja – wyjaśnił jak ekspert.

– No co ty. Bez jaj – zaprzeczyłem. – Ktoś tam był, przyrzekam!

– Mi by się udzieliło.

Rozmowa prowadziła donikąd, wydał wyrok. Awansowałem do rangi niegroźnego świrusa.

– Zawijamy się, już! – rozkazałem. – Pakuj laptopa w torbę. Weź ważniejsze rzeczy. Bluza Kamy, nie zapomnij!

– Okej – Nie był przekonany.

Jadąc rozglądałem się na boki tak często, że niemal nie patrzyłem na drogę.

Obśmiali mnie. Damian też, choć zwał ze mną. Podjechaliśmy autem. Ani śladu, nic, co pozwoliłoby stwierdzić, że ktoś był w środku, grzebał w naszym śmietniku. Obszukałem miejsce, gdzie według mnie stał podglądacz. Efekt podobny. Już obaj uważali, że jestem lekko walnięty.

– Źle znosisz upały – zasugerował Marcin, oczy mu się śmiały.

Temat mojej paranoi szybko zszedł na dalszy plan. Ojciec Marcina wyjechał i oddał chatę ukochanemu, bo jedynemu nie za kratkami, synkowi pod opiekę. Wiedząc, że będzie najebka, jego stary taki był. Liberalny? Szalony?

Trzeba było skombinować flaszki i sprzęt grający.

Piątkowa domówka. Jakoś nie skakałem z radości.

Pokój przepelniony. Jedni nalewali, inni próbowali tańczyć, już odbywały się zawody w wymianie śliny. Twarze znałem ze szkolnych korytarzy, ale nie chciałem ich widzieć.

Ekipa sprawdzała się, bo byliśmy inni. Nie mówię, że inteligentniejsi, choć, nie przeczę, tak uważałem. Trochę do przodu. Znudzeni. Trzymaliśmy się razem, bo tłum małą zaludniający nasz ogólniak nie wystarczał. Czasami też przerażał.

Szukałem wzrokiem swoich. Kama przy stoliku, w sąsiedztwie butelki Tequili. Piła na poważnie. Damian przy kompie, ustawiał playlistę z domorosłymi didżejami.

Siedziałem. Piłem. Tupałem nogą w rytm hitu skomponowanego dla robotów.

Nagle ktoś pstryknął na „off”. Impreza się zatrzymała, nawet muzyka jakby przycichła.

Najpierw Marcin. Torował drogę.

Wtedy zauważyłem, że Nowa ubierała się na luzie, t-shirty i tenisówki, że nie malowała się za bardzo. Nie wcześniej, bo nigdy nie widziałem jej odstawionej. I cholera, to był widok. Miała na sobie, serio, złotą sukienkę. Krótką i opinającą, te jej ruchy, w takiej oprawie hipnotyzujące. Czarne rękawiczki, takie śmieszne, zakrywające tylko palce. Widziałem podobne na filmiku z Lady Gagą. Ułożone włosy, mocny makijaż. Jej usta... Boże. Jakby wstąpiła na imprezę przy okazji, po drodze na balety z koleżankami z Beverly Hills.

Otrząsnąłem się później niż reszta, dopiero, gdy zagadał mnie Damian.

– Nie wyglądasz za dobrze.

– Hmm...

– Dołek? – zgadł. Dusilem to w sobie, ale po alko smuty wypływają na powierzchnię.

– Są wyniki, wiesz które. Nie jestem nawet na rezerwówce.

– Do przewidzenia. Zresztą jesteś humanista, tak czy siak przejebane na starcie.

– No stary, to mi ulżyło.

– Za wysokie progi– odparł, nie speszony moją reakcją. Też się opił, czy co?

Marcin, jak na władcę melanzu przystało, zaczął polewać czystą. Nowa witała adoratorów.

Kama, gdzieś z boku, robiła się blada.

Stałem przy ścianie, równowaga siadała. W sumie powinienem się ewakuować. Ale do głowy, jak to przy wódzie, wpadł głupi pomysł. Nie wiem, poczułem się opuszczony.

Ruszyłem w stronę innej opuszczonej.

Zanim jednak dotarłem do Kamy, ona wstała. Nie wyglądała za wesoło. Podbiła do Nowej.

Dalej nie wiem, zasłonił mi tłum. Wymknęły się do pokoju obok. Pojedynek, doszedłem do wniosku.

Nie moja sprawa, powtarzałem sobie. Usiadłem przy stole, zagadałem znajomka z budy. Wpakowałem garść chipsów do ust. Muzyka naparzała. Zapaliłem papierosa.

Drzwi niemal wyrwało z zawiasów. Przodem Nowa. Z przekornym wyrazem twarzy, włosy rozczochrane. Za nią Kama. Coś nie grało. Oczy jej latały. Szminka rozmazana, smuga aż do policzka.

Wstyd?

Przebiegła przez pokój i tyle ją widzieli.

Nowa, jakby nic się nie stało, spytała, czy ktoś poleje. Marcin wstał. Napięty każdy miesiąc, dosłownie. Na szyi pojawiła się wstrętne żyła.

Pchnął ją na ścianę. Z całej siły.

Musiał być nieźle nawalony, nigdy nie miał zadatków na damskiego boksera.

– Co robiliście!?! – pytał. – Co kombinujesz?

– Wal się! – odwarknęła.

– Durna szmata! – wrzasnął, a potem wyszedł.

Niezręczna cisza.

W końcu towarzystwo olało temat. Powrócił łomot muzyki. Laski zaczęły się gibać. Faceci zaczęli pić.

Też wróciłem do imprezowania. Norma.

Dopóki nie poprosiła, żebym odprowadził ją do domu.

Jedynie osiedle miasta. Wielka płyta, brzydkie jak noc. Postawione dla robotli, „sypialnia”. Fabryka dawno nie pracowała, bloki zostały. Wyróżniały się, reszta zabudowy niska, jednopiętrowa.

Właśnie tam mieszkała babcia, u której wakacje spędzała Nowa.

Szedłem z nią pod rękę. Jak zakochana parka, szkoda, że się zataczaliśmy. Nowa narzuciła znoszoną skórę. Żałowałem, że nie mam bluzy. Padało wcześniej, kałuże błyszczały tu i ówdzie. Może przeszła burza? Nie, byłoby parno, a zrobiło się chłodno. Jak na lato, to zimno.

Zapuszczony plac zabaw w świetle latarni prezentował się raczej upiornie. Rozłożyste drzewo jak strażnik okolicy. Usiadła na huśtawce. Patrzyła tak, że aż przeszedł mnie dreszcz. Kucnąłem, zakurzyłem fajka. Nowa bujała się, strasznie rozbawiona.

Podniosłem się raptownie.

Coś poruszyło się na drzewie. Liście zadrżały, trząsnęły łamane gałązki. Z jakimś takim ma-łolackim lękiem szukałem tego, co poruszało się za ciemnozieloną osłoną. Bez skutku. Zaraz ustało i tyle.

– Mamy tu wielkie, grube koty – oznajmiła Nowa, zaśmiała się ślicznie.

– Chyba kurwa żbiki – rzuciłem, wciąż gapiąc się w górę.

– Może. Sąsiadki dokarmiają! – krzyknęła wesoło.

– Cicho. Pobudzisz ludzi.

Obdarzyłem ją w moim mniemaniu poważną miną.

– Dawaj, idziemy. Późno już.

Odwzajemniła się grymasem mówiącym „no i co z tego, harcerzyku”, ale wstała i ruszyła w stronę ostatniego bloku po lewej. Ciemny budynek wylaniał się zza reszty osiedla, aż w końcu stanęliśmy pod daszkiem. Spod klawiatury domofonu wypływało seledynowe światło.

– Masz klucze, czy coś? – zapytałem.

– Spoko – powiedziała, zbliżyła się. O krok, dwa. Za blisko.

Palce chłodne, ale zostawiły płonący ślad na policzku. Usta już gorące. Język wiedział, czego szuka w moich. Czas przestał biec. Przerwa na generalny remont rzeczywistości. Gdy oderwała wargi od moich, ruszył w przyspieszonym tempie. Patrzyłem w oddalające się oczy i totalnie nie wiedziałem co dalej.

– Nie martw się – uspokoiła mnie. – Taki bonus, wiesz, podziękowanie za przechadzkę.

Wydukałem kilka nie układających się w nic sylab.

– I wyluzuj. To studia, nie szczególnego. Nie ma się co gnębić. – Skąd wiedziała? Miałem ochotę urwać łeb Damianowi.

Dałem krok w tył.

– Nara – pożegnałem ją szeptem. – Śpij dobrze.

W połowie drogi do ulicy odwróciłem głowę. Stała jeszcze na wejściu, patrzyła jak odchodzę.

Nie oglądałem się więcej.

Wtedy nie zauważyłem. Leciałem na pijackim autopilocie, a w głowie miałem tylko resztki pocałunku. Teraz dochodzę do wniosku, że miasto nigdy nie było tak puste, jak tej nocy. Psy nie szczekały, ani widu zataczających się balowiczów, zbłąkanych samochodów.

Otoczenie zabawnie dostosowuje się do nadchodzących klęsk.

Obudziłem się o dwunastej i było źle. Nie tylko z powodu kaca. Takie poczucie beznadziei zjawia się rzadko, upierdliwe wrażenie, że kompletnie przestałeś rozumieć życie. Ale jak jest, to nie pozwala się skupić. Mimo to spróbowałem wydzwonić Kamę. Miała wyłączoną komórkę. Właściwie pogadałbym z Nową, ale nie znałem numeru.

Gdy jadłem bezsmakowe śniadanie, dosiadła się matka. Skapnęła, że coś nie w porządku i niekoniecznie chodzi o nieznosny odorek.

– Nie zadręczaj się tak – powiedziała.

– Aha.

– Jesteś na rezerwowych na dwa kierunki. Zadzwoń. Głupi nie jesteś, tak? Modlę się za to... ale nie wszystko udaje się od razu. Jak nie teraz, to później.

– Dzięki, mądrości nie potrzeba – wychrypiałem.

Spojrzała srogo. Zamknąłem się. Nie chciałem dokładać kłótni do mętliku we łbie. Dojadłem i zaraz wyszedłem.

Myślałem, że ktoś wpadnie, choćby podleczyć się browarami. Rozmowa pomogłaby ogarnąć bałagan zostawiony przez imprezę. Niestety było pusto, nie licząc bzyżących głośno much.

Wyłopałem kupionego po drodze browca. Ciepłe Tyskie niespecjalnie pomagało zwalczyć zmułę.

Przysnąłem. Upał i kac nie są dobrą parą.

Obudził mnie huk.

Wstałem. Uderzenie w metal. Coś spadło na dach najbliższego magazynu, tam była blacha.

Wybiegłem na zewnątrz.

Spojrzałem w górę, słońce oślepiło mnie, ale dojrzałem jakiś cień. Nic określonego. Świst. Coś przeskoczyło przez płot, pojąłem. Wparowałem w przejście między Salą a magazynem. Przez wyrwę zobaczyłem, że intruz pruje przez wysokie trawy w stronę lasu.

Nie przecisnąłem się. Musiałem obejść.

„Coś” zdążyło zniknąć, ale zostawiło ślad, koryto z przygniecionej trawy. Jakieś zwierzę, pomyślałem, na pewno nie mój „urojony” obserwator. Chyba, że potrafił bardzo szybko pełzać. Las. Stamtąd musiało przyjść. Nie miałem w sobie żyłki przyrodnika, ale nie potrafiłem zignorować. Co mogło tak skakać? Kuna? Za duże. Żbik z mojej pijackiej teorii? To by była ironia.

– Co ja pierdołę? – spytałem siebie na głos.

Nie minęła minuta, a znalazłem się wśród drzew.

Szedłem powoli. Panowała niesamowita, leśna cisza, jak z dzieciństwa, z porannych wypadów

na grzyby.

Gdzieś blisko zahukał ptak.

Tyle, że brzmiało podejrzanie nie ptasio. A mające w zwyczaju hukać pojawiają się nocą.

Biegłem za dźwiękiem, ciekawość nie pozwalała odpuścić. Coś mignęło na sośnie po prawej. Dało susa na inne drzewo, umknęło z pola widzenia. Gonilem za cieniem parę dobrych minut. Wreszcie zatrzymałem się, złapać oddech.

– Stój! – Nagły okrzyk prawie doprowadził mnie do zawału. – Odwróć się, powoli!

Posłuchałem. Duży facet w ciemnych ciuchach. Miał siwiejące włosy i pistolet wymierzony we mnie. Instynkt przetrwania kazał założyć, że to prawdziwa kłamka.

– To chyba jakaś pomyłka! – Spanikowałem.

– Przepłoszyłeś go. Przez ciebie spierdolił!

Zmierzył mnie wzrokiem. Wyjął z kieszeni zabytkową komórkę, wielką jak cegła.

– Nie próbuj niczego! – ostrzegł.

Nie zamierzałem. Jeśli czegoś nauczyła mnie telewizja, to tego, że uciekanie ewidentnie stukniętemu facetowi z bronią może być złym pomysłem.

– Uciekło. Kurwa, nie rób mi wyrzutów. Ja się nie nadaję? Przyhamuj – darł się do słuchawki.

– Nie moja wina! Wpadł jakiś gnój i... Ta. Co zrobić? Opisywać go mam? Po chuj? Chudy jest. Wysoki. Co? Spytać? Jak się nazywasz? – zwrócił się do mnie. – Mów, no już!

– Paweł. Paweł Rosik.

– Ten twój? Uspokój się, nastraszyłem go tylko.

Zaraz oderwał komórkę od ucha, wąskie usta ułożyły się w podkowę.

– Masz szczęście – oznajmił. – Dawaj numer telefonu.

Jako, że opuścił broń, pozwoliłem sobie na moment wahania.

– Nie będę tu sterczał cały dzień! – ryknął.

Nie znalazłem innej opcji.

– Odezwiemy się. A teraz spierdalaj. No już, migiem!

To polecenie wykonałem z wielką chęcią.

Nie zgłosiłem na policję. Wiedzieli coś o mnie. Mogli nasłać kogoś na rodzinę, czy, nie daj Boże, kumpli. Patrzyłem więc na ekran Samsunga, tworząc scenariusze przykrych następstw spotka-

nia. Matka zajrzała raz, zobaczyła jak modłę się do koreańskiego produktu eksportowego. Wycofała się. Pewnie pomyślała, że od trudów rekrutacji cofnąłem się w rozwoju.

Dzwonek. Tylko kilka słów. Miejsce i czas.

Pół godziny później stałem przed cukiernią. Dziwnie się czułem, idąc na ścieżkę tam, gdzie dziadkowie zabierali mnie na pączki. Wszedłem do środka. Gdyby przy człowieku na wózku nie siedział znany mi kolo, i tak wiedziałbym, że to on na mnie czeka. Wyglądał obco.

Duży pokazał, żebym podszedł.

– Proszę usiąść, panie Pawle – zachęcił inwalida. Miał dziwny głos. Miękki? – Mam na imię Leon.

Drab zamówił talerz ciastek, trzy cole w szkle. Ekspedientka wykazała się pojętnością. Jak wręczył za dużo banknotów, od razu zmyła się na zaplecze.

– Proszę się częstować – zachęcił Leon. – Mam dużo do powiedzenia.

Nie wziąłem ciastka.

– Czy ostatnio coś zmieniło się w pana życiu?

– W moim wieku? Nie, skądże – sarknąłem.

– Nie chodzi o ogólne zmiany. Wasze grono się powiększyło.

Nie przewidziało mi się, jego przydupas naprawdę nas obserwował.

– Czasem przypałała się fajna dziewczucha.

– Aż za fajna, prawda? Koledzy bardzo zafascynowani?

– Kto by nie był?

– Nikt – potwierdził. – Taki jest cel.

Nie załapywałem. Zauważył.

– Ja wysyłałem maile. Teraz to żadna zagadka, wiem. Chciałem wzbudzić czujność. Być może dałem za mało, widzi pan, mam skłonność do gierek.

– Świetnie.

– Jest powód nękania właśnie pana. Mój towarzysz zaobserwował, że jest pan jedynym, który nie miał kontaktu fizycznego z nową koleżanką.

Dobrym obserwatorem nie był, bo kontakt miałem, dość bezpośredni. Nie wspomniałem o tym, tylko przejąłem inicjatywę.

– Szpiegowanie nastolatków to chora zabawa. I skończ z „panem”. Tak mówią zgredy udając, że traktują cię serio, bo państwo dało ci kawałek plastiku z peselem. A w ogóle, to o czym do cholery

mówimy?

Zaśmiał się.

– Podoba mi się to. Konkretny i szydery. Zatem do rzeczy. Na początek ustalmy jedno. Jesteście zagrożeni, ty i twoi kumple. Poluje na was stworzenie, o jakim ci się nie śniło.

To, że nie wybuchłem śmiechem, świadczyło o samokontroli godnej buddyjskiego mnicha.

– Potwór?

– Z braku lepszego określenia. Kryptyda, jeśli wolisz, od wieków żyjąca obok nas. Na tyle długo, by nauczyć się ludzi wykorzystywać. Posiada dar współodczuwania. To zabrzmiało źle, ale cóż, żywi się określonymi emocjami. I opracowała metody ich wyłudzania.

– Że jak?

– Pożądaniem i nienawiścią. Tworzy przynęty. Marionetki, spreparowane tak, by dostarczać pokarmu. Uzależnione od istoty, całkowicie posłuszne.

– Nowa. – Zdziwiłem się, że to powiedziałem.

– W jej ślinie, pocie, wydzielinach są substancje wzmacniające pożądane emocje. Aż do skrajności.

– Logika siada. Nie może znaleźć ludzi ze skłonnościami? O ile wiem, takich nie brakuje.

– A lubisz surowe jedzenie? Po coś nauczyliśmy się przyrządzać, przyprawiać.

– Używa jej? To zwykła laska! Ma tu rodzinę. Szlaja się z nami z nudów!

– Nic dziwnego przy niej nie czujesz?

Zagiął mnie.

– Dowody – zażądałem. – Zdjęcia, relacje świadków, teczkę skradzioną z Archiwum X?

– Tylko słowa. Ale zdradzę ci sekret, on potwierdzi intencje. Mówiąc to, zdaję się na twoją łaskę.

Drab zaczął się nerwowo wiercić.

– Zabiłem te dziewczyny – oznajmił cicho.

Jedynym znanym mi zabójcą był kumpel od flaszki ojca. Zadźgał zięcia. Nie wyróżniał się, zwykły żul. Facet na wózku nie miał też cech hollywoodzkiego psychopaty. Zimnych oczu, braku emocji, tego typu szajsu.

Nie osiągnął zamierzonego efektu. Wytoczył więc działa.

– Nie możesz wiedzieć jak to jest, gdy zaczynasz pożądać własnego dziecka. Jak patrzysz na ukochaną, śliczną córeczkę i widzisz coś, co musisz osiąść, zapłodnić, mieć. Zaczynasz się nienawi-

dzić. A potem ją, z głębi duszy, jak nikogo wcześniej. Aż bum. Coś pęka i możesz zrobić tylko jedno.

- Przerwał na duży łyk coli.

– Nie byłem dobrym człowiekiem. Wiesz zapewne. Ale to... Najgorsze, że kiedy wchodziłem w ich tak ciepłe wnętrza, gdy wraz z wytryskiem rozum rozpuszczał się... Nic piękniejszego nie poczuje. Nie ekstaza. Coś większego.

Udowodnił swoje. Jezu, mówił o tym jak o najlepszych chwilach życia.

– Nie mogłem przestać. Nie dawało uciec, nawet się zabić. Jestem pewny, że zacierało ślady. Dopiero zdruzgotany kręgosłup mnie wyzwolił.

Minęło sporo czasu, zanim zdołałem odpowiedzieć. Spędziłem go na zastanawianiu się, czy nie uciec. Póki mogłem.

Trzeba było wiać.

– Czego oczekujecie? – spytałem. – Bo czegoś chcecie, co?

Uśmiechnął się. Kurewsko paskudnie, albo jego opowieść przekręciła mi percepcję.

– Niewiele. Mój towarzysz jest łowcą, niezłym, zaręczam. Byli wspólnicy uważali, że wiem za dużo, by pozwolić dopaść mnie policji. Wysłali go, żeby mnie uciszył. Lecz też spotkał monstrum.

– Plan?

– Nie dotarliśmy do gniazda. Dziewczyna nie daje się śledzić.

– Jest jak jebany duch – dodał drab.

– Twój kolega pieprzy ją w tej waszej ruinie. Stwór trzyma się z pewnością blisko.

– A ja?

– Dodatkowa para oczu zawsze w cenie. Będziesz tylko ostrzegał.

Wtajemniczał mnie jeszcze chwilę. Potem wstałem. Spojrzałem na ich kamienne twarze... i porwałem z talerza eklerkę. Wyszedłem z trofeum.

Widać potrzebowałem cukru.

Marcin usiadł na oparciu parkowej ławki. Damian przysłuchiwał się, niby obojętnie. Miałem sucho w ustach, jakby wyparowała cała ślina.

– Kama zaszyła się w chacie, nie daje znaku życia. I, bez ściemy, wy też nie zachowujecie się normalnie.

– Znaczy jak? – zapytał Marcin.

– Zwyczajnie. Jak zawsze – objaśniłem.

– Nie szarżuj – ostrzegł Damian, ale zaraz spuścił wzrok.

– Ona niszczy ekipę – walnąłem prosto z mostu. – I nie przez wasze fikołki – To do Marcina. – Zamąciła nam w głowach. To miał być czas dla nas, a latamy za nią jakby była ósmym cudem świata.

– W sumie jest. – Kiedy Damian nauczył się pyszczyć?

Marcin przetrwał to gorzej.

– Znowu twoje fazy? Kurwa, ślepy byłem. Nigdy nie chodziło o dupę, ty mi zazdrościsz.

Chcesz mieć to, co moje, nie? Kolega... żal.

– Daruj. Nowa robi to specjalnie, nie widzisz? – wybuchłem.

– Idź do Kamy! Droga wolna. Łaż za tą nudną krową. Baw się dobrze, ale ode mnie się odwal! Sięgnąłem po mocny argument.

– Przelizala się ze mną!

– Ty durny cwelu – szepnął Damian.

– Morda, Cichy! – Użyłem znienawidzonej ksywki. Podziałało, milczek wrócił do milczenia.

Płuca Marcina pracowały jak miechy. Myślałem, że palnie mnie w ryj. Myliłem się. Załatwił mnie słowami.

– Masz urojenia. Dorośnij wreszcie! Ekipa? Spadamy stąd, zaczynamy żyć! Nic nas już nie łączy. A ty wmawiasz sobie, że jesteśmy jebaną Kompanią Braci! Wiesz czemu? Boisz się. Było ci wygodnie, jak szlajałeś się z podobnymi sobie frajerkami, ale już nimi nie jesteśmy, od dawna. Tkwisz w świecie gnojków! Tylko przeszłość. Nie masz nic.

Chciałem wierzyć, że tylko się wyzłośliwia. Mści się po swoim. Ale jego twarz, nerwowe gesty Damiana kazały wątpić. Naprawdę mogli tak myśleć.

Wtedy kaszlnęła teatralnie. Odwróciłem się.

Musiała słuchać od dłuższego czasu. W oczach dzikie ogniki. Pasjonowała ją to, obserwowała z lubością.

Marcin pocałował Nową, otoczył ramieniem. Gdy odchodzili, położył dłoń na pośladku. Miałem ochotę oderwać wielką łapę od jej tyłka. Ujebać, jeśli trzeba.

Gorzej, że potem chciałem położyć tam swoją.

Z rana odwiedziłem osiedle. Plac zabaw wyzuty z niesamowitości w świetle dnia, pełen piszcących dzieci. Mieszkańcy bloków obdarzali mnie nieufnymi spojrzeniami.

Wcisnąłem przycisk domofonu. Nic. Ponownie. Jeszcze raz i jeszcze. Miałem szczerą chęć

rozpieprzyć durną skrzynkę.

Ktoś sobie otworzył. Skorzystałem z okazji i wemknąłem się do środka.

Dzwonek nie działał. Zacząłem pukać. Potem walić, coraz wścieklej okładałem drzwi. Wtedy otworzyły się inne, wyżej.

– Co pan, wyżyć się nie ma gdzie? – spytał wąsacz we flanelowej koszuli.

– Muszę się zobaczyć z dziewczyną, która tu mieszka!

– Na Musiałową bym tak nie powiedział. – Skrobał palcami po zarośniętym podbródku. –

Poza tym się spóźniłeś. Stara odwaliła kitę ze dwa miesiące temu. Tera to puste stoi...

Więcej mówić nie musiał. Wszystko zaczęło mi zalatywać oszustwem. Już wiedziałem, że jeśli zadzwonią, dołączę do nich.

Topiłem się. Było późno, słońce zachodziło, a i tak ubranie przesiąknięte potem. Zero wiatru, ledwo wyrabiałem. Nie mogłem zlokalizować draba. Musiał się nieźle skitrać. Nic podejrzanego też nie wpadło mi w oko, chociaż byłem w najwyższym dostępnym punkcie, na piętrze niedoszłego „biura”.

Czułem się dość głupio.

Auto zjawilo się nagle. Wysiadł Marcin, za nim Nowa. Szli wolno, co chwilę zatrzymywał się, by wepchnąć jej język do ust. Wreszcie zniknęli we wnętrzu Sali.

Następne minuty spędziłem zastanawiając się, czy już wskoczyła na pęto, czy tylko się migdała. Jedną dłoń trzymała lornetkę, drugą zaciskałem kurczowo.

Coś zaczęło się dziać.

Gałęzie jednego z drzew przy drodze odgięły się na boki. Próbowałem nadażać. Zatrzęsły się krzaki. Nagle wyłapałem kształt. W locie wyglądało jak małpa, splaszczona, z wyciągniętymi kończynami. Złapało się płotu, przesadziło go.

Wyjąłem komórkę.

Wytyczne proste. Jak coś się pojawi, dzwoń. Drab będzie wiedział, że nadeszło. Niezbyt wymagające zadanie.

Ruch. Stwór wlaź na dach magazynu w rogu. Brunatna skóra jak z gumy. Oczu nie widziałem, gębą otoczona ruchliwymi wypustkami. Na szczycie głowy drgający i w tej właśnie chwili zmieniający kolor na jaśniejszy grzebień. Zaczął pełzać. Wcześniej zdał się kuzynem gibona, ale gdy rozłożył nogi jak owad zrozumiałem, że nie ma w ciele ani jednej kości.

Nie miałem czasu się dziwić. Bać. Wybrałem numer.

Potwór znikł.

Obserwowałem uważnie i modliłem się, seryjnie, mruzczałem paciorki pod nosem. Żałowałem, że w ogóle trafiliśmy na Nową, na to przeklęte miejsce.

Wtem kobiecy krzyk. A na dachu Sali pojawiło się monstrum. Coś się z nim działo. Trzęsło się, kiwało na boki. Dekoracja na łbie nabrała barwy wściekłego różu.

Znów przesywający wrzask.

Zrobiłem coś wyjątkowo durnego. Zerwałem się z miejsca. Prawie się zabiłem na schodach, ale pędziłem dalej. Nie wyobrażałem sobie, że coś takiego we mnie jest. Ten instynkt, mus ratowania kogoś. Zanim pomyślałem, już wybiegałem na plac.

Reszta rozegrała się z prędkością światła.

Łowca wyłonił się zza magazynu, ze strzelbą. Huk wystrzału mnie ogłuszył. Przemknąłem przed nim sekundę później, zapomniałem pojęcie „linia ognia”. Bestia dostała, żółte fluki wypływały z boku. Próbowwała wiać. Kiepsko, wciąż podrygiwała dziwacznie. Parłem naprzód. Drab poprawił i przeklął, nie trafił.

Wpadłem do Sali.

Nowa w kącie, Marcin nad nią, dyszał. Bydlak rozbił jej nos. Trzymała się za brzuch, czyżby też skopał? Wkurwiłem się. Aż dziw, że dostał tylko dwie sztuki, i, jak zatoczył się, cios w głowę. Upadł ogłuszony, Nowa pisnęła, uwalniając mnie z uścisku furii... a zrobiłbym mu większą krzywdę, nie wątpię.

– Nie przerywaj im! – wydarł się łowca. Zagłuszały go ni to bulgoty, ni nawoływanie. Potwór.

– Zrób coś! Zrób jej coś!

Nie posłuchałem, to jasne. Zostawiłem ją, otępiałą, wybiegłem na zewnątrz.

Dobrze, że opuściłem posterunek. Istota zwisała ze skraju kondygnacji, próbowała się wdrapać. Dryblas strzelił, celnie, ale stwór puścił się, kula go minęła. Opadając wykonał przedziwny fikołek, tylne kończyny chwyciły krawędzi. Udało mu się podciągnąć, uciekł w głąb budynku. Słyszeliśmy tylko jego bulgotliwe narzekania.

– Debilu! Czemu czegoś nie zrobiłeś!?

Lufę skierował na mnie.

– Czego nie...? – wyjęczałem.

– Starczyło bić! Ruchać, cokolwiek! Dałeś temu się ogarnąć!

Dźwięk. Jakby szuranie, tyle, że bardzo głośne. Zaczął biec, gotowy dobić bestię. Chciałem powstrzymać, czułem, że będzie źle, ale mnie zamurowało.

Miałem rację.

Spojrzał w górę, ja też. Coś dużego. Na tle różowiejącego nieba wyglądało jak cień paskudnego grzybostwora ze złych snów ilustratora podręczników RPG. W dodatku zdawało się puchnąć, rozrastać. Drab cofał się. Nie uniósł broni, zaczął uciekać w moim kierunku.

Ogromny balon mięsa uderzył w grunt, w tumanach kurzu. Długie ramię wystrzeliło do przodu i porwało biegnącego. Wrzeszczał okropnie, zgniatany jak w imadle.

Zdezzerterowałem. Co miałem zrobić, rzucić się na to z niczym?

Ukryłem się w Sali.

Wielu rzeczy nie dostrzegałem, skulony pod ścianą, wsłuchany w makabryczne odgłosy. A powinny mnie obejść. Na przykład to, że Nowa zniknęła. Albo, że nawet nie wiedziałem, jak drab miał na imię. Że Marcin bełkotał. Strach odłączył świadomość. Dopóki nie zapadła cisza, nie kontaktowałem.

Jak odważyłem się wyjść, było ciemno. Natura sygnalizowała, że bezpiecznie, cykaniem świerszczy, odgłosami wieczoru.

Podźwignąłem Marcina z podłogi. Nie musiałem go przeszukiwać – co za dekiel zostawia kluczyki w stacyjce?

Prując szosą jak Kubica na speedzie odkryłem prawdę życiową. Niezbyt nowatorską, ale wziętą z doświadczeń własnych, nie z pierdolenia starych przyków.

Nie ważne, czy życie rozpieprza wypadek, choroba czy... krzyżówka mątwy z Predatorem. Proces przebiega tak samo. Zostawia cię bez niczego, stłamszonego, zruchanego do reszty. Nie pomoże „trzeba żyć dalej”.

A może wpadłem na to później? Wtedy raczej kierowała mną adrenalina.

Stałem pod chatą Marcina. On nadal ledwo przytomny. Miałem stracha, że walnąłem za mocno. Ale wołałem tam nie kwitnąć. Zadzwoiłem do bramy i już mnie nie było.

Bąłem się nawet myśleć. Coś jak z lektur Damiana. Szaleństwo.

W domu pozorna pustka. Mama spała na fotelu, pewnie czekała. Ojciec musiał pójść w tany.

W pokoju zatrzasnąłem okno. Wydobyłem spod bielizny klucz. Matka dorobiła, bo „dorastają-

cy chłopak potrzebuje prywatności”. Naprawdę chciała, by tatuś w cugu nie gmerał w poszukiwaniu forsy, ale w tej chwili i tak kochałem ją za ten prezent. Stworzyłem namiastkę twierdzy. Klepnałem na łóżko.

Oczekiwałem się, że w szybę zastuka gumiasty upiór, że wróci po mnie. O spaniu nie było mowy. Wyglądałem poranka, w dzień chyba nie przekradłby do miasta.

Około pierwszej ożył telefon. Leon. Zgadł, że skończyło się fatalnie, wyjaśniać nie musiałem. Ale on powinien.

Wykradłem auto z garażu.

Zajazd przeżywano Burmistrzowskim, bo przyłapano tam kiedyś pełniącego urząd z kurwą.

O tym myślałem parkując rodzinny rzech. Odganiałem gorsze tematy.

Zastąłem Leona z butelką. Wyglądał jak trup.

– Oszukałeś mnie! – zaatakowałem od razu.

Nie drgnął mu nawet jeden mięsień twarzy.

– Warunki współpracy były jasne.

– Nie wspomniałeś, że mój kumpel będzie przynętą!

– Wyjawilem naturę istoty. Mogłeś się domyśleć. Miała być upojona emocjami, wtedy łatwiej wykończyć.

– A ja, czemu mnie w to wpakowałaś!?

Dziwny półuśmieszek.

– Domyślaliśmy się, że szukając dostroiła się do każdego z was. W razie co mogłeś podtrzymać więź. Postawiłem na ciebie, ten Damian wyglądał na zbyt biernego.

– Miałaś to obcykane? Wyrachowany skurwiel z ciebie.

– Teraz i tak się to nie liczy. Sam nic nie wskóram.

– A co z nami? – Wypełniała mnie rozpacz, napędzał gniew.

Dopił wodę haustem.

– Uciekaj, już. Albo... jeśli masz jaja, możesz przepędzić istotę. Wiesz jak?

Nie zrobiłbym tego za żadne skarby. Milczałem więc. Leon podjechał wózkiem do szafki.

– Coś jeszcze? – Wyraźnie zawiodła go moją postawą.

– Zabiło go coś innego – wyznałem, głos mi się łamał. – Wielkiego i... sam nie wiem, ale tego nie powinno być, tyle.

– Matka.

– Co?

Zaczął grzebać w szufladzie.

– Czemu stwór wybrał grupę w zasadzie dzieciaków? Nie kogoś starszego, zawiedzionego życiem, podatnego na podszepty? Jak mnie? Proste. Sam dopiero wkracza w dojrzałość. Uczy się. A ćwiczy się na łatwym łupie. I pod nadzorem.

– Kurewsko wspaniale. Jeden nierealny potwór nie wystarczy? Co jeszcze ukrywałeś?

– Wierz mi, nie marzyłem o jej wykończeniu. Pozbawienie potomka miało starczyć za zemstę.

– Wyjął zawiniątko. – Więcej? Proszę bardzo. Emocje niezupełnie są ich pokarmem, psychicznym stanem się nie najesz. Widzisz, musiały odkryć przyjemność, jaką sprawia sondowanie naszych umysłów. Uzależniły się od stymulacji. Jesteśmy empatycznymi narkotykami. Dlatego łatwo ich się nie pozbędziesz.

– Czemu? – parsknąłem.

– Widziałeś ćpuna na głodzie? Ja wielu, jak zaczynałem, opylaliśmy towar najgorszym mętom. Zrobią wszystko za działkę.

Nie chciałem już słuchać. Odwróciłem się.

– Czeka! – Zatrzymał mnie.

Matka czekała. Gdy zapaliłem światło w przedpokoju, zjawiała się jak rozjuszony widmo.

– Co ty sobie wyobrażasz? – Robiła mi wyrzuty. – Myślisz, że ci wszystko wolno? Ojciec by cię ukatrupił! Wiem, że masz trudny okres, ale... I jeszcze zostawiłeś dziewczynę samą. Po co pojechałeś, no? O tej porze chyba nie po prezerwatywy?

Nie zauważyła, że z twarzy odpłynęła mi krew. Nie słuchałem dłużej. Poleciałem na górę.

W pokoju zastałem Nową, jakżeby inaczej.

Niezbyt pokiereszowaną, co cieszyło. Trochę bladą. Wzrokiem wypalała dziurę w ciele, na wyłot. Nie próbowałem się odzywać, język zasupłany. W półmroku wyglądała jak posąg greckiej bogini w skórzanej kurtce.

– Hej! – zaczęła. – Przegoniłeś ich. Teraz musisz się mną zająć.

Najdłuższe godziny mojego życia. Leżałem na karimacie, w zaduchu, wiedząc, że ona wierci

się niecierpliwie w łóżku. Stał, nie chciał opaść, totalna frustracja. Nagle jej twarz. Wychyliła głowę zza krawędzi materaca i przypatrywała się. Oczekując. Odkąd rozebrała się przy mnie przed wsłaniem pod kołdrę, była pewna, że mnie złamie.

Gdy słońce wtaczało się na niebo, byłem tak wściekły na ciągłe powroty jej oczu i ust nade mną, że miałem ochotę zrzucić ją na podłogę i...

Leon nie kłamał. W te sidła każdy by wpadł. I była moja kolej.

Nowa miała się coraz gorzej. Wyglądało trochę, jakby miała gorączkę, ale gdy próbowałem pomóc, zaczynała te swoje zaloty. Poważnie coś ją męczyło, ale wciąż chciała tylko, żebym ją wytrzymał. Robiła swoje do końca.

Ojciec dobijał się do drzwi, wściekły z trzeźwości, groził, że wyważy, ale w końcu odpuścił. Czekalem. Próbowałem obmyślić plan. Ale przez zapach i głęboki oddech Nowej nie mogłem się skoncentrować.

Postanowiłem działać. Sprawdziłem, ile mam kasy. Przebrałem się, olewając świńskie uwagi o mojej nagości, upchałem w kieszenie przydatne drobiazgi.

– Pomóż mi – powiedziała, zanim zdążyłem się odezwać.

– Taki mam zamiar.

– Tak! – Ucieszyła się. – Wiesz, że będzie nagroda. Miałeś próbkę, wyobraź sobie, ile możesz zgarnąć teraz.

Złapała mnie za krocze, zbliżyła twarz, by całować. Odepchnąłem. Trochę za mocno. Straciła równowagę, upadła na łóżko. Śmiech wariatki, wygięła się kusząco. Zdawała się inna. Nieprawdziwa, stworzona do jednej funkcji. Sztuczna jak mordy w TV. Jak pierdolona Natasza Urbańska. Produkt. Najgorsze, że wciąż pragnąłem ją mieć, gorzej, zajeździć do granic wytrzymałości. Musiałem walczyć.

– Wywiozę cię – zacząłem. – Dam kasę na start, kurde, osobiście wsadzę w pospieszny, pojedziesz gdzie chcesz. Byle z dala od nas. Czaisz?

– Muszę z nimi – syknęła.

– Chyba jak odejdiesz, to one za tobą?

Pokiwała głową, zwątpilem. Za łatwo się zgodziła. Jednak postawiłem na to wyjście. Inne możliwości przerażały.

Ojciec doskoczył, gdy zgarniałem kluczyki z półki. Zły jak stado os, gotów lać. Odparłem atak,

dość brutalnie. Matka zaczęła szlochać.

– Chuj, nie syn! – ryknął, ale już nic nie próbował. – Szacunku ni grosz!

– Muszę iść! Wrócę, to pogadamy o szacunku! Przepraszam – rzuciłem jeszcze do mamy, złapałem Nową za ramię i wyszliśmy.

Gdy usadowiłem się za kierownicą, zadzwoniła komórka.

– Ukradłeś ją, tak? – Marcin.

– Nie. Stary, co ty w ogóle pamiętasz? Nic ci nie jest?

– Byłem pod twoim domem, łajzo. Co, myślisz, że masz farta?

– Człowieku, pobiłeś ją!

– To przez ciebie... zresztą, ona lubi ostre jazdy. Nie zrozumiesz, tylko ja wiem, czego ta cipa chce! Mógłbym zabrać co swoje. Ale sam zobaczysz. Dowiesz się, jak bardzo się nie nadajesz!

Zerwałem połączenie i wyciszyłem telefon. Zarządził silnik.

Został ostatni przystanek.

W końcu otworzyła. W workowatym t-shircie, z nieumytymi włosami, wyglądała jak cień siebie. Zobaczyła Nową, chciała zwiać. Zatrzymałem ją.

– Pomóż mi! – prosiłem. – Tylko tobie jeszcze nie odbiło!

– Czego chcesz?

– Potrzebuję hajsu. Wiem, że zbierałaś na wakacje, ale muszę jej coś dać.

– Nic dla niej! – wrzasnęła. Ze strachu, przysięgłbym.

Objąłem ją. Bez krzywych intencji, jak przyjaciel. Tuliłem i tłumaczyłem.

– Pozbędę się jej. Zniknie i będzie jak zawsze. Obiecuję.

Weszła do środka, wróciła po chwili. Dała mi kopertę.

– Więcej nie mogę.

– Dzięki. Szczerze, dziękuję.

Zatroskana mina. Nigdy jeszcze się o mnie nie martwiła.

– Uważaj – przykazała. – Serio, pilnuj się. Ona... wchodzi do głowy. Nie zachowałabym się tak, naprawdę, ale jak połapałam się, było po wszystkim.

Łza spłynęła po policzku.

– Będę ostrożny – obiecałem. – Kama...

Nie skończyłem. Raczej nie musiałem. Zamknęła drzwi.

Gotowało się we mnie. Próbowala Kamy, nawet na nią przeniosła swój brud. W tym momencie zabiłbym ją gołymi rękoma.

Spojrzałem w stronę auta i odkryłem, że coś mnie wyręcza.

Wpadłem do wozu. Omdlała, płytki oddech, ale wyczułem puls. Kwalifikowała się do szpitala i może to była idea, może ktoś przerwałby to wariactwo. Tak czy owak, musiałem dostać się do miasta, prawdziwego, nie tej parodii.

Ruszyłem z piskiem opon. Dramatycznie, choć niechęć.

Cisnąłem, choć bałem się, że gruchot się rozpadnie. Gdy po lewej wyrosła ściana lasu, zerknąłem nerwowo. Monstra jednak nie leciały mi na spotkanie. Czułem, że może się udać.

Gdyby nie nieuwaga... Jak mogłem nie zamknąć drzwi od jej strony?

Wyskoczyła przy, bagatela, maksymalnej prędkości. Mignęła w lusterku. Dałem po heblach. Kolejny błąd. Rzuciło mnie do przodu, walnąłem głową, urwał się film.

Doszedłem do siebie chyba nie dużo później, bo ktoś by mnie już znalazł. Ale bez niej. Było pewne, że wracała do mątwiej rodzinie. Wyszedłem z auta. Chwilę bluzgałem.

Leon miał rację. Delikatnie się nie dało.

Otworzyłem tylne drzwi, wydobyłem kurtkę, w której kieszeni ukryłem prezent od niego. Mogłem tylko się modlić, że zapamiętałem jak obchodzić się z pistoletem.

W życiu nie wszedłbym do lasu w pełni rozumu. Nowa zdążyła mnie wykrzywić.

Uważałem, że znam te lasy, a mimo to błądziłem. Dopiero oznakowanie szlaku turystycznego podpowiedziało, że jestem blisko pozostałości cmentarza. Poniemieckiego bodajże. Choć między pniami snuła się groźna mgiełka, poczułem się pewniej.

Aż trafiłem na chatkę. Może opuszczoną leśniczówkę, ale nie słyszałem o takiej.

Wkroczyłem z bronią wyciągniętą przed siebie. Pusto, ale po klepce wały się opakowania po chińskich zupach i sokach. Damskie ciuchy na komódce, gdzie rzucił się w oko błyszczący. Bez wątpienia tam koczowała.

Za oknem porzucona skóra, bluzka, trampki. Rozebrała się.

Szedłem dalej, ostrożnie. Nerwy jak postronki, bałem się, że siądzie mi pikawa. W powietrzu roznosił się mdlący słodki zapach. Za nim podążyłem.

Dotarłem do rozległej polany. Sosny załopotwały. Po czubkach sunął wielgachny kształt. Jak to

zdołało nie połamać drzew?

W centrum kurhan z gałęzi, dużych kamieni, liści. Z jamy pośrodku wylewały się żółtawe glutę, wyrastały cieliste wypustki. Młody potwór wpełzł na kopiec. Nie ruszał się, w ogóle się nie bał. Lekceważył mnie, nie byłem dla nich zagrożeniem.

Ujście jamy rozwarło się, buchnęło śluzem i... wypluło Marcina. Otrzepał się. Zaraz zjawiała się drobna dłoń. Chwytał ją i wyciągnął Nową.

Rozpostarła ramiona, demonstrując sterczące sutki. Dziwna ciecz spływała po jej ciele, ociekała nią, cała błyszcząca, a przez to jeszcze wspanialsza. Zlepione włosy opadały na oczy. Odgarnęła je, wbiła wzrok we mnie.

Zrozumiałem, spojrzenie mówiło wszystko. Naiwniak ze mnie, już dawno zostałem wybrany. Dlaczego? Może miałem najwięcej powodów, oddzielono mnie od jedynych ludzi, jakich chciałem znać, odebrano ostatnie dni razem. Zresztą, po co dociekać? Starczyło, że miałem wziąć ją i zniszczyć. Żeby bydlę mogło się naćpać, mentalnie zwalić sobie konia moim nieszczęściem.

Marcin uśmiechnął się triumfalnie. Bałwan, nie wiedział, że miał być środkiem perswazji. Zanim zareagowałem, ramię Matki uniosło go gdzieś wysoko. Krzyczał jak przypalany.

Nowa zaprosiła gestem.

Niby czemu nie, pomyślałem. W końcu była źródłem. Meteorem, który walnął w Planetę Paweł, powodując mały Armagedon. Powinna cierpieć. Podala się na tacy. Mogłem rozkwasić kłamliwą buźkę, spłaszczyć te kuszące wypukłości. Wyciąć cudne oczęta, sprawny języczek.

Podszedłem.

Uklękła, ale dostała nie to, czego się spodziewała. Ale polizała lufę pistoletu, wsunęła między wargi. Potem wyjęła z ust, położyła się, rozchyliła uda. Drżałem, chciałem tylko na nią spaść, ale udało mi się unieść broń. Wołałem nie dać im za dużo przyjemności.

Coś walnęło we mnie, zważyło z nóg. Klamka wyleciała z dłoni, huknęło, chyba wystrzeliła. Bolało. Wijąc się po mchu, uświadomiłem sobie – Matka rzuciła we mnie Marcinem. Leżał niedaleko, okropnie poskręcany.

Nie opowiadało im szybkie rozwiązanie. Młode zagulgotało rozkazująco. Grzebień na łbie bestii poczerwieniał, wypustki przy gębie tańczyły. Napinała się.

Jednak ślepe. Nie tyle, że oczu nie widziałem, ich nie było. Nie mogły dostrzec, że wymacałem dłonią zimnym metalu pistoletu.

Zerwałem się z ziemi. Albo miałem wrodzony talent, albo obłądnego farta. Kula rozsadziła

głowę stworza, trysnęła żółto–czarna jucha. Upadło na bok bezgłośnie. Albo ja już nic nie słyszałem, uszy poraził pisk nie do zniesienia. Nowa złapała się za głowę, usta ułożone do wrzasku. Wypełniły się pianą. Chwilę turlała się w spazmach, aż przestała się ruszać.

Uderzenie czymś niesamowicie ciężkim, leciałem, potem walnąłem o coś z wielką siłą.

Gdy ocknąłem się, istot nie było.

Wstałem, poczułem mdłości, ból rozerwał mi plecy, poczułem drętwość w kilku miejscach. Słaniałem się. Spojrzałem na trupy. Sam żyłem tylko dlatego, że bestia znów wykazała się instynktem macierzyńskim. Woląła uciec ze zranionym dzieckiem, niż mnie dobić.

Powinienem zabrać chociaż Marcina. Nie powinien zostać, porzucony w środku lasu. Ale potrafiłem jedynie pokuśtykać w stronę, jak mi się wydawało, szosy. Domu.

Łunę na ciemniejącym niebie widziałem, zanim jeszcze z mozołem wdrapałem się na pagórek. Straszne przeczucie, wyjąłem komórkę. Kilka przydługich esemesów. Zawsze za dużo pisał. Przeczytałem najświeższego.

Pierdoleni egoiści, jak zwykle. Ona nie jest tylko wasza. Mi też jest potrzebna! Też moja! Ty jesteś najgorszy, ty psujesz wszystko. Przykro mi.

Zakręciło mi się w głowie, oczy zaszyły mgłą. Za dużo. O wiele, wiele za dużo.

Odkąd ciotka przywiozła mnie ze szpitala, siedziałem na kanapie i wpatrywałem się w zgaszony telewizor. Myśleli, że to trauma, ale po prostu robiłem bilans strat. Marcin. Nowa, choć jej nie żał. Ojciec zjarał się żywcem, w głębokim śnie alkoholika. Matka... poparzenia trzeciego stopnia, przeżyła, ale w lustro nie spojrzysz już nigdy. Damian... z podpalacza został popiół. Pocieszałem się, że wbiegł do domu, bo oprzytomniał, chciał ratować moich starych. Musiałem wierzyć, że zrehabilitował się, choć przecież kontroli nad tym nie miał.

Dno.

Nie miałem dużo czasu. Psy węszyły. Znaleźli auto draba. Odnotowali obecność tajemniczego inwalidy, który nocą opuścił zajazd taksówką. Ciało z lasu nie mieli, podobno, ale pewne było, że jak minie dyspensa dla poszkodowanych, powiążą wszystko i zapukają do mnie.

Wypadałoby się poddać losowi. Nie było ekipy, przeszłości, przyszłości. Ale miałem w kurtce

pistolet Leona, w spodniach pieniądze od Kamy.

Niewiele, ale dobry początek.

Nienawiść nie odeszła z Nową. Została, bardzo skupiona, konkretna. Nie wiedziałem, czy młode przetrwało, ale Matka nadal gdzieś tam grasowała.

Trzeba żyć dalej, mówi się. A w życiu trzeba mieć jakiś cel.

Akademik stał się jedną wielką bibą, studenci odreagowywali sesję. Drin za drinem, dziewczyny też się rozkręcały. Kamila, już nie Kama, wymknęła się do pokoju z kompem. Nie wiedziała, czego szuka w necie. Włączyła Gadu, porzuciła Skype'a, ciągle wyobrażała sobie wyskakujące okienko ze złą twarzą Damiana.

To musiała być intuicja. Specyficzny dźwięk, ktoś napisał. Sam numer, nikt znajomy.

– Jesteś...

– Co? – odpisała.

– Nie idzie mi. Słaby w tym jestem.

– ???

– Prawie zabiłem dziś dziewczuchę, wiesz? Zwaliłem z niej dresiarzkiego kochasia, usiadłem, przystawiłem broń do skroni... nie miała tego w oczach. Tego, co ona.

– Kim jesteś?

– Nowa. Nie była jak Nowa. Zwykła tępa cizia, a ja prawie...

– Paweł?

– Dobrze, że jesteś. Że przynajmniej ty zostałeś.

Nic więcej, próbowała pisać, ale odpowiedź nie nadeszła.

Tego wieczoru upiła się do nieprzytomności.

Paweł Mateja

Zupa z gawronów

Trudno znaleźć przyczynę, dla której miasteczko zaczęło umierać. Początek końca można datować na wczesną wiosnę, kiedy to drzewa przemarzły i nie wypuściły niemal żadnych liści, lecz stały jakby półmartwe czy wyczekujące. Wielu ludzi przyjęło to jako złą wróżbę; wtedy pierwsi mieszkańcy opuścili swoje domy.

Ostatniego dnia marca rozpętała się ogromna ulewa, przygrywająca ostatniej zmianie w kopalni. Niedochodowy zakład ostatecznie zamknięto. Deszcz nie przestawał jednak padać ani następnego dnia, ani przez cały tydzień. Ulice zamieniły się w brudne rzeki; odjechały kolejne samochody. Zamknięto okna w pustych mieszkaniach, oddano klucze.

Tak właśnie umierało miasteczko.

Miejsce ludzi powoli zajmowały gawrony – przybyły ogromnymi stadami i zamieszkały na dachach, gdzie, kracząc, obserwowały niknących przechodniów. Obsiadły łyse drzewa i czasem tylko zbierały się na placach, szukając jedzenia. Inne miejskie ptaki, w tym gołębie i wróble, zniknęły jednej nocy. Kilka miesięcy po tych wydarzeniach znaleziono całe martwe stada za miastem. Całe stosy przegniłych i wysuszonych korpusów, ledwo tylko napoczętych przez dziką zwierzynę leżały za hałdami.

Nikt nie odgrywał requiem w cichych kamienicach, nikt nie kreślił epitafiów na kruszejących murach.

Ktoś powiedział, że w rudymentach miasteczka legła dziwna zaraza, od której twarze szarzały, a oczy traciły blask. Ktoś inny wyśnił wpitego w korzenie fundamentów robaka, ssącego soki, puchnącego nad miarę.

Widziano też odzianą w żałobną czerń kobietę, która przybyła wraz z gawronami. Poruszała się smętnie, późnymi wieczorami, czasem niknąc jak mara. Mówiono, że wlecze się za nią gęsta, cuchnąca mgła, która zalega w płucach, dusi i zatrzuwa człowieka aż do serca.

Faktem jest, iż wielu później twierdziło, że można się natknąć na nią, włączając się brudnymi uliczkami. Twierdzono, że nosiła wielki kapelusz niedbale okręcony woalką; że sama zdawała się prześwitywać jak wytarty tiul; a ręce i nogi posiadała tak długie, iż przypominała pająka. Że przystawała przed oknami w których paliły się światła i czekała tak długo, aż pogasły. Albo że wychodziła ze ścian jak larwa, lizała klamki; że, cicho jęcząc, całowała szyby wystaw sklepowych i ślady te nie dawały się zmyć.

Mówiono tak i pakowano dobytek. Ludzie na ogół wolą zdrowe, żywe miejsca, gdzie można utrzymać rodzinę, albo zwyczajnie mieć spokojne myśli.

Gustaw Majer nie wyjeżdżał.

Nigdy nie opuszczał miasta. Gustaw Majer tam się urodził, całe życie przepracował jako dozorca kamienicy i woźny w szkole podstawowej, w której pierwiej uczył się jako dziecko. Mieszkał samotnie na poddaszu, pił sporo, ale zawsze za swoje i zazwyczaj samotnie.

Pan Majer nie miał wygórowanych życiowych potrzeb. Pracę kochał, tak jak i dzieci, choć swoich nigdy nie miał. Nienawidził z kolei tylko jednego: gawronów. Brudnych śmieciożerców, hałaśliwych i czarnych straszylek.

Kończyło się właśnie drugie półrocze – nieco szybciej niż zazwyczaj, bo brakowało uczniów i nauczycieli. Klasy zostały połączone i większość sal gromadziła tylko echa. Po wakacjach szkoła miała już nie otwierać swych bram. Dlatego woźny pijał więcej i więcej.

Ptaszyska drwiły z niego, kracząc bezczelnie z wysoka. Splatały się ze sobą w jemiolach, kołyszących się na suchych gałęziach. Trzęsły konarami, jakby to wiatr wiał. A to tylko one; wszechobecny wrzask, ławki całe brudne od ptasich odchodów.

* * *

Babka była jedynym pasażerem autobusu jadącego do miasteczka z jakiejś okolicznej wsi. Sama jedna wysiadła, z trudem ciągnąc za sobą ogromny, wiekowy kufer. Usiadła zaraz na ławie, dysząc ciężko. Nikt ze wsi, z której autobus nadszedł, nie znał jej, pewnie nawet nie widział. Musiała jechać z daleka, tak zdawała się być utrudzona; pomarszczona twarz lepiała się od potu, ubranie staruszka miała zużyte, starte już nieco. Na głowie chustka wiązana ludową modą. Cuchnęło od niej, brud miała za nieprzyciętymi, nierównymi paznokciami.

Choć była to wczesna godzina jednego z dni początku maja, ciemno było, bo chmury spowiły niebo, całe nabrzmiałe i nieustępliwe.

Ptaszyska patrzyły z rezerwą na staruchę, która wlokła się chodnikiem, niosąc ciężką walizę.

Zatrzymała się dopiero przy rynku, na schodach Majerowej kamienicy. Tam usiadła, czekając, aż dozorca wróci z pracy. Wzięła małe mieszkanie na parterze, niewiele mówiła. Zapłaciła z góry za miesiąc i zniknęła za drzwiami.

Dozorca słuchał radia i patrzył przez okno na podwórko, na którym bawił się kilkuletni synek sąsiadów, biegając w gumowcach i płaszczyku przeciwdeszczowym w kolorze truskawki. Drobny punkt w szarobrudnym świetle. Gawrony spoglądały z wysoka na dziecko łakomym wzrokiem. Dozorca otworzył okno i klasnął kilkakrotnie, ale nie odleciały. Za to chłopiec odwrócił się i krzyknął „dzień dobry”, by zaraz znów skakać w kałużach.

Zaczynało się ściemniać, gdy pan Gustaw w końcu wyszedł z kamienicy. Skierował się wprost do baru, gdzie w cichym, kameralnym towarzystwie szybko się upił, bo postanowił wcześniej wrócić do domu. Na drodze trzymał się ściany, klnąc jak szewc na ulewę, na brud i samotność. Zwymiotował do kratki ściekowej i gdy podniósł wzrok, zdawało mu się, iż widzi ciemno ubraną postać zmierzającą w jego stronę. Kobieta w kapeluszu, gładzącą nerwową ręką mur. Wysoka była i chuda, w przewiewnej sukni – o ile w ogóle była, bo zaraz chwycił go kolejny skurcz żołądka, zmuszający do pochylenia. Przez moment Majer czuł przeraźliwy strach i smród zgnilizny, który wzmógł torsje.

Podniósł głowę – ulica była pusta.

W kamienicy paliły się jeszcze światła. Staruszka zasłoniła szczelnie okna, na piętrze w szwach migąły sylwetki młodych małżonków. Majer na czworaka wdrapał się po schodach, rzucił się na łóżko w ubraniu. Zdążył tylko zzuć buty, nim zasnął.

* * *

Nocna mara drżała jak odbicie w kieliszku wódki. Ktoś w wielkim kapeluszu rozchwiał przestrzeń i uciekł. Ktoś zaśmiał się piskliwie i pisk przeszedł w kaszel. Ktoś oddychał przez sen niespokojnie, śnił koszmar, zaciskał drobne rączki na pluszowej małpce.

Cień pod ścianą stał prosto, nie wirował jak otoczenie. Cuchnął alkoholem, miał długi ptasi dziób. Nagle podskoczył raz i drugi, zamachał rękami, jakby próbował podlecieć. Zbliżał się do małego oddechu, kłapnął dziobem.

Oddech przyspieszył raz – dwa, raz – dwa razdwarazdwarazdwa.

Cień obejrzał się za siebie. Czarny kapelusz pędził gdzieś w przestrzeń, zapalał płomienie bijące w nieboskłony. Ktoś skryty w rogu pokręcił głową. Gawron podskoczył jak marionetka wykonując pełny obrót; pobiegł między ogniska.

* * *

Majer nie potrafił wstać z łóżka. Pokój wirował a przestrzeń dudniła.

Zegar na ścianie wskazywał szóstą rano, ale spieszył o kwadrans. Mężczyzna zamknął oczy – jeszcze na kilka minut. Dopiero poranna fala wymiotów wymusiła na nim zerwanie się z pośłania. Żołądek był pusty; tylko żółć. Coraz częściej przychodziły takie poranki, Majer przywykł do nich.

Delirium, powracające przy każdym zmrużeniu oczu, przyprawiało go o dreszcze.

Piętro niżej zaczynał się dzień. Stolarczyk wybierał się do pracy. „Ciekawe, czy wie, że miasto umiera” – zastanawiał się woźny, rozcierając ramiona. Postawił czajnik na piecu. – „Czy wie, że niedługo firma padnie, a jego rodzina opuści miasto, tak jak inni? Że to wszystko trafi szlag, że wszystko zdechnie i zostanie zeżarte”.

Na parapecie wylądowało czarne ptaszysko. Zaglądało do środka, przechadzając się wzdłuż szyby. Woźny wypił kawę i wyszedł do pracy, spotykając na schodach sąsiada. Tamten twarz miał dziwnie zszarzałą.

Staruszka zza zasłony bacznie obserwowała wychodzących. Majer dojrzał ją kątem oka i poczuł się nieswojo. Nie dlatego, że starowinka mogła go widzieć wcześniej spitego jak wieprz. Nie – było w jej wzroku coś, co momentalnie napełniło go niepokojem. Jakby znała wszystkie jego myśli, jakby wiedziała o nim coś, czego on sam nawet nie jest świadom. Czuł, że staruszka zna jego nocny koszmar.

* * *

Szkoła – ogromny szary moloch stanowiący integralną część zabudowy miejskiej – po Gomułce już tylko popadała w ruinę. Wnętrze, prezentujące się tylko nieco lepiej od fasady, mieściło zarówno szkołę podstawową, jak i gimnazjum. Majer zawsze miał ręce pełne roboty, składając ciągle i ciągle niszczące fragmenty budynku.

Szkoła pachniała trampkami i potem.

Po zajęciach większość dzieci wracała do domów, ale część starszych wyruszała na hałdy. Pa-górki – produkt uboczny przy wydobyciu węgla, usypane zostały przed wielu laty, jeszcze za poprzedniego systemu, zdążyły porosnąć gęstą zielenią, pośród której można było palić papierosy, pić wina, lub po prostu biegać w dziczy niszczących górniczych zabudowań.

Hałdy nie były bezpiecznym miejscem, ale tabliczki zakazujące wstępu zrywano już kilkakrotnie. Hałdy były azylem, na który rzadko udawali się dorośli. Teraz i dzieci było coraz mniej. Wsiadały na tylne siedzenia i wraz z rodzicami opuszczały miasto.

Po zachodzie słońca żarki papierosów powoli gasły, ruszały z powrotem do miasta. W nocy

nikt nie chciał zostawać sam.

* * *

Wracając z pracy, pan Gustaw zrobił zakupy w małym, zagubionym między kamienicami sklepiku. Sprzedawczyni była wyraźnie nerwowa – nie układa się, wszystko rozpada się w proch. Ktoś rozbił szybę witryny zamkniętej księgarni. Ktoś na murze wymalował niezgrabny bohomaz – człowieka–wronę; czerwona farba nie zdążyła jeszcze całkiem wyschnąć. Majer przyspieszył kroku.

Na schodach prowadzących do mieszkania dozorca natknął się na staruszkę z parteru. Na przywitanie odpowiedziała niemrawo, szepcząc coś pod nosem. Majerowi zdawało się, że przyłapał ją na czymś – dlatego tak szybko zniknęła. Ścisnęła kurczowo dłonie, jakby usiłowała coś w nich ukryć.

Majerowi nie podobało się jej spojrzenie – świdrujące, inwigilujące jego duszę.

Mały Stolarczyk zbiegł po schodach na podwórko. Ziemia mokra była jeszcze po wczorajszym deszczu. Dzieciak patykiem rysował po błocie. Jeden z gawronów wylądował na podwórku i przechadzał się dostojnie.

Dozorca odszedł po kilku minutach od okna. W samotności cisza jest nieznośna. Majer miał żonę, ale krótko i nie wspominał za dobrze tego okresu. Kobieta odeszła po dwóch latach, wtedy zaczął pić.

* * *

Wczesnym wieczorem w całej kamienicy zgasły światła. Dozorca prewencyjnie grzebał w skrzynce z bezpiecznikami, przyświecając sobie latarką. Obok niego, w drzwiach wejściowych stała Stolarczykowa. Była ładną, młodą kobietą, ale smutne zmarszczki osłabiały blask oczu. Wyszła z mieszkania na piętrze i zaczęła przywoływać synka, by wrócił z podwórka.

– Kamil! – krzyczała w ciemność. – Wracaj, bo nie będę tu stała do nocy! – Głos zadrżał jej na końcu, jakby trącony strachem.

– Wysiadło w całej okolicy – skonstatował Majer, by zagaić rozmowę. Wytarł brudne od kurzu rękę w spodnie.

– A z małym oszaleć można. Przecież w takich ciemnościach niebezpiecznie. – Jeszcze raz spróbowała wywołać synka z mroku.

Majer potarł zarośnięty policzek, błędząc wzrokiem po podwórku.

– Ulice są prawie puste.

– Tym gorzej – westchnęła – nie wiadomo, kto się może czaić za rogiem. Każdy bandyta jest

bezkarny, jak nikt go nie zobaczy... No, idzie! – dodała z naganą. – Idź do kuchni, Kamil, zaraz kolacja.

Drobna, milcząca sylwetka chłopca przecisnęła się między dorosłymi i pobiegła na górę. Dozorca lubił małego za tę małomówność.

* * *

Resztę dnia Gustaw miał spędzić na trzeźwo, ale nikt nie kwapił się, by naprawić globalną awarię elektryczności. Zostało więc jedyni iść do knajpy.

Siedziała tam grupa stałych bywalców, topiących przy świecach żale w kieliszkach. Wszyscy pili na kreskę, bo kasa nie działała bez prądu. Barmanka i tak znała każdego ze zgromadzonych, nie było problemu. Przeciskała się między stolikami niczym somnabuliczka – mimo ciemności mijała stoliki niemal odruchowo, ale zdawała się być nieobecna, zduszona od środka.

Migotliwe żółte światło dodawało nieco koloru matowym twarzom. Jedni zwierzali się sobie wzajemnie z uczuć, nastrojów, nierzadko zbyt gwałtownie gestykulując; inni zmagali się z problemami w samotności. Niepokój, który ogarnął ciżbę, był jednak wspólny i nieokreślony. Panowało napięcie, jak przed burzą.

Pan Gustaw patrzył w zbolale twarze sąsiadów i to pozwalało mu poczuć, że nie jest znów taki całkiem samotny. Sam przed sobą ukrywał drżenie rąk, które przyszło znienacka i które starał się zapić jak najszybciej.

Jak gdyby niebo miało zaraz spaść na głowy. Bez glorii.

Podniósł do ust setkę czystej i przełknął niemal z wysiłkiem. Pusty kieliszek uderzył o blat. Chwilę później do Gustawa ktoś się przysiadł, nie pytając o pozwolenie. Jakaś skąpo ubrana kurwa. Jakaś krótka, lateksowa spódniczka, koronkowe pończochy; czarny płaszcz, spod którego wylaniał się fragment wyleniałego boa z farbowanych piór. Mówiła do niego coś zapamiętała ale Majer nie mógł zrozumieć z tego ani słowa, starał się wydobyć z tego jakikolwiek sens i wraz zdał sobie sprawę, że jest przy stoliku całkiem sam. Barmanka dla rozweselenia kilku pozostałych jeszcze klientów zaproponowała darmową kolejkę. Dozorca odmówił ruchem ręki i wyszedł jak najszybciej.

W nieprzeniknionej ciemności ulice zwały się w jeden wielki labirynt. Droga do mieszkania była zwykle banalna i krótka; tym razem łatwo było zapomnieć o którymś skrzyżowaniu. Majer załądził. Przejście, którego się spodziewał nie istniało. Alkohol szumiał w głowie, szum roztaczał się na chybotliwą ulicę.

Mężczyzna wypił zbyt mało, by ściąć się tak mocno. Usiadł na moment przy murze, odpływając.

Świat oddalał się szybko.

Ktoś przemieszał ulice. Ktoś, zdmuchnąwszy – jak świece – latarnie, biegał po opustoszałych przestrzeniach. Majer pocił się, serce biło mu jak szalone. By nie zapaść w sen, podniósł się gwałtownie i ruszył na oślep w mrok. Jak lunatyk.

Za grubą zasłoną okna staruszki paliło się światło. Pewnie z lampy naftowej, albo świecy, coś pachniało intensywnie, ale nie był w stanie skupić na tym uwagi. Schody rozdziwiły się, później skręciły jak wąż. Z trudem można było utrzymać na nich pion.

Wszystko lepilo się od potu, od krwi.

Czarny, długi dziób przykleił się do ust Majera.

Ptaszysko machało rękami, próbując wzbic się nieco w górę. Nie potrafiło – padło bezsilne na łóżko. Zapadło się w pościel tak głęboko, że z trudem mogło złapać powietrze. Ktoś jeszcze był w pokoju; Majer słyszał szeleszczący oddech, ciche kroki. Dziób oblepiony był słoną cieczą, gęstą i odurzającą. Szpony orały pościel, z gardła powoli dobywał się narastający skrzek.

Tak dobrze jest mieć dziób. Tak dobrze i smacznie.

Świat zamarł w milczeniu i nagle przyspieszony oddech raz – dwa – raz – dwa – razdwarazdwa. I znów cisza, wszystko gaśnie.

* * *

Gdzie są sznurki? – myślał Majer, spoglądając ze zgrozą na dlonie. – Jeślibym był marionetką, muszą być przecież sznurki.

Zaginął Henryk Banaś, uczeń piątej klasy. Nikt nie wiedział, co z chłopcem mogło się stać. Policja od rana przeszukiwała hałdy. Mógł wpaść do jakiejś piwniczki w ruinach, mógł dostać cegłą w głowę. Banaś nie bywał tam często, zazwyczaj wracał wcześniej do domu. Tego wieczora wyszedł gdzieś i już nie wrócił.

Cała szkoła mówiła tylko o tym od wczesnego rana. Panowało niezdrowe podniecenie, niepokoił się nauczyciele, policja informowała, że na razie nic nie znaleziono. Koledzy chłopca nie wiedzieli nic. Albo nie chcieli nic mówić.

Od tej pory którykolwiek dzieciak przyłapany na hałdach miał zostać poddany karze. Rodzicie mieli pretensje do pedagogów, ci zaś do rodziców.

Dlaczego nie ma sznurków? – Woźny coraz bliższy był płaczu, drżał. Jako jedyny nie gonił w kółko. W swoim zagraconym gabinecie siedział od dwóch godzin wpatrując się we własne dłonie. W krew za paznokciami.

A rano znalazł juchę na pościeli. Rano czuł ogromne zmęczenie, cały był brudny. Twarz odbita w lustrze stała się obca. Mogło być przecież tak, że wpadł w pijacką furję i lał się po pyskach z kimś pod szynkiem, albo że potknął się o krawężnik, rozbił sobie nos i poleciała jucha.

– Panie Majer – zaskoczył woźnego głos matematyka – trzeba by żarówkę wymienić u mnie. Przerwa się zaczęła, zdążyłby pan?

Kiwnął głową i podniósł się z fotela. Zaciskał pięści tak, by ukryć brązowe skrzepy. Rozejrzał się półprzytomnie po pokoju; drzwi musiały być już otwarte, skoro nie usłyszał nadchodzącego. Musi wziąć się w garść; przecież nikogo nie skrzywdził.

Przecież tak lubi dzieci.

* * *

Nigdy nie podniósł ręki na dziecko. Nie byłby w stanie nikogo skrzywdzić, nigdy. Sąsiedzi mogliby potwierdzić: prawda, że pija, ale burd nie robił, łagodny jest i spokojny.

Dozorca właśnie skończył zakładać na łóżko czystą pościel, gdy ktoś zapukał do drzwi.

Stolarczyk.

Zaproszony, wszedł, rozejrzał się z uśmiechem. Majerowi wydawało się, że tamten lustruje wnętrze zbyt skrupulatnie, że szuka czegoś. Serce zaczęło bić mocniej.

Stolarczyk był jeszcze młodym mężczyzną, nosił nieprzystojnego, zbyt wielkiego wąsa i z zasady miał na sobie kurtkę wiatrówkę. Nosił ją cały rok, niezależnie od temperatury.

– Słyszeliście, sąsiedzie, o tym chłopaku, co zaginął? – zagadał po dłuższej chwili mężczyzna.

– Podobno poszedł gdzieś na hałdy i wpadł do dziury.

– Nie wiadomo – burknął dozorca. – Jeszcze go nie znaleziono.

– Wszystkie szczeniaki tam łożą, nic nie poradzisz. – Tamten machnął lekceważąco ręką. – Jak nie tam, to gdzie? Chłopak mieszkał kilka ulic dalej, znam jego ojca. Z młodym czasem się bawił.

Majer przyjął te słowa w milczeniu. Nie podobał mu się tego dnia sąsiad. Czuł, że wzrok tamtego może trafić nieopatrnie na jakąś pominiętą plamę krwi; że coś pominął przy sprzątanu.

– Pan w szkole pracuje – kontynuował sąsiad po chwili. – Coś pan pewnie słyszał więcej.

– Tyle co wszyscy.

Niezrażony kontynuował:

– Zabronili dzieciakom tam chodzić. Trochę późno, już dawno miał ktoś tego przypilnować. Na małpi rozum nie ma leku. Ja młodego tam nie puszczę. W całym mieście krzyczą, że teren miano już lata temu ogrodzić, ale ktoś pieniędzy poskapił. I młodzi głupi i ci starzy.

– Nie zaszkodzi przypilnować – przytaknął dozorca.

Sąsiad pokręcił się jeszcze chwilę przy wyjściu, pogadał o błahostkach, w końcu wyciągnął rękę do dozorca i wyszedł. Został jeszcze na chwilę zatrzymany na korytarzu słowami Majera:

– Panie Stolarczyk, pusto się u nas robi, prawda?

– Mówią, że kryzys minie.

– Pan nie zamierza wyjeżdżać?

– Skąd!? – zdziwił się sąsiad. – Tutaj mam robotę jak na razie, a innej łatwo nie znajdę. Kwalifikacji nie mam, studiów. Synka na studia wcisnę, choćby na siłę. Niech się uczy.

Kiwnął jeszcze głową i zszedł do siebie.

* * *

Wstrętne babsko – wściekał się dozorca. – Nie ma nic do roboty, a na dupie sama nie wysiedzi. Niby nie widać jej, nosa zza drzwi nie wyściubi, ale i tak paluchy w nie swoje sprawy chętnie wetknie.

Wie, gdzie jestem, gdzie byłem w nocy, wszystko widzi. Pewnie spać nie może, to zajmuje się cudzymi rzeczami. Pewnie ją wyrzucono z poprzedniego mieszkania za wścibstwo. Wszystkie takie same – znudzone, nie mają swoich zainteresowań. Robią sobie czaj z najtańszej herbaty i popijają nim tabletki. Nie zasną. Na ścianie powieszają krzyżyk, to już bez grzechu.

Po co tu wchodziła, co mi pod drzwiami podsłuchuje? A jakie oczy zrobiła, jak otworzyłem zniecka. Rączki jak do modlitwy, patrzy spode łba. Niby stara i głucha, w jakieś szmatki owinięta, a co pod moimi drzwiami stała? Popatrzyłem na nią, to tylko pod nosem coś burknęła i uciekła, stara prukwa. Wstydu nie ma.

Za dużo chciałyby widzieć. – Majer zaciskał wargi, kołysząc się na krześle. Kawa zdążyła wystygnąć, nie zauważył tego nawet. Zimna już nie smakowała.

Bał się ogromnie.

Stolarczyk był ciekawski, ale przy niej to drobiazg. To dobry chłop, towarzyski, nie ma co na niego mówić źle. Staruszka widziała dużo, znała sny.

Za oknem ściemniało się już. Stada ptaków skrzeczały niemożliwie. Gawrony – zaraza miasta;

roznosiły choroby, srały wszędzie, brudził, dziobały mury. Darły się, drażniąc do krańców wytrzymałości nadszarpnięte nerwy.

Majer zerwał się z krzesła, gwałtownie otworzył okno i chlusnął kawą na odlew.

– Won, gnoje! – wrzasnął, eksplodując stresem. – Wystrzelam, zarazo!

Ptaszyska ucichły zdziwione. Nie odleciały.

Młody Stolarczyk spoglądał z podwórka, śmiesznie podnosząc w górę małą główkę. Dozorca zawstydzil się wybuchu agresji, kiwnął do chłopca przepaszając, ale ten już wrócił do zabawy. Nagle drzwi na dole trzasnęły. Za jakiś czas na podwórku pojawiła się zgarbiona sylwetka. Staruszka niosła dużą zniszczoną torbę, utykała nieco, idąc powoli w stronę ulicy. Przekrzywiając głowę, spojrziała w górę. Odsunął się wtedy na tyle, by pozostać niewidocznym, jednocześnie mogąc obserwować. Nic się nie wydarzyło. Przeszła obok chłopca obojętnie, kołysząc się lekko na boki.

Majer zaparzył nową kawę i usiadł przy oknie. W swoim życiu niewiele miał do roboty, szczególnie teraz, gdy wszystko się zmieniało. Nie miał dla kogo remontować kamienicy, nie miał po co sprzątać, z kim rozmawiać.

Zaczął czytać jakąś gazetę, ale to były całkiem obce sprawy dotyczące całego świata – poza tym małym miasteczkiem. A nie interesowały go ni afery polityczne, ni cudze kłopoty i nieszczęścia, wystawy w stolicy i nowe filmy w kinie. Nie było ani wzmianki o zaginięciu chłopca.

Za oknem mały kawałek wielkiego świata zmieniał się w ruinę. Na to Majer patrzył, choć nie wiedział, co go właściwie w tym procesie pociąga.

* * *

Kamilek Stolarczyk bał się chodzić spać.

Do niedawna największe przerażenie budziły w nim czające się pod łóżkiem potwory, skłonne odgryźć rękę, gdy ta tylko osunie się z posłania. Bał się też ciemności, z której wyłonić się mogły duchy owinięte w prześcieradła; tak przeraźliwie białe, zimne, chętne by dotykać lodowatymi palcami, mogące pokazać, co jest pod białym płótnem.

Obiekt strachu zmienił się, gdy chłopiec usłyszał w nocy śpiew robaka leżącego w korzeniach miasta. Larwa puchła coraz bardziej, wypuszczała odnóża i szczękoczułki w piwnice, mogła tej, czy następnej nocy wsunąć pod drzwi jedno z nich, wessać się w brzuch, w oko.

Teraz chłopiec bał się śmiechu gawronów, gdy te budziły się późną nocą z własnych koszmarów. Krzyczały niemal jak ludzie, podniecone przez cień w wielkim kapeluszu. Czasem milkły niespodziewanie przestraszone, nasłuchiwały. Coś ukradło kilka z nich, Ptaszyska, piszcząc i zawodząc,

plakały wtedy jak małe dzieci. Wkrótce na miejsce porwanych przyleciały nowe.

Kamilek Stolarczyk chował głowę pod poduszkę, udawał przed sobą, że nic nie słyszy. Zasnął i budził się znów po chwili, gdy rozlegały się nowe dźwięki. Słyszał czasem kroki na korytarzu. Ktoś utrudzony chodził po schodach, jęczał i posapywał.

Nic się nie działo. Głowa pod poduszkę, noc jest ciemna, nic nie czai się w kącie.

* * *

Dziób drażnił nieznośnie. Pocieranie go o ścianę dawało lekką ulgę. Dziób był interesujący; otwierał się i zamykał, można było muskać nim różne przedmioty, gładzić palcami gładką powierzchnię. Można by połknąć mysz w całości, albo małego ptaka, czy kotka.

Rozstawione oczy widziały inaczej. Kręciło się w głowie od ciągłego rozglądania, drażniła poświata bijąca od różnych przedmiotów. Kusiły nowe smaki. Całe drzwi wyglądały na słone. Korytarz wirował, tracąc pion. Raz sufit zbliżał się, raz oddalał.

Dwa kroki w dół – ktoś tam oddycha za drzwiami. Nie, to ja. Dalej w dół. Drzwi świecą inaczej. To inne wejście, inne. Są mdłe jak sen, ciepłe i kluchowate. Niedojrzałe jeszcze. Poręcz schodów zetknęła się z ciekawskim dziobem.

– Szybciej!

Schody były niecierpliwe, popędzały. Za głośno. A przecież noc jeszcze długa, wystarczy czasu.

– Szybciej!

Struga cudzego moczu rozlała się na linoleum.

– Niech się pospieszy.

Raz – dwa – raz – dwa – razdwarazdwa i po wszystkim.

Powietrze jest zimne od padającego deszczu. Zza chmur wygląda srebrny księżyc. Zbliża się, rośnie, patrzy prosto w oko. Gdyby można było złapać dziobem krąg, lekko ścisnąć. Wilby się jak żywy. Dlatego chowa się znowu za chmury, patrzy cyklopim wzrokiem, przemyka spokojnie. Myśli, że jest bezpieczny. A wystarczyłyby lepsze skrzydła. Gasłby powoli.

Na razie inny zapach – zegar na wieży bije drugą. Ma taki zimny, kwaśny smak. Deszcz spływa po piórach, deszcz osłabia aromat. Ale przez otwarte okno wszystko wypływa. Szpony wbijają się w ścianę, to tylko kilka metrów. To mała dziewczynka, mały kotek, mały, jeszcze nieupierzony ptaszek. Będzie piszczeć.

Cicho!

„Ja nie jestem niczemu winna!” krzyczy pijana kurwa w wielkim kapeluszu. Stoi pod oknem,

głaszcze mimowolnie ścianę. Czarny cień, zaraza, szmata. „Ja tylko pluje i klnę gdzie muszę. Ja za nic nie odpowiadam!”

Jest jak trucizna, jest gorzka. Nie można jej dotykać, bo się umrze, nie można zjeść. Szpony wbijają się w szczeliny, mijają okna. Kapelusz znika, pozostawiając za sobą gnijące powietrze. Cegły miękną. Obraz się chwieje, a deszcz zaczyna gęstnieć i śmierdzieć. Zatyka studzienki odpływowe. Wszystko wylewa się i osadza.

– Szybciej!

Raz – dwa – raz – dwa – razdwarazdwa oddycha dziecko. Śpi twardo, to koszmary trzymają oczy zamknięte. Jęczy cicho.

Sza!

Za okno, po murze, w dół. Księżyc znów patrzy, już się nie boi, bo widzi czym jest zajęty dziób. Księżyc krzyczy, ale deszcz go zagłusza. Dziób krzyczy głośniej, ktoś się budzi, jaśniej, słychać krzyki.

Nagle wszystko gaśnie.

* * *

Przebudzony mętym i niezdrowym światłem, Majer bał się otworzyć oczy. Bał się, że na podłodze będzie martwe dziecko, że jest brudny od krwi i błota.

Czuł, że całe ubranie ma wilgotne, że mimowolnie płacze. Bał się, że kiedy otworzy usta, nie będzie ich tam wcale, że jedynie groteskowo kłapnie dziobem.

Zadzwoił telefon, a on dalej się nie ruszał. Pragnął umrzeć. Dzwonek umilkł po dłuższej chwili, tylko po to, by zawyc powtórnie.

Majer ostrożnie uniósł dłoń, powoli zbliżył ją do twarzy. Skóra była szorstka, nie golona od kilku dni. Dalej zaczynały się wargi. Poczul ulgę, ale nie otwierał oczu. Nie miał w sobie siły nawet na tyle, by zasłonić okno. Zasnął i opadł w sen bez koszmarów, sen o pustce i ciszy.

Po nieokreślonym czasie znów się przebudził. Usłyszał skrzypienie otwieranych drzwi, kroki.

– Niech pani zerknie tam, po lewej – usłyszał głos młodej sąsiadki. – Pewnie śpi jeszcze, biedak. To dobry człowiek, tylko wódka mu szkodzi... sama pani wie.

Ciche, ostrożne kroki. Jak fakir idący po szkle.

Cisza; przyjemny zapach perfum. Czyjaś delikatna dłoń.

– Panie Majer. – Dłoń potrząsnęła nim stanowczo. – Panie Gustawie, co też pan? Czy pan żyje?

– Może zadzwonić po karetkę? – Niespokojna nuta zadzwoniła w słowach Stolarczykowej.

– Nie trzeba – szepnął przestraszony. Spieczone usta ledwie się otwierały.

– Panie Gustawie, co z panem? – Rozpoznał głos: Alicja Kowalik, szkolna historyczka. Otworzył oczy i zobaczył wielkie przejęcie na jej twarzy.

– Musieliście grubo wypić wczoraj, sąsiedzie. Pysk jak trup.

– Wstyd mi za pana, panie Majer – powiedziała z wyrzutem nauczycielka. Te słowa zaboląły. Zнали się od wielu lat i często odnosił wrażenie, że ta niemłoda już kobieta ma na niego oko. Podobnie jak on była rozwiedziona; często odwiedzała gabinet woźnego, zapalała papierosa, i żaliła się na całe swoje życie.

– Wie pan, która jest godzina? – pytała. – Już po południu, dyrektorka dzwoniła kilka razy, ale nie odbierał pan. Teraz widzę, dlaczego. – Westchnęła z żalem. – Nic tu nie poradzę, jutro niech pan lepiej wymyśli jakąś dobrą wymówkę, ja nic nie powiem. Tylko niechże się pan postara.

Wstała, uśmiechając się cierpko. Majer zamknął oczy, dalej pełen wstydu. Czuł się jak częściowo sparaliżowany, zdołał tylko szepnąć proste „dziękuję”.

Myślał, że wyszły, ale to chyba tylko sąsiadka wróciła do siebie. Ktoś zagotował wodę, postawił obok łóżka kubek z pachnącą kawą. Później kroki powoli cichły, rozległ się trzask zamykanych drzwi. Chory nie potrafił otworzyć oczu, słabość miast odchodzić, nasilała się. Odpływał, zapadał się w czerń, w wewnętrzną noc. Ktoś był pod drzwiami, mamrotał pod nosem. Już za późno, Majer tracił świadomość.

* * *

A później było przebudzenie, późne popołudnie. Drżące ręce i mgła przed oczyma. Świat pełen był skrzeku ptaszysk, pokój stał się brudną, zaniedbaną norą.

Na ciele Majer miał przepocone, cuchnące ubranie, zmięta pościel leżała na podłodze. Usiadł na łóżku, skurczył się w nagłym ataku mdłości. Świat powoli zdawał się wracać do normalnego stanu. Wracało czucie.

Pamiętał tylko kilka kadrów z długiego, makabrycznego koszmaru. Swoją zmienioną twarz. Niezgrabne podskoki, zapach dziecka, głos księżycy. Dozorca nijak nie wiedział, jak to wszystko pojmować. Alkohol, sen, choroba... albo prawda. Objął kolana dłońmi, szukając w sobie choć odrobiny oparcia.

Wypił zimną kawę; przechodziła przez gardło rozkosznie.

Później, już umyty, w świeżym ubraniu, przyglądał się odbiciu w lustrze. Czyje to były oczy?

Popękane wargi, cera blada jak u trupa. Opuścił powieki, wsłuchując się w coś obcego, co załęgło się w środku. Słyszał, jak robak pod miastem ssie soki, czuł robaka w sobie.

Kilka minut przed godziną siedemnastą Majer wszedł do kwaciarni, kupił skromny bukiet kolorowych kwiatów. Idąc ulicą starał się nie garbić, stawiać kroki pewnie, równo. Pot wyszedł mu na skronie, czaszka pulsowała od zmęczenia.

Wcisnął przycisk w domofonie. „Kto tam?” zapytał znajomy głos. Majer wybełkotał coś nieskładnego, zamek trzasnął. „Wejź, proszę” powiedziała.

– Dziękuję – Uśmiechnęła się, starając zachować srogą minę. Położyła kwiaty na półce w przedpokoju. – Widzę, że czuje się pan już lepiej? Proszę wejść, to nie problem, i tak stawiałam wodę na kawę.

– Panie Gustawie – rzekła już innym tonem, czułym i stroskanym, gdy usiedli razem w małym salonie. Mieszkanie było skromne, czyste ale nieco smutne. – Panie Gustawie, niech pan nie pije tyle. Raz darują, drugi, ale w końcu straci pan pracę.

– Nie piłem – to były pierwsze słowa, które wtedy wypowiedział jej w twarz. Mocno zaskoczona odłożyła filiżankę, złożyła ręce przed sobą na stole. Majer chciał chwycić je mocno, poczuć ciepło.

– Co takiego? – zapytała.

– Wczoraj nie wypilem ani kropli, przysięgam. Jestem chory.

– Co pan wygaduje najlepszego?! Chory? Był pan u lekarza? Jezu najświętszy, przecież pan wygląda jak jedną nogą w trumnie. Przecież pan ledwo siedzi!

Dopił gorącą kawę, uśmiechnął się krzywo i podniósł się z fotela.

– Chciałem przeprosić za problem, za to zamieszanie. Dziękuję, pani Alicjo, że pani do mnie zajrzała. Obawiam się, że mieszkanie wyglądało strasznie, ale zazwyczaj jest inaczej. Bardzo dobra ta kawa, dziękuję.

Powstrzymała go ruchem dłoni. Bezsilnie opadł w miękkie, wytarte fotel.

– Zaczekaj – poprosiła, pomijając oficjalną formę. Chwilę obserwowała w milczeniu zmęczone czoło, drżące usta. – Kiedy powiedziałem, że wyglądasz jak trup, nie przesadzałam specjalnie. Znamy się nie od wczoraj, możesz mi się wygadać, przecież widzę, że coś leży na sercu.

Pokręcił przecząco głową, jakby usiłował zbagatelizować sprawę. Nalegała. Majer w końcu zdołał wykrztusić:

– Mam koszmary. Złe, bardzo złe sny.

– Od kilku dni – kontynuował widząc jej zaskoczone spojrzenie. Chciał lekceważąco machnąć

ręką, ale nie wyglądało to wiarygodnie.

– Jakie one są? – Zainteresowała się. Przysunęła fotel nieco bliżej. Na zewnątrz zachodziło już słońce. Oddechy dwojga ludzi tonęły w zmierzchu, niewypowiedziane słowa uciekały wraz z nimi, ciche już na zawsze zapomniane.

– Nie chcę o tym mówić. Boję się ich, boję się samego siebie. Jestem chory. – Walczył ze sobą, dotykał ręką twarzy, ust suchych i spierzchniętych. Szukał dzioba. Alicja zaczynała się bać, czując w powietrzu coś niezwykłego. Od kilku lat utrzymywali przyjaźń – dziwnie sformalizowaną i pełną dystansu, jednocześnie głęboką. Nie rozmawiali ze sobą dużo, nie widywali się nawet zbyt często, mówili zwykle o rzeczach błahych, wzajemnie rozumiejąc się doskonale. Teraz Gustaw był inny. Cierpiący, ale obcy, schowany gdzieś, skulony. Chciała wyciągnąć doń rękę, ale nie wiedziała jak. Bała się, że straci palce. Coś zmieniło się właśnie w ich wzajemnej relacji. Wszystko się zmieniało.

– Wszystko się sypie – westchnęła, czując, że w więcej z niego nie wyciągnie, czując, że sama też potrzebuje słuchacza. – To miasto wyludnia się, gaśnie...

– Umiera.

– Nic się chyba nie uchowa, nie zostanie tu niedługo ani żywej duszy. Biznesy padają jeden za drugim, ludzie wyjeżdżają, więcej jest chuligaństwa, wszystko szare i smutne. Nie wiem już sama, co zostało mi do roboty. Sama jestem, nie mam ani do kogo wyjechać, ani po co tu zostawać. Ale nie ruszę się. Gawrony obsiadły już wszystkie miejsca, jak muchy padlinę, jak larwy. Wszystko zjedzą, nawet nas. Co noc słyszę we śnie jak coś wysysa soki miasta. Coś się tu zaległo, coś, co powstało wbrew życiu. Coś zjada światło, napotykam dziwne znaki na murach. – Podniosła głowę. – Słyszałeś? Tego małego, Henryczka, nie znaleźli dalej. Uczyłam go; łobuz, ale dobry chłopak. I teraz następna, ta mała...

– Co mówisz?! – wykrzyknął woźny, wstając z fotela. – Jaka mała? – Alicja spojrzała na niego z przestachem. Prawda, lubił dzieci, ale jego reakcja była niezwykła.

– Oczywiście, nie byłeś dzisiaj w szkole, mogłeś nie słyszeć. Nie pamiętam nazwiska; mieszkała kilka ulic od ciebie. Patologia, alkohol. – Poczula się nieswojo, gdy wymówiła przy nim to słowo. – Ich córeczka zniknęła. Bili ją chyba, tak przynajmniej ludzie mówią. Zresztą, nawet jeśli nie, to i tak powinien ktoś ją stamtąd zabrać. Nawet w domu dziecka miałyby lepsze życie. Ale zniknęła; nie wiem, może uciekła, bo okno w jej pokoju było otwarte. Tyle, że to nie był parter. Może to i rodzice ją zabili, a teraz starają się ukryć sprawę. Nie wiem, nie chcę ich osądzać. Mam nadzieję, że się znajdzie, że po prostu gdzieś wyszła, jak się upili, że ktoś ją znajdzie i odwiezie w bezpieczne miejsce. Może

schowała się gdzieś na dworcu. – Twarz nauczycielki skurczyła się nagle, popłynęły łzy. Jedna, druga, spływały po policzkach zaczerwienionych od emocji. Majer wyciągnął dłoń, ale cofnął. – Przepraszam, że musisz na to patrzeć. – Sama otarła krople. Majer pokręcił głową, jakby chciał zaprzeczyć, że nie, nie trzeba przeprosin.

Zacisnął pięści, aż kostki mu pobieleły. Oparł na nich umęczone czoło, skulony siedział jeszcze chwilę, po czym podszedł bez słowa do drzwi.

– Do widzenia pani Alicjo. Wszystko na pewno będzie dobrze.

I wyszedł nie patrząc już na nią. Wyszedł, nim szloch przeszedł go na wylot.

* * *

Był już późny wieczór, latarnie błyszczały żółtym, niezdrowym światłem. Niebo całe czarne, drobne krople deszczu ukryły łzy na policzkach mężczyzny. Nie kierował się do mieszkania. Nie planował niczego. Wyszedł z jedyne miejsca, gdzie mógł czuć choć trochę ciepła.

Ulice pełne śmieci, bohomazów. Puste budynki, dziwa, cisza. Tylko jedne kroki rozbrzmiewały w akompaniamencie deszczowego dudnienia i trzepotu skrzydeł. Suche drzewa wylały gałęzie w nieznane ludziom symbole.

Majer z wahaniem zatrzymał się przed kościołem, zastanawiając się, czy nie spłonie, jeśli uczyni jeszcze choć jeden krok w stronę boskiego domu.

Ukląkł na bruku, poza światłem latarni i starał się zmówić krótką modlitwę, ale słowa nie łączyły się w zdania. Ciało łaknęło przemiany, tętniło czymś obcym, obce się stawało. Właściciel walczył, szukając wokoło dłoni istoty wyższej.

Uświadomił sobie, że sny o dziobie to rzeczywistość. Sceny, które pamiętał z nocnych fantasmagorii wstąpiły w cielesną formę.

* * *

Alicja Kowalik z niechęcią odsunęła od siebie stos niesprawdzonych klasówek, westchnęła, opierając głowę na dłoni i mimowolnie wsłuchiwała się w coraz to gęściej padające krople deszczu. Nie mogła oderwać myśli od gościa, który opuścił ją godzinę temu. Wyszedł gwałtownie, niemal niegrzecznie i bez słowa wyjaśnienia.

Gdzieś na ulicy rozległy się kroki. Serce Alicji zadrżało, nie wiedziała sama dlaczego. Ktoś otworzył drzwi na klatkę, wchodził po schodach. Wiele razy dziennie odbywał się ten scenariusz. Ludzie wracają z pracy, odwiedzają się, wychodzą na spacer, zakupy. Tym razem to było coś innego. Kroki zbliżały się z parteru na piętro, dalej na drugie. Cisza... Gdyby to był sąsiad, już dawno usłysza-

łaby trzask klucza w zamku. A tam cisza.

Zerwała się na nogi, odłożyła długopis, tknięta dreszczem przecucia.

Cisza.

Otworzyła drzwi mieszkania. Korytarz był ciemny – trzask włącznika. Zapach wilgoci, trzepot lamp halogenowych. Cisza. Skulone ciało leżało przy drzwiach, całe mokre od deszczu, trzęsące się.

– Gustaw? – zapytała, czując narastający strach. Nie przed mężczyzną, tylko przed tym, co przyniósł w sobie. Ale to był on: – Gustaw? – powtórzyła.

Nie poruszył się nawet. Nadal leżał jak martwy. Alicja chwyciła go pod pachy, próbując podnieść i przenieść do mieszkania.

Bezwładne ciało było ciężkie, wysuwało się z rąk. Głowa wisiała luźno, jak u zepsutej marionetki. Kobieta z trudem zaciągnęła dozorcę na kanapę. Po podłodze ciągnął się mokry ślad. Majer nie cuchnął alkoholem; wyglądał jakby zapadł w letarg. Było w nim coś dzikiego: jakby oczy zbyt szeroko rozstawione. Coś z ptaka.

Nie miała w domu męskich ubrań, więc zabrała jego rzeczy do wysuszenia, zaś by nie zmarzł, przykryła kocem. Wracła co kilka minut, by sprawdzić, czy dalej jest nieprzytomny. „Powinnam zadzwonić po pogotowie” – wyrzucała sobie, ale wiedziała, że nie może. Zresztą, oddychał regularnie, spokojnie. Jakby spał bardzo mocno. Nie miał gorączki, może najwyżej był nieco zbyt chłodny.

– Wiedziałam, że wrócisz – mówiła do śpiącego. – Nie wiem, co się dzieje, nie wiem, dlaczego tu jesteś. I chyba rano nie pójdziesz do pracy. – Pogładziła czule blade czoło. Szybko jednak cofnęła rękę z przestraszeniem, gdy zahaczyła jakby o coś niewidocznego. Coś na miejscu ust.

* * *

Smagam, posłuchu wymagam. Wszelkie diabelstwo plugawe, kaprawe, kulawe, wszelka zmo-ro i potworo: zaklinam cię, zapalam. Nie zgaśniesz, póki nie przyjdiesz. Zaklinam cię, budź się, z otchłani przyjdiesz, zabijesz, usłuchasz.

Smagam, posłuchu wymagam. Cieniem, zmorą przybędziesz. Skrzydła rozłożysz, wzlecisz, zardziobiesz. Ukradniesz, zakraczesz. Zaklinam cię, zapalam...

* * *

Coś było nie tak. Dziób zaczął wyrastać, z potwornym bólem wychodząc z ciała. Sparaliżowane ciało mogło tylko czekać, smakować krążących w eterze słów, gasnących i rozpalających się na nowo. Tworzących coraz to nowe konstelacje.

Gdzieś z oddali docierała odrobina światła. Ale to było za wielką pajęczyną, za gniazdem. To

było bezradne, bezbronne. Z innej strony przybywał ciągle rozkaz, odór i strach. Bliższy, silniejszy. Coś wołało, coś przyciągało mocno, jak sprośna chuć.

* * *

Twarz Majera napięta była wielkim cierpieniem. Jak odlana z wysiłku i bólu. Pani Alicja mówiła do śpiącego jakieś głupstwa, plotła by dodać sobie odwagi, by nie zrobić nic śmiesznego; by nie uciec. Modliła się.

Bała się Gustawa, gdy leżał tak, w ciszy, z tak dziwnym grymasem.

Na moment odeszła do sąsiadującej z salonem kuchni, by zalać herbatę. Usłyszała krótki i przeraźliwy krzyk, jakieś szamotanie. Otworło się okno i jak tylko podbiegła z powrotem, zobaczyła półnagiego Majera wypelzającego w noc.

Nim zdążyła krzyknąć, znikł.

Jak pajak zsunął się po pionowej ścianie, wpijając się dłońmi w parapety i wgłębienia. Jeszcze chwila, odwrócił twarz, gdy krzyknęła. Jeszcze jeden moment – zeskoczył w krzaki. Po chwili pędził ulicą, dziwnie wymachując rozpostartymi rękoma.

Herbata rozlała się na dywanie, krople deszczu wpadały do pokoju przez otwarte okno. Ulewa się wzmagała. Była już późna noc. Pani Alicja, wychodząc, nie zamknęła nawet drzwi.

Gdy wybiegła na ulicę, zza chmur na moment wyjrzał księżyc – niemy i lśniący. Luna była tylko do tych, którzy śnili. Majer pędząc to machał rękami, to dziwacznie galopował na czworaka. Słyszał żałobny zew, pędził więc jeszcze szybciej, wiedząc, że musi zdążyć. Nie odkrzykiwał księżycowi, starał się nie patrzeć w górę.

Alicja Kowalik miała krótki oddech. Za dużo paliła, nie uprawiała żadnego sportu. Nie była też już młoda. W końcu dostrzegła jakiś cień ruszający się w bocznej uliczce, rzuciła się ku niemu. Tajemnicza postać niezgrabnym krokiem poruszała się wspan, ocierając się o ścianę.

Nauczycielka skonstatowała, że to nie ją ściga. To ogromny kapelusz; to wszystko nie tak. Napotkana osoba odwróciła się ku niej. Pod kapeluszem twarz blada i pokryta bliznami po ospie. Zaraz. Patrzyła ślepymi, nieruchomymi oczyma, uśmiechała się w ekstazie, płacząc. Alicja odwróciła się i pobiegła dalej.

* * *

Pędził przed siebie w zupełnym zatraceniu. Nie dostrzegł nawet, jak zderzył się z kapeluszem. Upadli oboje na ziemię – czarna kurwa i on, gawron. Obmacywała ziemię, szukając czegoś. Znalazła. W rękę trzymała martwego kotka, ogłupiała gładziła brudne futerko. Patrzyła nie rozumiejąc, nie

jęknęła nawet z bólu.

Podniósł się, by biec dalej; ale naraz spojrział na tamtą, podał jej rękę. Siedziała dalej otępiała, musiał chwycić ją i siłą postawić na nogi. Wtedy podała mu truchło, chyba w dowód wdzięczności.

– Pomóż mi! – chciał krzyknąć, ale słowa nie formowały się w dźwięki. Podeszła tak blisko, że niemal ich twarze ocierały się o siebie. Przez chwilę zdawało się, że w jej oczach zapalił się blask. Trzymając w dłoniach jego głowę, przycisnęła usta do jego ust. Poczuł, jak głosy w głowie cichną, jak wszystko gaśnie.

* * *

Kamilek Stolarczyk bał się coraz bliższych kroków.

Odkąd w mieszkaniu zgasło światło i rodzice poszli spać, nie mógł przestać nasłuchiwać. Przykryty zbyt ciepłą kołdrą, pocił się i nie mógł zasnąć. Nie mógł włączyć światła, bo to wymagałoby wysunięcia spod kołdry ręki. Prosto w ciemność.

Nie mógł przestać nasłuchiwać, bo kroki były coraz bliżej; ktoś już otworzył drzwi mieszkania.

Zapachniało czymś nieprzyjemnym – brudem i starym potem. Czymś jeszcze: surowym mięsem, moczem i deszczem. Gdzieś zniknął sufit. U góry pozostała jedynie czarna dziura. Smród stawał się intensywny, kroki głośniejsze. Zmęczony oddech, kaszel.

Dobranoc. Rodzicie śpią mocno.

* * *

Zjawą okazała się niewielka, przygarbiona starucha. Wyciągnęła rękę. Kamilek wyszedł posłusznie z łóżka i razem opuścili pokój. Chłopiec bał się, ale był posłuszny. Za drzwiami mieszkania złapała go za ramię. Palce miała zimne, twarde i o guzowatych stawach. Mocz spłynął po nodze Kamila.

Zeszli po schodach.

Przed drzwiami mieszkania na parterze stała świetlista istota. Mówiła coś dialektem księżycy, niezrozumiałym dla zwykłego śmiertelnika. Starucha sycząc, wyjęła z fartucha ostry nóż i przyłożyła go do gardła chłopca.

– Odejdź! – krzyknęła. – Albo zabiję go jak psa! Wynoś się, mówię!

Tamta nie słyszała, ale cofnęła się przerażona. Baba splunęła na podłogę i przesunęła się ku drzwiom swojego mieszkania. Korytarz zaczął falować, jasne światło bijące od kobiety gasło, bo księżyc znów przykrywały chmury. Ktoś zbliżał się ulicą – półnagi szaleniec w dziwnej masce ptaka. Zataczał się, podpierając się o ledwie świecące latarnie.

– Posłuchu wymagam – krzyczała jęcza, wbijając pazury w ramię chłopca.

Potwór był już w budynku, rozpostarł ręce, przechylając w bok głowę, patrząc jednym okiem. Starucha już sięgała po klamkę. Wepchnęła chłopca do mieszkania. Wolną już ręką włożyła do kieszeni, by rzucić w stronę jasnej kobiety i gawrona czarny pył, który zawisł w powietrzu jak chmura. Stara jeszcze raz zażądała posłuchu, tamta upadła na ziemię, krztusząc się. Smród palonego mięsa wypełnił powietrze. Starucha chwyciła świetlistą za włosy, podniosła do góry i przyłożyła nóż do tętnicy szyjnej. Człowiek–gawron, który był już w korytarzu, zatrzymał się, umilkł.

– Ta suka mi niepotrzebna, zaszlachtuję ją, jak podejdziesz.

Chłopiec za drzwiami powoli odzyskiwał zdolność ruchu. Mieszkanie cuchnęło okropnie. Gdzieś z pokoju obok dobiegały szlochy, coś bulgotało w wielkim kotle na piecu węglowym. Było ciemno. Coś zbliżało się do chłopca, ocierało się o jego ramię. Dziecko nie mogło krzyczeć. Z obrzydzeniem odtrąciło stworzenie. Słuchało dobiegających zza drzwi odgłosów. Wstrętne parodia krakania, wstrętne szept staruchy.

Czyjeś jęki, coś upadło na ziemię. Rozległ się donośny skowyt.

Majer już chciał przyskoczyć do staruchy, ale ta była czujna. Docisnęła ostrze do szyi kobiety. Pocięła krew.

– Jeszcze jeden ruch i upierdolę jej głowę.

Świetlista oddychała szybko, bała się drgnąć. Starucha szeptała jej coś w ucho, coś od czego ciało stawało się drętwe, zimne. Coś od czego świat zaczął mienić się czerwonymi światłami.

Przez otwarte drzwi kamienicy można było zobaczyć ulicę, na niej szaloną kobietę, rozsiewającą karmazynowe płomienie na budynkach.

– Smagam, posłuchu wymagam – szeptała stara ni to do zakładniczki, ni do potwora. Słowa wibrowały w powietrzu, coraz to mocniej. – Zapalam cię. Nie usłuchasz, spłoniesz.

– Usłucham – odpowiedzieli razem tamci. Już była bezpieczna. Rozcięła nożem opuszek palca i na czołach tamtych namalowała znaki, jakie można było widzieć na murach. Ptaka i kota.

– Do mnie – rozkazała wiedźma. – Posłuchu wymagam. Będziemy mieli mięso.

Kobieta szła na czworaka, wyginając kręgosłup jak kot, za nią mężczyzna z dziobem i podpierająca się o niego starucha. Wewnątrz, na brudnej podłodze leżał kilkuletni chłopiec, u którego stóp pełzał bezgłowy gawron.

* * *

O godzinie ósmej piętnaście do autobusu odjeżdżającego w kierunku pobliskiej wsi wsiadła zdyszana, zmęczona staruszka, ciągnąc za sobą kilka staromodnych kuferków, które musiała zapewne nieść sama. Nikt nie odprowadził jej na przystanek. Była jedyną pasażerką, na pewno jednak nie była miejscowa, bo sama dokładnie nie wiedziała, gdzie wysiada. Prawdopodobnie ze wsi odjechała dalej w swoją stronę, bo nikt tam o niej nie słyszał, nikt prawie jej nie widział. Kierowca autobusu twierdził, że wiozła coś cuchnącego, pewnie wędliny czy inne domowe przetwory. Nie mówiła nic prawie, tylko dyszała ciężko. Wyglądała źle, jakby była chora, ale uśmiechała się do siebie.

* * *

O godzinie ósmej piętnaście w mieszkaniu na parterze z podłogi podniosło się ciało Alicji Kowalik. Zaraz później zwymiotowało. O godzinie ósmej dwadzieścia w ciało wróciła zmaltretowana dusza. Obok leżało oskubane z piór ptasie truchło, dalej Gustaw Majer, odziany w fartuch staruchy i wysmarowany czerwono – brązową breją. Oddychał z trudem, szamotał się, jak w koszmarze. Spalone i czarne jak smoła usta poruszały się, formując jakieś słowa. Resztką włosów na jego głowie posiwiła zupełnie.

Coś śmierdziało przeraźliwie. Z wielkiego gara stojącego na piecu kaflowym wydobywał się dym trąący palonym mięsem. Cuchnący oddech, surowa skóra, obgryzanie kości. Mielenie mięsa, szatkowanie, mały chłopiec zamknięty w komórce, karmiony zupą z gawronów. Już chyba bez powodu był tu trzymany, bo starucha kazała tylko odrąbać tłuszczutką rączkę.

Chichy szloch dochodził zza drzwi komórki. Kikut babka posmarowała maścią, żeby się mały nie wykrwawił. Zamknęła się z małym, gdy słudzy posłusznie mielili mięso. Gdy suszyli, wędzili, gotowali zupę z ptaków.

Dużo ukropu, sól, czosnek i żywego gawrona – prosto do garnka. Bez skubania i patroszenia. I tak szybko przestawały się szamotać. Chłopiec kilka razy wymiotował, nim wmuszali weń większą ilość polewki. Truchło obgryźli sami.

– Dlaczego nas nie zabiła? – wyszeptała Alicja.

Chwiejnym krokiem doczłapała do drzwi komórki, z wymuszonym uśmiechem zbliżyła się do małego Stolarczyka. Wyciągnęła do niego rękę – ten odsuwał się tak długo, aż natrafił na ścianę. Skulił się, przykrył jedyną ręką.

– Nic ci nie zrobię – zachęcała. Chłopiec jęczał niezrozumiale, rozmawiał z kimś, choć obok stała tylko miotła. – Oszalałeś, biedaku – szepnęła Alicja, a łyżki w końcu zdołały wydobyć się ze zmęczonych oczu. Z ust małego ciekła strużka śliny.

Ktoś załomotał w drzwi wejściowe.

Policja – domyśliła się nauczycielka. – A jeśli kto inny, to i oni zjawią się niedługo. – Ktoś starał się zajrzeć do środka przez zasłonięte okno. Ktoś szarpał klamkę, krzycząc przeraźliwie.

Majer mamrotał niezrozumiale, ale nie otworzył oczu. Alicja podpełzła do niego, uderzyła w twarz raz i drugi. Zrozumiała, że to już koniec, że zaraz ktoś rozbije drzwi. Ktoś wejdzie do środka i zwymiotuje od samego smrodu. Wargi Gustawa czarne, jak u widziadła z uliczki. Usta jak trucizna, spalone od płynącego w nich jadu. Pocałowała je i padła zemdlona. Za ścianą, ktoś zapalał płomień na bezlistnych drzewach i te jaśniały blado tym, którzy nie widzieli już niszczącego świata. Czarna zmora wisiała na gałęzi między gawronami, pojawiała się raz tu, raz tam; naraz była w kilku miejscach miasteczka, choć nikt nie wierzył do końca, że żałobna zjawia naprawdę tam była. Alicja wiedziała teraz to wszystko, bo sama stawiała się częścią tego ducha.

Później tylko szepty robaka żyjącego pod miastem, wysysającego zeń soki, zapuszczającego swoje odnóża i ssawki w mury i piwnice, kradnącego resztki życia z drzew.

Drzwi otwarły się z hukiem.

Później tylko nieme ruchy szerniałych ust.

Polska Cerekiew – Gliwice – Trawniki

Lipiec, Październik – listopad 2009

Paul T. T. Rogue

Paradoks Kata

– Chciałbym, żeby pan wrócił do dnia, kiedy wszystko się zaczęło... – Głos mego psychologa przypomina delikatne fale na niczym nie zmaconej tafli jeziora. Pozwalam się im unieść, porwać, dryfuję w dal, choć wiem, że pod pozornie spokojną powierzchnią wody coś się czai. Coś, o czym wolałbym zapomnieć.

– Kiedy to się zaczęło?

– W listopadzie, niecałe dwa lata temu.

Fale przybierają na sile. Rosną. Wydaje mi się, że na czubach niektórych pienia się już pierwsze bałwany.

– Gdzie?

– W Jordanii, nad Morzem Martwym.

Wokół mnie szaleje sztorm, znosi mnie w kierunku wielkiego wiru, dokładnie tam, gdzie czyha bezimienny potwór. Próbuję się wyrwać, walczę o każdy metr, ale jakaś nadnaturalna siła wciąga mnie w otchłań.

Tutaj istnieję tylko ja i wieczność.

– Jakie ma pan zadanie? – słyszę głos Boga. Nie sposób go zignorować, okłamać, albo mu coś przemilczeć.

– Mamy zneutralizować camp szkoleniowy; kompleks jaskiń, w których ukrywają się terroryści. Nadlatujemy helikopterami. Trzy drużyny po czterech ludzi. Zanim się rozdzielamy powtarzam chłopakom mój plan. Są zawodowcami, znają go na pamięć, więc obywa się bez pytań. Podaję pilotowi koordynaty...

Przed oczyma widzę znowu tamtą noc. Pełne determinacji twarze. Tu i ówdzie trochę strachu, do którego nikt się nie przyznaje, ale przede wszystkim duma, że to właśnie oni walczą na pierwszej linii frontu.

– Tak? – Bóg ponagla mnie łagodnie.

– Lądujemy. Od jaskini dzieli nas pięć kilometrów. Pokonujemy dystans biegiem. Czekać na

przybycie pozostałych dwóch drużyn przeprowadzam rekonesans. Rzeczywistość doskonale pokrywa się ze zdjęciami satelitarnymi, na których oparłem mój plan. Odnajduję nawet stado owiec służące terrorystom za system wczesnego ostrzegania. Zwierzęta leżą w kręgu, jedno przy drugim, chrońąc się przed zimnem. Przeprowadzam moją grupę w bezpiecznej odległości. Owce nawet nas nie zauważają, że nie wspomnę o beczeniu. Osiągnąwszy pozycję wyjściową słyszę w uchu ciche „Bravo gotowa”, a chwilę później „Charlie gotowa”. Odpowiadam szeptem do mikrofonu: „Alfa gotowa”. Wszystko idzie jak po maśle. Jest dokładnie piąta rano.

– Co dalej?

– Atakujemy. Wbiegam do jaskini północnym wejściem. Za mną chłopaki, w pełnym rynsztunku bojowym: karabiny maszynowe, kamizelki kuloodporne i granaty. W środku niezdyscyplinowana hołota. Przez noktowizory widzimy ich jak na dłoni, a oni nawet nie mają broni pod ręką. Nie czekamy, aż znajdą porzucone wśród rupieci Kałasznikowy...

Zwykle nasza rozmowa właśnie tu się urywa. Tym razem także milczę. Nie chcę iść dalej śladem tych wspomnień.

– Co się dzieje potem?

– Nie pamiętam. – Czuję, że w moim żołądku coś wrze, na czoło występuje mi zimny pot.

– Proszę się skoncentrować. Jest pan w jaskini, wokół strzelanina. Co pan robi?

– Każę wstrzymać ogień. – odpowiadam niechętnie. Drzę jak osika.

– Co?

– Terroryci są martwi... BYLI martwi. – wyjaśniam. – Dla pewności sprawdzam paru. Nie mają pulsu.

– Wszyscy?

– Tak... NIE! Chłopak nie. – Czuję, że za chwilę zwymiotuję.

– Jaki chłopak?

– Pojawia się nagle. Nie wiadomo skąd. Biegnie prosto na mnie. Ma pistolet. Jakiś stary rypiec, który nie wypaliłby nawet gdyby był nabity. Ale o tym nie wiem. Jeszcze nie. Widzę tylko szturmującego wroga z bronią w ręku, więc strzelam...

– Trafia go pan?

– W głowę. Ekspłduje jakby była arbuzem. Zresztą nadal tak wygląda, jak mu się przyglądam... potem...

Przez chwilę panuje cisza.

– Trup trzyma pod pachą wazę. – kontynuuję mimo woli.

– Wazę? – Głos doktora Freuda, jak nazywam w myślach mego psychologa, nie jest już głosem Boga, ale nadal nie umiem mu się oprzeć.

– Urnę. Myślałem, że to waza, ale przyjrząwszy się bliżej... Jest zapieczętowana woskiem, od góry. Na powierzchni ma jakieś ryciny. Nie jestem fachowcem, ale zdaje się, że egipskie.

– Hieroglify?

– Właśnie, ale nie tylko. Jest też pismo. Przypomina żydowskie zawijasy. Może się mylę...

– Co się stało z tą urną?

Nie odpowiadam. Okiem wyobraźni widzę się wążącego ją w ręku. Jestem pewien, że nie jest pusta.

– Otworzył pan ją?

– Nie wiem.

– Proszę sobie przypomnieć.

– Nie pamiętam.

– To ważne!

– NIE WIEM! DO JASNEJ CHOLERY! NIE WIEM!

– Już dobrze, panie Ryszardzie. Proszę się uspokoić. Nic panu nie grozi. Jest pan w moim gabinecie, na sofie. Już po wszystkim!

Otwieram oczy. Jest mi nieswojo. Naprawdę nie pamiętam, co się stało z urną, ale jak znam chłopaków, to opchnęli ją gdzieś za tanią wódkę i jeszcze tańsze dziwki.

– Żałuje pan czasami?

– Czego?

– Chłopaka.

– Jego śmierć uratowała wiele istnień po naszej stronie! Gdyby pojawił się tu z bombą w plecaku...

– Ale do tamtego momentu nie zrobił nic złego. Może zasługiwał na drugą szansę?

– Uwierzył propagandzie i postanowił zostać bohaterem. Był skończony.

– Czy jego śmierć pociągnęła za sobą jakieś konsekwencje?

– Przeprowadzono śledztwo, jak zwykle, ale nie można było nam nic zarzucić.

– Więc dlaczego wystąpił pan z GROM'u?

– Nie wystąpiłem. Rozwiązali nas.

Parę minut później antyczny zegar na ścianie sugeruje, że minęła godzina. Podejrzewam, że doktor nim manipuluje, ale nie wspominam o tym, gdy ustaliśmy kolejny termin. Na pożegnanie otrzymuję nowy słoiczek tabletek, na wypadek, gdybym znów miał halucynacje. Jak zwykle Freud próbuje mi wmówić, że robię postępy, a ja, jak zwykle, mu się nie sprzeciwiam. Zbyt wiele zależy od jego opinii.

Faktycznie mam wrażenie, że wypełnia mnie siła. Czuję się, jakbym mógł przenosić góry. Może terapia Freuda jednak skutkuje, zastanawiam się spoglądając na podobiznę w wewnętrznym lusterku mego Nissana. Wybiegam myślami w przód i układam plan dnia: najpierw odwiedzę teściów, zobaczę się z Agusią, a potem zajmę pochówkiem żony. W ten sposób na deser zostanie mi najlepsze: moje pierwsze zlecenie jako prywatny detektyw. Słyszałem, że czas wielkiej forsy minął, ale nadal można dobrze oberwać. Właśnie to mnie kręci. Wyjaśnię śmierć Magdy. Mam już nawet pierwszy trop, i biada jej kochankowi, jeśli naprawdę jest w to zamieszany. Jeśli nie, oszczędzę go. Wizyta w szpitalu ze złamaną szczęką zmotywuje każdego, by nie wsadzać fiuta w cudze żony. Uczucie wszechmocy znika trzy godziny później, gdy załatwiwszy co trzeba obsadzam punkt obserwacyjny naprzeciwko mieszkania podejrzanego.

Obserwuję rudere od dobrych paru godzin. Zapalam właśnie kolejnego papierosa (zostaje tylko jeden, choć przed akcją zaopatrzyłem się w Bigpack'a), kiedy wreszcie pojawia się Max. „Ma-XL-uxus-Fallus”, jak przedstawił się mojej żonie na portalu internetowym jej kochanek, wygląda na typowego frajera. Brudne ubranie wisi na nim jak na wieszaku, a długie niczym u szympansa ramiona kołyszą się przy każdym kroku. Ćmi skręta. Ma zapadniętą klatkę piersiową i opadające niemal do pasa tłuste włosy, przez które prześwituje łysina. Jego cera zdaje się składać wyłącznie z krost i zabliznionych ran po ospie. Mimo to poznaję go. Zdjęcie, które przysłał mojej żonie, było silnie podretuszowane, ale przechodzi tak blisko, że nie mam żadnych wątpliwości. Nie zwraca na mnie uwagi. Po drugiej stronie ulicy znajduje się budowa, i choć nie widać tam żywego ducha, obecność siedzącego w aucie faceta z kubkiem kawy, gazetą i papierosem nie wzbudza w przechodniach najmniejszych podejrzeń. Na wszelki wypadek kupiłem nawet hełm ochronny, leżący teraz na siedzeniu pasażera. Pod nim ukryłem mój as w rękawie: czarnorynkowy Colt Python Hunter kalibru .357 Magnum z ośmiocalową lufą.

Obserwuję Maxa spod oka. Wleczę się w tylko jemu znanym kierunku tempem sparaliżowanego ćpuna. W końcu mija mój wóz. Śledzę go w lusterkach. Jestem rozczarowany. Gdyby był człon-

kiem sił specjalnych, komandosem albo tajnym agentem, stanąłbym do walki z godnym przeciwnikiem. Nawet gdyby był zwykłym, skorumpowanym psem. Ale nie, Fallus jest najbardziej sflaczałym futem, jakiego dotąd widziałem. Dziwię się, jak Magda mogła zadawać się z kimś takim.

– Może zabił ją, bo odrzuciła jego zaloty? – myślę głośno gasząc papierosa w przepelnionej popielniczce. Postanawiam przy następnej okazji zapytać Fallusa. Najpierw jednak muszę przeczesać jego budę. Potrzebuję dowodów.

Wymizerowana sylwetka podejrzanego znika za rogiem. Właśnie chcę wysiadać, gdy ostrzega mnie instynkt. W Afganistanie nauczyłem się słuchać mego wewnętrznego głosu. Dzięki niemu uszedłem z życiem z niejednej pułapki. I faktycznie, minutę później zza zakrętu wyłania się rozklekotany Fiat. Nie potrafię nawet powiedzieć jaki ma kolor, tak często był przemalowywany i tak bardzo zżera go rdza. Za kierownicą siedzi Max. Dymiąc spod podwozia, jakby się palił, gruchot przejeżdża tuż obok – to cud, że w ogóle jeździ.

Czekam aż zniknie na dobre, potem wysiadam. W powietrzu ciągle jeszcze unosi się blado-niebieska mgła i smród spalin. Ignoruję je. Staję przed rudera, której adres Max podał mej żonie jako miejsce ich pierwszej schadzki. W drzwiach nie ma zamka, więc po prostu wchodzę. Jak szybko odkrywam, tylko parter chroniony jest stropem. Potencjalni mieszkańcy pierwszego pietra mają nad sobą cedzące na wszystko z pogardą październikowe niebo. Nie ma tu żywego ducha. Domyślam się, że właściciele przegniłych materacy i pustych butelek po jabolach balują już na zimowych kwaterach. Schodzę na parter i sprawdzam drzwi po drzwiach – przestarzałe zamki nie mają szans przeciwko moim wytrychom. Okazuje się, że w kamienicy brakuje również tylnej ściany, co dyskwalifikuje dwa kolejne mieszkania. Pozostają jeszcze dwa. W obliczu grubej warstwy kurzu pokrywającej ich podłogi, dochodzę do wniosku, że w żadnym nie było nikogo od miesiący. Zdezorientowany wracam na klatkę schodową.

Rozwiązanie zagadki kryje się pod prowadzącymi na resztki pierwszego pietra schodami. Natykam się tam na zamknięte drzwi, za którymi znajdują się ginące w ciemnościach stopnie.

Zapalam latarkę i schodzę do piwnicy. Jest zadziwiająco czysto. Odnajduję przełącznik na ścianie, ale wbrew oczekiwaniom piwnicy nie zalewa światło. Nadal zdany tylko na latarkę ruszam dalej. Wszystko wskazuje na to, że Max rozgościł się w całej piwnicy. Odchodzące od głównego korytarza na lewo i prawo drzwi, za którymi niegdyś mieściły się pomieszczenia dla lokatorów, teraz prowadzą do poszczególnych pokoi. Żaden nie jest zamknięty i właśnie to mnie niepokoi. Zaglądam

do kibla, garderoby, łazienki, kuchni, jadalni, magazynu, biblioteki i w końcu do sypialni. Poruszam się ostrożnie, szukając ukrytych pułapek. Nie znajduję nic podejrzanego, i mój niepokój jeszcze rośnie. Mijam zakręt, gdy wtem przechodzą mnie ciarki. Wiedziony przecuciem zapalam ostatniego papierosa i wypuszczam dym. Znikąd pojawiają się przede mną cienkie, czerwone linie światła. Są trzy: na wysokości szyi, brzucha i kostek. Przypuszczam, że ich przerwanie włączy alarm lub aktywuje pułapkę. Nie mam czasu szukać wyłącznika, który może być tak mały, że Max nosi go ze sobą. Koncentruję się na pułapce. Snop światła z latarki szybko odnajduje źródło zagrożenia: pod sufitem, w miejscu, gdzie powinna znajdować się żarówka, podwieszono płaski metalowy talerz, z którego wystają druty. Domyślam się, że pod miną znajduje się detonator połączony z barierą laserową. Korytarz jest zbyt wysoki, by dosięgnąć miny, a nawet jakbym wrócił się po krzesło, zostaje ona nieosiągalna, po drugiej stronie zapory. Mógłbym spowodować detonację rzucając coś w promienie lasera, odrzucam jednak tę opcję. Po pierwsze w tak wąskim korytarzu nawet ktoś ukryty za rogiem zdrowo oberwałby od fali uderzeniowej, po drugie, gdyby jednak nie, zostaje jeszcze kwestia rykoszetów. Poza tym Max zauważyłby, że tu byłem, a to spłoszyłoby go, zanim zdobędę moje dowody. I co najważniejsze, wybuch mógłby właśnie te dowody zniszczyć.

Postanawiam zaufać moim zdolnościom. Wydmuchuję kolejną chmurę papierosowego dymu w kierunku zapory, po czym prześlizguję się między najniższym promieniem a tym na wysokości brzucha.

Powoli.

Gdy jestem po drugiej stronie, czuję na czole krople potu.

Może Fallus nie jest jednak aż tak złym przeciwnikiem?

Drzwi, do których prowadzi korytarz zabezpiecza solidna kłódka. Należy do najnowszych modeli, a mimo to, już po minucie przegrywa walkę z moimi wytrychami. Czuję rosnące podekscytowanie. Jestem pewien, że w pracowni (tego pomieszczenia brakuje jeszcze na mojej liście) znajdę poszukiwane dowody.

Za drzwiami czeka na mnie mały pokój. W centrum stoi masywne biurko o kształcie litery „U”, w którego zagłębieniu ustawiono skórzany fotel biurowy. Otaczają go trzy monitory. Poza tym wszędzie walają się sterty papierów, wydruki i otwarte książki. Zaglądam do jednej z nich. Streszczenie mówi mi, że zajmuje się ona patologią seryjnych morderców, ze szczególnym uwzględnieniem powstawania dewiacji. Autorem jest mój psycholog, „doktor Freud”. Mimo ciekawości odkładam dzieło na swoje miejsce.

Pod ścianą stoi regał, a w nim drukarka, faks i scanner oraz masa segregatorów pokrywająca całą resztę ściany niczym trójwymiarowa tapeta. Po drugiej stronie pracowni, także w regałach, odkrywam jakieś dziwne przedmioty. Przyświecając sobie podchodzę bliżej. Najpierw dostrzegam, że są to różnej wielkości słoje, dopiero potem dociera do mnie, co zawierają.

Znienacka żołądek podchodzi mi do gardła i piekący strumień żółci toruję sobie drogę w górę. Nie potrafię się powstrzymać, rzygam jak kot, któremu rezerwa każe pić wodę z zatkanego kibla – zawartość słoje jest o wiele gorsza od mieszanki moczu z kałem.

Ocieram twarz rękawem, a potem, mimo woli, lustruję ponownie moje znalezisko. Tym razem dokładniej. Wmawiam sobie, że jestem na lekcji biologii i oglądam zakonserwowane w formalinie okazy, tylko że zamiast żab i jaszczurek tu przechowywane są ludzkie szczątki. Odnajduję odcięte stopy i dłonie, języki, uszy i nosy, wyłupione oczy, narządy wewnętrzne i genitalia (męskie i żeńskie), są nawet całe głowy. Lwią część zbiorów stanowią jednak piersi, najróżniejszej wielkości i kształtu. Niektóre sprawiają wrażenie świeżych.

Każdy słoje opisany jest kodem kreskowym, jak te w sklepie spożywczym, oraz szeregiem cyfr i liter.

Znowu mnie mdli. Teraz już wiem, dlaczego w zwłokach Magdy brakowało niemalże wszystkich narządów wewnętrznych.

Decyduję, że Fallus jednak nie jest zerem, za jakie go miałem. Jest wart o wiele mniej. Postanawiam, nie przekazywać go w ręce władz.

Po co, skoro wyrok właśnie zapadł?

Zdecydowany wykorzystać czas do powrotu Fallusa, uruchamiam komputer – będę musiał przesłuchać psychologa, i nie chcę, by mi wciskał kit.

Dzięki prostemu programowi na pendrive'ie nie mam problemów z obejściem hasła do Windows. Zapalam stojącą na biurku lampkę i zaczynam grzebać w plikach. Na pierwszy ogień idą maile. Każdy wie, że seryjni mordercy działają w pojedynkę, nie oczekuję więc wiele, ale rzeczywistość zadaje kłam moim przecuciom. Niemal od razu natykam się na serię listów o tej samej treści. Odbiorcy, jeśli wierzyć adresom, mieszkają na całym świecie. Oczywiście same końcówki adresów nic nie znaczą, lecz fakt użycia języka angielskiego potwierdza moją teorię. Sama w sobie korespondencja nie stanowi przestępstwa, ale szczegółowe wskazówki, udzielane w tych listach, jak najbardziej. Bo jak inaczej interpretować recepty do budowy bomb, granatów i szczególnie trudnych do ugaszenia

mieszanek samozapalających?

Jak się okazuje, jest to tylko wierzchołek góry lodowej. Max udziela także innych porad. Jakiej substancji użyć do otumanienia ofiary tak, by nie straciła przytomności, ale była całkowicie uległa? Jakiej by straciła przytomność i wszelkie wspomnienia o tym, jak do tego doszło? I czym najlepiej w takim wypadku cucić? Albo: jak długo trzymać głowę ofiary pod wodą, by być pewnym zgonu, i czy istnieje jakaś różnica, jeśli ofiara jest duszona? Fallus na każde z tych pytań zna odpowiedź, czasami kilka. Udziela rad chętnie i za darmo. I właśnie to mnie intryguje. W końcu każdy musi z czegoś żyć, a on nie wygląda ani na pierdzi–stołka, ani na robola. Przyglądam się więc ponownie jego korespondencji, tym razem koncentrując się na źródle dochodów psychopaty.

W niektórych mailach znajduję podziękowania za przesyłki. Studiuję te listy dokładniej. W jednym z nich (do osobnika o pseudonimie „Reaper”) odkrywam link na stronę internetową. Okazuje się, że należy ona do sklepu–online, w którym wtajemniczeni (użyłem podanego Reaper’owi hasła) mogą nabyć wszelkiego rodzaju gadżety i pamiątki. Poza tym urządza się tu regularnie aukcje. Na stronie królują czerń z czerwienią. Tylko napisy są białe; nie powiedziałbym jednak, że niewinne. Menu składa się z trzech kategorii: „Gear”, „Souvenirs” i „Meat”. Pod „Gear” znajduję całą paletę najróżniejszych narzędzi, poczynając od zwykłych sznurów i noży, przez broń palną, aż po rozmaite chemikalia, dostępne zarówno jako tabletki, w formie sprayów, płynów i nawet dozowane w strzykawkach. Dzisiejszą ofertą jest piła łańcuchowa „two–in–one”, zachwalana zarówno jako niezawodne narzędzie pracy, jak i by pozbyć się jej śladów. W komplecie do nabycia oferowane są słoje na konserwację pamiątek, w wielkościach od XS („na palec”) aż po XXXL, do którego mieści się ciało pierwszoklasisty.

Mój żołądek znowu zaczyna się buntować, zmieniam więc kategorię na „Souvenirs”. Cennik rozpoczyna się tu niepozornie, od sznurów i żyłek niedoszłych samobójców, dalej w kolejce są garoty i cienkie syntetyczne linki, którymi duszono ofiary, potem przychodzą noże, siekiery i wszelaka broń biała, a następnie wszelkiego rodzaju pistolety i strzelby. Każdej broni towarzyszy opis, w jaki sposób została użyta, i kto był ofiarą. Niekiedy dołączone jest nawet parę zdjęć „w akcji”. Na końcu listy figurują ubrania ofiar, podziurawione i splamione krwią. Czasami nie tylko krwią. Najwyższą cenę osiąga koszula nocna zgwałconej i zamordowanej ciężarnej kobiety. Jeśli wierzyć opisowi znajduje się na niej cała gama ludzkich wydzielin: krew tak niedoszałej matki jak i noworodka, wody płodowe, sperma, mocz i kał, oraz, co stanowi wyjątek, dzięki któremu koszula osiągnęła rekordową cenę, zmieszane ze sobą „we wiecznej symbiozie” łzy bólu ofiary i radości mordercy.

Muszę przerwać lekturę.

Mija chwila, nim wzburzone trzewia pozwalają mi do niej wrócić. Choć w głębi serca obawiam się konsekwencji, przechodzę do "Meat". Moje obawy po raz kolejny nie tylko się potwierdzają, ale prawda ponownie je przerasta. Oferowane są tu, tak do bezpośredniego zakupu jak i na aukcjach, wszystkie te części ciała, które spoczywają w słojach Fallusa. Siłą woli powstrzymuję się od spojrzenia w tym kierunku. Może jednak powinienem był to zrobić, bo o klik dalej odkrywam, że zarejestrowani klienci mogą tu składać również zamówienia (specyfikującymi kategoriami są: część ciała, płeć, wiek, kolor skóry, narodowość i religia). Teraz już nie mogę się powstrzymać. Zerkam na słoje. Nadruki na nich to kombinacja numeru zamówienia, trzech pierwszych liter pseudonimu zamawiającego oraz daty wysyłki. Nie odkrywszy nigdzie dzisiejszej daty, dochodzę do wniosku, że Max właśnie nadaje aktualną partię.

OSTATNIA, obiecuję sobie w duchu. W myślach rozpoczynam aukcję jego odciętego fiuta. Mógłbym umieścić go tak w „Souvenirs” jak i w „Meat”...

Pół godziny później Maxa ciągle jeszcze nie ma. Z nadzieją, że odkryję tożsamość jego klientów, wracam do lektury. Kolejny list przyciąga moją uwagę. Tym razem to Fallus pyta o radę.

“Szanowny Doktorze,
pewien klient pragnie zabawić się z dziesięciolatką (albo nieco młodszą dziewczynką). My musielibyśmy tylko zorganizować dyskretne lokum, a potem pozbyć się śladów. Chce wiedzieć ile takie ekstra kosztuje. Poza tym wszystko w porządku, interes się rozkręca.
Z poważaniem, Max.”

Wymiotuję po raz kolejny. Okiem wyobraźni widzę Agusię, martwą. Piła łańcuchowa tnije jej nagie ciało na części, które potem lądują w lodówce, gdzie będą czekały na kupca. Wizja jest tak żywa, iż trudno mi uwierzyć, że to halucynacja wywołana makabryczną lekturą. Biorę pastylkę Freuda. Oddycham powoli i regularnie. W końcu dochodzę do siebie.

Wszystko wskazuje na to, że Fallus jest tylko pomagierem – ktoś inny pociąga za sznurki. Szukam w komputerze plików zawierających słowo „doktor”. Czekać na rezultaty żałuję, że nie mam już papierosów. Jeszcze nigdy nie potrzebowałam tak bardzo zapalić.

Lista z wynikami zaje pustką. Nie wiadomo czemu wbijam do wyszukiwarki obramowane gwiazdkami „doc”, wykluczam dokumenty Word’a i ponownie naciskam „start”. Tym razem pojawia się kilka pozycji. Już na drugim miejscu figuruje zdjęcie zatytułowane “Doc i ja

w Tajlandii”. Z tła wnoszę, że faktycznie zrobiono je w Tajlandii, albo w kraju o podobnym kolorystyce.

Na ujęciu widać Maxa trzymającego za rękę nieletnią Azjatkę. Uśmiechnięta głupkowato dziewczynka patrzy wzrokiem śniętej ryby na otyłego mężczyznę stojącego w tle i obejmującego ją po ojcowsku.

Znam twarz grubasa aż za dobrze. Owszem, od tego czasu zapuścił brodę, na zdjęciu jest opalony i nosi okulary słoneczne, ale postura i waga się zgadzają. Nie dopuszczam do siebie nawet myśli o pomyłce, w końcu od roku widuje go regularnie, raz w tygodniu.

Tak długo wpatruję się w zdjęcie, aż uaktywnia się wygaszacz ekranu. Na tle ciemniejszego monitora, w świetle lampki odbija się moja kręcąca z niedowierzaniem głowa. Świat wokół mnie zaczyna wirować.

Z transu wyrывa mnie sygnał komórki. Mam wiadomość. Pełen najgorszych przeczuć czytam ją i krew mrozi mi się w żyłach: “Szanowny Ryszardzie, nie ma powodu siedzieć w magazynie, ale skoro już pan tam jest, proszę rzucić okiem na naszą najnowszą ofertę. Zapewniam pana, nie będzie pan rozczarowany...” Sms–a zamyka adres internetowy.

Wyciągam Colta, potem wychodzę na korytarz. Nic się nie zmieniło. Bynajmniej tym faktem nie uspokojony rozważam moje opcje. Pewne jest, że w jakiś sposób się zdradziłem. Przeczesałem jeszcze raz cały pokój. Tym razem nie cofam się przed niczym. Z premedytacją niszcę słój po słaju. Piwnicę wypełnia odór formaliny i czegoś jeszcze, wołę nie myśleć czego. W końcu znajduję je, cztery mini–kamery pozwalające monitorować każdy zakamarek pomieszczenia. Klnąc rozdeptuję je na podłodze. Sklecam prowizoryczny plan działania. Nie lubię improwizować, ale czasami trzeba grać słabymi kartami.

Parę minut później gnam już w kierunku domu mojego psychologa, a rudere za mną trawi pożar. Wiem, że niszcę właśnie dowody, ale jeśli mi się uda, ani Fallus, ani Freud nie ujrzą sali sądowej od środka. Nie w tym życiu. Wypełnia mnie wściekłość. Zazwyczaj nie jestem takim frajerem, ale doktor pierze mi mózg od prawie roku.

Mimo ulewy i zapadającego zmierzchu prowadzę jedną ręką. Komórką wchodzę na podany w sms–ie adres internetowy. Doktor zapewne monitoruje ruch na stronie i z odrobiną szczęścia pomyśli, że jestem jeszcze w piwnicy. Mam nadzieję wygrać tak trochę czasu. Na ekranie pojawiają się pierwsze elementy. Kolorystycznie nic się nie zmieniło, lecz struktura strony jest o wiele prostsza. Żadnej nawigacji, żadnego menu. Pośrodku displayu widnieje okienko odtwarzacza z charakter-

styczna strzałką „play”. Klikam na nią i od razu tego żałuję.

Na ekranie pojawia się łóżko, a na nim przypiętą kajdankami do jego narożników dziesięcioletka. Nawet nie przyglądając się wiem, że to moja córka. Mój żołądek od razu wszczyna rewolucję. Zwalczam ją siłą woli. Kamerzysta – scena filmowana jest tak, by widz mógł się całkowicie z nim zidentyfikować – trzyma w wolnej ręce sekator.

Drzę z bezsilnej złości, ale i najgorszego strachu, jakiego dotąd zaznałem – o najbliższą mi osobę. Zgrzytam zębami modląc się, by nieznajomy (nie ważne, czy jest nim Freud czy Fallus), oszczędził mą Agusię, a jednocześnie miotam pod jego adresem przekleństwa.

Intruz siada okrakiem na mojej córce. Jest nagi i podniecony. Agusia krzyczy ze strachu. Film nie ma tonu, ale widzę jej rozpaczliwie otwarte usta. Uderzenie w twarz ma ją uciszyć, lecz moja córka nadal wierzga i krzyczy, a ja mam wrażenie, jakbym oglądał jakiś horror. Czuję dystans i właśnie dlatego wszystko wydaje się jeszcze straszniejsze. Sekator rozcina piżamę mojej córki. Powoli niczym w grze wstępnej. Najpierw pojawiają się małe piersi, potem jeszcze nieowłosione łono. Psychopata odrzuca na bok resztki materiału, po czym wodzi ostrzem po skórze Agusi, jakby zastanawiał się, od czego zacząć.

Obraz rozmywa mi się przez łzy.

Wtem intruz wycofuje się. Łudzę się, że oszczędzi Agusię jako zakładniczkę, ale on wraca. Podchodzi do łóżka. Na ekranie pojawiają się dwie głowy, męska i żeńska, jak wnoszę po łysinie na jednej z nich i upiętych w kok włosach na drugiej. Poznają teściów. Nawet przez chwile nie wątpię, że są martwi. Nie dlatego, bo do głów brakuje pasujących ciał – tą tajemnicę kamerzysta ujawnia dopiero po paru chwilach – ale z powodu ich zmasakrowanych twarzy: porozcinanej skóry, odciętych nosów i uszów, pustych oczodołów.

Kimkolwiek jest kamerzysta, musi uważać się za artystę, aranżuje bowiem przedstawienie, w którym obie głowy grają główne role. Akt przypominający spektakl w teatrze kukielkowym kończy pocałunek z udziałem wywalonych języków trupów. Potem zbliżenie, intruz całuje mą córkę, ja jednak widzę tylko żarzący się w jej oczach obłęd.

Obraz ustępuje czarnej planszy z cennikiem: za stopę, za dłoń, za głowę i za piżamę zgwałconej dziesięcioletki. Na koniec wiadomość: “Dla Ryszarda: TWÓJ RUCH!”

Choć spodziewałem się czegoś takiego, czuję się, jakby mnie ktoś właśnie znokautował.

Zawracam z piskiem opon i dodaję gazu.

Wybieram numer teściów. Chcę powiedzieć Freudowi, że zrobię wszystko, jeśli tylko oszczędzi Agu-

się.

Nikt nie odbiera.

Po drodze jeszcze trzy razy próbuję go osiągnąć. Nadaremno. Na czwarty telefon brakuje czasu, tak pędzę. Nikt i nic nie jest w stanie mnie zatrzymać, ani czerwone światła, ani korki, ani nawet żaloszny radiowóz, który rzuca się za mną w pościg. Gubię go wśród zakamarków starówki. Niestety kosztuje mnie to sporo czasu, a Nissan i tak już gna z prędkością światła.

W końcu docieram do domku teściów. Wyjmuję zapasowy klucz, który dostałem w dniu przeprowadzki Agusi, ale okazuje się, że nie będzie potrzebny. Z Coltem w ręku uchylam wyłamane drzwi wejściowe.

Cisza jak makiem zasiał.

Zastanawiam się, czy działać ostrożnie, czy wołać córkę. W pierwszym wypadku istnieje szansa, że zaskoczę Freuda, z drugiej strony chcę wiedzieć, czy moja córka jeszcze żyje.

Dławię w sobie tęsknotę. Poruszając się jak włamywacz w domu pełnym śpiących glin, wkraczam do przedpokoju. Mijam ślady walki i kieruję się ku schodom na pierwsze piętro, do pokoju Agusi. Wypatruję krwi – jak dotąd bezskutecznie. Wspinam się na górę, w połowie drogi jednak zmieniam zdanie, schodzę na parter, a potem jeszcze niżej, do panicroom'u teściów.

Zanim podejmę walkę, muszę dowiedzieć się więcej. Jest tu tylko jeden psychol, czy są oboje? Gdzie się ukrywają? System monitoringu obiecuje odpowiedzi na te pytania, i na to najważniejsze: czy Agusia jeszcze żyje?

Drzwi zamaskowane jako ściana działowa odgradzająca pokój bilardowy od panicroom'u stoją otworem. Jeśli ktoś tam jest, z pewnością wie już o mnie, muszę więc zaryzykować.

W kwadratowym pomieszczeniu nie ma żywego ducha. Wyposażenie przypomina kawalerkę: łóżko, kuchenka gazowa, lodówka z zamrażarką oraz spiżarnia z rocznym zasobem konserw. Jest nawet kibel i prysznic. Na podłodze leżą dwa ciała bez głów. Nie trzeba geniusza, by odgadnąć kim są. Zmasakrowane korpusy zdradzają mi, iż moi teściowie nie mieli lekkiej śmierci. Jedyne co mogę zrobić, to obiecać, że zaserwuję ich oprawcy to samo danie. Z repetą. Wiem co robić, w końcu wyszkolono mnie na eksperta od przesłuchań i nie raz miałem już okazję sprawdzić się w tym fachu. Nie jestem z tego dumny, bo to brudna robota, ale ktoś musi ją robić.

Nagły ruch w kącie oka zwraca moją uwagę. Na jednym z zajmujących całą ścianę ekranów, tym z parkingiem, widać mojego Nissana. W środku coś się porusza.

Zbliżam ujęcie.

Z niedowierzaniem rejestruję, że w wozie jest Freud – jego beczkowatą sylwetkę poznałbym wszędzie. Gramoli się właśnie z tylnego na przednie siedzenie. Spędza moment na miejscu kierowcy, otwiera drzwi i wysiada. Najwyraźniej coś z nim nie tak, trzyma się bowiem za głowę i chwieje jak zalany. W reku ma nóż tapicerski.

Jeśli doktor dopiero teraz się tu pojawił, to kto zabił moich teściów i groził Agusi? Odpowiedź nasuwa się sama. Ale w takim razie w jaki sposób Fallus wysłał do mnie sms-a z komórki Freuda?

Postanawiam go zapytać. Z Coltem gotowym do strzału pędzę schodami do góry. Po drodze wpada mi do głowy, że odgłosy mogą ostrzec Fallusa, ale na ostrożność jest już za późno. Poza tym mając Freuda będę mógł spróbować wymiany zakładników, w końcu doktor jest mentorem Maxa. Wypadam na parking gotowy na wszystko. Oparty o mój wóz doktor dyszy jak parowóz. Wygląda na półprzytomnego. Dopadam go i powalam ciosem w potylicę.

A jeśli Fallus gdzieś wywiózł Agusię?

To Freud wie dokąd i w końcu mi powie. Wszyscy mówią...

– Gdzie moja córka? – pytam rozciągniętego na łóżku Freuda. Doktor jest nagi, a jego kończyny przykute kajdankami do narożników łóżka, w ten sam sposób, jak ręce i nogi Agusi na wideo. Mam nadzieję, że docenia ironię sytuacji. Nie mam co prawda sekatora, ale znam lepsze sposoby, by zmusić do mówienia.

Psycholog milczy. Najwyraźniej jeszcze nie zrealizował, że znalazł się po złej stronie katowskiego topora. Udaje twardziela, ale w rzeczywistości jest cienki jak rozmokła srajtaśma. Mam do niego tysiące pytań, ale w porównaniu do miejsca pobytu mej córki (przeszukałem cały dom), są tak ważne, jak rozmowa o emeryturze z dzieckiem umierającym na raka.

– Dokąd zabrał ją Fallus?

Freud nadal milczy.

Widząc, że rozmowa się nie klei, odszukuję wzrokiem jego oczy, a potem spoglądam na nóż tapicerski, który odebrałem mu na parkingu. Czekam, aż wzrok doktora podąży za moim i wysuwam ostrze z rękojeści.

– Na razie pytam po dobroci...

Freud wydaje z siebie zduszony okrzyk. Jestem rozczarowany – oczekiwałem więcej hardości, tymczasem mój psycholog zupełnie się rozkleił. Zaczyna płakać, cieknie mu się z nosa, skomli o ży-

cie, a przecież dopiero go skułem.

Tak to jest z psychopatami, dopóki są góra, zgrywają twardzieli, ale biada, jeśli kiedyś wylądują pod wozem. A może on tylko udaje? Psycholodzy potrafią mistrzowsko manipulować ludźmi...

– Gdzie Fallus? – pytam jeszcze raz pochylając się nad doktorem.

– Panie Ryszardzie, – zaczyna Freud pochlipując. Po tonie poznaję, jakiej będzie próbował sztuczki. – Jest pan bardzo chory. Ma pan halucynacje. Nic nie wiem o żadnym Fallusie, a tym bardziej o pana córce. Brał pan te tabletki, które panu dałem?

Jest cwany. Nie zdradził się mówiąc „Max” albo „Agnieszka”. Zwraca się do mnie po imieniu, by zbudować więź emocjonalną, stawia pytania starając się zepchnąć mnie do defensywy.

– Nie mam czasu na pieprzenie. Gadaj! I to już, albo...

– Ja naprawdę nie... AAAAAAARRRRGH!

– Ostrzegalem!

Wycieram nóż w spodnie. Cięcie jest gładkie i płytkie. Krwawi tylko lekko. Niczego się nie oduczyłem. Nadal wiem, gdzie i jak ciąć, by sprawiać ból, ale nie uszkodzić klienta.

– Nie ma sensu zaprzeczać, dostałem pana wiadomość.

– Jaką wiadomość? – pyta łamiącym się głosem Freud.

Jednak jest twardy pod maska z łez, ale w końcu i tak pęknie. Problem w tym, że wtedy Agusia może już nie żyć.

– TA! – podtykam mu pod nos moją komórkę. – Byłem na pana stronie internetowej. Widziałem filmik...

– To jakieś nieporozumienie. Nigdy nie wysyłałem...

– Niech pan nie udaje. – przerywam mu coraz bardziej wściekły. Tracę czas, a tymczasem Fallus może właśnie zabawia się z Agusią. – Szukam mojej córki. Pana współnik, a może powinienem powiedzieć: „uczeń”, porwał ją... Chcę wiedzieć, GDZIE–ONA–JEST!

– RATUUUNKU! POMOOOCY!

Gaszę go z liścia, po czym zamykam drzwi panicroom'u.

– Teraz możesz już krzyczeć do woli. Pokój jest dźwiękoszczelny.

Oczy psychiatry wypełniają świeże łzy. Naprawdę jest dobry. Gdyby to ode mnie zależało dostałby Oskara, zamiast tego będę musiał polechtać go mocniej nożem.

– Chce pan wymiany? – przechodzę do sedna. – Życie za życie?

– Nie wiem, gdzie jest pana córka, i nie wiem, kto ją porwał. Nie mam żadnych uczniów, a tym

bardziej Fallusa, który... – urywa w pół zdania, blednie jeszcze bardziej. Jego wzrok wędruje do odsłoniętego krocza (penis skurczył mu się do wielkości mini-serdelka).

Ja również patrzę na jego fiuta. Znacząco.

– Proszę posłuchać, panie Ryszardzie: potrzebuje pan fachowej opieki.

Moje pierwsze cięcie zacząłem nad kolanem i skończyłem przed pachwiną. Miało go nastraszyć i udowodnić, że nie żartuję. Teraz, po rutynowym wstępie, mogę już zacząć poważnie pracować.

– Byłem w magazynie. Widziałem WSZYSTKO! Więc niech pan sobie wyświadczy przysługę i zacznie mówić, inaczej sam pan skończy na aukcji...

– Rysiu... jesteś bardzo chory. NAPRAWDĘ! Psychiczenie chory. Ale mogę ci pomóc. To wszystko przez wojnę i wojsko!

Mam dość jego łgarstw.

– Zmuszano cię do nieludzkich rzeczy. Rozumiem to i... AAAARRRRGH–AAAAAARRRRR-RGHHH!!!

– Naprawdę nie mam czasu na pieprzenie. – tłumaczę mu obserwując jak miejsce, gdzie dotąd znajdował się sutek Freuda, wypełnia się krwią. – Zapewniam pana, doktorze, że nawet jeszcze nie zacząłem. Nie wspominałem o tym, bo to tajemnica państwowa, ale wyszkolono mnie do przesłuchiwania terrorystów. I niech mi pan wierzy, dla ocalenia córki gotów jestem posunąć się dużo dalej! Przykładam nóż do worka mosznowego doktora – nich poczuje promieniujące od metalu zimno.

Ze strachu sika na siebie. Dobrze. Właśnie o to chodzi, nie o ból, lecz o lęk.

Nie zabieram ręki. Naciskam lekko tak, że czuje ukłucie, a potem mówię wolno i wyraźnie patrząc mu prosto w oczy: – Gdzie jest moja córka? Pytam po raz ostatni, potem będzie pan mógł sikać już tylko na siedząco!

– Rysiu... – odpowiada łkając Freud. – Ja, nic nie wiem... Nie wysyłałem żadnego sms-a. Proszę...

– A więc to nie pana numer? – pokazuję mu ponownie wiadomość.

– Mój. Ale nie miałem dostępu do komórki od rana. Od kiedy mnie pan porwał... Nie pamięta pan?

Uwaga, zaczyna tobą manipulować!

– Odurzył mnie pan czymś. Nic więcej nie wiem. Obudziłem się w bagażniku. Dlaczego miałbym tam dobrowolnie wchodzić?

– Chciał się pan dowiedzieć, gdzie mieszka moja córka. – Uważaj, powtarzam w duchu. Jesteś

w defensywie. Tłumaczysz się. – Chciał pan ją porwać, poćwiartować i sprzedać jej ciało na aukcji psycholom, żeby mieli przy czym walić konia!

– To OBRZYDLIWE! Nigdy...

– Tym razem całkowicie się z panem zgadzam, doktorze. Problem w tym, że nie mam czasu na konwersację. Pana uczeń porwał mi córkę! Nie wiem, czy to jakieś zawody, czy co, i nie obchodzi mnie to. Chcę tylko wiedzieć, gdzie ona jest!

– Jeśli mój współnik był tu przede mną, jak sam pan mówi, panie Ryszardzie, dlaczego miałbym się chować w pana bagażniku?

Mnie również gnębi to pytanie. Ale tylko dlatego, że jeszcze nie znam na nie odpowiedzi, nie znaczy to, że Freud jest niewinny. Pamiętam list Fallusa do doktora, zdjęcie z Tajlandii, i wideo, na którym jeden z nich napada na Agusię.

– Moja cierpliwość właśnie się wyczerpała. Zadałem panu pytanie. Tylko jedno. Ale pan zamiast odpowiedzieć, jak zrobiłby każdy niewinny, pan próbuje grać na czas. Nie wiem, co pan zamierza osiągnąć, ale to się nie uda. Nie obchodzi mnie, co jest między panem a Fallusem. Nie obchodzi mnie, czy nagle uczeń zwrócił się przeciwko nauczycielowi, czy też współdziałacie i to wszystko jest częścią jakiejś perwersyjnej gry. Jedyne co mnie interesuje, to miejsce pobytu mojej córki. I nawet jeśli pan go nie zna, może mi pan powiedzieć wszystko, co pan wie o Fallusie. Wykazać się dobrą wolą...

– To nie mogłem być ja. Siedziałem zamknięty w bagażniku. Dopiero jak doszedłem do siebie i znalazłem nóż...

Bez słowa unoszę zmasakrowane trupy teściów tak, by mógł im się dobrze przyjrzeć.

Odwraca wzrok. Obrzydliwy, fekalny odór wypełnia panicroom. Materac, na którym leży doktor, na pewno otrzymałby niezłą cenę na aukcji.

– Chcesz tak skończyć?

Freud ponownie wybucha płaczem.

Chce mnie wziąć na litość. To jedna ze standardowych gier.

– GDZIE JEST MOJA CÓRKA?

– Nie wiem... Boże zlituj się... To jakiś koszmar!

Wzdycham, ale w głębi duszy jestem zadowolony. Ludzie tacy jak Freud (jeśli można nazwać ich ludźmi) nie zasługują na szybką śmierć, a ja mam teraz pretekst, by jednemu z nich pokazać, co to znaczy być ofiarą – taka jest rola kata.

Idę do komórki po narzędzia. Z panicroom'u dobiega szuranie. To pewnie Freud próbuje się uwolnić. Niech próbuje. To element gry: pokazać skazanemu, że jest całkowicie zdany na moją łaskę i niełaskę. Gdy nadzieja uwolnienia pryśnie, będzie bardziej skłonny mówić. Jeśli nie, to mam jeszcze obcęgi, wiertarkę i lutownicę.

Po powrocie nie wdaję się w dalszą dyskusję tylko zamykam za sobą drzwi, a potem wierce i obcinam. Okazuje się naprawdę twardą sztuką, ale w końcu wymięka, pobił rekord najbardziej ztwardziałego Taliba, jakiego kiedykolwiek przesłuchiwałem – tamten przyznał się zanim wypaliłem mu oko lutownicą. Cóż, może sądzi, że jako pirat zrobi furorę na Halloween. Nie mogę powiedzieć, że go żałuję, ale nie chciałbym tak skończyć.

Biorę komórkę i nagrywam zeznania. Lecą adresy i nazwiska (okazuje się, że Freud miał więcej uczniów). Wreszcie podaje mi adres, gdzie Fallus trzyma Agusię.

Moja córka żyje jeszcze. Właśnie to chciałem usłyszeć. Wyjaśnia się też kwestia podróży Freuda w moim bagażniku. Wraz z Fallusem chcieli zrobić mnie w popełnione przez nich morderstwa. Mając psy na ogonie, postanowili podrzucić im kozła ofiarnego. Wszystko było przygotowane. Podrobione dokumenty, z których wynika, że to ja jestem właścicielem rozpadającej się kamienicy, oraz sfalszowane dowody, które wskazują na mnie jako mordercę teściów i żony. Freud jako mój zaufany chciał mieć na wszystko oko, sprawdzić, czy podczas Finału nie zrobię nic nieprzewidzianego. Wychodził z założenia, że uda mu się mnie przekonać, iż to Fallus stoi za wszystkim. Potem wystarczyłaby opinia doktora jako psychologa, i resztę życia spędziłbym w gumowej celi malując się własnym gównem.

Przykładam Freudowi Colta do skroni i wysłuchawszy, jak na kata przystoi, jego ostatnich słów, pozwalam mu odejść.

– Jeden już zapłacił, – podsumowuję patrząc na jego ciągle jeszcze podrygujące ciało z na pół odstrzelonym łbem – czas na Fallusa. A potem przyjrę się liście Freuda...

Po drodze na parking instynkt każe mi zawrócić. Nie wiem, czemu wcześniej na to nie wpadłem. Z powrotem w panicroom'ie cofam taśmy monitoringu do rana tego samego dnia. Mam czuja na kłamstwa, i wiem, że doktor mówił prawdę, ale sprawdzić nie zaszkodzi. Jego ostatnie słowa, a raczej groźba, że słono za wszystko zapłacę, nie dają mi spokoju.

Może ma z Fallusem deal? “Jak nie zadzwonię do szóstej, przerób małą na mielonkę!”

Postanawiam szybko przejrzeć taśmy i ruszać. Kiedy licznik wskazuje ósmą zatrzymuję przewijanie.

Włączam play.

Po kuchni krzątają się teściowie. Wchodzi Agusia. Wygląda jak młoda księżniczka, gdy zasiada do stołu i nakłada sobie jajecznicę. Jej długie blond włosy są świeżo wymyte i rozpięte. Uśmiecha się. Od razu widać na jak piękną kobietę wyrosnie.

Jeśli ją uratuję!

Przewijam do przodu. Przed drzwiami wejściowymi pojawia ciemna sylwetka w płaszczu. Zatrzymuję taśmę.

To nie Freud, za chudy. Nieznajomy jest tyczkowaty jak Fallus, ale bardziej atletyczny. Czyżby inny uczeń doktora?

Uruchamiam taśmę ponownie, w zwolnionym tempie.

Nieznajomy najwyraźniej wie o kamerze nad drzwiami, stoi bowiem cały czas z opuszczoną głową. Dzwoni i ze stoickim spokojem czeka na pojawienie się teścia. Ku memu zdziwieniu teść wpuszcza intruza bez słowa sprzeciwu, jakby się go spodziewał. Wchodząc jako drugi do mieszkania nieznajomy wyciąga spod płaszcza sekator, spogląda w kamerę i mruga porozumiewawczo.

Zatrzymuję taśmę.

Włosy stoją mi dęba. Nie dlatego, że intruz zamierza się właśnie sekatorem na teścia, lecz z powodu twarzy złoczyńcy. Znam ją. Jej dolną, nieogoloną część przecina blizna zaczynająca się u podstawy ucha a kończąca w kąciку ust.

– TO NIEMOŻLIWE!

Jakby na przekór moja ręka samoistnie dotyka brody. Wiedzie palcami wzdłuż szpecącej mą twarz pamiątki po wybuchu bomby w Bagdadzie.

Jak oni to zrobili?

Charakteryzacja? Podmienili taśmy?

Mój Sobowtór ma na sobie to samo ubranie, co ja, od samego rana. Mam wrażenie, że mój świat jest lustrem, w które ktoś właśnie uderzył młotem. Odłamki wirują wokół niczym w szalonym kalejdoskopie.

Biegnę do łazienki. Puszczam zimną wodę i wkładam głowę pod kran.

Pomaga.

Musi istnieć jakieś racjonalne wytłumaczenie... Znajdę Fallusa i go przycisnę!

Podnoszę głowę. Spoglądam swemu lustrzanemu odbiciu w oczy. Głęboko. Nie podoba mi się, co w nich widzę.

„Proszę wziąć tabletki, gdyby znowu miał pan halucynacje”, kołaczą mi w mózgu słowa Freuda.

To musi być to – halucynacje!

Dotąd widywałem tylko szarżującego na mnie chłopaka, co jednak nie znaczy, że mój stan nie mógł się pogorszyć.

Na wszelki wypadek łykam podwójną dawkę tabletek. Czкам, aż zaczną działać. W końcu czuję lekkie zawroty głowy, jak po paru piwach – efekt uboczny.

Znów zerkam w lustro.

– Zdziwiony? – pyta moja własna zakazana facjata.

Wiem, że to durne, ale odpowiadam: – Kim jesteś?

– Byłem tobą, ale teraz to raczej ty jesteś mną.

– Nie ro...

– Zabiłeś doktorka!

– Zaraz – dopiero teraz dociera do mnie sens słów mego sobowtóra. – To wszystko TWOJA sprawka?

– Żona cię zdradziła, a ty jej chciałeś przebaczyć. Zacząć od początku... – Twarz w lustrze jest pełna pogardy. – Gdyby nie ja, byłbyś tylko pożałowania godnym cieciem.

Puszczam obelgę mimo uszu.

– A teściowie?

– Zadawali zbyt dużo pytań.

– Więc Freud nie miał z tym nic wspólnego? – bardziej stwierdzam niż pytam. – A jego sms?

– Sam go napisałeś. To znaczy JA go napisałem, gdy przejąłem kontrolę. Wiesz przecież, że jak sytuacja zaczyna cię przerastać, wołasz o pomoc, a ja pomagam. Wystarczy, że na mnie spojrzysz... Tak też doszło do porwania doktorka.

– A lista z nazwiskami?

– Też byś coś wymyślił, żeby tylko przestało boleć.

– To niewinni ludzie?

– Nie ma ludzi niewinnych, są tylko źle przesłuchani...

– Gdzieś już to słyszałem?

– Nie pamiętam, kto to powiedział, ale to bez znaczenia. Ważne, że miał rację. To niemożliwe, by wszyscy figurujący na liście mieli czyste sumienie. Sprawdzimy ich!

– A Fallus?

– Fallus to halucynacja. Fallus to TY! Przyznaję, że trochę pomogłem: napisałem maile, sfabrykowałem zdjęcie, które znalazłeś. Wszystko przygotowałem. Ty musiałeś się tylko położyć na sofie Freuda.

– Dlaczego właśnie on?

– Jeszcze jedno posiedzenie, maksymalnie dwa i mógłby odkryć prawdę.

Coś zaczyna mi świtać, ale nie potrafię jasno myśleć. Strzelam więc na ślepo: – Co się stało w Jordanii?

– Nie jesteś jednak takim głąbem jak sądziłem...

– Co tam się stało? Chodzi o tych terrorystów? Oni byli już martwi!

– Stanęli ci na drodze. Byli martwi, choć jeszcze o tym nie wiedzieli. A przy okazji, to byli zwykli wieśniacy. Rozwaliliś ich: facetów, kobiety i dzieci... Ale nie martw się, nie byli niewinni.

– Chodzi o urnę?

Mój alter ego uśmiecha się.

– Co w niej było?

– Wystarczy, że wiesz, że wtedy się rozdzieliliśmy. Ja poszedłem moją drogą, a ty...

– Co „ja”?

– Ty tylko przeszkadzałeś. Twoje wyrzuty sumienia, bóle żołądka, wymioty – ŻAŁOSNE!

– Przeszkadzałem ci? W czym?

– W pracy. Jestem katem. Każę złoczyńców.

– Zabiłeś mi teściów i żonę. Oni...

– Byli niewinni?

– Nie zasłużyli na śmierć!

– Może i masz rację, przynajmniej co do teściów, ale nie mogłem pozwolić by zagrozili całej operacji.

– Jakiej znowu operacji?

– Ty naprawdę jesteś pół-mózg. Co, myślisz, robię w tej piwnicy?

– To ty mi powiedz, po co ktoś zabija ludzi, zbiera ich szczątki i sprzedaje na aukcjach w internecie?

– To proste. W ten sposób namierzam psycholi. Odwiedzam ich potem i wymierzam karę.

– Mordujesz ludzi!

– Oczyszczam świat z plugastwa. Ja RATUJĘ ludzi zabijając potwory. Czasami muszę kogoś poświęcić, przyznaję, ale taki jest już ten świat. Jeden ginie, by ocalić setki. I nie mów mi, że jesteś przeciw. Dałeś popalić doktorce, że mucha nie siada. Szczerze mówiąc jestem z ciebie dumny. Przyznaj się, też to czułeś!

– Niby co?

– Powołanie. Czułeś, że robisz coś dobrego... Jakbyś wynosił śmieci.

– Doktor był niewinny.

– Fakt. Ale tego nie wiedziałeś. Byłeś przekonany, że jest więcej niż winny. Poza tym nie umarł na darmo. Teraz możesz odrzucić twe wątpliwości, zapomnieć o gnębiących wyrzutach sumienia. Tak jak ja. Jesteśmy tacy sami!

– Gówno prawda! Jesteś mordercą!

– Ty też!

– Stul pysk! – Zamykam oczy i łapię się za głowę. – To tylko omamy. Rozmawiam z moją podobizną...

W głowie słyszę śmiech mego alter ego.

– Nie pozwolę ci dłużej zabijać! – krzyczę do lustra.

– A jak chcesz mnie powstrzymać? Jestem już bardziej tobą niż ty mną. Dlatego wystawiłem ci doktorca. KONTROLA! O to właśnie chodzi!

– Istniejesz tylko w mojej wyobraźni. Wezmę tabletki i znikniesz!

– Te? – mój sobowtór zerka na odpieczętowany słoiczek z pigułkami Freuda. – To zwykłe prochy nasenne. Podmieniłem je.

Nagle uderza mnie olśniewająca myśl. Mam nadzieję, że przewaga zaskoczenia jest po mojej stronie – dopiero co wpadłem na ten pomysł.

– Nie będziesz już nikogo katował. – Podnoszę słoiczek do ust. – Zdechniesz razem ze mną.

Łykam całą zawartość i popijam kranową. Chcę coś na tą okazję powiedzieć, coś wyniosłego, ale mój alter ego nie wygląda na przejętego. Uśmiecha się krzywo, pogardliwie – coś ukrywa. Instynktownie czuję, że wpadłem w pułapkę. Nogi nagle uginają się pode mną. Podtrzymując się kaloryfera siadam na zdobitym podłogę dywaniku. Moja pompa łomocze żałobnego marsza zagłuszając swym biciem resztę świata. Próbuję włożyć sobie palec do gardła, ale ciało odmawia mi posłuszeństwa. Mam wrażenie, że jest z drewna; czuję tylko mrowienie, jakbym zbyt długo przebywał

w niewygodnej pozycji.

– Co z tobą? Nie umiesz nawet zejść po męsku, cioto?

– Co się dzieje?

– Załatwiłeś doktorka, z własnej woli. Stałeś się mną. Teraz to moje ciało!

– Nawaliłem! – Na myśl przychodzi mi moja córka. Nic innego nie ma teraz znaczenia. – Co zrobiłeś z Agusią?

– Przecież wiesz...

Znienacka nawiedza mnie ta sama wizja, co w magazynie: pila łańcuchowa ćwiartuje martwe ciało Agusi. Jej nogi, ręce i głowa trafiają do zamrażalnika. Chcę krzyczeć, wrzeszczeć, wyć z bólu, ale głos zamiera mi w gardle.

– Boże, przecież ona miała dopiero dziesięć lat! – udaje mi się wydusić.

– Nie było łatwo, w końcu była też moją córką, ale czasami dobro ogółu jest ważniejsze. Pamiętasz biblię? Abraham też musiał poświęcić swoje dziecko.

– To była próba wiary. Bóg go powstrzymał.

– NIE! Abrahamowi zabrakło siły, jak i tobie. Ale nie mi! Mam w sobie i siłę i wiarę! Agusia umarła, bym mógł chronić jej rówieśniczki.

– Nic z tego! Łyknąłem śmiertelną dawkę tabletek. Zdechniesz tu razem ze mną!

– Pamiętasz urnę z jaskini? Pamiętasz, co w niej znaleźliśmy?

Nagle wszystko staje się jasne.

Mój sobowtór znowu się śmieje, a ja widzę Agusię na łóżku. Leży pode mną. Gwałcę i duszę ją, równocześnie. Tak jak opisano na pergaminie z urny, gdy mija szok, odnajduję w jej wzroku złość. Chce się wyrwać, wierzga. Nie ma szans. Złość zastępuje strach, a potem panika. Ciągle jeszcze walczy, szamota się, ale już tylko z rozpacz. A ja ją dymam!

Otrząsam się z wizji. Podnoszę z trudem. Me ciało znów obejmuje paraliż, ale jestem tak wściekły, że udaje mi się ustać na nogach. Chwieję się jak w delirium.

– To było wspaniałe! – cmoka z zachwytem mój sobowtór. – Pamiętasz, jak jej wzrok zmętniał, kiedy uwierzyła w nieuniknione? Zdawało się, że coś w niej pękło. Poddawała się. To był mój znak. Zacisnąłem mocniej ręce i wytrysnąłem. Niesamowite uczucie, jej cipka zdawała się doić mojego fiuta. Jeszcze nigdy się tak nie spuściłem!

Moja zaśliniona podobizna pławi się w rozkoszy. Gaszę ją uderzeniem pięści. Kawalki lustra rozpryskują się po całej łazience.

– Na pożegnanie ojcowski pocałunek, i jej dusza była moja!

Poprawiam kolejną prostą.

Potem jeszcze raz.

I jeszcze.

Po łazience lata szkło i plastik, jakby szalało tu właśnie tornado, a ja był jego centrum.

Gdy dochodzę do siebie, w mej głowie nadal dudni śmiech. Widzę mą uśmiechniętą szyderczo facjatę w kawałku lustra u mych stóp. Z satysfakcją miażdżę je obcasem.

Zamiast jednej twarzy teraz wyśmiewa mnie ich cały tuzin.

– Serce pęka, co?

Moje ręce krwawią. Tkwią w nich odłamki lustra, plastiku i jakieś niezidentyfikowane części. Nie zastanawiając się wiele łapię za leżącą w zlewie podłużną szczerbę i wbijam ją sobie głęboko w krtań. Przeszywa mnie niesamowity ból, ale tnę dalej.

– Co robisz, kurwa?

Teraz ja się śmieję. Mój prowizoryczny nóż zgrzyta o kość. Fontanna krwi spryskuje ścianę naprzeciwko. Opadam z sił. Walę się jak kłoda na podłogę. W ustach czuję smak krwi, ale jej lwia część wsiąka właśnie w dywanik. Świat wokoło powoli gaśnie.

Widzę jeszcze, jak moje ręce sięgają po komórkę, wybierają 112. Chcę je powstrzymać, ale ciało znów mnie nie słucha.

Mój alter ego rozmawia przez telefon. Ledwo go słyszę. Łazienka maleje. Jej obraz to dwa identyczne punkty otoczone ciemnością. Oddalam się od nich spadając w dół. Coraz niżej. Są moimi jedynymi odnośnikami, jedynym źródłem światła w otaczającym mnie mroku. W końcu znikają pochłonięte przez wszechobecną czerń, a ja zapadam się w głąb samego siebie. Panuje absolutna cisza. Nie ma tu nic: ani grama powietrza, ani iskry światła – gorzej niż w najodleglejszym kosmosie. Jestem tu ciałem obcym, roztopiam się jak lód w rozgrzanym piecu i w końcu staję nierozłączną częścią wieczności.

Nie mogę powiedzieć, że wszystko poszło zgodnie z planem, ale w końcu się udało. Pozbyć się sumienia, to miało być takie proste. Wystarczyło namówić je do samobójstwa. Wszystko dopracowane do ostatniego szczegółu. Dusza mej ofiarowanej w Halloween córki miała dać mi zapasowe życie... Niestety tylko jedno.

Kto by pomyślał, że ten dupek się potnie? Dwie śmierci to jedna za dużo!

Wypompowawszy mi żołądek lekarze powiedzieli, że to cud, iż przeżyłem. Ja tam w cuda nie wierzę, choć muszę przyznać, że przydałby się kolejny. Być najpilniej strzeżonym pacjentem w klinice psychiatrycznej o najwyższym stopniu bezpieczeństwa, nie rokuje wielkich szans na ucieczkę. Siedzę więc nafaszerowany jakimś gównem, po którym nawet nie wiem, jak się nazywam, i myślę. Muszę się stąd wydostać, zdobyć ich zaufanie, a gdy wyluzują...

Wyglądam przez kraty na świat, który tak bardzo potrzebuje mej pomocy. Może trochę potrwać, zanim do niego wrócę, ale póki co jestem dobrej myśli. W telewizji mówią, że zanoszą się na wojnę, a po przeciwnej stronie ulicy jest biuro poborowe. Widzę tam codziennie coraz dłuższe kolejki. Połowa narybku nie wróci do domów, ale wśród reszty na pewno znajdzie się obiecujący talent, gotowy pójść w moje ślady...

Paweł Pietrzak

TO, CO WYLAZŁO SPOD STOŁU

To, co wylazło spod stołu, było ohydne. Nie ohydą karalucha albo śmierzącego psa. Było ohydne w sposób, w jaki może być tylko coś, co wymyka się działaniu najbardziej wybujałej wyobraźni. Oślizgłe, gnijące, pulsujące trupa odrazą. Gdyby było niewielkie, właśnie rozmiarów karalucha, pewnie podskoczyłbym, czując na karku gęsią skórę, a potem tylko zatłukłbym to coś pierwszym lepszym ciężkim przedmiotem i wytarł plamę. To jednak miało rozmiar, powiedzmy, owczarka niemieckiego, ale było szersze, potężniejsze, z wielkim łbem i masywnymi łapskami. Ociekało czymś, cuchnęło i lało w kierunku Karoliny, która oczywiście stwora nie widziała. Jadła obiad, jak zwykle powoli i uważnie, bez siorbania, mlaskania, postukiwania widelcem o talerz. Przygotowała posiłek i pewnie gdyby nie niedziela, wymówiłaby się od jedzenia twierdząc, że naszykowała się, i samym zapachem i smakowaniem się najadła. Ale mieliśmy niedzielę, więc wszystko musiało być „ę” „ą”; nawet się przebraliśmy.

Dzień był ładny, naprawdę słoneczny i humory mieliśmy dobre. A potem to wylazło spod stołu i ruszyło na Karolinę. A ja patrzyłem, jak opasłe cielsko jest coraz bliżej mojej nieświadomej niczego żony. Nasz stół jest szeroki, mebel idealny na spotkania rodzinne, z miejscem dla sześciu osób, a w porywach i ośmiu. To coś wylazło spod niego mniej więcej na środku blatu, więc miało może czterdzieści centymetrów do nóg Karoliny. Jak szybko monstrum z koszmaru jest w stanie przeczłapać taką odległość? Kurewsko szybko, wicie?

Karolina dostrzegła moją minę. Zamarła w niemal teatralnym geście, z widelcem w dłoni i otwarła usta czy to, by przełknąć, czy też coś powiedzieć. Cokolwiek miała zamiar uczynić, nie zdążyła, bo monstrum przewróciło ją razem z krzesłem i zakryło, postępując i charcząc. Ja natomiast w tanim geście zasłoniłem oczy dłońmi, by nie widzieć, jak plugastwo pożera moją małżonkę. Słyszałem pohukiwanie i odgłos darcia. Ani krzyku, ani...

– Patryk!

Głos Karoliny nie był pełen cierpienia, ani nie bulgotał z powodu krwi zalewającej krtań, ani nie był błagalny w stylu pań, co to ryczą w horrorach. Kryło się w nim pytanie, nic więcej.

Odsłoniłem oczy. Karolina siedziała naprzeciwko mnie z widelcem zawieszonym w tym samym miejscu, co przed pojawieniem się potwora. Potwora, który oczywiście zniknął.

– Patryk – powtórzyła Karolina z mniejszym naciskiem, z troską chyba nawet. – Znowu?

Tak, znowu.

Dokładnie nie pamiętam, kiedy po raz pierwszy ujrzałem to coś. Wiem tylko, że wracałem wtedy do domu z pracy. Czekałem na autobus, stojąc na przystanku znajdującym się na trasie między W. a Cz. Było ciepło, auta pędziły w tę i wewtę, a za przystanek robił słup z symbolem autobusu i nalepionym pomazanym rozkładem jazdy. Za tym zaś słupem znajdował się rów, biegnący wzdłuż drogi, cholera wie po co, chyba do zbierania wody albo trupów tych, którzy umarli z nudów czekając na połączenie. Po drugiej stronie też ciągnął się taki rów (widziałem go codziennie, jadąc rano do pracy, sadzawka do tego rowu przylepiona była swoistym punktem orientacyjnym, bo nieustannie obawiałem się, że przegapię przystanek i zapamiętałem sobie, że wysiadam na kolejnym za ową sadzawką).

I właśnie z tego rowu, niby z koszmarnego snu, zaczął gramolić się stwór. Początkowo myślałem, że to tylko porusza się jakiś wielki ułamany konar – wzrok mam dobry, ale krótki, jak to mówią – lecz szybko spostrzegłem rozwartą paszczę i wszystkie przewidzenia trafił szlag. Stałem nieruchomo, z muzyką grającą w uszach. W słuchawkach grał Rammstein, a dokładnie płyta „Mutter”, jedna miliardów płyt wtłoczonych do mojego iPod'a. Ta muzyka w zatrważający sposób, przywodzący na myśl amerykańskie horrory, pasowała do sytuacji.

„Eins, hier kommt die Sonne

Zwei...”

A z rowu wyłaziło monstrum, na pewno cuchnące i ociekające czymś plugawym. Samochody przejeżdżały, żaden nie zwolnił, nikt nie zauważył stwora. Łapsko za łapskiem cielsko wydobywało się. Nadal stałem i gapiłem się, może nawet z otwartą gębą.

Łeb stwora kołysał się w lewo i w prawo, łapy przebierały niemal w miejscu. Jezu, on chyba nawet cały nie wylazł z rowu, bo reszta ciała niknęła pod powierzchnią. W lewo i w prawo, jakby monstrum sprawdzało, czy droga jest czysta, czy może ruszyć do ataku. Byłem cholernie pewny, że rozmiar stwora wcale nie przeszkodzi mu w wyskoczeniu na drogę i pogalopowaniu w moim kie-

runku, by mnie rozszarpać i zeżreć. On był jak ten hipopotam, co cały dzień tapla się w błocku, niby egzotyczna świnia; ale wystarczy tylko moment, by zmienił się w maszynę do miażdżenia i zabijania. I czekał tylko na właściwą chwilę, by zaatakować.

Nagle stwór zniknął, a wraz z nim droga, samochody, rów po drugiej stronie. Poczulem podmuch gorącego powietrza pachnącego benzyną, a zaraz potem do moich uszu dobiegł, przebijający się poprzez muzykę, szum rozsuwanych drzwi. Mój autobus przesłonił świat. Nadjechał mój wybawca, który zabierze mnie stąd na białym rumaku. Ten rumak był raczej szarawy od brudu, a wybawca miał wąsy i twarz alfonsa ze starych pornosów. Ale był!

Nie wrzasnąłem, by zabrał mnie stąd w diabły. Nie rzuciłem się na schodki prowadzące do środka autobusu, wyjąc ze zgrozy. Nic z tych rzeczy. Wsiadłem powoli, wyjmując z uszu słuchawki. Kierowca patrzył na mnie i wydawał się zniecierpliwiony, bo pewnie spieszył się na pierogi albo inne kluchy z mięchem serwowane w przypekaesowym barku. Sięgnąłem do kieszeni po drobne, których garść zawsze mam przy sobie (a przynajmniej wtedy, gdy jadę do roboty) i, mój Boże, moja dłoń drżała. Musiałem mocno zacisnąć ją w pięść, by nie pogubić pieniędzy. Druga dłoń, ta licząca, również nie zachowywała się zbyt spokojnie. Kierowca gapił się we wkurwiający sposób, ja natomiast kątem oka spojrzałem przez boczną szybę po jego lewej stronie i nie ujrzałem stwora. Druga strona drogi była pusta. Ale to nic nie znaczyło, bo stwór mógł przecież już przedostać się przed maskę autobusu, a potem do drzwi i już mnie by miał. Drżąca dłoń, trzymająca drobne, jakby przez sekundę uwolniła się spod panowania umysłu i położyła monety na wyciągniętej dłoni kierowcy. Ten zaś, bez słowa, bo po co słowa na kolejnego świrusa napotkanego na trasie, wyliczył właściwą kwotę i oddał mi resztę wraz z biletem. Ta sama dłoń, nadal ciesząca się niepodległością, odebrała to wszystko. Autobus ruszył, ja natomiast obróciłem się i zobaczyłem zamknięte drzwi, które kierowca zamknął zaraz po moim wejściu do autobusu. Nie było wejścia dla monstrum.

Gdy w sekundę później opadłem na siedzenie, wyjrzałem przez okno, ale rów (a w zasadzie tylko jego okamgnienie) był zupełnie pusty, ja natomiast z największą przyjemnością opierdoliłem się za oglądanie zbyt dużej ilości horrorów, które to, w połączeniu z moimi częstymi migrenami (albo raczej po prostu napierdalaniem łba) mogły już wyrzucić jakiś tam wpływ na moją świadomość.

W każdym bądź razie, uznałem stwora za wymysł, omam, zwidy. Pomysłowe, wyraziste, ale nadal zwidy. Sprawa zamknięta, nie?

Niby tak. Ale, jak to w takich przypadkach (jakich, kurwa przypadkach, co ja opowiadam?) nie poszło tak, jak tego chciałem.

Bo stwór pojawiał się nadal. Do chwili, gdy wygramolił się spod stołu, zdarzyło się to na pewno 20 razy, może nawet 25. I zawsze nasze spotkanie (jeśli można tak nazwać moment, gdy niespodziewanie w zasięgu wzroku pojawia się prawdziwie piekielna ohyda i gapi się, i gapi) wyglądało podobnie. Byłem w pracy, na ulicy, w sklepie, gdziekolwiek, a tu nagle zza drzwi, zza półki, spomiędzy samochodów wylania się poczwara. Czasem czułem jej smród, czasem tylko widziałem jej mozolne ruchy, niby na starym filmie o potworach. Nigdy jej nie dotknąłem, ani ona mnie. Gdy laźła ku mnie, niespodzianie znikła pomiędzy jednym mrugnięciem oczu a drugim. Kiedy zaś uparte mruganie nie pomagało, musiałem zamykać oczy, odwracać głowę. Dopiero wtedy rozplywała się w powietrzu.

Mogłem się przyzwyczaić, prawda? Ot, wybryk umysłu. Niektórzy cierpią na padaczkę, inni na omamy słuchowe, inni jeszcze wszędzie widzą Elvisa. Ja widziałem poczware. Big deal!, jakby powiedział Benny Hill.

Tak, big! Bo bałem się. Stwór był przerażający. Nigdy nie widziałem, kiedy się pojawi, nic tego nie zwiastowało. Zrobiłem się nerwowy, łapałem się na tym, że nieustannie zerkam wokół, by może wychwycić, w którym kącie on się pokaże. Drzwi otwierałem powoli, zaglądałem za nie, nim szerzej je otwarłem. Bałem się o siebie, o Karolinę, bo przecież kiedyś mogłem nie zdążyć odegnać stwora, a wtedy on zbliżyłby się na tyle blisko, by mnie dotknąć. Oszalałbym! Tego jednego byłem w stu procentach pewien. Zwariowałbym ze strachu.

Powiedziałem Karolinie. Tak, odważyłem się jej powiedzieć.

Któregoś dnia byliśmy na spacerze. Ładna niedziela, słoneczna, ludzi w parku jeszcze niewiele, bo i pora kościelno–obiadowa. Karolina wyczuwała moje nieustanne zdenerwowanie (podobno nawet we śnie rzucałem głową, jakbym się rozglądał, a do tej pory spałem jak niemowlę – na brzuch i lulanko do rana! Tak mówiła Karolina.)

Karolina pytała o te moje nerwy, dopytywała się, chciała wiedzieć, co się działo. A ja nie umiałem jej powiedzieć. Karolina to racjonalistka, w jej świecie nie ma miejsca na fantazje. Idziemy zawsze od punktu A do punktu B, a po drodze nie ma żadnego skrętu prowadzącego do punktu X. Podświadomie byłem pewien, że ona niczego nie zrozumie, że naruszę jej świat – nasz świat, który sobie zaplanowała. Zwodziłem, tłumacząc, że ciężki okres w pracy, że coś tam coś tam. Lecz wtedy, w parku, gdy siedzieliśmy na ławce, wystawiając twarze ku słońcu, by nas cudnie pieściło, usłyszałem bliski oddech monstrum. Ono wylazło zza ławki stojącej po naszej lewej stronie, w odległości może pięciu metrów.

– Co jest? – pamiętam nagły lęk w głosie Karoliny.

– Nie – wyszeptalem i zacisnalem powieki tak mocno, ze zatańczyły pod nimi wielobarwne ciapki. On był tak blisko, śmierdział i mógł przyczłapać jeszcze bliżej.

– Co jest?!

Otworzyłem oczy. Stwór gapił się, nie poruszał, jakby czekał na mój ruch. Nigdy wcześniej tak się nie bałem. Strach wcisnął się we mnie i rozepchnął się łapskami.

Popatrzyłem na Karolinę. W jej oczach dostrzegłem lęk o mnie, o nas. Moje słowa mogły wszystko zniszczyć albo nas uratować (tak mi się w tamtej sekundzie całkowitego znieruchomienia wydawało).

– Widzę potwora – powiedziałem i zabrzmiało to całkowicie niedorzecznie. Nawet dla mnie, choć to monstrum faktycznie wpatrywało się we mnie, czekając. Nie pozwoliłem na to, by Karolina jakkolwiek zareagowała, nie pozwoliłem na to, bym zamilkł i zamknął to wszystko w sobie. Mówiłem dalej.

Powiedziałem, że jest tu, że patrzy i oczekuje, z pewnością wygłodniały, bo nic nie żarł od wieków, zastrzając sobie apetyt na mnie albo na Karolinę. Powiedziałem, że boję się otwierać drzwi, by go za nimi nie ujrzeć, że boję się całymi dniami, gdyż nie wiem, czy z kolejnym naszym spotkaniem stwór nie przestanie być tylko obserwatorem, a stanie się pieprzonym konsumentem... Mówiłem i mówiłem, a w pewnym momencie stwór zniknął, rozpląnął się jak zwykle – nagle i bez ostrzeżenia. Przez chwilę miałem nadzieję, że wypłoszyły go moje słowa, że wypowiedziana prawda o nim rozwiązała jego wyobrażenie, bo ono istniało tylko w mojej podświadomości. Miałem nadzieję, że racjonalna część mego umysłu przeanalizowała moje słowa i uznała niedorzeczność istnienia monstrum.

Nie. Ono nadal istniało. Dostrzegłem je wylazące zza jednego z drzew znajdujących się przed nami. Z jednej strony pnia wylonił się łeb, masywna szyja i przednie łapska, a z drugiej tułów i tylne łapy. No i ogon.

Powiedziałem, że jest przed nami, a Karolina popatrzyła tam. Czy myślała, że dostrzeże źródło mego lęku, czy też po prostu zrobiła to dla świętego spokoju? To w zasadzie nieistotne. Liczy się to, że Karolina, po całej mojej nienormalnej opowieści, złapała mnie bardzo mocno za dłonie i popatrzyła na mnie. Zawsze uważałem, że jej oczy potrafią przebić mnie niczym arcyostre włócznie. W tamtym momencie również mnie przewierały, szukając odpowiedzi na pytanie czy mi odbija. Chyba znalazła wtedy prawdę, bo powiedziała (pamiętam to, jakby działo się to wczoraj):

– Musisz dać sobie z nim radę. Skądś się musiał wziąć, nie?

W jakim stopniu uwierzyła w istnienie potwora – nie wiem. Kazała mi iść do lekarza (zgo-

dziłem się, bo może po prostu miałem coś nie tak z głową, ha, ha!), prosiła, bym za wszelką cenę próbował zwalczyć wyobrażenie potwora. Tak się wyraziła – „wyobrażenie”. Nigdy mnie nie dotknął – dzięki kurwa Bogu – czułem jego zapach, widziałem, słyszałem, lecz nie dotykałem. Wszystkie zmysły można oszukać, ale chyba najtrudniej dotyk. Wyobrażenie... Postanowiłem złapać się tego słowa, przypisać je do potwora, uczynić je jego synonimem. To tylko wyobrażenie, tylko ono.

Zniknął, gdy rozmawiałem z Karoliną i dał mi spokój na kilka dni. Jakby moja podświadomość naładowała się na tyle, że wyrzucić jego ohydny byt precz. Mogłem się bronić – zamykać oczy, mrugać, odwracać spojrzenie od paskudztwa.

Jednakże, jak to chyba często bywa w sytuacjach, gdy nagle wszystko zaczyna nabierać sensu, odnajdujemy proste rozwiązania problemu, czy cokolwiek innego, wydarzyło się coś, co wszystko popieprzyło.

Było to już po tym, jak monstrum wylazło spod stołu. Karolina nie krzyczała, nie wkurzała się, tylko spokojnie poprosiła, bym spróbował odegnać to coś:

– Zamknij oczy. Zrób to. Wtedy zupełnie się rozwieje, wiem o tym.

Ja natomiast, jak grzeczny synek, ponownie zacisnąłem powieki, już nie dla odegnania paskudy, bo to sprawiło już pierwsze zamknięcie oczu, lecz dla pozbycia się koszmarnego powidoku, jaki zostawiła po sobie poczwara.

Dam sobie radę – nauczyłem się powtarzać. Dam sobie radę.

Starałem się w to wierzyć, bardzo mocno. Byłem na tyle poukładany, że mogłem zwalczyć moje potworności. Facet inteligentny, wykształcony, pracujący, o twardej głowie i dupie.

I pewnie faktycznie jakimś tam pierwiastkiem mojego umysłu zdołałbym wygnać wyobrażenie monstrum (na każdego Supermana znajdzie się jakiś krypton, nie?), ale Karolina powiedziała, że zrobiła sobie test i wyszedł dodatni. No, ten właśnie test... Miałem być ojcem, a to zamiast dodatkowo mnie wzmocnić, wyczerpało mnie.

Zacząłem podejrzewać, że stwór, który zaległ się w mojej łepetynie, czekał na nasze dziecko. Jakiś piekielny szpieg poinformował go, że może będę miał potomka, a stwór tylko zatarł łapska.

Mnie nie dotykał, Karolina go nie widziała, lecz nasze dziecko mógł capnąć – tak właśnie czułem. Nie powiedziałem o tym Karolinie. Obiecałem sobie, że sam sobie dam radę. Dam radę.

Pojawiał się. Wyłaniał się zza różnych rzeczy: samochodów, domów, drzwi, ludzi. Tak samo ohydny i cuchnący zgnilizną, gapiący się na mnie z tępo–zmyślnym wyrazem paszczy. Jakby wszystko rozumiał i bawił się ze mną, ale jednocześnie był za głupi, by cokolwiek zrobić. Może czekał.

Jakkolwiek źle to zabrzmiało, obecność stwora niemal mi spowszedniała. Czasem nawet nie zamykałem oczu, tylko spuszczałem wzrok na jakieś dokumenty lub wgapiałem się w monitor, myśląc sobie: „Pierdol się!” lub też równie elokwentnie: „Mam cię w dupie, kutasie!”. Znikał, lecz odnosiłem wrażenie, że nie sprawiały tego moje lękliwe zabiegi tylko jego zwykła niechęć i zmęczenie. Nudziłem go? Był zniecierpliwiony, bo wciąż czekał? Nie wiem.

Karolina pytała o niego. Pytała, czy pójdę do lekarza. Powtarzałem: „Dam sobie radę.”

A on łaził za mną. Czasem sapał, czasem kwiczał, raz nawet coś żarł, mlaskając paskudnie.

Wiem, że wielokrotnie pytałem go, czego chce. Po co się pojawia, dlaczego mnie dręczy (w chwilach podświadomego przyzwolenia na cały ten zgiełk, zastanawiałem się, czy obecność tego monstrum nie jest czymś naturalnym, czy miliony innych ludzi też widuje takie coś, a nikt o tym nie wie, ponieważ..., ponieważ..., to niczyj interes, jakie potwory mnie przesładują, nie?). On jednak milczał albo ewentualnie warczał coś, niby bezmyślnie.

Brzuch mojej żony rósł. Zaczęliśmy przygotowywać pokój dziecięcy (jeszcze bez naznaczenia go płcią, bez malowania ścian, czy kupowania lalek lub Bobów Budowniczych), rozmawialiśmy o tym, co będzie. Karolina coraz rzadziej pytała, jak sobie radzę. Może myśl o dziecku sprawiła, że pomysły męża stały się niczym więcej niż tylko bełkotliwymi mrzonkami. A może po prostu przemilczeć znaczy zapomnieć.

Czas mijał. Potwór nie przestawał ukazywać swej mordy. Nadal dawałem sobie radę (ha, a to dobre!), choć czasem szlag mnie jasny trafiał. Ot, tak – miałem ochotę uciec, gdziekolwiek, by jak rewolwerowiec w samo południe zmierzyć się z samym sobą. Kurwa mać... poetą to ja nie jestem.

Dzień porodu, godzina porodu, sekunda porodu w końcu nadeszły. Wszystko odbyło się inaczej, niż w filmach – żadnego pędu przez miasto, żadnej bandy lekarzy, żadnych ton fajek wypalonych w poczekalni. Nie. Karolina poczuła, że TO JUŻ, a na trzy dni przed tym faktycznym „już” zabrałem ją do szpitala, zbadano ją, na USG po raz setny ujrzeliśmy nasze dziecko. To był chłopak; szpital posiadał na tyle sprawną maszynę, że jej ekranik pokazywał wszystko w miarę wyraźnie. Muszę przyznać, że choć starałem się zachować spokój, widok poruszających się rączek i nóżek sprawił, że w gardle poczułem ucisk. Mój syn. Niedługo się pojawi.

Musiałem dać sobie radę, sami rozumiecie. Po co komu pierdolnięty ojciec?

W szpitalu stwór dał mi spokój. Brzmi to idiotycznie, wiem. Ale naprawdę nigdzie go nie widziałem. Zerkalem, rozglądałem się – nic! Miałem nadzieję, że moje obawy odnośnie tego, że monstrum na pewno zapragnie mojego synka, okażą się niepotrzebne. Może narodziny nowego „ja” mo-

gły jednak urwać cały ten groteskowy film?

Czułem mimo wszystko lęk. Silny, może i silniejszy od tego, który towarzyszył mi od początku mojego związku ze stworem. Był to lęk nie o mnie (Dam sobie radę, prawda?), lecz o synka. Bo on przecież też mógł widzieć stwora. Od pierwszej sekundy swego życia mógł go widzieć.

Nadzieja. Nadzieja istniała, trzymałem się jej oburącz. Nadzieja istniała, gdy zaczął się poród. Ten już faktycznie przypominał obrazek z kina: żona trzymała mnie za rękę, bo ja odważnie zdecydowałem się na obecność przy tym wszystkim, a położna i pielęgniarka uwijały się pomiędzy rozłożonymi nogami Karoliny. Dużo krwi, ale to normalka (położna tłumaczyła to nam, gdy Karolina miała pierwsze skurcze, gdy jeszcze kontaktowała coś więcej niż tylko ból), dużo krzyku, zapachu środków chemicznych, diabli wiedzą jakich i ja, powtarzający jedyne zdanie, które w tym momencie umiałem wykrztusić, jak zacięta pozytywka, jak wokalista, który zapomniał tekstu:

– Dasz sobie radę. Dasz sobie radę.

Nie wiem, czy to krzyczałem, czy też mówiłem spokojnie. Może i krzyczałem, bo Karolina z pewnością miażdżyła moją dłoń.

I nagle stało się. Dziecko się narodziło. Usłyszeliśmy głośne „plak!”, jakby odkorkowano butelkę. Bez krzyku dziecka, ale z krzykiem Karoliny – krzykiem ulgi i radości z wykonania zadania.

Pielęgniarka godzinę narodzin (15:24, dokładnie tak), a położna rzuciła głosem starej rutyniary:

– Ładny chłopak.

Odcięła pępowinę i wtedy go ujrzeliśmy. Naszego syna.

Świat zawirował, a potem zacisnął się na mojej głowie. Chyba wrzasnąłem, nie wiem. Zobaczyłem potwora, zupełnie małego, utaplanego we krwi i jakiejś błonie, gapiącego się na mnie okropnymi ślepiami, z mordą pełną kłów. Z ogonem, łapskami, prawdziwymi, zrodzonymi z mojej żony.

– Nasz piękny synek – powiedziała Karolina słabym głosem, zaledwie echem.

A położna trzymała to ohydztwo, jakby... jakby było dzieckiem.

(To w mojej głowie, nie? Dam sobie radę, nie? USG kłamało, było filtrem, który wszystko zacierał, a może Boże drogi stwór wpłynął na maszynę, bym tylko czegoś kretyńskiego zawczasu nie zrobił...)

– To nasz synek – znów głos Karoliny, dobiegający z innego wymiaru.

Potwór gapił się na mnie i wydawało mi się, że w jego oczach dostrzegam błysk, mówiący:

„I co teraz, stary?” Kłapnął paszczą, zazgrzytały zęby.

Położna powiedziała:

– W sumie nie powinnam, ale jeśli pan chce, może pan potrzymać syna.

Potrzymać.

– Tak – to Karolina.

Położna wyciągnęła paskudztwo przed siebie.

Potrzymać. Stałem nieruchomo, zupełnie skołowany, chyba całe stulecia, a następnie wyciągnąłem przed siebie ręce, myśląc, że tym razem na pewno poczuję to monstrum, dotknę go. I może nawet capnie mnie w rękę.

KONIEC

Dariusz Kick

BAR U KARLIKA

Dzielnica cudów, tak nazywali to miejsce okoliczni mieszkańcy. Stare, nadgryzione zębem czasu kamienice, porozrzucane na niecałym kilometrze kwadratowym, stanowiły swego rodzaju samotną wyspę. Jednak od reszty miasta nie odgradzało ich morze czy nawet rzeka. To, co skutecznie izolowało ten kawałek ziemi od reszty, należy nazywać po imieniu. Był to strach. Narastał od dziesiątek lat. Nie tylko budynki były tam zaniedbane i w dużym stopniu opuszczone. Mieszkańcy również wtapiali się w tło niemal idealnie. Dla młodszych było to zwyczajne miejsce zamieszkane przez degeneratów, które należy omijać szerokim łukiem. Dla starszych – o wiele więcej. W domowym zaciszu szeptali swoim wnukom, że to przeklęte miejsce. Że załęgło się tam zło i niejeden człowiek stamtąd nie wrócił. Opowiadali przedziwne historie o tym, że dawno temu górnicy fedrowali tak głęboko, że dokopali się do samego piekła. Tak czy siak, nikt obcy nie zapuszczał się tam bez wyraźnej potrzeby. A nawet jeśli, to wyłącznie w dzień i w towarzystwie osób trzecich. Wszelki postęp i rozwój omijał to miejsce, włącznie z autobusami i tramwajami. I choć mogłoby się wydawać, że życie tu jest przytłaczające i wyjątkowo trudne, zamieszkujący ją ludzie zdawali się być zadowoleni z istniejącego stanu rzeczy. Nikt nie słyszał nigdy, żeby ktoś stamtąd uciekał z walizkami. Zresztą, ludzie z zewnątrz w ogóle starali się nie pamiętać o tym miejscu. Ważne było tylko, żeby ich dzieci wiedzione niezdrową ciekawością nie zapuszczały się zbyt blisko. Obecnie samo miasto zdawało się wręcz fizycznie odsuwać od tego miejsca. Okolica oddzielająca jednych od drugich zdawała się niepostrzeżenie powiększać z roku na rok. Dawny park zamienił się w dziko porośnięty las. Coraz więcej ugorów i zwałów śmieci stanowiło barykadę trudną do przejścia. Była tylko jedna droga ze śladowymi ilościami asfaltu. Wyjątkowo rzadko uczęszczana. Im bliżej zakazanej dzielnicy, tym więcej zapadlisk i szkód górniczych. Jakby to miejsce swego czasu miało się zapaść pod ziemię do ostatniej kamienicy. Był jeszcze nieczynny szyb. Porośniętymi dzikim zielskiem. Większość jego zabudowań zwała się na ziemię. Ale sam szyb nadal stał, jak niemy świadek lepszych czasów, kiedy to potężne dwa koła na

jego szczycie kręciły się dniem i nocą.

Stary mercedes, popularna niegdyś becza, z trudem pokonywał wyboistą drogę. Powoli i ostrożnie, żeby nie zakończyć swojej podróży na pierwszej lepszej wyrwie w jezdni, samochód lawirował jak na torze przeszkód. W środku siedziało dwóch mężczyzn o ascetycznych, wyrażających napięcie twarzach. Obydwaj mniej więcej w tym samym wieku, około czterdziestu lat. Minęli już zwały śmieci i złomu zalegające w coraz wyższych hałdach. Kiedy drzewa wokół zaczynały gęstnieć, zrobiło się nieco ciemniej, choć do zmroku brakowało jeszcze około godziny. Nie dziwiło ich to zjawisko. Doskonale wiedzieli, gdzie jadą i czego się podejmują. Kilkanaście minut wyboistej jazdy wystarczyło, żeby reflektory samochodu wyłowiły pierwsze zabudowania, stare gołębniki z niegdyś czerwonej, a obecnie niemal czarnej cegły.

Mężczyźni spojrzeli po sobie wymownie, ale nie padło żadne słowo. Obydwaj wiedzieli, że są już blisko celu. Kiedy wjechali pomiędzy pierwsze zabudowania, droga zmieniła się z asfaltowej w brukowaną. Kocie łby, choć położone dużo wcześniej niż asfaltowa droga, były w znacznie lepszym stanie. Mimo to prędkość, z jaką jechali, nie przekraczała czterdziestu na godzinę. Samochód powoli toczył się przed siebie. Ze starego systemu kanalizacyjnego wypływały gęste opary gorącego powietrza, przesłaniając kierowcy widoczność nawet na kilka sekund. Mężczyźni zauważyli, że ich oddechy zamieniają się w obłoczki pary. Ogrzewanie w zdezelowanym samochodzie nie działało najlepiej, a listopadowe wieczory nie należały już do najcieplejszych. Kierowca przyłożył dłoń w miejsce wylotu ogrzewania. Spojrzał tylko na swojego pasażera. Tamten przymknął oczy ze zrozumieniem. Ogrzewanie padło. Chłód wieczoru wdzierał się do mercedesa, wypędzając resztki ciepła. Nie skomentowali tego głośno. Nie chcieli się rozpraszać. Po drodze mijali zaparkowane samochody. Wyglądało na to, że stoją na swoich miejscach od wielu lat. Od dawna już nie produkowano takich pojazdów. To miejsce pełne było pamiątek po minionym systemie. Pojazdy przeżarte rdzą, zdewastowane, z przebitymi oponami lub cegłówkami zamiast kół i potłuczonymi szybami, wrosły w okoliczny krajobraz. Trudno było sobie wyobrazić, że w okolicy znajduje się jakikolwiek na chodzie.

Niebo pociemniało jeszcze bardziej. Zrobiło się chłodniej. Mercedes znalazł się w otoczeniu kamienic z czerwono malowanymi obramowaniami okien. Niektóre okna zabite były deskami. Z rzadka widać było światła przebijające się z zabrudzonych szyb. Jeszcze rzadziej można było zauważyć ludzkie cienie przemykające w oknach. Na zewnątrz dotychczas minęli zaledwie dwie postaci, skulone i opatulone w jakieś zużyte ciuchy, mknące chodnikiem przed siebie, żeby zniknąć w jednej z wielu ciemnych bram; nawet na nich nie patrząc. Kiedy samochód dojechał do skrzyżowania ulic,

zawahali się chwilę. Wreszcie podjęli decyzję i skręcili w lewo. Minęli jakiegoś staruszkę ciągnącego skrzypiący pordzewiały wózek wypełniony złomem. Staruszek spojrział na nich spode łba, po czym splunął w ich stronę i ruszył przed siebie. Jego płwociny porwał wiatr. Mężczyźni w mercedesie tylko spojrzeli po sobie, nawet nie zwolnili. Zatrzymali się dopiero, kiedy zauważyli jakiś dziwny ruch w bramie. Brama prowadziła na podwórko otoczone budynkami, z których dawno już odpadła większość tynku. Było tam ciemniej niż na ulicy, ale kiedy podjechali bliżej i zatrzymali samochód, mogli się lepiej przyjrzeć. Brudna, młoda dziewczyna stała w lekkim rozkroku z lubieżnie wypiętym tyłkiem. Za nią stał starszy mężczyzna, równie brudny i nędznie ubrany, co jego towarzysza. Poruszali się nerwowo. Mężczyzna szarpał ją za biodra wchodząc w nią agresywnie i nerwowo. Zadarta spódnica falowała na wietrze, odsłaniając jej nogi, na których naciągnięte były dziurawe, poprzedziane pończochy. Dziewczyna spojrziała na nich. Zaśmiała się, i choć obserwujący ją z samochodu nie mogli dostrzec takich szczegółów, odsłoniła w uśmiechu czarne, zaniedbane zęby. Policzką przywierała do brudnej, umazanej ściany, a śmiejąc się wysunęła język i przeciągnęła nim po brudnym tynku. Jej kochanek, nie odwracając się w ich stronę, wysunął tylko kierunku rękę i wyprostował środkowy palec. Mercedes ruszył powoli. Mężczyźni wymienili spojrzenia. Ogarnął ich wstręt. Cała okolica napawała ich wstrętem. Ludzie tutaj mieszkający również budzili odrazę. Mężczyźni nie mogli o tym myśleć. Nie mogli ich zniechęcić, zdawali sobie z tego sprawę. To nie ich wina, powtarzali bezgłośnie. Są we władaniu zła. Obaj wiedzieli, że pogarda okazana drugiemu człowiekowi może skazić ich serca. A wtedy zadanie nie zostanie wykonane. Zdawali sobie sprawę, że czasami miłość do bliźniego niemal przekraczała ludzkie możliwości.

Mercedes toczył się nadal spokojnym tempem, omijając powywracane kubły. Porozrzucane śmieci popychane wiatrem rozniosły się po całej okolicy. Mężczyźni czuli, że zbliżają się do celu. Czuli coraz większy, mocniejszy mrok. Zło, które emanowało z coraz większą siłą, rozlewając się na całą okolicę. Zło, które już w poprzednim pokoleniu przeniknęło serca i umysły mieszkających tu ludzi. Zło przekazywane z pokolenia na pokolenie, które aż strach pomyśleć, jakie spustoszenie poczyniło w ich duszach. W ich człowieczeństwie. Z tych rozważań wyrwały mężczyzn jakieś krzyki. Zatrzymali się przy niewielkim placu zabaw, odległym zaledwie o kilka metrów od ulicy. Zobaczyli grupkę wyrostków. Trudno było określić ich wiek. Wszyscy mieli na sobie bluzy z kapturami, które czyniły ich twarze niemal niewidocznymi. Grupka zakapturzonych postaci kłębiła się, wrzeszcząc i dopingując dwóch innych walczących ze sobą na noże. Walczący ściskali w dłoniach swoje sprężynowce i raz jeden próbował wyprowadzić cios, raz drugi. Cięli powietrze i ciskali przekleństwa. Odskakowali od

siebie jak poparzeni, chcąc uniknąć cięcia. I wtedy jeden z walczących zauważył mężczyzn. Zagapił się na nich przez ułamek sekundy. Tyle wystarczyło jego przeciwnikowi, aby wbić swój sprężynowiec aż po rękojeść w szyję drugiego chłopca. Ten momentalnie zalał się krwią. Nie ustał na nogach kilku sekund, runął na ziemię. Wokół zapadła cisza. Zakapturzone postaci zbliżyły się do leżącego na ziemi, szarpanego konwulsjami chłopaka. Po chwili zauważyli mercedesa. Podnieśli z trawnika kije, łańcuchy, butelki. Niektórzy trzymali w dłoniach kamienie. Wpatrywali się w postaci zamknięte w samochodzie z nieskrywaną nienawiścią. Ruszyli w ich stronę. Mężczyźni w samochodzie mogli się przyjrzeć ich twarzom. A były one zdeformowane, zniekształcone. Skażone grzechem, pomyślał mężczyzna siedzący na miejscu dla pasażera. Wyczuwał jednak, że to nadal są ludzie, żadne demony. Choć ta granica zacierała się coraz bardziej. Zrozumiał, że dotarli tutaj w samą porę. Napastnicy ruszyli w stronę samochodu. Dało się słyszeć wulgarne bluzgi. Coś poszybowało w powietrzu. Chwilę potem butelka roztrzaskała się na samochodzie z hukiem. Posypało się szkło. Zaraz po tym poleciała następna butelka i następna. Mercedes nadal stał w miejscu, a uderzenia następowały jedno po drugim. Szkło rozpryskiwało się dookoła. Trwało to sekundy. Gwałtowny atak z niesamowitą furią i nienawiścią nie powinien był ich zaskoczyć. Mimo to zaskoczył. Zakapturzone postaci rzuciły się co sił w nogach w ich stronę. Kierowca zdążył wrzucić jedynekę. Kiedy mercedes ruszył z miejsca z piskiem opon, jeden z chłopców był na tyle blisko, żeby uderzyć kijem w szybę tuż obok twarzy pasażera. Niemal jednocześnie, kiedy samochód wyrwał do przodu, szyba rozleciała się na kawałeczki, raniąc twarz pasażera, który zawył z bólu. Krew z poszarpanej rany bryzgnęła na przednią szybę, mocno ograniczając widoczność kierowcy. Szybko zostawili za sobą zakapturzone postaci. Za samochodem posypały się kamienie i butelki. Kierowca robił, co mógł, żeby oddalić się od napastników. Samochód, co rusz najeżdżał na krawężnik to z lewej to z prawej strony jezdni. Wreszcie prowadzący mężczyzna stracił panowanie nad kierownicą. Po kolejnym ostrym zakręcie wpadł na znak drogowy. Na ich szczęście był on na tyle przeżarty rdzą, że łatwo poddał się, opadając z hukiem na maskę i wybijając przednią szybę. Zdążyli zasłonić głowy. Mercedes zakrzuszył się i zgasł. Nastąpiła cisza. Pasażer przyciskał dłonie do twarzy, a z pomiędzy jego palców wypływała brunatna krew. Kierowca zdał sobie sprawę, że rany musiały być głębokie. Wysiadł pospiesznie; chłód, jaki go przywitał, niemal zapierał dech w piersiach. Obiegł samochód, oglądając się za siebie i próbując nasłuchiwać czy napastnicy wciąż ich ścigają. Na szczęście nie usłyszał niczego niepokojącego. Wyprowadził towarzysza na zewnątrz.

– Przyłóż to – powiedział do rannego, wciskając w jego dłonie dużą białą chustkę.

Ruszyli przed siebie, chcieli oddalić się od samochodu jak najprędzej. Ranny mężczyzna przyciskał do twarzy chustkę, która po chwili zrobiła się czerwona. Jednak dzięki adrenalinie nie odczuwał już takiego bólu. Wbiegli pomiędzy kamienice. Niebo pociemniało już na dobre. Akurat to było im na rękę. Pod osłoną nocy łatwiej pozostać niezauważonym. Biegli truchtem przed siebie, kiedy nagle zatrzymali się obaj. Poczuli to wyraźnie.

– To musi być gdzieś tutaj – wycedził przez zęby ranny mężczyzna.

Rozejrzeli się dookoła próbując zlokalizować to miejsce. Miejsce, które aż wibrowało od nagromadzonego w nim zła. Miejsce często przez nie odwiedzane. Osobowe zło. Potężne nagromadzenie negatywnej energii, skondensowane do tego stopnia, że mężczyźni po kilku sekundach nie mieli już wątpliwości. Niemal jednocześnie spojrzeli w tym samym kierunku. Obok jednej z kamienic stał nieduży parterowy budynek. Przy wejściu wisiał przekrzywiony szyld z wypłowiałym napisem na rdzawym kawałku blachy. Bar u Karlika. Spojrzeli po sobie. Powoli i ostrożnie zbliżyli się do budynku. Obeszli go dookoła, wciskając się w bardzo wąską zaledwie pół metrową alejkę oddzielającą bar od kamienicy. Przyczajeni przy oknie zerknęli do środka. Wewnątrz było aż siwo od dymu z tanich papierosów. Całe zwały kłębiły się niczym świąteczna dekoracja zawieszona pod sufitem. Wnętrze było obskurne, stare i wypełnione kilkunastoma mężczyznami. Sami starzy. Każdy dobrze po pięćdziesiątce. Siedzieli i popijali z brudnych kufli coś mętnego i żółtawego. Można by zaryzykować i stwierdzić, iż było to piwo. Kakofonia dźwięków nie pozwalała na wyłonienie pojedynczego słowa. Było bardzo gwarno. Przekrzykiwali się wzajemnie. Po kilku chwilach, kiedy ziąb dawał się już we znaki obserwującym bar mężczyznom, do baru weszli chłopcy w kapturach. Ci sami, którzy zaatakowali ich niemal przed chwilą. W ciszy wnieśli ciało jednego z nich. Ciało chłopaka wylądowało na stole obok bufetu. Barman, potężny mężczyzna z dużym wąsem, skinął na nich ledwo widocznie głową, a ci posłusznie opuścili bar. Obydwaj mężczyźni zamarli w bezruchu. Dopiero, kiedy usłyszeli oddalające się w przeciwnym kierunku kroki, odetchnęli z ulgą. Najwidoczniej wrócili skąd przyszli.

Tymczasem barman złapał ciało chłopca, jakby to była szmaciana, nic nieważąca kukła, i kierując się w stronę zaplecza zniknął z pola widzenia obserwujących go mężczyzn. Podeszli do kolejnego okna, jeszcze głębiej w alejkę. Mieli tego pecha, że trafili na właściwe okno. Barman rzucił ciało na duży, masywny, drewniany stół. Rozebrał do naga, po czy sięgnął po sporych rozmiarów tasak rzeźniczy. Chwilę się zastanowił i wymienił go na ogromny nóż. Wbił się w ciało chłopca bez większych problemów. Rozplątał je od podbrzusza niemal do mostka. Mężczyźni zastygli z przerażenia i obrzydzenia. Masywnie zbudowany mężczyzna patroszył chłopaka jak świnie. Powrzucał jakieś zakrwawione

ochłapy do garnka. Przepłukał i postawił na ogniu. Zabrał się do dalszej pracy. Zanurzał ręce w cieple denata głęboko, aż po łokcie. Wyjmowane organy lądowały albo w kolejnych garnkach, albo w koszu na śmieci. Kiedy barman zabrał się z tasakiem za członki nieboszczyka, mężczyźni pochyłili głowy. Dość już widzieli. Pomieszczenie, w którym patroszono ciało chłopaka, wyglądało jak rzeźnia po uboju. Wszędzie było mnóstwo krwi. Aż dziw brał, że barman nie poślizgnął się na mokrej, skąpanej we krwi podłodze.

Minęło jakieś trzydzieści minut, kiedy przemarznięci niemal do szpiku kości mężczyźni, skuleni pod oknem, otuleni nocą, czekali na właściwy moment. Z oddali dało się słyszeć wycie psów. Nagle wycie przerodziło się we wściekle ujadanie. Mężczyźni przesunęli się ostrożnie pod wcześniejsze okno. Wyczuwali, że nadchodzi właściwy moment. Zło zbliżało się. Jeszcze tego nie widzieli, ale wyczuwali. Miarowy stukot o bruk. Ktoś zbliżał się do baru. Tymczasem wszędzie tam, gdzie kierował się demon, ściemniało się jeszcze bardziej. Ten dziwny stukot zatrzymał się przy wejściu do baru u karlika. Drzwi bez niczyjej pomocy otworzyły się, wpuszczając nie tylko gościa, ale i chłodny wiatr. Nagle zatrasnęły się z hukiem za przybyszem. Mężczyźni mogli się teraz przyjrzeć lepiej. Pośrodku lokalu stanął wysoki starzec. Mierzył grubo ponad dwa metry. Miał długą, siwą brodę sięgającą niemal pasa. Ubrany był w coś jakby palto, może mundur. Trudno było to stwierdzić, ponieważ ubranie było przegniłe, jedynie diamentowe guziki błyszcząły dumnie w słabym świetle. Jego twarz była niezwykła. Miał malutkie oczy, czerwone, żarzące się purpurą i nieproporcjonalnie małe w porównaniu do twarzy. W rękę trzymał potężny kilof. Cały mienił się złotem. Rozejrzał się po zebranych. Nikt nawet nie drgnął. Zapanowała cisza. Obserwowali go, a kiedy tylko kierował w czyjąś stronę swoje malutkie czerwone oczy, natychmiast spuszczano wzrok. Podeszedł do przygotowanego specjalnie dla niego stolika i usiadł. Niecodzienny kilof oparł o ścianę.

– Głodnym – wycharczał, a jego głos był tak głęboki i potężny, że dosłyszeli go nawet stojący na zewnątrz mężczyźni.

Niemal natychmiast do stolika podeszedł barman, który postawił przed gościem kociołek parującej zupy i położył drewnianą chochlę. Przerażony i zgięty wpół wycofał się pod ladę. Demon złapał chochlę i zaczął jeść. Siorbał głośno, a zupa spływała mu po długiej brodzie. Nagle wyjął coś z ust. Mruknął tak doniośle, że niemal zadzwoniły szklanki na sąsiednich stolikach. W swojej starczej, ale potężnej dłoni, trzymał palec. Włożył go do ust, wyssał na ile mógł, po czym rzucił nim w barmana, mrużąc swoje czerwone, malutkie oczy. Barman zbladł jak ściana, kiedy zorientował się, co zrobił. W zupie nie miało prawa być żadnych palców. Ale przybysz dokończył kociołek, oblizując wąskie

wargi. Tymczasem mężczyźni stojący pod oknem spojrzeli po sobie. Wiedzieli, że nadeszła chwila, na którą czekali. Wyprostowali się, przez napływ adrenaliny nie czując potwornego odrętwienia w nogach. Podeszli do drzwi. Przeżegnali się i wpadli do środka.

Ich wejście zaskoczyło siedzących. Wszyscy skierowali na nich wzrok. Mężczyźni stanęli plecami do ściany, żeby ich nikt nie zaskoczył. Ogromny starzec o szarej skórze i czerwonych, świdrujących, malutkich oczach spojrzął na nich oburzony i wydał z siebie nieprzyjemny odgłos. Pomruk, który potrafił zmrozić krew w żyłach każdemu. Mimo, że siedział, górował nad wszystkimi. Niezapowiedziani goście rozpięli swoje płaszcze. Tak, żeby wszyscy mogli dostrzec habity. Na ten widok demon wstał tak gwałtownie, że wywrócił stół. Mnich stojący nieco bliżej błyskawicznym ruchem sięgnął do kieszeni. Wyjął buteleczkę z wodą święconą i rozlał ją dookoła, jakby chciał odgrodzić ich przed potworem. Kiedy woda święcona zetknęła się z podłogą, natychmiast zasyczało, dało się wy-czuć gryzący smród spalenizny. Obydwaj mnisi odetchnęli. Czterdzieści dni postu, przygotowania do egzorcyzmu okupione niehumanym wysiłkiem sprawdziły się. Mnich z rozoraną twarzą wyjął niedużą, czarno oprawioną książeczkę i rozpoczął modlitwy po łacinie. Demon skierował na nich swój nienawistny, krwawy wzrok. Chciał zrobić krok w przód, ale kiedy tylko zbliżył się do okręgu zaznaczonego święconą wodą, zawył z bólu.

– Jezuickie psy! – Jego ryk zatrzęsł posadami baru. Powietrze zawirowało i z uszu niektórych przerażonych gości spłynęły stróżki krwi. Teraz już obydwaj mnisi odprawiali egzorcyzm. Głos w głoś, nie zważając na to, co działo się dookoła. Tymczasem oszalały z bólu, jaki zadawał mu egzorcyzm, demon złapał krzesło i cisnął nim w kąt z ogromną siłą. Trafiony nim przypadkowy staruszek został praktycznie porwany i zatrzymał się dopiero na ścianie. Krzesło rozpadło się na kawałki, a staruszek osunął się nieprzytomny na podłogę. Długobroda postać zacharczała, niemal zagłuszając modlitwy mnichów.

– Przez wieki moje czarne złoto żywiło waszych przodków – charczał przeraźliwie – teraz wy macie żywić mnie!

Końcówka została przez niego wykrzyczana. Moc jego diabelskiego głosu była potężna. Wszystkie okna rozpadły się na kawałki. Drzwi wyleciały z framugi, a ludzie poprzewracali się, zatykając uszy. Do środka wpadł mroźny wiatr. Wdzierał się każdym możliwym otworem Wszystko wokół zaczęło wirować. Rozpętało się piekło. Mnisi dopiero teraz dostrzegli, że brodata postać zamiast stóp miała kopyta. Jedno z nich zostało uniesione w górę, po czym z ogromnym hukiem trzasnęło o podłogę. Ziemia zadrżała. Mnisi nie przerywali egzorcyzmu. Krzyczeli już niemal swoje modlitwy

ledwo stojąc na nogach. Demon ponowił ruch i po raz drugi uderzył kopytem w podłogę. Ziemia zadrżała potężnie. Pobliskie kamienice zapadły się pod własnym ciężarem. Zwały się tysiące starych cegieł, unosząc w ciemności tumany kurzu. Na podłodze w barze pojawiły się rysy. Szybko rozprzestrzeniły się, wchodząc na ściany. Nie mogąc utrzymać równowagi, obydwaj mnisi na kolanach kontynuowali egzorcyzm. W powietrzu wirowało pełno kurzu, zgasło światło. W ciemności widzieli świdrujące, czerwone oczy. Wpatrujące się w nich z nienawiścią. Nagle wąskie dotychczas usta demona rozwarły się. Rozwierały się coraz mocniej. Ze środka coś wychodziło. Jego usta otwarły się groteskowo, nienaturalnie szeroko, a z nich powoli wypadła ogromna bryła węgla. Kiedy upadła na podłogę, nastąpiło kolejne tąpnięcie. Tym razem silniejsze. Kolejne kamienice waliły się jak domki z kart. Ziemia zaczęła pękać. Wszystko powoli zapadało się w otchłań. Wreszcie ogromna postać demona znieruchomiała. Zamieniła się w posąg z czarnego węgla. Czarny posąg po chwili przewrócił się, krusząc węgiel. Wtedy mnisi przestali. Wszystko nadal trzęsło się niemiłosiernie, równając z ziemią całą dzielnicę. Mężczyźni podeszli do kupki węgla. Pokropili wodą święconą, która zasyczała jak kwas. Mnich z ranną twarzą wyjął z kieszeni krzyż. Ucałował go i położył w miejscu, w którym przed chwilą stał demon. Z całej dzielnicy, jako ostatni budynek niezrównany z ziemią był bar u karlika. Jednak i na niego przyszła pora. Ściany zatrzęszczały i zaczęły pękać. Mnisi spojrzeli na siebie ukłękli i zatopili się w modlitwie. Wiedzieli, że ekspiacja jest ceną za wypędzenie tak potężnego demona. Po chwili dach zawalił się na wszystkich, grzebiąc ich żywcem. Trzęsienie ziemi trwało jakieś pół godziny. W tym czasie cała dzielnica została zrównana z ziemią, która następnie osunęła się na kilkanaście metrów. Po całej dzielnicy została ogromna wyrwa w promieniu niecałego kilometra, głęboka na kilkanaście metrów.

Kilometr od miejsca, w którym jeszcze przed chwilą stały kamienice, pięćdziesięciu mnichów na kolanach zanosilo modlitwy po łacinie. Wreszcie najstarszy z nich, Brat Albert, dał znak ręką, że już koniec. Mnisi posłusznie wstali z kolan. Ich dzieło zostało wykonane. Swoimi żarliwymi modlitwami dali wsparcie dwóm braciom w walce z potwornym złem. Wszyscy zebrani mieli łzy w oczach. Wiedzieli, że taka była cena za zwycięstwo. Cena bardzo okrutna. Mimo wszystko. Odeszli do autokaru, nie mieli już niczego do zrobienia w tym miejscu. Reszta pozostawała w rękach władz miejskich. Dziura miała zostać zalana, a cała historia zapomniana jak najszybciej. Mieszkańcy miasta i tak odechną z ulgą. A ofiara, co tu dużo mówić, ofiara powinna pozostać anonimowa.

Karolina Stasiak aka Zeter Zelke

FORMA ŻYCIA

Rozkleiła gwałtownie powieki i zaczerpnęła powietrza. Źrenice skurczyły się odczuwalnie, ale oczy pozostawały ślepe. W skroniach dudnił galopujący puls. Serce tłukło się w piersi jak oszalałe, wysyłając gorączkowe impulsy, które rozchodziły się po ciele jak fale sejsmiczne po litosferze. Świadomość instynktownie skierowała się do wnętrza, badała stan organizmu, szukała zmian. Gdy w końcu je znalazła, serce uspokoiło rytm, rozum zaczął ogarniać świat zewnętrzny, a źrenice regulować dostęp światła. Umysł rozpoznawał natłok zapachów, dźwięków, kolorów i kształtów – wszystko wracało do normy.

Wstała z łóżka zlaną potem. Gdy odrzuciła kołdrę, chłód poranka zaatakował wilgotne ciało. Wzdrygnęła się i objęła lewe ramię prawą ręką. Było kilka minut po siódmej, ale w sypialni panował półmrok. Naga, podeszła do okien i rozsunała firany. Ostra biel wlała się do pomieszczenia, wyciągając na światłoienne detale wyposażenia wnętrza. Kobieta odwróciła się na pięcie i usiadła przy toalecie, stojącej obok łóżka. W lustrze odbiła się para dużych, jasnozielonych oczu – jaśniejszych niż słońce, które dopiero nieśmiało wychylało się zza zabudowań. W złotych źrenicach tańczył ogień. Instynkt podpowiadał, że nie pozostało dużo czasu.

W sypialni świsnął przeciąg. Kobieta poruszyła się; nie dlatego, że zimno znowu smagnęło po wilgotnych plecach, lecz dlatego, że w jednym miejscu odczuła je wyraźniej. Sięgnęła ręką w tył i dotknęła opuszkami palców lepkiego wgłębienia poniżej żeber. Spojrzała w bok, na łóżko. Prześcieradło znaczyły żółtawe plamy osocza, skrzepła krew i fragmenty szerniałej materii. Wyciągnęła rękę po jeden i podniosła go do oczu. Kawalek ciała: częściowo zwęglony na obrzeżach, ale wciąż elastyczny, bezwonny – niedługo. Utkwiła w nim żółte źrenice i znowu poczuła mrowienie pod czaszką – instynktowne wołanie o pośpiech. Wsunęła kawałek własnej tkanki do ust. Żując, zaczęła wertować kartki podręcznego notesu. Znalazła właściwy kontakt, znieruchomiała i zamknęła oczy. Przelknęła, poruszyła głową – chrząstki kręgow dyskretnie chrupnęły. Wyciągnęła rękę po słuchawkę telefonu

i wybrała numer.

W pracowni zagnieździł się zaduch; ciepło letniego popołudnia tylko pomagało mu rosnąć. Wyobraźnia Elizy często antropomorfizowała codzienne zjawiska. W jej wewnętrznym świecie zaduch rósł jak na drożdżach i czuł się leniwie, przeciąg błąkał się tu i ówdzie niczym zgubiony turysta, a obsesyjno–kompulsywne słońce wyciągało swoje liczne palce, by dotknąć nimi każdej możliwej powierzchni. To wszystko – niby takie dynamiczne, niby tak żywe – opinała rama ciszy, spokoju i bezruchu. Zaburzały go tylko frakcje kurzu, tańczące ospale w promieniach słońca.

Eliza weszła w plamę światła, podeszła do okna i wpuściła do środka trochę świeżości, trochę ostrzejszych dźwięków. Ogarnęła spojrzeniem dużą, zagraconą przestrzeń i znowu stwierdziła, że wypadaloby tu raz na jakiś czas zawitać choćby z wystrzępioną miotłą. Z drugiej strony to był jej bałagan, jej nieład, w każdym calu artystyczny. W domu z reguły panował nienaganny porządek. Co wieczór odkurzały z Ewą biblioteczki, raz w tygodniu czyściły pozostałe meble, raz na miesiąc wszystkie dywany dostawały porządny przetrzep. Tylko tutaj ład nie bytował. Tutaj panowały kolorowe plamy po olejnych farbach, barwnikach, niesforne atramentowe kleksy, pałętające się pod nogami: gliniana miazga, wosk, fragmenty stearyny, wióry, guziki różnych kształtów i rozmiarów, skrawki płócien, sztruksu, nici, szpagatu... Na straży tego wszystkiego stały wieszaki, stojaki, sztalugi, manekiny, trzy biurka kreślarskie, kilka taboretów, kilka lamp, półki z rozpuszczalnikami, piecyk, komputer i osamotniony kubek z herbatą.

Eliza podniosła kubek i oceniła jego zawartość. Poza ostatnimi kroplami herbaty, na dnie pływały dwa odłamki mocno spalonej ceramicznej skorupy, opatulone warstwą fioletowej zawiesiny. Z westchnieniem odstawiła go na biurko, kiedy coś energicznie skrobnęło w drzwi. Do statecznego pomieszczenia wtargnął biały pocisk, rozgarniając kupki pyłu i wiórów. Kłębek śnieżnego futra zwolnił pęd, wykręcił na płacie bąbelkowej folii przykrywającej jedną z rzeźb i zniknął z powrotem za drzwiami.

– Kot najedzony, to kot szalony. Masz czelność zaprzeczyć, Kogi?

Kot zignorował pytanie. Eliza pokręciła głową i poprawiła folię, którą Kogi częściowo zdarła z rzeźby. Po chwili zastanowienia odsłoniła projekt. Rzuciła folię na podłogę, odblokowała koła przy stojaku i wysunęła pracę z cienia. Pierwszemu „ulepcowi” Ewy wciąż brakowało jakichś trzech pią-

tych do końca, niemniej Eliza już umiała powiedzieć, czym się stanie. Będzie tym samym, co widniało na pierwszym dziecięcym obrazku jej córki; tym samym, co powstało na jej pierwszym poważnym płótnie, których do tej pory zapełniła już ze trzydzieści.

Obecnie „ulepiec” przypominał wcale zgrabne „u”, składał się tylko z dolnej połowy pierścienia. Faktura gliny wciąż była surowa. Praca była dopiero we wstępnej fazie, ale to, co już powstało, było kształtne i wymowne. Ewcia miała talent. Przez wiele lat Eliza wznosiła na tym fundamenty swojej radości i dumy z bycia matką takiego dziecka. A od kilku miesięcy Ewa miała także szansę. Miała nadzieję, na bycie normalną dziewczynką.

Biały łepiek znów pojawił się w niedomkniętym przejściu. Dwoje zielono–żółtych oczu patrzyło z dołu z ciekawością. Eliza kiwnęła na kotkę i wskazała ruchem głowy rzeźbę.

– Co o tym sądzisz?

Kogi mruknęła i otarła lewą połowę pyszczka o umykające skrzydło drzwi.

W sąsiednim pokoju rozdzwonił się telefon. Eliza narzuciła niedbale folię na rzeźbę i opuściła pracownię. Chwilę trwało, zanim znalazła aparat pod kilkoma starymi, niewykorzystanymi szkicami. Wyświetlacz jaskrawo oznajmiał: Rob. Wdusiła przycisk i przyłożyła telefon do ucha.

– Czołem, siostrzko! – Robert zablokował komórkę między uchem a ramieniem i schylił się, by poprawić sznurówki na dziecięcym buciku. – Ziemia mówi: Hello!

Brazowe oczy mężczyzny uśmiechnęły się do dziewczynki.

Czuły słuch dziecka bez trudu zidentyfikowały kobiecy głos po drugiej stronie linii:

– Jak sobie radzicie? – pytała Eliza.

– W porządku. – Mężczyzna wyprostował się i musnął palcem zadarty nosek Ewy. – Spacer udany. Pogoda dopisuje. Bawimy się świetnie. Masz czego żałować.

– Pamiętaj, by wrócić o czwartej. Doktor Sylwia nas zaszczyca.

– Okej! Zaliczymy tylko przystanek w lodziarni, co, mała? – Robert mrugnął do dziewczynki.

– Będziemy wracać przez park, zdążymy przed czwartą. Jakies specjalne życzenia?

– Wpadnij do cukierni po ciastka. A! Kogi nad ranem obaliła ostatnią paczkę Chrupsów. W to też zainwestuj.

– Ma się rozumieć. Do niebawem!

Połączenie zostało przerwane. Robert wsunął komórkę do kieszeni spodni i spojrzał w oczy swojej młodziutkiej podopiecznej.

– No i co, zielonooka spryciuło? Miała być tylko lodziarnia, a tu szykuje się wypad do cukierni. Ty to masz szczęście!

Twarz Ewy pozostawała bez wyrazu. Jak zwykle. Jasnozielone, duże oczy patrzyły w przestrzeń lub też przez nią. Zdawały się nie widzieć drzew, trawy, kwiatów, ptaków. Dziecko nie reagowało na dźwięki, zapachy, kolory, przynajmniej nie teraz, nie dzisiaj. Na jasnej buzi, okolonej firaną prostych, ciemnych włosów rzadko gościł uśmiech. Brwi pod prosto przyciętą grzywką rzadko się marszczyły. Dziewczynka była nieobecna we własnym ciele przez większość swojego krótkiego życia. Lecz to miało się zmienić.

Ewa została obdarzona przez kapryśną naturę niezwykłymi zdolnościami, które wprawiały wszystkich w osłupienie. Była sawantką, miała fenomenalną pamięć, olbrzymią wiedzę z niemal każdej dziedziny nauki, jednak nie mogła z tego dobrodziejstwa korzystać. Żyła we własnym świecie, apatyczna, zupełnie bezradna w obliczu najzwyklejszych, codziennych spraw. W najgorszych momentach nie potrafiła nawet samodzielnie podnieść do ust łyżki z zupą.

Wuj zamknął w dłoniach obojętną rączkę swojej siedmioletniej siostrzenicy.

– Już niedługo, mikrusku – powiedział z uczuciem i przytulił drobną główkę do piersi. – Już niedługo naprawimy ten maleńki procesorek.

Ewa słyszała szum krwi przepływającej przez żyły mężczyzny, wyczuwała pracę jego silnego serca i czystych płuc. Ten człowiek był okazem zdrowia, pomimo dużej podatności na stres.

Jej świat nie był tak ponury i bezbarwny, jak przypuszczał Robert. Wręcz przeciwnie: był pełen fal, pełen barw i pól, pełen dźwięków, wibracji i impulsów. Był tylko odarty z interpretacji. Świat Ewy składał się z informacji i prostych algorytmów. Dane i instrukcje zaczęły docierać do jej umysłu zanim jeszcze opuściła bezpieczne łono matki. Znała zasady powstawania języków zanim jej aparat mowy w pełni się ukształtował. Umiała liczyć i czytać zanim nauczyła się chodzić. Jak tylko jej palce były w stanie utrzymać długopis, wyszło na jaw, że potrafi poprawnie pisać. W wieku dwóch lat to, czego nie potrafiła ująć w słowa, wyobrażała graficznie. Lecz dopiero gdy skończyła cztery lata za-

częła rozumieć sens kierowanych do niej pytań i poleceń. Szybko nauczyła się poprawnie reagować i dawać konkretne odpowiedzi. Znała mapę świata lepiej niż niejeden nauczyciel geografii, potrafiła podać aktualne dane demograficzne dla dowolnego kraju na Ziemi. Miała bogatą wiedzę historyczną i przyrodniczą, jakiej nie powstydzilyby się największe księgozbiory w Europie. Dokonywała w umyśle skomplikowanych obliczeń, czy był to rachunek prawdopodobieństwa, czy równania kwadratowe. Potrafiła poprawnie zastosować narzędzia, z którymi nigdy wcześniej nie miała styczności, o jakich nigdy wcześniej nie słyszała. Identyfikowała zwierzęta, rośliny i zjawiska, zanim ktokolwiek zdążył otworzyć usta, by ją w tym wyręczyć. Wygrywała w szachy z domowym komputerem. I każdej nocy, każdego dnia informacji przybywało.

Problem Ewy, o którym nie wiedziała ani ona, ani jej opiekunowie, polegał na tym, że nie była świadoma. Cokolwiek robiła, robiła to automatycznie. Za część jej podstawowych reakcji odpowiadał instynkt: oddychać, jeść, wydalać, spać, działać. Za bardziej złożone czynności odpowiadało bardziej wysublimowane oprogramowanie, które tkwiło zakodowane w każdej komórce jej ciała. Dziewczynka nie mogła się czuć, mogła tylko przyswajać zalew informacji i reagować na bodźce zewnętrzne i wewnętrzne tak, jak jej dyktował wewnętrzny komputer. Wykonywała proste polecenia, odpowiadała na proste pytania. A z jej perspektywy pytania o budowę Układu Słonecznego czy skład chemiczny atmosfery były bardzo proste. Siedmioletnia Ewa gromadziła informacje, odbierała instrukcje i wykonywała polecenia. Tym była – symulacją osoby. Nie przeżywała, nie odczuwała, nie miała własnego zdania, nie miała zainteresowań, nie potrafiła o sobie decydować. Nie wiedziała nawet, że może. Ale to miało wkrótce się zmienić.

Eliza postawiła na stole talerzyk z pokrojonym ciastem. Babka cytrynowa – ulubiony przysmak jej brata. Robert wsunął się głębiej w fotel, przytrzymując Ewę. Dziewczynka siedziała na jego kolanach, patrzyła w punkt na podłodze i ścisnęła oburącz czerwony kubeczek z malinowym sokiem. Od czasu do czasu podnosiła go do ust i upijała drobny łyk.

Sylwia Niks odstawiła filiżankę z herbatą na stół i przyjrzała się bacznie dziewczynce spod owalnych okularów. Eliza nigdy wcześniej nie miała okazji poznać pani doktor. Kontaktowały się głównie przez opiekunów Ewy i innych przedstawicieli kliniki, w której pracowała Sylwia, specjalistka od neurologii dziecięcej. Doktor Niks była starszą panią, średniego wzrostu, o delikatnej skórze

i srebrzystych włosach spiętych w kok. Miała ciepły uśmiech i także oczy – jasnozielone, tak bardzo podobne do oczu Ewy. W twarzy poznaczonej siatką zmarszczek było jeszcze coś znajomego, coś nieuchwytnego, lecz swojskiego; coś od czego oczy chciały uciec i do czego jednocześnie lgnęły.

– Sytuacja Ewy jest szczególna – doktor podjęła po chwili milczenia. – Najczęściej tak genialne dzieci płacą za swój talent niezdolnością do samodzielnego funkcjonowania w społeczeństwie. Lecz w rzadkich przypadkach – podniosła szczupły palec dla podkreślenia swoich słów – w rzadkich przypadkach udaje się takie dziecko wyprowadzić na prostą. Ewa przeszła pomyślnie szereg badań i testów. Wyniki rokują jak najlepiej. Decyzja zależy tylko od państwa.

– To znaczy – Robert poczerwieniał – żeby nie było niejasności: ja nie jestem ojcem. Pomagam siostrze wychować tego skarba.

– Czytałam historię pacjentki. – Niks uśmiechnęła się ciepło. – Wiem, że ojciec jest nieznan. Jednak zastępuje pan Ewie tatę, i to z chęcią, jak zdążyłam się przekonać. Siostra ma do pana zaufanie. Sądzę, że daje to panu równe prawo do podejmowania decyzji w imieniu dziecka.

Eliza tylko przytaknęła. Zajście w ciążę było dla niej do dziś dnia wielką zagadką. Nie lubiła tego tematu, więc z ulgą przyjęła, że doktor nie zamierza go drażnić.

– Czy zabieg jest bezpieczny? – zapytał Robert.

– Jest całkowicie bezpieczny. Zareczam: operacja jest szybka, bezbolesna i w przypadku tej małej gwarantuje sto procent sukcesu.

– Na czym... – Eliza oblizwała wargi. – Na czym...

– Otworzymy Ewie czaszkę – pospieszyła z wyjaśnieniem Sylwia – i poprawimy to, co uniemożliwia jej właściwe funkcjonowanie. Nie będziemy sięgać głęboko, nie będziemy wkładać żadnych metalowych płytek. Ryzyko niepowodzenia jest tak małe, że wręcz żadne. Żeby nie mieszać państwu w głowach naukową terminologią: musimy usunąć mały fragment z mózgu pani córki. – Rozłożyła ręce. – To wszystko. Rezultat będzie natychmiastowy.

– A jej zdolności?

– Trudno powiedzieć. Część z nich na pewno zaniknie. Część najprawdopodobniej się utrzyma. Grunt, że po operacji dziewczynka zacznie rozwijać się tak, jak inne dzieci. Stanie się bardziej komunikatywna, bardziej samodzielna. – Niks uśmiechnęła się enigmatycznie. – Będzie wreszcie sobą.

Wtem uwagę pani doktor przykuło coś miękkiego, ocierającego się o jej nogi. Eliza spojrzała pod stół, by zauważyć wdzięczącą się Kogi. Wytrzeszczyła oczy. Białowłosa kotka nie ufała nikomu

obcemu, nie ufała nawet domownikom, którzy nie byli Elizą. Do Roberta przyzwyczajala się trzy lata. Ewę ostentacyjnie ignorowała do tej pory. Kogi wspięła się na łapki i wskoczyła na kolana pani doktor. Niks zdjęła nogę z nogi, pozwalając kotce stanąć pewniej na swoich kolanach. Przesunęła dłonią po śnieżnobiałej sierści.

– Niebywałe! – Eliza usiadła wygodniej na krześle. – Ta biała diablica nie podeszłaby dobrowolnie nawet do własnej matki.

– Koty to ciekawe stworzenia. – Sylwia błysnęła zębami. – Polegają na instynkcie i rzadko się myślą. – Pociągnęła Kogi pieszczotliwie za ucho i zsadziła z kolan. – Więc? – zapytała. – Decyzja podjęta?

Eliza wymieniła spojrzenia z Robertem. Ewa znów podniosła kubek do ust i siorbnęła.

– Tak. – Eliza kiwnęła głową. – Tak. Na kiedy wyznaczy pani termin?

– Nawet jutro – powiedziała Niks, wstając z fotela.

Eliza otworzyła usta. Nie spodziewała się tego tak szybko. Doktor posłała jej jasnozielone spojrzenie znad okularów. Te oczy odmładzały starą panią doktor. Eliza widziała w nich śmiech, ciekawość i przekorę – to wszystko, czego brakowało jej córce, a co niedługo mogło stać się jej. W tych oczach odbijała się wola życia, energia, której los poskąpił Ewie.

– Moja wizyta ma jeszcze jeden cel. – Sylwia wskazała głową dziewczynkę. – Słyszałam, że Ewa obok wielu talentów ma również artystyczną smykałkę. Mogłabym rzucić okiem na jej prace?

Płótna Ewy były zgrupowane pod jedną ze ścian, na końcu pracowni, daleko od okna. Eliza poprowadziła doktor przez pomieszczenie, przepaszając za bałagan za każdym razem, gdy starsza pani potknęła się o jakiś rupieć. Niks jednak nie zdradzała poirytowania. Podążała wytrwale za gospodynią i cierpliwie znosiła chrzęst skorup pod podszewkami butów.

Zatrzymały się przed fragmentem ściany, którą wdzięcznie podpierały malowidła osłonięte lnianym materiałem. Eliza przysunęła lampę i pstryknęła włącznik – miękkie, żółte światło rozproszyło półmrok. Ściągnęła narzutę i odstąpiła w tył, zostawiając panią doktor sam na sam z obrazami.

Sylwia zbliżyła się do malowideł. Mogło ich być kilkadziesiąt, lecz nie musiała oglądać wszystkich, by wiedzieć, że na każdym widniał ten sam motyw. Z każdego łypał szmaragdowym okiem Uroboros – wąż połykający własny ogon, odwieczny symbol odnowy i nieskończoności, ciągłej reinkarnacji, niezachwianej woli przetrwania. Niks patrzyła spod siwych brwi w oko Uroborosa. Za szklami okularów błysnęły silniej jasnozielone oczy; źrenice zapłonęły niecierpliwym, złocistym ogniem.

Ewa nie wiedziała, gdzie jest. Nigdy tego nie wiedziała. Nie wiedziała nawet, że jest. Wiedziała tylko, jak działać. Więc działała. Instrukcje napływały szybko i płynnie. Krok pierwszy: wykonać operację „A”. Wykonane. Krok drugi: jeśli zostaną spełnione warunki „a”, „b” i „c”, wykonać operację „B”. Wykonane. W ten sposób bez żadnych przeszkód przedostała się z kliniki do prywatnego mieszkania doktor Sylwii. Wyostrzone zmysły bezustannie dostarczały jej potrzebnych informacji, które przetwarzała na proste: „Prawda”, „Nieprawda”. Jej wewnętrzne laboratorium badało strukturę i stan otoczenia, poszukiwało właściwych drgań, odpowiednich częstotliwości i natężeń. Doskonale zaprogramowana przez samą naturę maszyna szła na spotkanie swojego dopełnienia, swojej kontynuacji, swojego końca, jaki miał stać się nowym początkiem.

Poszukiwała konkretnych stanów na poziomie cząsteczek elementarnych, które niczym drogowskazy potwierdzały jej postęp. Kiedy ostatni wiersz poleceń został wykonany, jej misja była zakończona. Bezosobowa skorupa otworzyła się na przyjęcie świadomości. Oczyszczający ogień oświeślał drogę. Stara, starożytna osobowość wypełniała oczekującą formę. Niewidzące dotąd oczy otworzyły się na świat. Jasnozielone tęczęwki rozświetliło zrozumienie. Ewa poczuła życie, wypełniające ją z wszystkich stron. Drażnione zakończenia nerwowe wysyłały do mózgu gwałtowne impulsy, które pierwszy raz od siedmiu lat zostały przez nią zinterpretowane poprawnie. Dziewczynka dobyteła z gardła swój pierwszy, niesymulowany krzyk, z jakim od wieków miliony form życia przychodziły na świat. Po policzkach spłynęły gorące łzy – mieszanina bólu, strachu i szczęścia. Zamglonymi oczami dostrzegła ostatnie nicianie – ostatnich powierników prastarej świadomości. Błysnęły obłymi, lśniącościami ciałkami i wniknęły pod jej skórę, posuwając się zwinnie ku górze.

Ból ustąpił stosunkowo szybko. Ewa otarła drżącym, pogryzionym ramieniem pot z czoła i spojrzała na to, co pozostało z jej starej powłoki. Widok niezmienny od tysięcy lat. Ogień zgasł, lecz pozostał popiół z jakiego powstawała i w jaki obracała się niezliczoną ilość razy. Zgarnęła własne, dymiące jeszcze prochy na uprzednio przygotowaną, porcelanową łopatkę. Z niezadowoleniem zauważyła, że jeden pasożyt wciąż wił się w pyłe. Wsyłała go wraz z popiołem do porcelanowej filizanki i zalała chłodną, czystą wodą. Zamieszała palcem i skrzywiła się, czując delikatne ukąszenie. Nicięń przebił skórę i wtargnął pod nią, instynktownie umykając przed smutnym końcem, jaki czekałby go w żołądku własnej gospodyni. Ewa oceniła mętną zawiesinę. Choć za oknem panowała noc i nic nie

oświetlało wnętrza sypialni, jej oczy doskonale widziały w ciemności. Zamyśliła się. Wiedziała, że nie będzie spokojna, dopóki nie złoży swojego DNA w kolejnej nosicielce, dopóki nie będzie miała pewności, że jej bezosobowy klon ma się dobrze i rozwija się bezpiecznie. Uśmiechnęła się pod nosem. Niektórzy naprawdę mieli anioła stróża. Bardzo gorliwego i starego stróża, który pamiętał wschód człowieka kromaniońskiego i przechowywał w pamięci wiedzę, o jakiej nie śniło się filozofom. Choć miała dużo czasu, instynkt samozachowawczy nie pozwoli jej zwlekać zbyt długo. Śmierć organizmu, który sprawiał wrażenie niedorozwiniętego choć genialnego dziecka, mogła kosztować ją zbyt wiele.

Gdy poczuła, że spóźnialski nicień dotarł, gdzie trzeba, bez wahania przechyliła filiżankę i wypila wszystko do dna. Połykała swój symboliczny ogon nie tyle z konieczności, co z przyzwyczajenia. Pochłanianie własnych prochów stało się swojego rodzaju rytuałem.

Wstąpiła do kuchni, uwolniła gaz z większego palnika i zapaliła jedną świeczkę w pokoju obok.

– Umarła Niks, niech żyje Niks – wyszeptwała konfidencjonalnie do płomienia, po czym szybko opuściła dom i wróciła do swojego łóżka na oddziale dziecięcym w klinice.

Jeśli wcześniej pracownia wyglądała nie najlepiej, teraz wyglądała fatalnie. I był to najpiękniejszy widok, jakiego Eliza nie doświadczała od lat. Stała w progu, na granicy strefy nienagannego porządku oraz artystycznego bezładu, i z radością obserwowała swoją córkę. Dziewczynka była brudna, potargana, umazana gliną na czole i nosku... i zupełnie pochłonięta nakładaniem farbek na gotową już wprawdzie rzeźbę. Uroboros był skończony – ten sam stary motyw, którym Ewa wypełniała wszystkie swoje obrazy; identyczny w stylu, identyczny w barwie. Lecz ta Ewa nie była już dawną, apatyczną, nieobecną dziewczynką. I ten Uroboros nie był już tym samym Uroborosem. Wewnątrz pierścienia pojawił się nowy motyw, który jej córka właśnie pieczołowicie pokrywała czerwonym barwnikiem. Wąż zamykał się teraz wokół ptaka o płomienistych skrzydłach. Eliza pomagała Ewie wmontować w korpus węża druty, na których trzymał się nowy element. Po tygodniu pracy rzeźba wymagała tylko koloryzacji.

– Planują pogrzeb na czwartek – usłyszała za plecami.

Robert stanął obok siostry i podał jej filiżankę gorącej czekolady. Oboje milczeli, wpatrując się w plecy malującego dziecka.

– Nie musisz jechać, jeśli nie chcesz – ciągnął Robert. – W końcu nie byliśmy dla doktor Niks

żadną rodziną. Złożę kwiaty w imieniu nas wszystkich. Może kiedyś wybierzemy się tam razem. – Kiwnął głową w stronę Ewy. – I zabierzemy małą.

– Myślę, że zrozumie. – Eliza zasmuciła się na wspomnienie pani doktor. Łyknęła czekolady.

– Już nie obraca w głowie wielkimi liczbami, nie cytuje całych książek. Ale wciąż jest bystra, bystrzejsza od innych dzieci.

– I nikt nie bałagani, tak jak ona.

Eliza parsknęła w filiżankę. Brat objął siostrę ramieniem. Obok nich przemknęła Kogi. Wyminęła rodzeństwo i weszła do pracowni niespiesznym, sprężystym krokiem. Wskoczyła na taboret stojący najbliżej młodej artystki, wyprostowała się dumnie, owinęła ogon wokół łapek i obserwowała ruchy pędzla.

– No! Czas na mnie. – Robert cmoknął siostrę w policzek. – Do zobaczyska, mikrusie!

Ewa odwróciła głowę, uśmiechnęła się i pomachała wujowi pędzelkiem. Eliza weszła do pracowni, stanęła za córką i raz jeszcze oceniła rzeźbę.

– Prawie gotowe – stwierdziła.

– Mhm... – Ewa przygryzła w skupieniu koniuszek języka.

Pociągnęła pędzlem ostatni raz, po czym odłożyła farby i spojrzała krytycznie na swoje dzieło.

– Masz już na swoim koncie kilka dokonań, pani artystko – powiedziała Eliza. – Tylko jakimś trafem żadne nie zatytułowane. Może to dziwnie zabrzmie, ale rzeźbiarze lubią tytułować swoje prace.

Eliza spojrzała głęboko w duże, błyszczące oczy córki. Ewa opuściła głowę, zmarszczyła nosek, ściągnęła brwi. Matka ze wzruszeniem obserwowała wysiłek, jaki ożywił buzię jej młodej dziewczynki. Ewa podeszła do Kogi i w zadumie przesunęła dłoń po śnieżnobiałej sierści. Kotka wyprężyła się, mruknęła i nadstawiła łepki po więcej pieszczot. Twarz dziecka rozjaśnił uśmiech. Pociągnęła Kogi delikatnie za kosmate uszko i przeniosła jasnozielone spojrzenie na rzeźbę.

– Forma Życia – zdecydowała i z zadowoleniem wrzuciła pędzel do słoika z mętną wodą. – Tak się właśnie będzie nazywać.

– Pasuje.

– Mamo?

Kobieta spojrzała pytająco na dziewczynkę.

– Mówiłaś, że kto przyjedzie?

– Twoja kuzynka, Hanna. Pamiętasz?

Ewa pokręciła z zakłopotaniem głową.

– Jest starsza ode mnie?

– O całe piętnaście lat. Wkrótce się poznacie.

– Naprawdę? – Ewa uśmiechnęła się promiennie, za czym ponownie spojrzała na rzeźbę.

„Hanno, mam nadzieję, że jesteś gotowa wydać na świat nowe życie” – pomyślała Niks. – „My wprost nie możemy się doczekać”.

Zapładnianie nigdy nie należało do najprzyjemniejszych rzeczy. Zawsze wtedy Forma Życia, którą były Niks i Ewa, a także wiele innych ludzi o konkretnych imionach i nazwiskach przed nimi, wracały do postaci, jaką de facto były – uwalniały ze swoich ciał kłębowisko pasożytniczych nicieni, których jedynym zadaniem było wprowadzenie do komórki rozrodczej nowej matki odpowiedniego zestawu genów. To nie był smaczny widok, doświadczenie też mało przyjemne, lecz gdy w grę wchodzi przetrwanie, podobne delikatności tracą na znaczeniu.

Za czarnymi źrenicami dziecka przesunął się złocisty, niecierpliwy błysk. Jeśli ktokolwiek to zauważył, to tylko gliniany Uroboros i nieufna kotka.

Niemal każdego dnia Ewa czuła jak nosiciele długowieczności wiercą się pod jej skórą. Nie przestaną, dopóki nie znajdzie odpowiedniej matki. Najlepiej dwóch. Właściwie im więcej, tym bezpieczniej. To ciało było młode, sprawne i miało posłużyć przez wiele lat, ale każdy organizm na tej planecie musiał się liczyć z losowymi wypadkami. Wtedy dobrze jest mieć na podorędziu kilka swoich kopii. Prawda?

Krzysztof Krasowski

ROZMOWY PRZED KOŃCEM PRACY

Zima była straszna tego roku. W lecie kometa nad horyzontem zwiastowała rzeczy straszne i strasznie niewyobrażalne. Przysypany śniegiem Białystok z każdą godziną stawał się coraz bardziej ospały. Ci, którzy pomimo kilometrowych korków wydostali się z centrum, grzali się w domach popijając ciepłą herbatę i spoglądali z trwogą na szalejący za oknem żywioł. Ci, którzy nadal tkwili gdzieś w połowie drogi w swoich samochodach, lub, nie daj boże, w pojazdach komunikacji miejskiej zazdrościli tym pierwszym i przeklinali swoje nieciekawe położenie.

Nieopodal, położona w przemysłowo–usługowej części osiedla ulica Kombatantów, już dawno pogrążyła się w ciemnościach. Miejsce to, pełne zakładów pracy, przedsiębiorstw i fabryk, leżące nieopodal największej w rejonie elektrociepłowni za dnia zwykle tętnić życiem. Codziennie przewijały się tędy dziesiątki, jeżeli nie setki samochodów dostawczych zaopatrujących wszystkie pobliskie instytucje. Huk pracujących maszyn był rzeczą tak samo naturalną jak kwitnące tu na trawnikach szkło. Jednakże po godzinie 17stej wraz z końcem pracy, rejon ten stawał się coraz bardziej opustoszały. Nieliczne otwarte przedsiębiorstwa powoli zamykały już swoje podwoje gasząc po kolei ostatnie w okolicy zapalone w oknach światła. Jednym z nich był dom pogrzebowy państwa Wolińskich mieszczący się w przysypanej grubą warstwą śniegu odnodze ulicy Kombatantów. Eden – bo takim mianem się szczycił, sugerował swoją nazwą kompleksowość usług gwarantującą zmarłemu zadowolenie nawet po śmierci. Ba! Wizja życia wiecznego we współpracy z tą instytucją miała się zapewne malować w dużo jaśniejszych barwach, niż ta odpowiadająca naszej ziemskiej egzystencji, co w dzisiejszych ciemnych czasach nie wydaje się być rzeczą trudną do wyobrażenia.

Zakład państwa Wolińskich, mimo iż leżał nieco na uboczu, nie narzekał na brak klientów. Był to solidny, rodzinny interes działający jeszcze od czasów transformacji systemowej, obchodzący w tym roku okrągłe dwadzieścia lat swojego istnienia. Jak zwykł mawiać jego właściciel pan Woliński – ”W życiu i w biznesie są pewne tylko cztery rzeczy: że ludzie będą się rodzić, jeść, srać i umierać,

dlatego też nie boję się żadnego kryzysu”. Jego dewiza, podobnie jak inna sugerująca, że najlepiej być człowiekiem prostym, ale nie prostackim, wydawała się jak najbardziej odpowiadać rzeczywistości. Dom pogrzebowy Eden mimo zawirowań gospodarczych miał się nadzwyczaj dobrze i nie zaszkodziły mu nawet niedawne cięcia świadczeń pogrzebowych, które według wielu miały konkretnie zatrzęść polskim przemysłem funeralnym. „Polak ma w sobie dumę sarmaty” – mawiał Woliński – ”Sam jeść nie będzie, byle godnie pochować i wstydu zmarłemu nie przynieść”. I tak też trwając zgodnie z zamysłem barwnej postaci jaką bez wątpienia był właściciel, dom pogrzebowy Eden mimo peryferyjnego położenia rzadko kiedy świecił pustkami.

– Zima zaskoczyła drogowców. – przeczytał na głos Doroszkiewicz, odrzucając na bok gazetę i przecierając zmęczone oczy. Od bladego świtu pracował przygotowując zmarłych do ostatek przed Świętami Bożego Narodzenia pochówków. Jedyne o czym w tym momencie marzył to dołączyć do grona szczęśliwców siedzących w domach przed telewizorem ze szklanką czegoś mocniejszego w dłoni. Okres ten obfitował w denatów, którzy nie byli w stanie po raz kolejny spędzić tego rodzinnego i ciepłego święta w samotności, lub którym depresja na skutek wszechobecnej, przymusowej atmosfery serdeczności i radości nie pozwalała na normalne funkcjonowanie.

– Trzeba się wziąć do roboty. – pomyślał – Inaczej spędzimy tu całą noc.

Michał Doroszkiewicz był doświadczonym pracownikiem, grzejącym swoje miejsce w zakładzie niemal od samego początku. Posiadał liczne kursy tanatopraksji, był znanym i cenionym fachowcem w swojej dziedzinie. Jako jeden z nielicznych też pracowników Edenu skończył studia, co ciekawe, społeczne. Miał wielkie plany– własne centrum kultury, działalność artystyczna –jednak życie bardzo szybko zweryfikowało jego zamiary. Wkrótce dołączył do grona ludzi na tyle zdesperowanych finansowo, by pracować ze zmarłymi, i o dziwo szybko się w tym zawodzie odnalazł, i równie szybko stał się w tym dobry. Rozmyślenia przerwał mu huk zamykanych w korytarzu drzwi. Wkrótce potem do pomieszczenia wszedł krótko ostrzyżony mężczyzna w zaparowanych okularach. Był nim Tomasz Bonda – wracający właśnie z papierosa zatrudniony od niedawna nowicjusz.

– Jak sytuacja na zewnątrz? – spytał Doroszkiewicz spoglądając ze współczuciem na zmarzniętego towarzysza.

– Piżdzi jakby żyłkami cieli. – odparł rezolutnie Bonda przecierając zaparowane okulary na tyle skrupulatnie, że wkrótce lśniły one jak psu jaja.

Sala do przygotowywania zwłok była wielkości przeciętnego mieszkania w bloku i mieściła

się w piwnicy zakładu. Niemal w całości pozbawiona była okien, z wyjątkiem jednej małej kratki umiejscowiona tuż pod sufitem. Centrum sali stanowił specjalny stół do przygotowywania zwłok, wyposażony w odpływ krwi oraz innych płynów wydobywających się ze zmarłego. Dookoła stołu, przy ścianach znajdowały się szafki mieszczące wszystkie niezbędne narzędzia, używane w trakcie przygotowywania ciała do ostatniej drogi. Miejsce to wyposażone było również, w znajdującą się za ciężkimi drzwiami, dość obszerną chłodnię. Wbrew pozorom pracy przy denatach było tu niewiele. W większości przypadków sprowadzała się ona do drobnej kosmetyki, ubierania i mycia zwłok. Wszelkie trudniejsze prace związane ze zszywaniem i doprowadzaniem denatów po wypadkach do ładu, wykonywali specjaliści z zakładu medycyny sądowej. Wyjątek stanowiły specjalne życzenia zaможniejszych klientów, którzy pragnęli by ostatnia droga ich bliskich spoczęła od A do Z w rękach pana Michała. Były to również jedne z nielicznych obecnie sytuacji w jakich nasz bohater mógł się wykazać kunsztem i doświadczeniem.

– Tomek, rusz się do roboty! Nie chcę tu spędzić całej nocy. – stracił cierpliwość Doroszkiewicz, spoglądając z ukosa na asystenta.

– Wiemy jak zginął? – spytał Bonda wskazując na leżącego na stole około czterdziestoletniego denata.

– Przecież zdajesz sobie sprawę że tego typu informacje są poufne. Nie mamy do nich dostępu i nie powinniśmy się nimi interesować. – odparł mentor – Jeszcze się tego nie nauczyłeś?

– Nauczyć się nauczyłem, ale czy wiemy jak zginął? – nalegał Bonda.

– Typowy rodzinny prezent na święta – westchnął pan Michał i spojrzał na denata – Zniknął miesiąc temu i aż do przedwczoraj słuch o nim zaginął. Rodzina, znajomi, policja przeszukali wszystkie możliwe miejsca, w których mógł przebywać. Przesłuchali też wszystkich ludzi którzy mogliby na jego temat coś wiedzieć. Bez skutku. Wkrótce tę tajemniczą sprawę podchwyciły media, lecz i one niewiele zdołały wskórać. Człowiek po prostu zapadł się pod ziemię.... Aż do przedwczoraj. Na jego ciało leżące w jednym z lasów nieopodal granicy z Białorusią, natknął się patrol straży granicznej. Już pobieżne oględziny nie pozostawiały cienia wątpliwości, że mają do czynienia z samobójstwem. – Doroszkiewicz spojrzał nieobecny wzrokiem w stronę okna – Podcięte żyły, krew dookoła... – ciągnął dalej – Do tego nieudolne podejście do zawiązania węzła szubienicznego, który zresztą nie jest koniecznym warunkiem do powieszenia się. Ten człowiek chciał być bardziej niż pewien, że z tego nie wyjdzie. Na tym etapie śledztwo policyjne wykazało, że w czasie gdy rodzina i służby porządkowe zajmowały się poszukiwaniem zaginionego, sama zguba dzień w dzień upijała się do nieprzytom-

ności na pobliskich wioskach miejscowym bimbrem.–na twarzy Doroszkiewicza zagościł uśmiech politowania. –Po tym jak przehulał wszystkie oszczędności rodziny, poszedł do lasu i skończył ze sobą. Oczywiście chamstwo i pospólstwo uważa, że to wina miejscowych szeptuch, ale chamowi nie wytłumaczysz.

– Do chama to zawsze jak grochem o ścianę – skomentował Bonda.

– Tak czy inaczej... –kontynuował Doroszkiewicz – ... rodzina i znajomi zapowiedzieli, że pokryją kosztą pogrzebu, ale sami nie mają zamiaru się na nim pojawiać.

– Jak rozumiem samobójcy nie przysługuje też duchowny? – spytał Bonda, po czym nie czekając na odpowiedź kompana przystąpił do ubierania zwłok.

Pan Michał nie śpieszył się z odpowiedzią. Stał nadal wpatrzony w niemal całkowicie już przysypane śniegiem jedyne okno w całym pomieszczeniu. Jak tak dalej pójdzie będą mieli problemy z dostaniem się do domów. Siedzenie w pracy oczekując na to, aż jakiś pług wspaniałomyślnie odśnieży tak peryferyjny dojazd do pustej o tej porze ulicy Kombatantów, nie należało do najbardziej optymistycznych scenariuszy.

– Co diabeł ogonem nakrył, niech ksiądz nie dotyka– odparł podchodząc do swego pomocnika. Spojrzał na twarz nieboszczyka, która zdawała się teraz mieć nienaturalnie żółty kolor.

– Konserwację, jak na pierwszy raz, spieprzyłeś zawodowo. Ty masz szczęście, że nikt na pogrzeb nie przyjdzie–skarcił podopiecznego wyraźnie jednak rozbawiony sytuacją. – Nie możesz w niego pakować tyle chemii, to nie jedzenie.

Bonda, mimo że pracował w zakładzie od niecałych dwóch miesięcy, doskonale wiedział w jakim kierunku będzie zmierzać ta rozmowa. Za chwilę rozpocznie się kolejny monolog przełożonego, dotyczący polityki, spisków i kontroli społeczeństwa.

– Jak myślisz, skąd mamy tyle pracy? – zaczął Doroszkiewicz – Te wszystkie raki, cukrzyce, astmy nie biorą się znikąd. Z każdym posiłkiem karmią nas taką ilością substancji chemicznych, że statystyczny średniowieczny chłop żywiący się naturalnym jedzeniem padłby trupem po jednej łyżce twojej ulubionej zupy błyskawicznej. Aspartam, acesulfam, glutaminian sodu... – ciągnął dalej pan Michał – To wszystko polityczny spisek mający na celu napełnić kieszenie korporacji medycznych, a ciebie, drogi kolego, osłabić tak bardzo, abyś był zmuszony brać te ich leki do końca życia. Myślisz, że tego typu rzeczy Cie nie dotyczą? – spytał nie oczekując odpowiedzi. – Siedzisz w tym wszystkim po uszy chłopcze, zresztą razem ze mną.

– Ja? – zapytał zdziwiony Bonda

– Owszem, Tomek, to balsamowanie które tak koncertowo spierdoliłeś, to też wymysł elit politycznych. Rodziny żołnierzy biorących udział w wojnie secesyjnej dość już miały tego, że ich bliscy giną kilkaset, lub kilka tysięcy kilometrów dalej na polu bitwy. Ludzie mieli dość również tego, że nie byli w stanie ich godnie pochować, z uwagi na ogromne odległości ich dzielące. Morale północy leciały na łeb na szyję, więc rządzący im miłościwie Lincoln, rasista swoją drogą dużo większy niż przeciętny mieszkaniec południa, wysłał na front znanego doktora Thomasa Holmesa. Czy to nazwisko jest Ci chociaż znane?

– Nie – odparł zmieszany asystent, nie wiedząc do czego tym razem zmierza jego mentor.

– No więc, wyobraź sobie, że był to facet który po raz pierwszy w nowoczesny sposób zaczął balsamować zwłoki. Sprzedawał on żołnierzom idącym na pole bitwy specjalne kupony, uprawniające w przypadku śmierci do zakonserwowania i odesłania do domu. Po każdej walce chodził wraz ze swymi parobami wśród ciał i wyszukiwał te posiadające kwity. Następnie je balsamował i zgodnie z umową odsyłał rodzinie. – ciągnął dalej Doroszkiewicz. – Tych którzy nie mieli rodzin, konserwował i stawiał w trumnach przed swoim namiotem niczym manekiny sklepowe. Po krótkim czasie zakazano mu tej formy reklamy, albowiem oddziały wojsk maszerujące na front, na widok swoich zmarłych towarzyszy wpadały w panikę. Jeśli myślisz że Holmes choć w minimalnym stopniu działał z pobudek moralnych, chcąc ulżyć rodzinom wojsk północy, to musisz wiedzieć, że w niedługim czasie zaczął obsługę obu stron konfliktu. To wszystko polityka...

– A ja tam lubię tę naszą pracę – wtrącił Bonda wykorzystując chwilę, jaka była potrzebna przełożonemu na wzięcie oddechu przed kolejną serią mało znanych, acz prawdziwych faktów ze świata.

– Ludzie boją się zmarłych, a to przecież żywi krzywdzą. Tacy jak ten tutaj to ani problemów nie sprawiają, a i czasem można im się wyzalić. – rzekł wskazując na nieboszczyka.

– Kobiety mówią, że potrafię słuchać, lecz ja się po prostu nie odzywam. – odparł denat, lecz nikt nie zwrócił na niego uwagi.

– Ja to wiem, Tomku. – odpowiedział podopiecznemu Doroszkiewicz – Ale wytłumacz to tym wszystkim chamom, co to myślą, że my tu w jednym celu pracujemy i nie są to pieniądze.

– Chamom nie wytłumaczysz – przytaknął, kończący ubierać ciało asystent. Pan Michał spojrział na zegarek, dobiegała już osiemnasta.

– Jeśli skończyłeś możesz już iść, ja zostanę tu jeszcze kilka minut. Poprawię nieco mongolski kolor skóry, jaki zafundowałeś naszemu koledze i zamknę salę.

Tomaszowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Sprawnie zdjął z siebie roboczy fartuch i rękawiczki, po czym przeżegnał się i ruszył schodami w stronę holu.

Doroszkiwicz stał w bezruchu nasłuchując momentu, w którym trzasnę zamykane za asystentem drzwi, lecz z zadumy wyrwał go syk kończącej swój żywot jarzeniówki. W sali zapanował półmrok. Przed całkowitą ciemnością pomieszczenie ratowała jedynie druga taka sama, lecz w połowie przepalona lampa, która w każdej chwili mogła pójść w ślady swojej poprzedniczki.

– Tylko tego mi brakowało. – powiedział na głos do pustej sali.

Ostrożnym krokiem podszedł do leżących na stole zwłok mężczyzny. W tym świetle za żadne skarby nie udało mu się usunąć przebarwień.

– I co ja mam teraz z tobą zrobić? – spytał retorycznie Doroszkiwicz.

– A bo ja tam wiem? – usłyszał w odpowiedzi.

– Wygląda na to że tak cię zostawię. W końcu i tak nikt nie przyjdzie. – odparł mimo wszystko niepoczyszony specjalista odstawiając zwłoki do chłodni. Zamknął za sobą drzwi i skierował się w stronę wyjścia z sali.

Wychodząc z budynku pożegnał się z mającą nocną zmianę sekretarką oraz złożył jej świąteczne życzenia. Śniegu napadało już tyle, że nie było możliwości wyjechać z parkingu małym, kompaktowym samochodem jaki posiadał Doroszkiwicz. Jedynym sensownym rozwiązaniem było obecnie udanie się na dość odległy przystanek autobusowy oraz nadzieja, że pojazd komunikacji miejskiej nadjedzie w miarę szybko. Pan Michał związał ciasniej szalik, nasunął kołnierz płaszcza na uszy i ruszył przed siebie brnąc przez niemałe zasy. Nasz bohater szedł, szedł i szedł, a w tym czasie Hitler i Stalin dalej nie żyli.

KONIEC

Krystian Kochanowski

ZAWIŁA SPRAWA

To był piękny, parny, słoneczny letni dzień. Sobota. Ani jednej chmurki na niebie, no może jedna dla przyzwoitości. Teren falisty upstrzony na horyzoncie to lasem, to chałupami. Wre praca – wiadomo żniwa, a że kombajnów mniej niż wozów we wsi – część pracy trzeba wykonywać jak za dziada, pradziada się robiło. W głębokiej oddali kominy cegielni z dymkiem jak z papierosa. W pewnym momencie powietrze przeszywa spazmatyczny kobiecy wrzask przerażenia.

– A wie pan, ile to trzeba było siły by wszystkie zboże móc zebrać? Tak robiliśmy więc od bladego świtu, a że we wsi jeno dwa kombajny, to i postęp roboty mizerny. Mamy też nowy nawóz z bratniego Związku Sowieckiego. Ten to...

– Panie obywatelu zaginął człowiek, a wy mi tu wykładacie tajniki sztuki rolnej – rzucił zniecierpliwiony przesłuchujący.

– Ależ, panie milicjancie, tak jak mówiłem, byłem w innej części pola, a że pagórki i doliny są, pole ogromne, nie słyszałem nic. Za blisko kombajnu byłem.

– Co zobaczył pan później na miejscu zdarzenia?

– To, com powiedział: wystraszoną Staszkową, a po Staszku ubranie w pół wciągnięte w ziemię.

Milicjant zamyka zeszyt, przedtem rzucając na notatki zwiewne spojrzenie. Nakazuje wyjść świadkowi. Gdy jest już sam rzuca bez ogródek:

– Co to, kurwa, znaczy? Nic z tego nie rozumiem. Oby pozostali mieli więcej do powiedzenia, bo ich pozamykam. Wszystkich!

Do pomieszczenia wchodzi kolejny milicjant, o rudawej brodzie i brzuchu jak po zbójcu. Rzuca:

– Marek nie emocjonuj się tak, mamy jeszcze trochę czasu. Chłopaki z Klucz fachowo zajęli się tym, co najlepiej im wychodzi, czyli zadzwonili po posiłki w naszej osobie. Będzie dobrze.

– Nie pierdol, czas gra na naszą niekorzyść. Nie chcę, żeby świniaki z Katowic lub Krakowa spijały śmietanę, którą właśnie ubijamy. Jebane ryje!

W jego wzroku była jakaś zimna martwota, kto się z nim spotkał, ten wiedział o co chodzi. Potrafił nim sparaliżować ofiarę i współpracownika. Może dlatego żona go opuściła? Może prywatnie był jeszcze gorszy niż się wydawał na co dzień w pracy?

Komisariat Milicji Obywatelskiej w Olkuszu nie był ani bardziej, ani mniej szary jak rzeczywistość, którą reprezentował. Odrapane z zewnątrz ściany, kryjące w sobie co najmniej kilka dramatów z okresu nie tak znowu dawno zakończonej wojny. Ojciec narodu co prawda jeszcze ciepły, ale w fazie stygnięcia, jego zausznicy również wzbogacili historię piwnic tego budynku. Może to dodatkowo podsycalo agresję u funkcjonariusza Marka?

– Mówi pani, że była pani w domu?

– Tak, gotowałam obiad, co jakiś czas wyglądając za okno i patrząc w dal, jak posuwa się robota.

– Nie usłyszała lub nie dojrzała pani czegoś niepokojącego? – przesłuchujący Marek starał się, robił wszystko by jego twarz i wzrok robiły lepsze wrażenie niż cmentarny napis „Spoczywaj w pokoju”.

– Nic nie słyszałam, chociaż kombajn był za daleko by cokolwiek zagłuszyć. Jedyne co widziałam, to jakby iskra, tylko taka jakby biała chmura przy krawędzi lasu chyba na niebie. Może od kombajnu, a może ktoś co palił.

– Coś jeszcze? A nie kręcił się ktoś obcy w okolicy?

– Podobno żołnierze radzieccy byli na biwaku niedaleko, ale ja tam nie wiem.

W głowie funkcjonariusza zaczęło się roić od domysłów. „Czyżby Ruskie się spiły i naszego zastrzeliły? Trzeba będzie podrażnić temat” Twarz mu stężała.

Przerwa w przesłuchaniach. To szansa, aby porównać zeznania i wyciągnąć wnioski. No bo nie ma sił i środków by wszystkich przesłuchiwać wspólnie. A groźba przekazania sprawy wyżej nabiera znamion realności.

– Słyszałeś? Pojawili się Rosjanie, podejrzane to, ruskim świniom nie ufam – powiedział tonem pełnym zawziętości.

– Poczekaj trochę z tymi osądami, to paranoja, zostało jeszcze kilkunastu świadków – ocenił brzuchaty kompan. Marek mierzył go wzrokiem zimnym jak rosyjski mróz, a nieustępliwym jak on sam.

– Mówiła mi starsza kobieta – ciągnął towarzysz – z sąsiedniej miejscowości, bodajże z Kwaśniowa, że widziała coś jakby chmury zstępowały z nieba, i powróciły z powrotem zapalając fragment nieba jasną niewielką iskrą.

– A ile lat ma ta kobieta?

– Osiemdziesiąt pięć.

– Widzisz coraz bliżej jest nieba, tfu! Ziemi. Życie jej ciąży i duperele opowiada. Niczym nie przyciągnie uwagi jak takim efektownym opowiadaniem – szyderczo cedząc każde słowo powiedział Marek.

– Przesadzasz jak alkoholik, któremu się wydaje, że coś po nim chodzi.

– Znalazł się diagnosta, kurwa!

– Spokojnie, spokojnie, grzybiarz, którego przesłuchiwałem mówił mi, że oczywiście Rosjanie byli na biwaku w sile nie większej jak kompania, ale miało to miejsce tydzień temu, trzy kilometry od miejsca zdarzenia, nie mieli broni palnej, tylko noże i bagnety. Zresztą jak nie wierzysz zapytaj się komendanta.

– To...

– Poczekaj, co ciekawe, ten grzybiarz potwierdził, że między drzewami widział jakby mgłę schodzącą z nieba, która niby płonąć bardzo jaskrawo zaraz się uniosła z powrotem. Wszystko trwało nie dłużej jak dwie–trzy sekundy. A towarzyszył temu okropny krzyk.

– To robi się coraz bardziej nieprawdopodobne.

– Może to jakieś objawienie? – rzucił badawczo brzuchaty.

– Tak, z wniebowzięciem, albo piekłowstąpieniem – odparł Marek, zadowolony z riposty, bodaj po raz pierwszy uśmiechając się tego dnia.

Słońce poczęło się chylić coraz bardziej ku zachodowi, leniwie spelzając w dół. Była godzina osiemnasta. Funkcjonariusz Marek po brutalnej reprimendzie kilku świadków udał się do kiosku po drugiej stronie ulicy po papierosy. Brutalnej, bo jedna z kobiet musiała zostać odwieziona do szpitala, takie to na niej zrobiło wrażenie. Śpieszył się, bo dyma lubił. Przechodząc przez ulicę poczuł się dziwnie nieswojo. Coś jakby dreszcz przebiegł mu po grzbiecie. Usłyszał coś jakby jęk. Spojrzał w niebo – nie uwierzył – widział dosłownie przez ułamek sekundy ledwo dostrzegalną mgiełkę o okonturowanych człekokształtnych zarysach, która zaświeciła się i w jednym momencie zgasła. Zjeżył się na całym ciele. W tym momencie nadjeżdżający samochód klaksonem przywrócił mu przytomność. Podszedł do kiosku, kupił, zapalił – odreagował.

Jeszcze kilka minut temu trwała istna sielanka, co z tego, że gorąc, zaduch. Trzeba było kosić i wiązać snopki. Nieopodal ryczał kombajn. Staszek kosił wprawnie, Staszkowa z nie mniejszym znanstwem wiązała. Aż do momentu. Wiąże kolejny snopek. Zajęta. Skupiona. Przy tym mówi do swojego Staszka:

– Stasek, odezwij ze się. Co będę tak sama gadać.

Odwraca się, rzut oka i wydobywa z siebie nieokiełznany krzyk, świadectwo przerażenia. Sama nie wie co widzi. Staszek jakby zmrożony, bez słów, bez ruchu zostaje, hmm, porwany? Zabity? Przez ducha? Wszystko trwa kilka sekund.

Przesłuchanie, nie tak efektowne, ciężko określić, czy skuteczne. Marek niczym czołg pruje naprzód, chociaż z mniejszym jak poprzednio animuszem, Dobiega dziewiętnasta.

– Proszę odpowiadać na pytania, a nie powtarzać w kółko bez sensu tego samego.

– ... I wtedy odwracam się, patrzę na Staska, on nieżywy, bez ruchu, duch go...

– Dość. – Chwyta za słuchawkę. –Przyślijcie tu kogoś po nią, najlepiej pogotowie.– rzuca krótko. Po pewnym czasie wchodzi komendant, wąsaty pięćdziesięciopięciolatek o bystrych oczach i płynnych ruchach.

– I co Marku, jak postępy? Jutro najpóźniej koło południa przyjadą grube ryby.

– Cholera.

– Otóż to. Technicy zabezpieczyli ubranie i ślady biologiczne. Pojechały na ekspertyzę do Zakładu Medycyny Sądowej.

– Pozostało jeszcze kilku świadków, postaram się wykrzesać od nich co się da.

– Jestem tego pewien, że dasz sobie radę. Nie ma drugiego takiego śledczego w okolicy – powiedział komendant wychodząc. W tym momencie Marek usłyszał przerywany kobiecy głos. Słodki, a zarazem niepokojący.

– Nie wierzysz nawet temu co widzisz. To, że nie wierzysz nie ochroni cię przed skutkami.

Śledczy Marek poczuł jak gardło dotąd drożne jest zaciskane wbrew woli jakby jakąś niewidzialną drucianą nitką. Po chwili ta sensacja przeszła. Pozostał tylko chłód na lewym policzku, jakby pieczęć czegoś wilgotnego i zimnego. To wrażenie nie opuszczało go przez cały wieczór, podobnie jak słowa:

– Za-wiła jestem.

Wrócił do domu pustego, bez żywego ducha, odpychającego jak on sam. Toaleta, sen co przyszedł jak złodziej. Leży, śpi niespokojny, usta wykrzywione krzyczą z przerażenia. Widzi młodą kobietę, co raz po raz wypowiada niepokojące go słowa. W końcu uspokaja się, milknie do rana. Dalej śni. Idzie chodnikiem cały we krwi, idąc zostawia ślady, czerwone od krwi. Czuje czyjaś obecność, przyspiesza kroku.

– Zawila jestem – krąży w jego umyśle.

Zaczyna biec. Słyszy westchnienie zniecierpliwienia, obok z mgiełki materializuje się młoda jasnowłosa kobieta. Ma przewiewne lekkie ubranie, coś na kształt rzymskiej tuniki. Zaczyna mówić:

– Za...wila jestem... – po chwili dodaje: –za...wily jesteś, jesteś mój.

W tym momencie krew znika. Spocony budzi się, panuje cisza. Nagle rozlega się hałas – spada zawieszony w przedpokoju obraz. Marek podchodzi i widzi przebite na wylot płótno razem z postacią na nim widniejącą. Postać ta jest ludzako do niego podobna.

– Niech to szlag!

Przeraźliwy krzyk Staszkowej rozdziera powietrze, kombajn stanął. Miota się w spazmatycznym tańcu wskazując ręką na ubranie jakby pochłonięte przez ziemię. A jego nie ma. Zbiegli się ludzie, pocieszają Staszkową.

Brzuchaty zadaje pytania:

– Widział pan coś niezwykłego?

– Wie pan byłem zajęty robotą, w dodatku daleko, miałem do tamtego miejsca.

– Dużo ludzi się zbiegło? Najważniejsze, kto był tam pierwszy?

– Wszyscyśmy się poderwali z tamtej części pola. Byłem jednym z pierwszych.

– Nic pana nie zdziwiło, zaniepokoiło?

– Była tam młoda, długowłosa kobieta w ubraniu roboczym. Była tam przede mną. Naprawdę nie znam jej. A po chwili już jej nie było. Nikt jej już później nie widział.

– Ktokolwiek ją zna?

– Nie wiem taki był tumult, że nie wiem, niedługo potem przyjechała milicja z Kluczy i ktoś od was.

– Marek – pomyślał brzuchacz, a głośno powiedział –W razie czego będziemy się z panem kontaktować.

Sprawa robiła się coraz bardziej zawiła i pogmatwana. Jeszcze ta kobieta – pomyślał funkcjonariusz.

Widok był rzeczywiście dziwny. Męskie ubranie, wyłączając bieliznę, której brakowało, było wprasowane w ziemię. Młoda kobieta okropnie zawodziła. Przybyły później funkcjonariusz o dumnej sylwetce i wejrzeniu oprawcy począł lustrować teren badawczo. Nadzorował pozostałych i smagał wszystkich obelgami niczym pejcem. Był zły. Czy tego dnia czy może z natury? Nie wiadomo.

– Ruszać się, bo tracimy czas, memłoki!– a było to najdelikatniejsze określenie, które padło z jego ust. – Nie będziemy się pieścić do wieczora.

W pewnym momencie doszedł go dziwny szept, który pozostawił w nim nić niepokoju:

– Za...wiła to ja to początek.

Była już późno dziewiątej trzydzieści, gdy Marek poprawiał w przedpokoju przed lustrem mundur. Minę miał okropną, nieprzyjemną. W momencie dopadł go lęk. Poczuł na swoim gardle i barkach uścisk czegoś chłodnego. Słyszy zgłoski pełne szyderstwa i chłodu. Przez moment widzi, że jest obejmowany, a w zasadzie podduszany przez młodą kobietę ze skrzydłami. Źrenice się rozszerzają. Skronie, a następnie całe ciało oblewa zimny pot. Mara jednak znika.

Tego dnia przed południem kończą się przesłuchania. Trwają poszukiwania Stanisława Frączaka lub jego zwłok. Przyjeżdża para funkcjonariuszy z Katowic; małomówny milicjant po czterdziestce i młoda funkcjonariuszka, sprawiająca wrażenie osoby stawiającej pierwsze kroki, ale zarazem pojętnej. Jest to spore wydarzenie, zważywszy, że okolica jest spokojna i rzadko kiedy trzeba się uciekać do pomocy z zewnątrz. Marek po nerwowej jeździe dociera na komisariat. Nie darzy zaufaniem nowo przybyłej.

– Wczoraj przed odjazdem, żona tego Frączaka zaczęła pleść coś o nadejściu kary dla zuchwałych.

– Co takiego? Co masz kurwa na myśli? – Marek nie zrozumiał.

– To było jakoś tak: zaczyna się, ogień podłożony, pycha i zuchwałość strawione zostaną. Nadciąga zawiła... Miała taki prorocki nastrój.

– Chcesz mnie chyba nastraszyć?

Koło południa narada u szef. Komendant, Marek, brzuchaty Bogdan i goście podsumowują przebieg śledztwa. Gorąc, za oknem silnie operuje słońce mając we władaniu całą niezacienio-

na przestrzeń. Czuć napięcie, zrazu nikłe, stopniowo narastające, atmosfera gęstnieje. Komendant opuszcza pomieszczenie.

– Dzwonili z Krakowa, nie mogą dopatrzeć się śladów biologicznych na ubraniu Frączaka – obwieszcza Bogdan.

– Dziwna sprawa – mówi milicjantka.

– Co to dla was? – rzuca kąśliwie Marek.

– Nie kpij kolego, nie zdarza, żeby nie można było znaleźć choćby włosa, potu czy czegokolwiek na ubraniach należących do ofiary – włącza się gość z Katowic.

Marka zaczynają trapić szept, męczące go niepomierne:

– Ona jest trefna, uważaj na nią.

W międzyczasie zwłoki odnajdują się w studni w okolicach Zagórza. Pozbawione odzieży wierzchniej. Jedynie bielizna zakrywa rozkładające się ciało. W sztabie dochodzeniowym pełna konsternacja. Jeszcze tego popołudnia Marek i inni są na miejscu.

Milicjant wpatruje się w ciało. Zdaje mu się, że widzi mrugnięcie przeżartych przez robactwo powiek. Czuje jak dreszcze przeszywają mu grzbiet. Zwłoki wpatrują się w niego, mówią:

– Jak mogłeś ją zostawić samą z dzieckiem? Zemści się na tobie.

Marek robi się czerwony, duszno mu.

– Odbierze co swoje, stracony czas.

Mężczyzna mdleje. Kompanii cucą go. Bełkocze. Funkcjonariuszka z Katowic, Ewa, mówi do niego:

– W porządku? Pojedziemy do szpitala, wezwaliśmy pogotowie

Marek patrzy na nią, ale widzi smukłą szatę, długie włosy, poświatę jakby z wirów powietrza, czy chmur. Twarz kobiety też jest jakaś inna. Słyszy coś zupełnie innego:

– Jestem Za wila, zniszczę resztki twojej egzystencji.

– Proszę oddychać spokojnie – mówi Ewa.

– Odpowiesz za wszystko, za cały ból, który im wyrządziłeś – trafia do Marka komunikat. Uderza kobietę. Zaczyna się miotać, próbuje wyciągnąć pistolet z kabury. Jest przytłumiony i zostaje obezwładniony przez Bogdana i milicjanta z Katowic. Pluje pianą.

Miota się. Wyje. Przyjeżdża pogotowie. Młoda milicjantka płacze, jest rozdygotana. Wila, widziana przez niego w osobie Ewy puszcza mu złośliwie oczko. Funkcjonariusz szamocze się, jednak po

zastrzyku środka uspokajającego traci ostatecznie wszelką wolę walki. W szpitalu trafia do izolatki, przejawia agresję.

– Przywróćcie mnie do śledztwa, ta Ewa z Katowic to jej sprawka! Jest demonem, diabolicą!

Trzeba było jeszcze raz przetrząsać dokumenty operacyjne zebrane przez milicjanta Marka. Kolejne przesłuchania znowu tych samych osób. Powstały pewne różnice. Niektórych zewidencjonowanych dowodów i zeznań brakowało. Inne poczęły ginąć. Zaginęła żona Staszka Frączaka. Ponoć uciekła na zachód. W domu milicjanta Marka Starczygi znaleziono substancje psychoaktywne, jednak, istnieje podejrzenie, że zostały przez kogoś podrzucone.

Upływający czas zaczął warstwą ziemi, cienia i nieświadomości pokrywać historię tego zaginięcia i morderstwa.

Jak się okazało, nie wykazano obecności i działań osób trzecich mogących skutkować śmiercią Frączaka. Akta denata trafiają do archiwum spraw niewyjaśnionych. Ostatecznie wszelkie próbki materiału i dokumentacja sekcyjna zostają strawione przez pożar piętnaście lat po zakończeniu sprawy. Pozostają przekazy ustne, a w nich łatwo o zniekształcenia.

– Słyszałeś może o tym przypadku z niedalekiego Huciska?

– Nie, o co chodzi?

– Facet zniknął w czasie zniw, a później ciało znaleziono zupełnie gdzie indziej.

– Co ty gadasz?

– Milicjant, który prowadził sprawę, żeby to ująć delikatnie, po prostu odleciał.

Minęło sporo lat. W letnie skwarne letnie dni słyhać odgłos kombajnów. Roboty wre. Tylko czasem ten i ów, kto pamięta przekazuje historię sprzed lat. O tym jak zwłoki znaleziono w studni odległej o dwadzieścia kilometrów od miejsca zdarzenia i o milicjancie co poznał smak szaleństwa. Zawiała to była. Zawiała sprawa by o tym mówić, by o tym pisać. Trzeba uważać by nie dać się zwariować. I jej nie podpaść.

Bartosz Mikołajczyk

NIEOCZEKIWANIE

Tego pamiętnego wieczoru uliczny bruk wykazywał właściwości pierwszego listopadowego śniegu. Chłodne kamienie ułożone w niesymetryczny sposób mroziły kolana obdarte z trzeźwiejącej godności. Powyginane ręce próbowały odnaleźć na obślizgłym trotuarze kalibracyjny punkt odniesienia. Zawsze tak samo – pomyślałem. Wzbija się ku górze karminowy samolot Manfreda von Richthofena. Walka. Pięć zwycięstw. Dziesięć. Piętnaste zestrzelenie szklanych statków powietrznych wypełnionych paliwem z najczystszej starki. Upajający smak nieustającej wygranej. Podróż ku świętej ziemi zatracenia, okraszona bezwzględny oddaniem dla płomieni trawiących przydrożne wioski bezpretensjonalnego oddania. I wszystko się kończy. Tak jak lot Ikara zakończyła przegrzana życiowa gwiazda, tak i mój psychopatyczny bieg przerywa pierwszy oddech królowej śniegu. Cios jesiennego Saracena i pogniecione dotknięcie zachłapanego angielskiego bruku. Twarz ociekająca błotem wydająca w ostatniej przedpaździernikowej torsji niesłyszalny dla innych krzyk brudnych wymiocin. Zawsze tak samo. Przemieszczanie do względnie ciepłego rowu melioracyjnego. Poduszka z poźółkłych liści i powolne zapadanie w zimowy letarg. Bezwładne leżenie potęgujące bezwzględnie uczucie konieczności wiosennego wyrwania. Tej jesieni było inaczej.

– Wio! Szybciej, wio! – usłyszałem zza murów przytłumione komendy ponaglenia.

– Wio! Wio! – krzyki powtórzyły się. Na obślizgłym bruku zatrzymał się połamana furmanka zaburzając cyklamenowy smak powietrza powiewem końskiego łajna.

– Wsiadaj! Do ciebie mówię! Wsiadaj! – głos starca kierował się w moją stronę.

– No wsiadaj do cholery! Szukałem ciebie przez lata i teraz czekać nie będę. – dodał zapluty dziad o posturze karła Podniosłem bardzo powoli ociężałą głowę. Pomyślałem, że w zasadzie nie mam nic innego do roboty. Człowiek zawsze stoi przed jakimś wyborem. Drogi przeznaczenia są niezbadane pokrętne i nigdy nie wiadomo dokąd zaprowadzą. Staruszek mógłby powiesić mnie

na wytartych lejcach swojej przybrudzonej gnojem karety, ale tego nie zrobił. Podał wychudłą rękę ozdobioną niesymetrycznymi plamami wątrobowymi. Chwycił za podartą koszulę i wrzucił na tył wytatuowanej strachem furmanki. Nad furgonem zawisł dach utkany z chmur niepamięci. Zrobiło mi się ciepło i nic już nie było ważne poza rytmicznym chrząkaniem dziada zachłystującego się coraz to nową porcją oskrzelowej flegmy. Gdy od płaczącej matki pod Twoją opiekę ofiarowany martwą podniosłem powiekę i zaraz pieszo do dziada świątyni mógłbym czołgać się i biec bez końca w zatraceniu chwili. Przez wyżłobioną w lodowym pancerzu dziurę spoglądałem na znikający świat. Mijaliśmy owocowe drzewa lamotryginy, pod którymi tłumy szalonych konsumentów łapczywie pochłaniały kolejne porcje pokłosa magicznych roślin. Tuż obok drogi rosły wesoło–agresywne kwiaty krzewów trunkowych. Czołgali się pod nimi bełkoczący mieszkańcy oddziałów detoksykacyjnych kaleczący swoje wysuszone jęczory o szklane kolce wykwitów spękanej ziemi. Za zakrętem droga przechodziła w dukt wielopasmowy, a w przestrzeni niedostępnej dla ruchu kołowego płynęły czekoladowo–lodowe rzeki. Ludzie kąpiący się w ruczaju mieli na głowach krwawe czepki z niezrozumiałym w swym znaczeniu napisem „zażeracze porzuconych wspomnień” Droga kończyła się w zakolu spiętrzonego strumienia. Z podskakującego bruku wjechaliśmy na nieodśnieżoną drogę zasypaną jeszcze od ubiegłej zimy białym puchem. Przejrzysty szyberdach opadł na ramionach wozu ukazując przede mną zaskakujący widok okraszony polami porośniętymi kłosami makowiny.

Wśród takich pól przed laty nad brzegiem ruczaju
 Na pagórku niewielkim, w upalonym gaju
 Stał dwór baby i dziada, z drzewa, lecz podmurowany
 Świeciły się z daleka oszronione ściany

– Nie patrz tak! Zaraz będziemy. – brodacz odezwał się do mnie. Zbliżając się do poobijanego ganku zauważyłem krzątającą się po błotnym podwórzu jaskrawą postać w czerwonej chuście.

– Babo! – odezwał się dziad.

– Co dziadzie? – zapytała baba.

– Przywiozłem kolejnego synka. Ścielże łożę! Kartoflanki nastaw i podaj dzieciakowi kubek gorącego czaju! – wydawała komendy podstarzała głowa rodziny.

– Cicho stary. Idźże lepiej oporządzić świnie. Strawy nie dostały od raniuska samego.

Wszedłem do chaty przyglądając się z ciekawością dostrzeżonej przestrzeni. Dom składał się z dwóch części. W pierwszej znajdowała się gliniana kuchnia napędzana cyklicznie podsuszonym chrustem. Przy kuchni stał drewniany stół otulony rzeźbionymi krzesłami. Rzuciło mi się w oczy, że było tam bardzo brudno. W drugim pokoju zauważyłem na ścianach dziwne brunatne plamy wychylające swe kształty zza przerażających obrazów. Na pierwszym widniała postać zastygłej w bólu twarzy przekłutej na wylot ołowianym koleczykiem. Pod dziełem widniała tabliczka „synek, który poszedł w świat wiosną dziewięćdziesiąt cztery”. Na frontowej ścianie wisiało poźółkłe zdjęcie brunetki z twarzą anioła. „Virginia – córka od wilków uwielbiająca wzburzone wody rzeki Ouse.” Wyjaśniała inskrypcja. Dalej facet z cygarem – „Najdroższy T.S.” „Ernest który uwielbiał kubańskie cygara” i „Brutalny Poe”. Na samym końcu ściany wisiała pusta rama czekająca na zdjęcie kolejnego dziecka. Baba zawołała mnie do stołu częstując smacznym drożdżowym wypiekiem, a po pożywej kolacji udałem się na zapieckowe łoże wdając się w długą dyskusję z panem Morfeuszem.

Mieszkałem już miesiąc u dziadów i nie chciałem stamtąd wyjeżdżać nigdy. Bawili mnie ci skromni lecz zgryźliwi względem siebie ludzie. On zasiadał przed domem, żuł tytoń i kwitował westchnieniem każdą wypowiedź kobieciny.

- Ty, dziadu. A jak odejdzie? – często pytała męża.
- Eee! – kwitował wypluwając w wymowny sposób wyrzuty tytoń.
- Dziadu. Może teraz? – dodawała zniecierpliwiona.
- Eee! Jeszcze nie pora. – odpowiadał.

Baba bardzo rzadko się do mnie odzywała. Swoją miłość wyrażała poprzez nieustanne oporządzanie mojej osoby.

– Napij się pigwowego czaju. Masz. Masz. Mizernie wyglądasz – biegała za mną z kubkiem pełnym gorącej cieczy.

– Pierzynkę popraw sobie. Nie chcielibyśmy z dziadkiem abyś się przeziębił. – troskliwie poprawiała pościel kiedy podczas snu wystawiałem nagie stopy

Dziada widywałem tylko wczesnymi porankami lub późnym wieczorem. Wyjeżdżał gdzieś połamana furmanką znikając za śnieżnym horyzontem. Gdy wracał odprowadzał konia do stajni i za-

mykał się w niej na parę godzin. Oboje bardzo strzegli tego miejsca. Kiedyś, gdy przybrana matula straciła czujność wyrwałem się z drewnianej chaty.

Do stajni dostałem się przypadkiem. W zasadzie nie chciałem podglądać ukochanego dziadunia, ale stało się. Delikatnie popchnąłem skrzypiące drzwi. Zrobiłem pierwszy krok, potem drugi. Powietrze zawirowało i z niespotykaną prędkością postawiło mnie na środku sali. Zobaczyłem go przerażająco zimnego. Nie był już tym samym plującym tytoniem starszym panem. Na sobie miał czarny mundur z czasów wojny i okupacji. W prawej ręce dzierżył skórzany pejcz. W lewej trzymał grubą linę zaplecioną w szubieniczny węzeł.

– Co tak patrzysz?! – darł się przez zachrypy megafon. Wokół specyficznej sceny tańczyły nakręcane mechaniczne lalki.

– Dzyń, Dzyń, Dzyń. Płyn osoczu płyn. Główka w pętelkę włóż, spiesz się już, już. Czekają braciszki. Siostrunie czekają. Dziad i baba, baba dziad szczęście wszystkim dają – z mechanicznych ust płynęły dźwięki tonem przypominające odgłos kościelnych dzwonek zwiastujących podniesienie hostii. Po chwili do lalek dołączyły się chichoczące klauny.

– Hi!Hi!Hi! – baba smacznie śpi. Ha!Ha!Ha! niech misterium trwa. Ho!Ho!Ho! co się patrzysz, co? Uchu ha, uchu ha, zima ciągle trwa. Nie doczekasz wiosenki, słuchaj tej piosenki – piskliwy skowyt doprowadzał do wrzenia membrany uszne. Z sufitu zleciała chmara pachnących trupim jadem końskich much.

– Bzy! Bzy! Teraz ty. Bzy! Bzy! Niech śpiewają głodne psy. Dopelnij dzieła dziada. Tak ogłasza much gromada. – pulsował w mózgu budzący grozę trzepot przezroczystych skrzydeł.

Leżałem skulony na klepisku, a staruch smagał mnie batem. Unosząc głowę zobaczyłem u bram stajni babuleńkę ubraną inaczej niż zwykle. Jej strój miał w sobie coś odświętnego. Na głowie zamiast codziennej chusty miała wysoki czerwony cylinder. Garbate ciało przykrywał karminowy płaszcz, z którego wystawała pozłacana kosa. Nie wiedziałem wcześniej, że kobiecina ma uzdolnienia muzyczne. Kręcąc korbą katarynki zawieszanej u szyi idealnie wstrzeliwała się dźwiękiem w dziadowe krzyki. Podeszła do mnie.

– Synku musisz słuchać dziadka. Podejź do niego. Weź linę i okryj się pętlą tak jak ja okry-

wałam ciebie wydzierganym szaliczkiem podczas słotnych wieczorów. – wyszeptła czule do ucha. Strach zniknął jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Poczułem nieodpartą chęć dostąpić wyróżnienia ze strony moich opiekunów.

– Chcesz na wieki pozostać w ramach ostatniego obrazu?– zapytała kobiecina.

– Chcę. Bardzo chcę. – odrzekłem czułym przytłumionym głosem.

– „Umiłowany Bartosz literat opuścił dom w pępowinowym uścisku”; tak będzie wyglądało nasze wspomnienie o Tobie najdroższy – tkliwie obwieściła wieczna różana starowinka. Założyłem pokornie upleciony precyzyjnie szal. Wziąłem do ręki płaską końcówkę przewieszając ją przez wystającą z sufitu belkę. Mechaniczne laleczki, klauni i muchy zastygły w półoddechu. Szedłem jak Napoleon ruszający w swój ostatni rejs na Wyspę Świętej Heleny.

Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę,

Będziem Polakami.

Dał nam przykład Bonaparte,

Jak zwyciężać mamy.

Zamknąłem zmęczone oczy. Spojrzałem może po raz ostatni na świat i pewnym krokiem stanąłem na drewnianym stolku. Otworzyły się podgniłe drzwi stajni.

– Hej! Dziadowie. Nie tak szybko. Nie taka była umowa– podniosła larum wirująca kobieta wpadając w samo centrum kończącego się rytuału. Ubrana była w lateksowy strój podkreślający nienaganną figurę. Spływające na ramiona złote włosy muskały zalotnie moją twarz. Ogarnął mnie rozrywający trzewia zachwyty.

– Zostawcie go, przebrzydli emeryci! Zabiorę go do krain szczęśliwości, gdzie płyną rzeki pożądania, a wszystko co żyje śpiewa pieśni uwielbienia. – zakomunikowała.

Baba z dziadem zamilkli siadając w najdalszym kącie sali. Tkwili w przestrachu jak poranne lilie odczuwające na swych delikatnych łodygach objęcie przenikliwej mgły. Bogini podeszła do mnie i czule całując usta wyszeptła.

– Nazywaj mnie ciotką Mańką. Teraz jesteś cały mój. Oddaj się całkowicie, a uczynię cię kró-

lem doznań.

Zdjęła z mojej szyi lniany krawat składając pocałunek na obtartej szyi. Rozpostarła anielskie skrzydła i uniosła na wyżyny ekscytacji.

– Gdzie chciałbyś lecieć? – zapytała.

– Przenieś mnie na tętniącą artystycznym życiem katalońską La Rambla. Chcę poczuć smak gorącego słońca okalającego fenickie wybrzeże. W powietrzu dostrzec motyli taniec i zaznać największych cielesnych rozkoszy. – wyznałem Mańce najszybsze pragnienia.

– Będzie jak zechcesz – odpowiedziała przenosząc się w ułamkach sekund na wymarzoną przestrzeń przyjemnie rażącą blaskiem ulicznych latarni.

Podążałem z cioteczką przez najsłynniejszą aleję niezasypiającego miasta czując na twarzy podmuch orzeźwiającej bryzy. Żywe posągi kłaniały mi się w pas, a złoty Krzysztof Kolumb witał mnie z wysokiego postumentu. Na końcu alei ujrzałem niebiański Palacio Güell. Futurystyczny budynek zaszczeplił w mojej głowie bycie w wolności jeszcze większe niż bytowanie zaginionego gdzieś pod kołami tramwaju Antonio Gaudiego. Ciotka wpijała się w szyję językiem słodkim jak dojrziała brzoskwinia. Spłynęła na mnie fala miłowania tak wielka jak szczyt Mount Everest. W pewnym momencie Mańka odeszła ode mnie, oznajmiając

– Nie martw się, płomienny kochanku. Idę się przywitać z dawno niewidzianym uczniem. Zaraz wracam.

Odprowadziłem cioteczkę stęsknionym wzrokiem. Poczułem nieodpartą chęć bycia przy niej. Pobiegnę więc, tuż za lateksowym ciałem uwielbionej kochanki, w kierunku wielobarwnej zacisznej ulicy. Mańka podeszła do gościa lubieżnie wijącego się w ramionach dwunastu dziewczyc. Jego twarz tętniła wiecznym nienasyceniem. Spijał alkoholowe nektary liżąc raz za razem ciała niewiast spalających się na jego widok. Spojrzałem na tętniący rytmem adrenalinowego serca neon.

– „PJ Zardoz, PJ Zardoz, król seksualnego miłowania” – wołały rytmicznie błyskające światła.

Panno święta, co Jasności pożądania bronisz

Dziewice dajesz w Bramie! Ty, co gród namiętny
Kataloński ochraniaś z jego wiernym ludem!

Mańka utuliła Zardoza i odchodząc zapytała.

- Czy jesteś nareszcie usatysfakcjonowany? Czy chcesz tak pozostać na wieki?
- Tak! Tylko tego pragnę! – wydzierał się podczas szczytowania z kolejną dziewczyną.

Wracając do mnie spojrzała ostatni raz uśmiechając się dumnie na rozanielonego PJ.

- Zaprowadzę cię teraz gdzie doznasz najwyższych uniesień. Podążaj za mną – rzekła chwytając mnie za spragnioną czułości rękę.

Nie kłamała. Przed moimi oczami ukazało się ekstatyczne misterium. Roztańczone fontanny unosiły się ponad ziemią przywołując wibrujący zapach ulicznych kobiet udających się na wieczorne polowanie.

– Chciałabym tobie kogoś przedstawić. Chcesz? – zapytała ciotka. Skinąłem twierdząco głową. Mańka podeszła do dziewczyny śpiącej na kwiecistym dywanie. Spała niewinnie uśmiechając się słodko reagując w ten sposób na niesamowite sny. Dobra ciotunia podeszła do kobiety i gładząc ją po ręce wybudziła z niebiańskich marzeń.

– To jest Zagadka. Poznajcie się – zagadnęła jak prawdziwy gospodarz przyjęcia. Dziewczyna przeciągnęła się wstydliwie. Na jedwabnych policzkach pojawił się delikatny rumieniec. Przyjrzałem się dokładnie świetlanemu serafinowi. Ponętne usta zapowiadały nadejście lekko zadartego noska. Na ramiona spływały włosy falujące w rytm oddechu morza. Zagadka była fascynująca. Największy mój podziw wzbudziły przypominające koralową rafę oczy. Było w nich coś bagiennego. Uśmiechały się filuternie jednocześnie pochłaniając niczym nieodgadnione bagno urzeczonego wędrowca.

- Chciałbyś aby cię pochłonęła? – postawiła pytanie lekko zazdrosna Mańka.
- Nie wiem. Jeszcze nie wiem. – odrzekłem z wahaniem w głosie. Na twarzy ciotki zauważyłem złość.

– Tylko ja mogę być Twoją uwielbioną.! Nie toleruję zawahania! Nic cię nie nauczył widok

PJ Zardoza! Niewdzięczny kochanku! Musisz ponieść karę! – krzyczała nieustannie zdenerwowana lateksowa pani. Powietrze zawirowało. Świat nagle zniknął. Moją głowę ogarnęła niczym niewytłumaczalna amnezja. Upadłem. Obudziłem się na wychłodzonym bruku pokrytym pierwszym listopadowym śniegiem. W oddali słyszałem dźwięk niezrozumiałych okrzyków

– Wio! Szybciej! Wio!

Paweł Różycki

WYZNANIE

Dzień miał się ku końcowi, a ponieważ nie chciałem kontynuować mojej wędrówki nocą, postanowiłem zboczyć z głównego szlaku i skierowałem swoje kroki w stronę przydrożnej karczmy, którą wskazał mi najprędzej napotkany drogowskaz. Przed przekroczeniem progu zdjąłem kaptur i otrzepałem buty, by nie nanieść ziemi do środka i nie przysparzać właścicielowi zbędnych kłopotów. Wewnątrz nie było nikogo prócz oberżysty, zajmującego się leniwie myciem naczyń. Podszedłem więc niepewnie do lady i spytałem go czy mógłbym zatrzymać się tutaj na noc. Rzucił mi bardzo nieprzyjemne spojrzenie, jak gdybym był intruzem, i burknął, że będzie to kosztować dwadzieścia złotych monet. Niespiesznie wyjąłem z mojego mieszka podaną kwotę i wręczyłem ją gospodarzowi. Ten natychmiastowo odłożył szmatkę i poszedł do pokoju obok. W oczekiwaniu na niego rozglądałem się po pomieszczeniu, zwracając uwagę na kominek, przy którym czym prędzej chciałem się ogrzać. Właściciel wrócił po chwili i dał mi klucz do pokoju, który znajdować się miał na górze, zaraz przy schodach. Pomimo niezbyt ciepłego przyjęcia, z uśmiechem na twarzy podziękowałem za wydany mi klucz i poprosiłem, by nalano mi wina, z którym to, po zapłaceniu pięciu kolejnych monet, usadowiłem się przy kominku. Wlepiając wzrok w buhające płomienie, zacząłem zastanawiać się, jak daleko droga jeszcze przede mną. Był to trzeci dzień mojej wędrówki do klasztoru Benedyktynów ukrytego w górach, które codziennie widziałem daleko na horyzoncie z okna mojego domu. Około trzech miesięcy przed opuszczeniem rodzinnej miejscowości, nawiązałem kontakt z jednym z zakonników, który po wymianie parunastu listów ze mną, zaproponował dołączenie do klasztoru. Jako, że nic nie trzymało mnie w domu oraz odczuwałem znużenie codziennością mojego miasteczka, żywo przystałem na tę ofertę i wyruszyłem w drogę dwa dni po nadaniu wiadomości o moim, jak miałem nadzieję, rychłym przybyciu. I o ile dotychczasowa droga nie obfitowała w żadne niezwykle wydarzenia, z racji nie napotkania ani jednej żywej duszy bezpośrednio na szlaku, o tyle to, co miało mnie spotkać następnej nocy, do dziś wywołuje we mnie nieodpartą grozę i szczerze niedowierzanie

w realność tamtejszych wydarzeń. Z moich kalkulacji czasu pozostałej podróży, wyrwał mnie starszy człowiek, który, jak mniemam, zszedł po cichu z góry. Spytał kim jestem, jaki jest cel mojej wędrówki i czy nie boję się sam podróżować na skraju lasów i nieopodal jaskiń skrywających w swoich mrokach przeróżne tajemnice. Zaprzeczyłem, na co staruszek zrobił zdziwioną minę, wyrażającą jego przeżenie moim brakiem obaw. Oznajmił, że wielu samotnych wędrowców zniknęło bez śladu na tym konkretnym szlaku w ostatnim czasie. Dlatego też sam rzadko wychodzi z gospody, a już na pewno nie robi tego po zmroku. Odpowiedziałem, że moja obecność tutaj wynika właśnie z troski o moje bezpieczeństwo. Od dziecka odczuwałem lęk przed ciemnością i mimo stosunkowo racjonalnego światopoglądu, staram się przebywać nocą w zamkniętych pomieszczeniach, najlepiej przy świecy, by uniknąć jakichkolwiek wyglupów mojej wyobraźni. Jednak starzec nadal kontynuował swoje co raz to bardziej chaotyczne ostrzeżenia, na co nie omieszkał zareagować oberżysta, zaciągając natrętnego człowieka do jego pokoju. Powiedziano mi, że staruszek jest rzekomo wariatem, na co byłem w stanie przytaknąć. Później jednakże, leżąc już na łóżku w wynajętym pokoju, uświadomiłem sobie, że istotnie, parę wysłanych przeze mnie listów nigdy nie dotarło do klasztoru, a w centrum mojego miasteczka można było usłyszeć o ludziach, którzy wyruszając do innych miejscowości, nie wracali do swoich rodzin. Poczulem stopniowo narastający niepokój, który nie dał mi spać przez kolejną godzinę. Nazajutrz nie odczuwałem już jednak żadnych obaw.

Z samego rana wyruszyłem w dalszą drogę, zostawiając klucz w drzwiach do pokoju. Około południa dotarłem do rozwidlenia. Czułem pragnienie i głód, którego nierozważnie nie zaspokoilem rankiem, dlatego obrałem za cel niewielką miejscinę, mającą znajdować się kilometr na wschód. Byłem na miejscu po kwadransie. Całość odgrodzona była od świata dość wysokim płotem z pali, skutecznie skrywającym swoje wnętrze. Strażnik bramy wpuścił mnie bezproblemowo, z wyraźnym zadowoleniem z mojego przybycia. Polecił, bym skierował się do gospody, którą pokazał palcem. Znajdowała się ona na samym końcu ulicy, po prawej stronie. Podziękowałem za informację i niezwłocznie udałem się we wskazane miejsce. Jednak już po paru krokach uderzyła mnie szarość tego miejsca; niewielkie domki stojące praktycznie w ruinie, niektóre z oknami zabitymi deskami, rozkładające się zwłoki psa, na których to muchy urządziły sobie ucztę. Sporadycznie napotykałem przeze mnie mieszkańcy leniwie wykonywali codzienne czynności i nie zwracali na mnie uwagi. Trochę mnie to dziwiło, ponieważ tworzyli zastanawiający kontrast z pełnym optymizmem i życzliwością strażnikiem bramy. Podobny nastrój panował w karczmie. Klienci ze spuszczoneymi głowami jedli to, co

mieli na talerzach bądź pili w odosobnieniu, po kątach. Moje przybycie dostrzegł jednak właściciel dobytku i posłał w moim kierunku swoją pomocnicę. Dziewczyna, osoba młoda, będąca prawdopodobnie w moim wieku, nie ukrywała swojego zadowolenia, co róz puszczając mi zalotne spojrzenia w czasie obsługiwania mnie. Czułem się przez to odrobinę niezręcznie. Jej zachowanie było zupełnie odmienne od tego, które można było zaobserwować u pozostałych. Przeszło mi przez myśl, że odczuwała żądzę, co, patrząc na wiek wszystkich innych ludzi, których spotkałem w miasteczku i porównując go z moim, wydało mi się całkowicie zrozumiałe. Jednak ani ja, ani ona nie wykazaliśmy dalszej inicjatywy, dlatego po zapłaceniu za posiłek, spokojnym krokiem opuściłem lokal i udałem się w kierunku bramy. W połowie drogi usłyszałem głos dobiegający z boku. Odwróciłem się we właściwą stronę i ujrzałem człowieka przyzywającego mnie gestem ręki. Stał w alejce między dwoma domkami i jak tylko zobaczył, że zacząłem się do niego zbliżać, schował się za jednym z nich. Tylne drzwi budynku, za którym zniknął były otwarte, więc wszedłem do środka. Wewnątrz panował straszliwy odór stęchlizny i potu. Jedyne meblami były dwa krzesła i niewielki stolik znajdujący się na środku pokoju. Lniane posłanie walające się w kącie służyło prawdopodobnie za łóżko. Nieznajomy człowiek złapał mnie oburącz i z oblędem w oczach począł kazać mi uciekać i nigdy nie wracać do miasteczka. Próbując zachować spokój odparłem, że dokładnie tak zamierzałem uczynić, dopóki on nie wezwał mnie do siebie. Przypomniałem sobie w tym momencie słowa starca, który tak usilnie ostrzegł mnie przed różnymi aspektami podróży. Dopiero wtedy dotarło do mnie, że rzeczywiście grozi mi niebezpieczeństwo, namacalne, choć wciąż do uniknięcia. Poczulem strach pomieszany z gniewem, że zostałem tutaj zupełnie niepotrzebnie zatrzymany i ostrzeżony przed czymś, co z każdą chwilą groziło mi co raz bardziej, a co mogłem zostawić za sobą dobrą chwilę wcześniej. Wyrwałem się z uścisku człowieka i szybkim krokiem wyszedłem z jego domu. Przez resztę drogi do bramy czulem, jak serce bije mi coraz mocniej i szybciej. Wrota zagroził mi strażnik oznajmiając, że nie może mnie wypuścić, ponieważ podróżowanie o tej porze byłoby dla mnie niebezpieczne. Odrzekłem, że to niedorzeczne, jednak osiłek był nieubłagany. Pokazał swoim paluchem coś z moimi plecami, na co odruchowo zareagowałem odwracając się. Słońce majaczyło na horyzoncie i robiło się ciemno. Nie wierzyłem własnym oczom, nie byłem w stanie zrozumieć, jak to możliwe, by zmrok zapadł tak szybko. Wiedziałem, że moja sytuacja nie wygląda dobrze i nie uniknę tego, co ma nadejść. Z niekrytym przerażeniem spojrzałem na strażnika, na którego twarzy cały czas malował się uśmiech. Ruszyłem w przeciwnym kierunku, w głąb miejscowości, co chwilę oglądając się za siebie. Próbowałem dostać się do domku człowieka, którego spotkałem w alejce, jednak bezskutecznie. Na moje pukanie, a na-

stępnie nerwowe dobijanie się do drzwi odpowiadała cisza. W przypadku pozostałych domków sprawa wyglądała podobnie. Z trwogą udałem się do gospody, gdzie próbując ukryć wszelkie przejawy lęku, wynająłem pokój, do którego poszedłem szybkim i zdecydowanym krokiem w chwili, gdy dostałem klucz. Zamknąłem się od wewnątrz, zasłoniłem okno i zastawiłem niewielką szafką drzwi. Usiadłem na łóżku i nieprzerwanie patrzyłem, czy nikt nie próbuje wejść do środka. Nie mogłem zasnąć, bo wtedy byłbym na pewno zgubiony. A tak miałem jeszcze jakąś szansę na ujście z tego wszystkiego żywym. Próbowałem uporządkować myśli, zrozumieć, zastanowić się nad sytuacją, w której się znalazłem. Może sobie to wszystko wmówiłem pod wpływem bełkotu starca i obłąkanego mieszkańca osady. Może nikt nie czyha na moje życie, nie planuje mnie okraść a jedynie troszczy się o moje bezpieczeństwo. Bo i jakie powody mieliby ci ludzie, by wyrządzić mi krzywdę? Wszystko działo się nienaturalnie szybko i nim doszedłem do jakichkolwiek wniosków, usłyszałem dobijanie się do drzwi. Rzuciłem się ku nim, jednak za późno. Jakaś postać zdążyła wdrzeć się do środka i mnie ogłuszyć. Ocknąłem się związany, leżąc na ziemi. Słyszałem jedynie dziwaczne pojękiwania, wzrok nadal miałem zamroczony, świadomość nie odzyskaną w pełni. Głęboki, lekko ochryply głos wydał polecenie rozwiązania i podniesienia mnie, co też uczyniono. Stałem na nogi cały czas pozostając w uścisku osoby, która mnie podniosła i moim oczom ukazał się odrażający widok. Okazało się, że jestem na cmentarzu, a na kamiennym ołtarzu parę kroków przede mną leżały zwłoki jakiegoś mężczyzny będącego w początkowym stanie rozkładu, natomiast między jego nogami dziewczyna znana mi z gospody uprawiała stosunek oralny, co chwilę odgarniając swoje długie, kruczoczarne włosy. Ten sam głęboki głos odpowiedzialny za poprzednie polecenie zwrócił uwagę dziewczyny na mnie. Ta uśmiechnęła się i pospiesznie zrzuciła trupa z ołtarza, robiąc miejsce dla mnie. Jakież było moje zdziwienie, gdy usłyszałem nieludzkie odgłosy dobiegające ze strony zwłok. Pozwolono mi na nie spojrzeć i w świetle księżyca zobaczyłem dokładnie, że trup jest mokry, jest w paru miejscach nadgryziony, a jego członek jest praktycznie oderwany od reszty ciała. I pomimo tego, że ktoś w takim stanie nie jest w stanie egzystować i z pewnością umarł już jakiś czas temu, ten człowiek żył i wił się na ziemi próbując wstać. Wszystko to wydało mi się tak odrealnione, że zakwestionowałem swoją istnienie w tamtym miejscu i czasie. Nie byłem w stanie ogarnąć natłoku myśli, które powstały wśród fali przerażenia, paraliżującej mnie całkowicie. Czy ja też miałem stać się czymś takim i służyć za przedmiot do bliżej nieznanym mi celów prócz takich, których przykład miałem okazję zobaczyć na własne oczy przed chwilą? Stało się dla mnie jasne, że jeżeli nie spróbuję ucieczki teraz, to już nigdy nie będę miał ku temu okazji. Zebrałem w sobie wszystkie siły i resztki spokoju psychicznego

i nadepnałem na stopę postaci, która mnie trzymała. Okazał się nią nie kto inny, jak strażnik bramy, którego doprawiłem porządnym kopniakiem w twarz, w którą z łatwością trafiłem przy okazji jego schylenia się z bólu ku stopie. Dziewczynę odepchnąłem w stronę zwłok, które niezwłocznie zaczęły, ku mojemu zaskoczeniu, atakować ją, wgrzyzając się w szyję i przechodząc do konsumpcji twarzy. Wszystko w straszliwym akompaniamencie odrealnionych krzyków bólu i pojękiwań. W oddali zobaczyłem zakapturzoną postać uciekającą w stronę lasu i już miałem ruszać w pogoń, kiedy to zobaczyłem łopatę leżącą przy jednym z grobów. Podniosłem ją i bez dalszego zastanowienia podszedłem do strażnika i zacząłem uderzać go najpierw po nogach, a następnie po głowie. Nie przestałem nawet gdy wiedziałem, że nie żyje, nawet gdy jego czaszka pękła i z otworu zaczęła wypływać krwawa papka. Po parunastu uderzeniach nie było już czego zbierać, wszystko, co tworzyło niegdyś głowę ludzkiej istoty leżącej u moich stóp, było zmiażdżone w drobny mak, ale ja nadal waliłem łopatą w to samo miejsce, uderzając już jedynie o czerwoną trawę. I gdy w końcu przestałem, gdy ostatecznie opanowałem swój szaleńczy gniew, do moich uszu dotarł dźwięk mlaskania, dobiegający zza moich pleców. Nie odrywając wzroku od ziemi, powoli się odwróciłem. Truposz znajdował się teraz w pozycji siedzącej i łapczywie pałaszował surowe mięso ociekające świeżą krwią. Z twarzy dziewczyny nie zostało praktycznie nic prócz resztek tkanek oplatających kości czaszki. We jej włosach znajdowały się resztki mózgu, który został niechlujnie wyciągnięty z głowy martwej. Byłem już wtedy w stanie całkowitej apatii i oderwania od rzeczywistości. Straciłem resztki kontroli nad sobą i bezwiednie zaatakowałem żywe zwłoki moją łopatą. Odciałem im ręce, nogi i głowę, które nawet po odłączeniu od korpusu nadal funkcjonowały. Usiadłem koło jednego z grobów i nie przestałem przyglądać się temu niezwykłemu zjawisku. Zatraciłem poczucie czasu i nie wiem jak długo trwałem w moim otępieniu. Już nad ranem wstałem i wykopałem głęboki rów, do którego wrzuciłem wciąż drgające części ciała. Wolnymi, ciężkimi ruchami zakopałem je i wbiłem łopatę w ugniecioną ziemię. Spojrzałem jeszcze raz na dwa zmasakrowane ciała leżące koło mnie i wybuchłem niekontrolowanym płaczem. Skopałem oba truchła rycząc przy tym nieludzko i potępiając ich właścicieli.

Teraz, dwadzieścia lat później, jestem duchownym we wspomnianym klasztorze. Poza tym jednym, jedynym razem, nie przekroczę jego murów już nigdy. I choć nadal nie potrafię sobie jakkolwiek wytłumaczyć niezwykłego zjawiska, którego byłem świadkiem, to wiem, że jego wspomnienie żyć będzie ze mną już do końca moich dni i nie da mi odczuć ani jednej chwili całkowitego wyciszenia duchowego. Zawsze będzie się plątać wśród myśli najzwyczajszych i najwznioślejszych. Będzie

podążać za mną z każdym, pojedynczym krokiem, gdziekolwiek bym nie poszedł. Są na tym świecie rzeczy, o których filozofom się nie śniło - ja byłem ich świadkiem. Problem w tym, że ja jestem jedynie narratorem i bohaterem opowiadania. Tylko i wyłącznie opowiadania.

Robert Bączkowski

RUNDKA

Kropiło.

Kiedyś nie wierzył za bardzo w złe znaki, omeny, przesady. To było lata temu.

Teraz, gdy zaczęło padać dokładnie w chwili, w której skręcił za znakiem z nazwą miejscowości stanowiącej kres jego podróży, wiedział, że jest na właściwym tropie.

Deszcz. Zawsze zaczyna się od deszczu. Nawet zimą.

*

Wcześniej jest jeszcze telefon. Nie tak dawno bał się dźwięku dzwonka. Na swoim starym, cudem jeszcze działającym siemensie mógł ustawić choćby i najweselszą wbudowaną melodyjkę – „Odę do radości” w wersji midi, plującej Beethovenowi prosto w twarz – a i tak jego plecy przebiegał dreszcz za każdym razem, gdy zagrała. W końcu i tego przestał się lękać. I tak stracił już wszystko. Co zmieni jeszcze jedna rozmowa z kolejnym roztrzęsionym nieznajomym, który stara się nie brzmieć jak wariat.

Zawsze to samo. W domu straszy. Przesuwają się meble. Żarówki mrugają jakby chciały coś przekazać alfabetem Morse’a. Telewizory i komputery włączają się i wyłączają. Wszystko jak w kiepskim horrorze. Tak więc mieszkańcy zapraszają sąsiadów czy znajomych żeby upewnić się, że to nie ich wymysł. Albo chcą sprawdzić, czy duchy uspokajają się przy obcych. Nie, nic się nie zmienia. Chyba, że przyjdzie się z kamerą. Raz zamiast niego wezwali telewizję. Państwo dziennikarstwo czekało pięć godzin, ale nic z tego. Następnego dnia straszenie trwało dwie godziny. Telewizja nie przyjechała. Szkoda im było czasu. Wreszcie mieszkańcy zadzwonili do niego.

Co ciekawe, to zawsze trwa jakąś jedną, konkretną godzinę i powtarza się co dobę. Kiedy dokładnie? Tu bywa różnie. W końcu zauważył, że zawsze za dnia. Jeszcze nigdy straszenie nie miało miejsca między szesnastą a ósmą rano. Nawiedzani wnioskowali, że ta konkretna godzina musiała coś dla ducha znaczyć. Że to godzina jego śmierci albo co. On wiedział lepiej, choć nie był w stanie znaleźć żadnej reguły. Pełna losowość. Domyślił się tylko, że „duch” nie chce odbierać ludziom snu ani utrudniać im znanego życia. Nie o nich mu chodziło.

Jak na niego trafiali? Musiał o to zapytać. Pytał za każdym razem. Niestety, tu też nie mógł doszukać się prawidłowości. Ot, trafili na ogłoszenie w gazecie – zamieszczał je czasem, choć nieregularnie. Albo jakiś znajomy usłyszał coś kiedyś i poradził się skontaktować. Albo mieszkańcy przechodzili obok jego bloku i postanowili spróbować. Przestał jednak wierzyć w skuteczność swojej reklamy. W samej Warszawie byli pogromcy duchów i egzorcyci dużo bardziej poważani niż on. Najczęściej od jego biura było daleko do miejsca nawiedzania. Mimo tego to zawsze on trafiał na miejsce. Nigdy nie odmawiał. Gdy spróbował zlekceważyć sprawę, dawno, za pierwszym razem; po paru dniach przypadkiem trafił w gazecie na nekrolog małżeństwa, które poprosiło go o pomoc. Nie o nich chodziło „duchowi”, to prawda; mimo to bez wahania poświęcił ich w imię przekazu.

Od wtedy nie mógł odmówić, choć wiele razy chciał.

Jego życie zmieniło się w jałową egzystencję od interwencji do interwencji. Nic więcej robić nie musiał – na dobrą sprawę był w stanie wyżyć tylko z tego. Tak jakby „duch” zapewniał mu stabilny byt po kres jego dni. Albo sił.

Sam nie wiedział, co skończy się pierwsze.

*

Zapomniał nazwę wsi dziesięć sekund po tym, jak minął tabliczkę. Deszcz wyrzucił mu ją z głowy. Zresztą miał wrażenie, że przez te wszystkie lata zdążył już zwiedzić całe Mazowsze i okolice. Jeździł raz dalej, raz bliżej. Jedna nazwa mniej czy więcej nie robiła mu żadnej różnicy.

To wszystko dawno zmieniło się w rutynę, przy całej swojej nieprzewidywalności. Mimo tego, że każdy raz mógł się okazać tym ostatnim.

Droga z asfaltowej przeszła w polną kilkaset metrów za skrzyżowaniem z trasą. Uniósł brwi i wykrzywił usta w niesmaku. Było jeszcze dosyć sucho, ale droga powrotna zapowiadała się okrop-

nie, zwłaszcza że deszcz nasilał się z każdą sekundą. Zanim, kierując się danymi mu wcześniej przez telefon wskazówkami, skręcił w odpowiednią dojazdówkę, rozpadało się już zupełnie. Jak zwykle. Raz zeszłego lata przez cały suchy tydzień padało dokładnie jedną godzinę: tę godzinę. Później wolał nie sprawdzać, jak i czy tłumaczono to w wieczornym serwisie pogodowym. Dzisiaj przynajmniej od rana zbierało się na deszcz, więc opady wyglądały naturalniej. Listopad to listopad. Zresztą rok temu o tej porze leżał już śnieg.

Wjechał przez otwartą bramę. Na podwórku najwyraźniej świeżo wyremontowanego domu stał, jakby dla kontrastu, zdezelowany polonez. Z daleka słyhać było ujadanie psa, który na szczęście okazał się być na łańcuchu. Bestia niemożliwej do zidentyfikowania rasy nie dawała za wygraną. Przybysz, upewniwszy się, że nic mu ze strony bydlaka nie grozi, zatrzymał się koło poloneza, wyłączył silnik, odpiął pas, nasunął kaptur swojej zielonej kurtki przeciwdeszczowej i czekał. Szczekanie nie ustawało.

Przyjrzał się skapanemu w deszczu i błocie podwórzu. Psia buda znajdowała się przy bramie, którą wjechał. Na całej długości po obu stronach stały pozamykane obory, chlewy, kurniki – wszystko rozmieszczone bez jakiegoś jasnego schematu. Na końcu, naprzeciw wjazdu, stała spora stodoła; przez lekko uchylone drzwi widział coś, co najwyraźniej było schowanym pod plandeką traktorem. Obok budynku była druga, nieco węższa brama, prowadząca na pole.

Zaczynał się lekko niecierpliwić, gdy w końcu z drzwi wysunęła się głowa, a potem reszta ciała gospodarza. Mężczyzna stanął na schodkach przed wejściem, osłonięty daszkiem. Miał na sobie szary sweter w misterne wzorki, znoszone džinsy i brązowe kapcie. Na oko wydawał się mieć koło pięćdziesiątki, choć ciężko było przyjrzeć się dokładniej jego twarzy przez zacinający deszcz. Zawołał gościa do siebie zapraszającym machnięciem ręką. Przybysz westchnął ciężko, wziął do ręki leżącą na siedzeniu pasażera czarną walizkę i wyszedł na zewnątrz, w ulewę i błoto.

– Proszę, zapraszam, dzień dobry! – zawołał gospodarz, kiedy egzorcysta znalazł się w zasięgu jego głosu.

– Dzień dobry! – odpowiedział, bezskutecznie próbując przekrzyczeć niestrudzonego psa.

Od drzwi dzieliło go może dwadzieścia kroków, ale zdążył całkiem umazać swoje czarne kałosze. Gdy interweniował gdzieś w mieście, zakładał bardziej eleganckie obuwie, ale na wsi, z jej błotem i kałużami, lepiej było nosić coś nieprzemakalnego.

Gospodarz podał mu rękę. Jak on się nazywał...?

– Witam, panie...

– Cuber, Jan.

– Panie Cuber.

– A pan jest...? Właściwie to chyba nie pamiętam...

Nic dziwnego, pomyślał egzorcysta. Nigdzie poza urzędami nie podawał swojego imienia i nazwiska. Stracił je tamtego dnia. Nie należało już do niego.

– Kowalski, Jakub – wymyślił na poczekaniu. Od razu skarcił się w myślach za swoją nieoryginalność, ale było już za późno. Zresztą bez różnicy. Tego jeszcze nie wykorzystał.

– Panie Kowalski... Bardzo się cieszę, że dał pan radę przyjechać. I to w samą porę. Zdążymy jeszcze wypić... kawę, herbatę?

– Herbatę proszę, bez cukru.

– Już robię. Spokojnie wypijemy zanim się zacznie. Jeszcze godzina niecała, o ile się nasz duch nie spieszy. Proszę tutaj kurtkę powiesić, niech schnie.

„Kowalski” dokładnie wytarł buty, po czym obaj mężczyźni weszli do niemałych rozmiarów salonu, w którym zawierała się też kuchnia i jadalnia. Wyglądało na to, że i wewnątrz niedawno odnowiono. Gościa zaskoczył niezłej klasy telewizor i mikrofalówka – sporo jeździł po wsiach i rzadko widywał tam takie udogodnienia.

Niestety, oznaczały one większe kłopoty niż zwykle.

– Najpierw się rozliczmy, dobrze? Zgodnie z umową.

*

Wypędzanie duchów to była największa lipa, jaką kiedykolwiek wymyślili. Właściwie to jedyna. Jak większość doskonałych pomysłów, i ten narodził się podczas popijawy.

Postanowili oblać zakończenie czwartego roku studiów. Chcieli zebrać jeszcze parę osób, ale z jakiegoś powodu nikt nie mógł przyjść. Zastanawiali się, czy warto upijać się we dwóch. Koniec końców poszli.

Trafili do tej knajpy, w której zwykle lądowali, kiedy to czasem po zajęciach postanowili iść na piwko. „Kowalski” bywał tam bodaj z każdym ze swojej cokolwiek wąskiej grupy znajomych z wydziału – zwykle zresztą chodzili tam w kilka osób. Jego entuzjazm do świętowania trochę opadł, gdy wszyscy po kolei wykręcili się od przybycia, ale zdążył się już nastawić na alkohol. No i jakoś dobrze

się mu gadało z Markiem.

Tego dnia właściciel nie narzekał na nadmiar klientów. Był czerwiec i przy dobrej pogodzie udawało mu się zapełnić wnętrze i ogródek, ale w piątek, nie w pochmurny wtorek w godzinach pracy. Poza dwoma studentami na zewnątrz lokalu siedział tylko starszy pan w koszuli i krawacie, powoli sączący kawę przy gazecie. W miarę konsumpcji powoli przestawali zwracać uwagę na otoczenie, ale „Kowalski” zarejestrował, że przez pewien czas poza nimi nie było nikogo. Knajpa znajdowała się przy średnio ruchliwej ulicy, więc i przechodnie nie rzucali się zbytnio w oczy. Z rzadka jednokierunkową ulicą przejechał leniwie jakiś samochód.

– No, to za rok już trzeba będzie iść do roboty, nie? Tak już na całego – rzucił w końcu „Kowalski”. Za szybko wypił te trzy piwa i zaczynał odczuwać ich skutki. Mimo tego zabrał się za czwarte, nie zwalniając tempa.

Marek nie odpowiadał. Patrzył w przestrzeń lekko pijanym wzrokiem. „Kowalski” już chciał powtórzyć pytanie, gdy zauważył, że jego kompan otwiera usta.

– Taaaaaak. Trochę mnie to dobija, wiesz. Co można zrobić po tej cholernej polonistyce? Nie wiem jak ty, ale ja nie chcę zostać nauczycielem.

Trochę późno na takie refleksje, pomyślał „Kowalski”. Sam już pogodził się z tą bolesną świadomością, choć doskonale rozumiał wątpliwości kolegi. Pięć lat studiów żeby na resztę życia utknąć w rutynie wtlaczania wiedzy niewdzięcznym gnojom? Ani trochę mu się to nie uśmiechało... ale do innej sensownej roboty przydałyby mu się jakieś koneksje, a nie miał żadnych. Zamilkł.

– Nie myślałeś o czymś bardziej ekscytującym? – przerwał ciszę Marek, wciąż tępo lustrując budynek po drugiej stronie ulicy.

„Kowalski” parsknął i wziął kolejny łyk.

– Ekscytującym. Co można zrobić ekscytującego?

– Ludzie jakoś potrafią sobie znaleźć ciekawą robotę.

– Co ty rozumiesz przez ciekawą właściwie?

Głosy lekko im się łamały. „Kowalski” doszedł do wniosku, że czas przystopować. Odłożył kufel, który trzymał w ręku. Spojrzał na swojego kompana, próbując skupić na nim swój nieco rozlany wzrok.

– No nie wiem no. Coś, co nie polega na siedzeniu za biurkiem ani poganianiu tępej dzieciarni.

– No ale co ty możesz robić? Sportowcem już nie zostaniesz. Na policjanta albo strażaka nie masz jaj. Co, biznes chcesz założyć?

Marek uśmiechnął się lekko. Ciągle tkwił w tej samej pozycji.

– Może. Jakiś mały. Nie wiem.

– Czekał... A ty nie mówiłeś, że twój ojciec jest aktorem czy jak?

– No jest.

– Nie chciałeś nigdy pójść w jego ślady?

Uśmiech zniknął z twarzy Marka równie szybko, jak chwilę wcześniej się na niej pojawił. Teraz karciał niewidzialnego rozmówcę wzrokiem.

– Dajże spokój. Nadaję się do tego jak... no. Nie wiem. Prosię do salonu czy coś tam. Już lepiej bym na księdza poszedł.

– Co? Pff. To jest według ciebie emocjonująca praca? To to samo, co nauczyciel – włączasz frazesy ludziom, którzy i tak mają je wszystkie gdzieś.

„Kowalskiemu” nie podobało się, z jakim trudem przyszło mu wycedenie tego zdania. Upił się trzema z hakiem piwami. Powinien był od śniadania zjeść coś więcej niż pół snickersa. Miał wrażenie, że Marek mógł nie dosłyszeć jego bełkotliwej wypowiedzi, ale ten niemal od razu odpowiedział:

– Pewnie, że emocjonująca! Walczysz, psia mać, z szatanem we własnej osobie!

Obaj wybuchli śmiechem. Marek kontynuował:

– No ale patrz, szacunek większy, zarobki lepsze...

– Ale gdzie to ekscytujące? Tak na poważnie.

– No mówię, walczysz z szatanem! Możesz przecież być egzorcystą. Jasne, opętane dziewczynki na ciebie rzygają, ale przynajmniej się nie nudzisz!

Znowu obustronny śmiech, tym razem trochę mniej gwałtowny.

– Egzorcystą! Człowieku, gorzej ci chyba.

– Co gorzej? Wymyśli ci banda jakichś wsiuli, że im dzieciaka opętało, a on, cholera wie, wiśniówką się opił czy co. Idziesz i masz kasę za nic. Ojciec mi pożyczy sutanny z teatru.

– No nie wiem...Trochę to głupie. Znaczą przede wszystkim... przede wszystkim za młodo wyglądamy na księży. Nie? Słyszałem kiedyś, że trzeba mieć trochę lat żeby zostać egzorcystą. Biskup decyduje, jakaś twarda selekcja. Ludzie tego nie kupią.

Na twarzy Marka resztki uśmiechu zaczęły powoli przechodzić w ponurą minę. Gdy „Kowal-

skiemu” udało się wreszcie dokończyć swoją wypowiedź, jego kolega spojrział na niego ze smutkiem w oczach. Po chwili opuścił wzrok na kufel i wziął trzy duże łyki.

– Masz rację. To nie przejdzie. Ludzie nie są takimi idiotami. Zresztą głupio księdza udawać. Jakby się rodzice dowiedzieli to chyba by mnie z domu wywalili. A przez najbliższy rok czy dwa... lepiej by było ich do tego nie zachęcać.

„Kowalski” też już się uspokoił. Zastanawiał się.

– A może... – odezwał się wreszcie – może zostaniemy pogromcami duchów?

Marek zaśmiał się pod nosem i zanucił motyw z filmu, który oglądał ostatnio przed wielu laty.

– Jeszcze lepiej. Wróćmy może do wyganiania szatana, co?

– Po co? To jest to! Idealna praca na wakacje!

Marek uderzył się w czoło. Zrobił to tak głośno, że w jego stronę odwróciła się kobieta w średnim wieku, która akurat przechodziła ulicą.

– Idealna, mówisz... Cały jesteś ochlapany ektoplazmą czy jak to się tam nazywa. Zresztą co ty myślisz, że to można tak bez przygotowania? Że sobie zakładasz biuro i o?

– Gadasz tak, bo to lepsze niż twoje egzorcyzmy!

– Dobra, jeden pies. Gadamy o jakichś bzdurach. Żenada.

Tego popołudnia nie wracali już do tematu. „Kowalski” był pijany i wiedział, że to tylko głupie, dziecinne pogaduszki, jakich pod wpływem procentów rodzą się setki. Mimo to w jego głowie zupełnie niespodziewanie zapaliła się lampka. Świeciła jeszcze bardzo nieśmiałym światłem, ale, jak się okazało, nie zamierzała zgasnąć. Była tam wciąż, gdy obudził się koło jedenastej wieczorem z niezbyt silnym, ale nieprzyjemnie pulsującym bólem głowy.

Tyle razy przeklinał tę lampkę za to, że się w ogóle pojawiła.

*

– Tak, to typowe. Duch. Nikt z pana przodków nie zmarł tragicznie? Albo jakiś były mieszkaniec? Nie popełniono tu morderstwa? Żadnych tragicznych wypadków? Nikt nie poślizgnął się pod prysznicem i się nie zabił?

Jan Cuber przyglądał się swojemu gościowi zza stołu. Egzorcysta wyglądał na jego równolatka. Na twarzy miał wypisany smutek i zmęczenie. Jego oczy przyozdabiały pokaźne wory, zupełnie jakby nie zmrużył oka co najmniej od tygodnia. Cóż, taka praca.

– Hm... Nic mi o tym nie wiadomo. Mój ojciec zmarł parę lat temu, w szpitalu, na raka. Matka... to już ze dwadzieścia lat będzie. Wypadek samochodowy. W samym domu nikt nie umarł, przynajmniej nie od lat.

– A wcześniej? Dziadkowie?

Głos przybysza był monotony, jakby pytał Cubera o dane do dowodu osobistego. Rutyniarz. Dobrze, że na niego trafiłem, pomyślał gospodarz. To był zupełny przypadek. Zwykle przecież nie kupował gazet. Tamtego dnia doszedł jednak do wniosku, że dawno niczego nie czytał. Poza tym chciał się czymś zająć w godzinie nawiedzenia, bo telewizor zawsze wtedy głupiał. Zanim się zaczęło, zdążył przeczytać wszystko, co go interesowało. Gdy przyszło co do czego, z nudów zaczął przeglądać ogłoszenia przy akompaniamencie harców gościa z zaświatów, a tam proszę – egzorcysta, tanio i skutecznie. Sięgnął po telefon zaraz po tym, jak w domu znów zapanował święty spokój.

– Nie... Też choroba. Ale chyba oni umierali tutaj, faktycznie. Tak, na pewno, oboje.

– No to może to któreś z nich. Nigdy nie wiadomo, różnie to bywa. Nawet jeśli minęło sporo lat.

– Skoro pan tak mówi... Ale czemu dziadek albo babcia mieliby mnie straszyć?

„Kowalski” siedział bokiem do stołu, zgarbiony, rozglądając się ze znużeniem po pokoju. Usłyszawszy pytanie milczał chwilę, po czym nagle uniósł głowę i pstryknął palcami. Nadal jednak nie patrzył Cuberowi w oczy.

– To może być niedyskretne pytanie, ale czy jest pan kawalerem?

– Cóż, to żadna tajemnica. Nigdy się nie ożeniłem. Teraz już w ogóle za stary na to jestem.

Przybysz zaśmiał się cicho pod nosem i wziął kolejny łyk powoli stygnącej, nieposłodzonej herbaty. Jego oczy wciąż pozostawały martwe. Cuber poczuł delikatne ukłucie niepokoju.

– Obawiam się, że może mieć pan swoją odpowiedź. Znowu będę trochę bezpośredni, ale sam pan chyba zdaje sobie sprawę, że to trochę głupia sytuacja – taki ładny dom, gospodarstwo też nie-liche, a potomka ani śladu!

– Mam siostrę, ona ma dzieci, one to odziedziczą.

– Siostrę, mówi pan. No dobrze, ale męska linia wyginie. Frustrację dziadka albo ojca da się jednak zrozumieć, przyzna pan.

Cuber obruszył się nieco. Fakt, „Kowalski” był nieco zbyt bezpośredni... ale miał stuprocentową rację. Ojciec pogodził się z sytuacją jeszcze za swojego życia, za to dziadek... Wnuczek słabo go pamiętał, ale już jako dziecko zauważył, że staruszek był niezmiernie dumny ze swojego nazwiska i gospodarstwa. No i potrafił się czasem wściec, jak nikt inny w rodzinie. Z drugiej strony, żeby po tylu latach...

– No, panie Kowalski... może i ma pan rację. Zresztą to pan tu jest specem.

– Zgadza się. Proszę mi zaufać, moja reputacja dotarła do pana nie bez powodu.

– Reputacja? No nie wiem. Po prostu znalazłem pana ogłoszenie w gazecie.

– Cóż. Skoro jako egzorcystę stać mnie na zamieszczanie ogłoszeń w gazecie, to chyba znaczy, że jestem w tym dobry. To nie tak, że codziennie kogoś opętuje demon, proszę mi wierzyć. Ogólnie rzecz biorąc, ciężka praca i psia płaca.

Cuber przytaknął w milczeniu. Skoro już zamówił usługi tego gościa, to dyskredytowanie go było trochę bez sensu.

– Wie pan – zaczął – ta cała sytuacja mnie trochę...

– Przerasta?

– Może. Nigdy nie wierzyłem w takie bajdy...

– Ja też nie. Proszę mi wierzyć, panie Cuber, ja też nie. I to nie są bajdy. Ani bujdy. To jest coś nadprzyrodzonego. Duch pana dziadka czy nie, w końcu może stać się groźne.

– Mówi pan? Na razie to to bardziej jest upierdliwe...

– Na razie. Proszę mi wierzyć.

„Kowalski” hałaśliwie odłożył kubek na stół, po czym zajrzał Cuberowi prosto w oczy.

– To naprawdę nie są żarty. Ani dla pana, ani dla mnie. – Spojrzał na zegarek. – Mówił pan, że o której się ten cyrk zaczyna?

– Druga trzydzieści.

– W takim razie proponowałbym się powoli zbierać do wyjścia. Muszę się przygotować do roboty.

Cuber spojrział na egzorcystę w nagłym wzburzeniu, jakby nie dowierzał własnym uszom. Gdy już w pełni przetrwał sens zdania, wstał, opierając się rękami o blat stołu.

– Słucham? Mam pana zostawić samego we własnym domu? A skąd mam mieć pewność, że

mnie pan nie okradnie albo cholera wie, co jeszcze?

Jego gość nawet nie drgnął. Cały czas patrzył na Cubera. Gdy ten skończył mówić, „Kowalski” wstał powoli, grzebiąc w kieszeni.

– Spokojnie. Nie każę panu iść daleko. Zresztą na zewnątrz jest mój samochód, może pan zapisać rejestrację. Kradziony nie jest. A jak nie – ma pan mój adres, podałem w ogłoszeniu.

– Skąd mam wiedzieć, że nie jest fałszywy? Nigdy nie byłem na miejscu.

– Dobrze już, dobrze – powiedział spokojnie „Kowalski” i wreszcie wyciągnął z kieszeni to, czego szukał. – Tu są klucze do mojego samochodu. Starczy? Bez niego nic panu nie ukradnę. Poza tym... To nie Rolls–Royce, ale oprzyjmy się na wzajemnym zaufaniu. Ja nie zwinę panu nic z domu, a pan nie odjedzie sobie moim samochodem w siną dal. Zgoda?

Wyciągnął rękę z kluczami. Cuber pomyślał chwilę, by w końcu uspokoić się i wyciągnąć swoją.

– Sprawdzę, czy pasują.

– Skoro pan nalega. Tylko proszę nie odjeżdżać.

„Kowalski” usiadł. Cuber włożył klucze do kieszeni i przyjrzał się twarzy gościa. Coś mu w niej nie pasowało od samego początku, i nagle zorientował się, o co chodziło. Egzorcysta nie był jego równolatkiem. Był młodszy. Dużo młodszy. Cuber mimowolnie wzdrygnął się. Co takiego musiało się stać, żeby gość koło trzydziestki wyglądał na dwadzieścia lat więcej? Co mogło człowieka przyprawić o poważne objawy siwienia, nie wspominając o tak wielkich worach pod oczami i zmarszczkach, orzających nieregularnie całą twarz?

„Kowalski” patrzył na niego pustym wzrokiem. Ta obojętność dodatkowo przerażała gospodarza. Poza krótkim i jednak nieznacznym momentem uniesienia egzorcysta pozostawał zupełnie niewzruszony odkąd wyszedł z samochodu. Jakby nie posiadał mimiki. Ani uczuć. Nie uśmiechał się. Nie unosił głosu. Siedząc, pozostawał w niemal zupełnym bezruchu.

Cuber chciał coś powiedzieć, ale z jakiegoś powodu zaniemówił. Idąc tyłem ruszył powoli w stronę drzwi. „Kowalski” wciąż na niego patrzył, chyba z jakimś ledwo dostrzegalnym politowaniem. Ciężko było odczytać coś zza nieruchomej maski, którą stanowiła twarz egzorcysty.

Już przy drzwiach Cuber opamiętał się i wydukał:

– Ile to potrwa?

– Nie wiem. Może minutę, może godzinę. Na pewno nie dłużej. Dlatego proponuję nie wybierać się za daleko. Może pan się przejść po swoim polu albo wpaść do sąsiadów.

– Pochodzę po okolicy. Ma pan mój numer, jak sądzę.

Cuberowi wydawało się, że zarejestrował wzrokiem lekkie kiwnięcie głową, ale nie był pewien. Jego gość milczał.

– No to... do zobaczenia, panie Kowalski.

Tym razem kiwnięcie było już wyraźniejsze, ale znów milczące. Cuber narzucił na siebie kurtkę, wsunął na stopy kalosze i wyszedł, bardzo ostrożnie zamykając drzwi. „Kowalski” patrzył przez okno na gospodarza, który, wbrew zapowiedzi, nie podszedł do jego samochodu. Zamiast tego ruszył powolnym krokiem w kierunku tylnej bramy.

Zawsze to samo, pomyślał „Kowalski”. Spojrzał na zegarek, i obliczył w myślach, ile zostało mu czasu. Usiadł z powrotem na krześle, podniósł swoją walizkę z podłogi i położył ją na stole. Oparł się łokciami o blat i schował twarz w dłoniach. Koncentrował się.

*

– No już, skoncentruj się, Marek, co? Czy to takie trudne?

Było trudne. Sam „Kowalski”, choć ciągle brnął do przodu na fali zaskakującego jego samego entuzjazmu, zaczynał wątpić w sensowność całej zabawy. Tak właśnie, zabawy. Czemu w ogóle wziął to wszystko na serio?

– Słuchaj... Nie wydaje ci się, że tracimy czas na jakieś bzdury?

– Już to powtarzałeś.

– I będę powtarzał każdego dnia.

Od ich poprzedniego spotkania minęły ponad trzy tygodnie. Znów siedzieli w tej samej knajpie – tym razem w środku, bo padało. Z tego też powodu lokal znów świecił pustkami, mimo że była sobota. „Kowalski” ostrożnie i powoli sączył piwo. Nie czuł smaku, równie dobrze mógłby popijać colę albo i wodę. Tym razem nie chciał, żeby zaszumiało mu w głowie.

– Wszystko jest już praktycznie umówione i zrobione. Możemy tam iść choćby i za pięć minut.

– Po pijaku.

– Jakim pijaku? Pół piwa wypiliśmy.

– No, wypadaloby dopić. A jak dopijemy w pięć minut, to będziemy prawie pijani.

„Kowalski” spojrział na Marka z wyraźną złością.

– O co ci chodzi?

– O to, że to chyba ciebie jakiś duch nawiedza. Na łeb upadłeś? Pogromcy duchów? Jakich duchów? Jacy pogromcy przede wszystkim? Co ty możesz zrobić, żeby ludzie ci zapłacili?

– Mówię ci, przeczytałem parę książek...

– Książek! Jakiś cwaniak wyssał z palca parę historyjek i opublikował jako prawdziwe! Albo napisał jakiś pseudo–poradnik żeby dzień później wziąć się za, ja wiem... „Prasowanie zasłon: 100 praktycznych porad”!

– Czytałeś te książki, żeby móc tak mówić?

– Nie, i nie zamierzam! Chcesz się w to bawić, baw się w to sam. – Marek hałaśliwie odsunął krzesło i wstał. – Masz moje piwo. Może cię otrzeźwi. Ja nie chcę z tym mieć nic wspólnego. W przeciwieństwie do ciebie, poszukam sobie jakiejś normalnej roboty. Nara.

„Kowalski” był zdziwiony gwałtownością reakcji. Jeszcze nigdy jego słowa nie sprawiły, żeby ktoś wyszedł z pomieszczenia w środku rozmowy. Marek już szedł w stronę drzwi, kiedy osłupiały pogromca duchów in spe wziął się w garść i zawołał:

– A jeśli ktoś do mnie zadzwoni – dać ci znać?

Marek stanął, odwróciwszy się do „Kowalskiego”. Uniósł brwi i przyglądał się twarzy znajomego, wyraźnie próbując się w niej czegoś dopatrzeć. „Kowalski” nie wiedział, czego właściwie szukał Marek – śladów szaleństwa czy resztek rozsądku.

– Wiesz co? Daj.

Powiedziawszy to, wrócił do stolika. „Kowalski” zastanawiał się, czy Marek usiądzie, ale on tylko podniósł do ust swoje piwo, wypił połowę duszkiem i z hukiem uderzył kuflem o blat. Z zawa-diackim uśmiechem zasalutował żartobliwie, kłaniając się lekko na pożegnanie. Wyszedł szybkim krokiem, już bez słowa.

Wizyta w biurze ogłoszeń była krótsza, niż „Kowalski” się spodziewał. Przez kilka następnych dni każdy, kto szukał kogoś od wysyłania zagubionych dusz na tamten świat, mógł znaleźć potencjal-

ne rozwiązanie swoich problemów w kategorii „inne”. Pozostało jeszcze wrzucić ofertę na Allegro.

Nazwał się egzorcystą, mimo wszystko. Brzmi oficjalniej. W Internecie zaznaczył, że nie zajmuje się demonami. W gazecie nie starczyło na to znaków.

Nie mógł się doczekać pierwszej oferty.

*

Spojrzał na swój zegarek. Duch powinien zjawić się za jakąś minutę, o ile nie postanowił sobie z niego zakpić.

Otworzył okno w salonie i przylegającym do niego pokoju, po czym poszedł zrobić to samo w kolejnym, do którego wchodziło się z przedpokoju. Lufcik w łazience zostawił zamknięty. Wszystkie drzwi pootwierał na oścież, na sam koniec uchylił wejściowe. Słaby wiatr stukał nimi co parę sekund.

Od ostatniego razu minęły niecałe 23 dni. Od pierwszego – nieco ponad 9 lat. 9 lat. Już tak długo był trupem, że niemal zapomniał, że kiedyś żył.

Wszystkie jego plany. Wszystkie nadzieje. Wszystkie radości. Przepadło na zawsze. Podpisał na siebie wyrok, gdy wziął na poważnie kretyński dowcip. Takich jak ten padało na świecie miliard dziennie. Ktoś je rzucał, a potem zapominał po dziesięciu minutach. No, chyba że był naprawdę dobry – wtedy po dwudziestu.

Chciał wierzyć, że to było zaplanowane z góry, że to coś obrało go sobie za cel zanim jeszcze się poznali. Jak inaczej wykrzesalby z siebie cały ten entuzjazm do tak kretyńskiej sprawy? A jednak coś mu mówiło, że to by było zbyt proste.

Przestał się nad tym zastanawiać. I tak wiedział, że nie pozna odpowiedzi na żadne ze swoich pytań. Poza tym takie dywagacje nie zmieniały jego sytuacji nic a nic.

Patrzył w nieskazitelnie czystą, świeżo pomalowaną ścianę nad kuchnią, gdy minęła minuta, której końca oczekiwał. Nagle przestało padać. W uszach egzorcysty zaczął pobrzmiwać znajomy szum. „Kowalski” powoli wstał z krzesła.

Czas na kolejną rundkę.

*

Gdy parę dni po kłótni Marek odebrał esemesa od „Kowalskiego”, zaśmiał się. „O 18 idę wyganiać duchy. Dołączysz się?” Nie mógł, już umówił się na popołudnie – i wieczór – z Anką. Napisał o tym „Kowalskiemu”. Nie otrzymał odpowiedzi.

Do nocy zdążył zapomnieć o sprawie. Wcześniej tego dnia jego rodzice wyjechali na działkę, mieli wrócić za kilka dni. Przez parę ładnych godzin upajali się samotnością na wszystkie możliwe sposoby. Gdy Marek usypiał koło swojej dziewczyny, duchy były ostatnią rzeczą o jakiej mógłby rozmyślać.

Rano zauważył, że przegapił esemesa, który doszedł koło północy. Pisał „Kowalski”. „Wygrałem. Kaszka z mleczkiem. Z tobą byłoby jeszcze łatwiej.” Przyglądał się wiadomości z niedowierzaniem. Postanowił nie odpisywać.

„Kowalski” dał znak życia jakieś dwa tygodnie później, w samo południe. Tym razem ruszał w bój o 15. Ale Marek akurat chodził z Anką po molo w Sopocie – to właśnie napisał w odpowiedzi. Wieczorem przyszła kolejna wiadomość: „To najprostsza robota wszech czasów. A jaka z tego kasa!”

Myślał, czy nie zadzwonić, czy nie napisać, ale zdusił to w sobie. I dusił przez kolejnych kilka dni. Zdążył wrócić do Warszawy, zaczął w końcu rozglądać się za pracą. Była połowa lipca, gdy z samego rana przyszła kolejna wiadomość. „Dobra, synek, ostatnia szansa. Jak dziś nie przyjdiesz, oficjalnie będę działać solo. Bądź u mnie o 13:30.”

Tym razem nie miał się jak wykręcić, zresztą nie było po co. No i zżerała go ciekawość. Zapytał jeszcze, czy ma się jakoś specjalnie ubrać, czy coś ze sobą wziąć. „Nie.”

*

Stawiał kroki powoli, nasłuchując źródła szumu. Nie miał żadnej broni, i tak nic by mu nie dała. Walizkę nosił na pokaz. Przez lata wypróbował wszystkie metody, ale żadna nie działała. Poza jedną.

Choć przestało padać, nie rozjaśniło się. W salonie było ciemnawo; gdyby „Kowalski” chciał czytać książkę, musiałby już nieco wyteżać wzrok. Szum dochodził zza drzwi naprzeciw okna. Podszedł do nich, przeklinając, że otwierały się do wewnątrz. Wymacał dłonią włącznik i nacisnął go. Światło zapaliło się, ale natychmiast zaczęło nieregularnie mrugać. W salonie włączył się telewizor,

zaczął śnieżyć i wydawać z siebie dźwięk kanału kontrolnego. „Kowalski” ani drgnął. Zanim najostrożniej jak potrafił wszedł do środka, usłyszał, jak w salonie uruchamiają się palniki w kuchni. Zaskoczył też czajnik elektryczny. Wreszcie zapaliły się wszystkie światła.

Rozejrzył się. Pokój był mały. Zbyt mały. Drzwi, którymi do niego wszedł, znajdowały się dokładnie na środku dłuższej ściany. Naprzeciwko znajdowało się biurko, po którym walały się papiery, gazety i czasopisma. Parę minut wcześniej przesunął je nieco, żeby nie blokowało mu dostępu do okna – ono jednak było nieco zbyt wysoko, więc ustawił biurko tak, żeby w razie czego móc się od niego odbić przy wyskoku. Na lewo, za drzwiami, była spora szafa na ubrania. Z prawej strony pokoju znajdowała się rozkładana kanapa, kiedyś pewnie soczysto czerwona, obłożona poduszkami i kocami. Nad nią, na wprost od „Kowalskiego”, tuż pod sufitem wisiał obraz. Przedstawiał wiejski pejzaż zimą. Na pierwszym planie znajdowało się wzgórze, gdzie stało plecami dwóch mężczyzn i trzy psy, zapewne charty myśliwskie. Cała piątka patrzyła przed siebie, na znajdującą się w dolinie osadę.

Szum dochodził z obrazu. „Kowalski” szybko ocenił sytuację i zaklął cicho pod nosem. Od ściany dzieliły go dwa, może trzy kroki, ale musiałby wyciągnąć rękę, żeby dosięgnąć obrazu. Wiedział, że nie będzie łatwo. Zresztą nigdy nie było.

Wystawił przed siebie lewą nogę, sięgając ręką do kieszeni. Oddychał głęboko, uspokajał przygotowany na wszystko organizm. Jeszcze półtora kroku. Wiedział, że ma marne szanse, ale musiał spróbować. Tylko ostrożnie.

Podniósł prawą nogę, ale natychmiast ją opuścił. Przyszykował się do uniku. Szybko rozważył wskoczenie na biurko i salwowanie się ucieczką przez okno, ale doszedł do wniosku, że nie zdąży. Na obrazie coś zaczęło się ruszać.

Z komina jednej z chat w namalowanej wiosce unosił się dym, który teraz przestał być statyczny. Zrobił się zupełnie czarny i wirował. Jego kłęb zaczął się poszerzać, szybko zasłaniając coraz większą część wioski. Szum zrobił się głośniejszy. Nie minęły dwie sekundy, a dym już przykrywał cały obraz i zdawał się wychodzić z płótna. „Kowalski” zarejestrował, że czarna chmura staje się rzeczywista i skupia się na środku obrazu. To mu wystarczyło. Uskoczył w bok, wypadając za drzwi z otwartego pokoju. Dym, który wystrzelił w jego kierunku z prędkością pocisku, minął go o cal.

„Kowalski” natychmiast stanął na nogach i zamknął drzwi. Rozejrzył się wokół. Jego zmysły pracowały na najwyższych obrotach. Przyglądał się cienkiej szparze między drzwiami a podłogą, ale kątem oka zobaczył co innego. W telewizorze śnieg zaczął zmieniać kształt. Przez chwilę wyglądało to tak, jakby na ekranie pojawiła się jakaś osoba. Nawet jeśli to była prawda, trwało to tylko ułamek

sekundy. Zaraz potem kineskop pokrył ten sam dym i wystrzelił. „Kowalski” przyległ do drzwi, znów z trudem unikając czarnej masy. Ta zawisła w powietrzu i zaatakowała znowu, po raz kolejny chybiąc celu. Gdy uderzyła w drewno, huknęło jakby ktoś uderzył w nie łomem, a drzwi prawie wyleciały z futryny. „Kowalski” przeturlał się. W salonie nadal miał niewielkie pole manewru, ale i tak było ono szersze niż w pokoju obok, no i ogólnie większe niż zwykle. Próbował sięgnąć do kieszeni, ale nie zdążył – znów musiał uskoczyć. Teraz słyszał, jak za jego plecami buczy czajnik, który nie wyłączył się po zagotowaniu wody. Czemu jej wcześniej nie wylał? Co za idiotyczny błąd! Strumień wrzącej cieczy wybił się do góry jak z fontanny. Spadając, ochlapał mu ramię. Kurtka zatrzymała prawie wszystko, ale parę kropel trafiło „Kowalskiego” w szyję. Syknął z bólu, by natychmiast uchylić głowę przed kolejnym atakiem dymu. Chmura uderzyła w stojącą na podłodze koło blatu kuchenkę mikrofalową. „Kowalski” pobiegł ku przeciwległej ścianie tak szybko, jak tylko mógł.

Zastanawiał się wcześniej, czy nie przenieść jej do innego pokoju. Doszedł jednak do wniosku, że lepiej nie umieszczać w każdym pomieszczeniu groźnych przedmiotów.

Mikrofalówka wybuchła. Po pokoju rozleciały się kawałki blachy i blatu. „Kowalski” odwrócił się, ogłuszony hukami. Nie wyniósł kuchenki, ale ją przestawił, więc kuchnia była na tyle daleko, że uniknęła eksplozji; wiedział jednak, że musi na nią uważać i nie zbliżać się do niej. Zanim przetworzył to wszystko w głowie, dym już na niego leciał. Tym razem, chybiwszy, zatoczył pętlę i trafił w żyrandol. Szkło posypało się na wszystkie strony. Jeden z odłamków przeciął bluzę „Kowalskiego” na wysokości przedramienia. Dym znów pikował, ale „Kowalski” czym prędzej wskoczył na krzesło, a potem na stół. Wiedział, że musi wyskoczyć na zewnątrz, zanim zostanie zmuszony do ucieczki w stronę kuchni.

Oba okna były przymknięte po tym, jak miotnęła nimi fala uderzeniowa. Szarpnęła za klamkę tego po lewej, ale w tej samej chwili zachwiał się po kolejnym wybuchu. Tym razem padło na telewizor. Fragmenty kineskopu i obudowy były za daleko, żeby zrobić „Kowalskiemu” krzywdę, ale dym poleciał w jego stronę z niesamowitą prędkością. Egzorcysta odbił się od blatu. Nogi miał już częściowo za oknem, gdy chmura czerni trafiła go w tył głowy. „NIE!”, krzyknął, ale było już za późno. Jego wzrok zalała czerń.

Potem z ciemności wyłoniła się znajoma scena.

*

– To tutaj? Serio?

– Tak mi powiedzieli.

– Ktoś tu na poważnie mieszka?

– Ponoć. Albo posiada. W każdym razie teraz powinien tam być.

Marek nie mógł oderwać wzroku od miejsca, które stanowiło cel ich podróży. Gdzieś na przedmieściach znajdował się... dworek? Pałacyk? Tak czy owak, budynek znajdował się jakieś sto metrów za bramą z napisem „WSTĘP WZBRONIONY”. Na obie strony od podjazdu rozpościerał się ogród, niezbyt zadbany, ba, wręcz zapuszczony, ale nadal cokolwiek imponujący, nawet jeśli tylko swoim rozmiarem. Wrażenie psuła byle jaka brama, z której złaziły resztki brązowej farby, i zwyczajne, druciane ogrodzenie. Sam budynek wyglądała na klasycystyczny – regularne kształty, ściany pomalowane na biało, duże okna, drzwi frontowe wpasowane między dwa filary. Po obu stronach wejścia, przed schodami, znajdowały się na oko marmurowe posągi siedzących lwów, patrzących na siebie nawzajem.

– Co to w ogóle za miejsce?

– Ja wiem. Podobno jakiś pałac magnacki. Zachował się przez wojnę jakimś cudem, a parę lat temu odnaleźli się właściciele. Niedawno wywalczyli odszkodowanie i zaczęli go za nie odnawiać, ale okazało się, że jest nawiedzony. Podobno jakieś dziwaczne rzeczy się tu dzieją codziennie o trzeciej. Meble się przesuwają, jakieś szумы słyhać. Brzmi jak robota dla mnie... czy tam dla nas.

– Ale co ja właściwie miałbym robić?

Pytanie było zasadne. „Kowalski” miał ze sobą sporą walizkę, ale Marek jakoś nie zebrał się na odwagę, żeby spytać, co się w niej znajduje. Jego kolega wydawał mu się tego dnia bardzo odległy. Przez całkiem długą drogę niewiele rozmawiali, a już prawie w ogóle o nowym zajęciu „Kowalskiego”. Marek czuł się jak w jakimś niedorzecznym śnie.

Świeżo upieczony pogromca duchów zastanowił się przez chwilę, przyglądając się fasadzie budynku.

– Obserwuj mistrza.

Brama była otwarta, więc ruszyli w stronę wejścia. Marek zastanawiał się, czy na terenie nie ma przypadkiem psów obronnych, ale wokół panowała cisza. Gdy szli, zaczęło kropić, więc podbiegli ostatnie pięćdziesiąt metrów. Drzwi z bliska wydawały się jeszcze większe.

– Nie ma dzwonka – stwierdził Marek.

– No to trzeba zapukać. Jest kołatka.

„Kowalski” stuknął kilka razy, ale nikt nie przychodził. Spróbował drugi raz – bez efektu.

– Co jest... – powiedział sam do siebie i wyciągnął telefon. – Aha, napisali coś do mnie... nie poczułem wibracji... – „Kowalski” zerknął na wiadomość, po czym roześmiał się i spojrzał na Marka.
– Klucz pod łapą prawego lwa.

Zauważyli go od razu. „Kowalski” przekreślił go w klamce. Dźwięk zamka był zaskakująco głośny.

– Czemu sobie poszli? Aż tak się boją zwykłego ducha...?

Weszli do środka.

Znaleźli się w całkiem okazałych rozmiarów holu. Na wprost od wejścia znajdowały się szerokie schody, na lewo i prawo widać było wnęki, które prowadziły do korytarzy. Marek podejrzewał, że to kiedyś musiała być piękna posiadłość. Teraz straszyla poźółkłymi ścianami, miejscami wyraźnie podgniłą podłogą, i, co rzucało się w oczy najbardziej, brakiem jakichkolwiek mebli. Rozglądali się chwilę bez słowa, aż w końcu „Kowalski” zauważył, że na podłodze tuż koło nich leży kartka, przyciśnięta do podłogi kawałkiem przezartej przez czas i korniki deski. Odsunął ją nogą, po czym podniósł kawałek papieru i przeczytał na głos:

Szanowny Panie,

Przepraszamy najmocniej za niezapowiedzianą nieobecność, jednak nie zamierzamy przebywać w tym domu ani chwili dłużej, póki nie wyniesie się stąd ten przeklęty duch. Przemieszcza się po całym budynku i z dnia na dzień robi się coraz bardziej agresywny. Nie wspomnieliśmy Panu o tym przez telefon, ale wczoraj wysadził telewizor, który dopiero co tu przywieźliśmy. Mamy nadzieję, że wie Pan, co robi. Prosimy o telefon po zakończeniu akcji, przyjedziemy i zapłacimy. Z poważaniem...

– No nie wytrzymam. Dasz wiarę?

Marek zaśmiał się pod nosem. Nie przyznał się, ale po plecach przebiegł mu lodowaty dreszcz. Czemu dał się tutaj zaciągnąć temu wariatowi...? Czy on w ogóle wiedział co robi?

Deszcz rozpadał się na dobre.

*

Robił wszystko, żeby nie krzyczeć.

*

Do trzeciej zostało parę minut, więc rozdzielili się i rozejrzeli po pałacyku.

„Kowalski” poszedł na górę. Były tam dwa korytarze, na oko węższe niż te na dole. Jak się okazało, szło się nimi dookoła, po drodze mijając łącznie trzy pomieszczenia, najpewniej sypialnie, choć ciężko było to jednoznacznie stwierdzić – wszystkie były puste, nie licząc dwóch szaf w jednej z nich.

Spotkali się na schodach.

– No i jak to wygląda? – zapytał „Kowalski”.

– Pusto. Parę pokojów, ale we wszystkich gołe ściany. Nikt tu od lat nie mieszkał, a wszystko wykradli Niemcy, Ruskie albo nasze bydło. Jak ten budynek może stać tyle lat i nikogo nie obchodzić?

– Cóż, teraz chyba zaczął, skoro tu jesteśmy.

„Kowalski” spojrział na zegarek.

– No dobra, minuta bodaj...

Zamilkł. Obaj odwrócili głowy. Nagle przestało padać, a w zamian dało się słyhać... buczenie?

– C–c–c... Co to jest?

– Spokojnie, Marek... Cicho. Dochodzi chyba z góry... Z tego pokoju z szafą...

– To jest DUCH? One istnieją naprawdę? Chyba... Chyba żartujesz...

– Cicho! Idziemy.

Weszli powolutku po schodach i skręcili w lewo. Nagle nad ich głowami zapaliła się żarówka, wisząca luźno na kablu. Marek odruchowo krzyknął.

– Cicho! Spokojnie.

Żarówka na przemian zapalała się i gasła. „Kowalski” zaczął grzebać w walizce, nadal posuwając się powoli do przodu. Gdy podszedł do białych, obdrapanych drzwi, zza których wydobywał się szum, zorientował się, że Marek został w połowie korytarza.

– Co, nie idziesz?

Marek stał w zupełnym bezruchu, patrząc na niego szeroko otwartymi oczami.

– Myślałem, że ty sobie żartujesz. To jakiś trik, tak? Te wszystkie duchy... Okazało się, że to przekręty, nie?

– Przekręty? To nie Scooby–Doo! Czemu miałbym sobie żartować? Chodź no tu! Boisz się jakiegoś ducha? Poważnie? Mówiłem ci, że to jest proste, chodź!

Marek nadal nie ruszał się z miejsca.

– Nie... Lepiej już pójdę.

„Kowalski” spojrział na niego jak na nieposłusznego bachora. W środku drogi między nimi żarówka ciągle gasła i zapalała się.

– Dobra, nie musisz tam wchodzić, ale zostań tutaj. To zajmie minutę. Może nawet będzie efektownie.

– Ty jesteś chory, wiesz? Chory na głowę. Co ja tu w ogóle robię?

– Dobra, zamknij się już, rany. Wchodzę.

„Kowalski” uchylił ostrożnie drzwi. W lewej ręce trzymał przezroczysty flakonik, w którym znajdowała się ciecz o jakimś dziwnym, jasnioletowym kolorze. Walizkę położył na ziemi, tuż koło drzwi.

Marek widział, jak „Kowalski” wchodzi do pokoju. Wtedy żarówka zaczęła mrugać intensywniej, a szum zrobił się tak głośny, jakby jego źródło znajdowało się dwa metry od Marka. Nagle „Kowalski” krzyknął przeraźliwie i wypadł zza drzwi, uderzając plecami o ścianę i rozbijając flakonik o podłogę. Zaraz potem z pokoju wyleciał kłęb czarnego jak smoła dymu i z ogromnym impetem uderzył go w twarz.

*

Walczył od lat, jak desperat, wiedziony poczuciem misji. Gdyby przegrał, ktoś szybko zająłby jego miejsce, i pewnie znowu zginęliby jacyś niewinni ludzie.

Nie wiedział, czy to, co wybrał, było właściwe. Czy walka na pewno stanowiła najlepsze wyjście? Czy czasem nie przynosiła większych szkód niż te, którym zapobiegała?

Walczył tak długo, by udowodnić temu czemuś, że się nie podda.

I nadal nie zamierzał.

*

Czekałem na kogoś takiego, jak ty. Zuchwałego, aroganckiego.

„Kowalski” przez moment nie wiedział, co się dzieje. Nic nie widział. Wszędzie wokół była czerń. Nie mógł ruszyć głową, jakby coś ją trzymało i nie chciało puścić; reszty ciała w ogóle nie czuł. Do jego uszu dobiegał tylko szum, ten sam, który wcześniej dochodził z szafy. Teraz był on wszędzie, otaczał go ze wszystkich stron. Przebijał się przez niego tylko niski, nieludzki głos.

Myślałeś, że znowu ci się uda, co? Myślałeś, że parę książek sprawi, że wygonisz na tamten świat absolutnie wszystko?

Ten pierwszy... śmiech na sali, śmiech na sali. Byłeś twardy, bo żadnego ducha nie było. Ha! Niezły numer. Dzieciak chciał się pobawić, zamykał drzwi sznurkiem... Puszczal jakieś wycia z taśmy... Spękał, bo zorientował się, że rodzice chcą ci tyle zapłacić, a bał się przyznać... Przyjąłeś te pieniądze! Nie masz wstydu.

A drugi... duch trzyletniego dziecka? Poważnie? To ma być sukces? Ci głupi rodzice sami mogli go odgonić, ale się bali. Wystarczyło poprosić, tak... Żadnych czarów–marów, żadnych zbędnych uduwnień, po prostu prośba. Bałeś się jak nigdy w życiu, błagałeś tego dzieciaka żeby sobie poszedł, bo nie wiedziałeś, co zrobić. Miałeś farta, a poczułeś się, jakbyś zrobił nie wiadomo co.

I co, i myślałeś, że to też jakiś kant? Albo że tylko niemowlęta utykają na tym świecie? Obrosłeś w piórka. I zaciągnąłeś tego swojego koleżkę! Czy ty masz nie po kolei w głowie? Nie masz bladego pojęcia, w co się właśnie wpakowałeś.

Nudzę się. Dopiero co wykończyłem swojego ostatniego faworyta. Był całkiem twardy... ale bywali lepsi od niego przez te setki lat. Masz szansę stać się moim nowym pupilkiem.

Nagle „Kowalski” poczuł ból. Na początku był jak szarpnięcie w na wysokości oczu, ale z każdą sekundą rozprzestrzeniał się i narastał. Zaczął krzyczeć. Zapomniał o szumie. Istniał tylko ten ból, ten potworny, nieludzki ból. Wrzeszczał.

Tak... Czyż to nie cudowne, że można sprawić, że ktoś tak bardzo cierpi?

– Przestań! PRZESTAŃ!

Ha, ha, ha... Czemu miałbym? To jedyna przyjemność, na jaką mogę sobie pozwolić. Cudze męki.

Przez chwilę, która wydawała się wiecznością, głos milczał.

Ach, coś pięknego, naprawdę. Mam przestać?

– BOŻE, TAK, TAK!

„Boże”? Nie rozśmieszaj mnie. On ci nie pomoże. Pomóc możesz sobie tylko ty.

Znów chwila ciszy. „Kowalski” myślał, że oszaleje. Czuł, jakby w jego głowie paliło się żywym ogniem. Nie czuł niczego poza tym, z trudem dochodził do niego sens słów, które słyszał.

Rozumiesz mnie? Możesz sobie pomóc. Ten ból może ustać. Kiedy tylko zechcesz. Ale musisz mi odpowiedzieć na jedno prościutkie pytanie.

„Kowalski” chciał coś powiedzieć, ale nie mógł przestać się wydzierać. Nie czuł płuc, nie istniał poniżej szyi, gdzie kończyła się chmura dymu, ale jakimś sposobem krzyczał.

Hm? Tak? Dobrze. A zatem powiedz mi... Co jesteś w stanie zrobić, żeby przestał?

Z ogromnym trudem przetwarzał znaczenie tych słów.

Hm? Nie odpowiadasz? Ach, tak, ciężko ci... Hm, niestety, nie mogę zmniejszyć napięcia, bo wtedy przestanę robić na tobie wrażenie... Dobrze, będę zadawał ci pytania, które wymagają prostej odpowiedzi. Zgoda...?

Nie próbujesz zaprzeczyć, więc założę, że zgoda. No więc... Czy jesteś gotów pozwolić mi... zabić... twojego towarzysza?

„Kowalski” na chwilę przestał krzyczeć, ale nie był w stanie powstrzymać się na długo.

Hmmm? Fakt, może powinienem zacząć trochę spokojniej... Ale wiesz co? Szkoda czasu. Pobawiłbym się nieco, ale czuję, że cierpisz. Im szybciej, tym lepiej dla ciebie. No więc... Czekam na odpowiedź.

Spróbował skupić myśli. Zabić Marka? To niemożliwe... Zresztą Marek już pewnie dawno uciekł... Po co go tu zaciągnął, po co? Żeby mu pokazać, jaki jest twardy? Żeby poczuć się lepiej z samym sobą? A teraz... Ten ból...

– AAAAAAAAAAAAAA!

O, tak, to wcale nie był szczyt moich możliwości. Lepiej decyduj się szybko... Ja mogę dopil-

nować, żebyś cierpiał przez wiele, wiele godzin... Może dni... Albo lat. Twoja sprawa. Ale uprzedzam, zaczyna mi się nudzić. Może to ciebie zabiję.

– NIE! NIE!

Nie zabijać cię? Cóż, w takim razie... Wiesz co? Poszerzę twoje możliwości, żeby nie było, że masz za mały wybór. Opcja pierwsza, będę cię dalej torturował... Opcja druga, zabiję cię... Opcja trzecia, zabiję Marka. Czekam.

„Kowalski” miał wrażenie, że nie ma w nim niczego oprócz tego klucza, które rozsadzało mu czaszkę od wewnątrz. Wiedział, że nie wytrzyma ani chwili dłużej. Chciał umrzeć.

Ale skoro... skoro nie musiał...

Ten ból... Był najgorszą karą. Liczyło się tylko jedno – żeby zniknął.

Skupił w sobie wszystkie siły, wstrzymał na chwilę oddech i powiedział...

*

Fizyka wygrała. Jego głowa znalazła się za oknem. Znow widział.

Półświadomie obrócił się w powietrzu i wylądował plecami w rozmytej ziemi.

*

Wypadki potoczyły się szybko.

Przestałeś być człowiekiem. Straciłeś imię. Jesteś powłoką, skazaną na walkę ze mną po kres swoich dni.

Tęskniłem za tym.

Ból zniknął gwałtownie. „Kowalski” przez kilka sekund siedział w bezruchu, po czym z trudem otworzył oczy i poczuł, że odzyskuje czucie poniżej szyi. Z trudem dźwignął się na nogi, patrząc na dym, który poleciał w stronę schodów. Pobiegł za nim na zeszywniałych nogach.

Marek był na dole, stał przy drzwiach. Nie zauważył „Kowalskiego”: zamiast tego przyglądał się czarnej chmurze, która wzbijała się do góry, do kolejnej mrugającej żarówki, wiszącej tam, gdzie kiedyś pewnie był imponujący żyrandol. Wchłonęła ona dym i na chwilę zrobiła się zupełnie czarna. Potem chmura wystrzeliła, tak jak wcześniej wyleciała z szafy. Wtedy, na ułamek sekundy, Marek spojrział w oczy „Kowalskiemu”. Potem jego głowę zakryła czern. Nawet nie zdążył krzyknąć.

Chwilę później niewiele po nim zostało.

„Kowalski” znieruchomiał.

Stał tak długo. Bardzo, bardzo długo.

*

Teraz leżał na ziemi pod oknem, brudny i obolały. Oddychał głęboko i patrzył w pochmurne niebo. Pies szczekał jak opętany. Mijały sekundy.

Nigdy nie mógł tego zapomnieć. Przed chwilą, otoczony czernią, znów to widział. Marka. Jego spojrzenie, rozpaczliwe i pytające.

O tej rodzinie, do której bał się pojechać, tylko czytał, ale ich też sobie wyobrażał. To też była jego wina.

Wsparł się na łokciach i usiadł po turecku. Spojrzał w górę, na okno. W środku, pod sufitem, krążyła leniwie czarna chmura.

To coś miało dwa słabe punkty, choć „Kowalski” zastanawiał się, czy nie ustaliło ich samo, żeby mieć lepszą zabawę. W końcu skoro „duch” nie mógł opuścić domu, jakim cudem za każdym razem po jakimś czasie zjawiał się w innym? Innego wytłumaczenia nie było.

Co do drugiej słabości...

Wstał, włożył obie ręce do kieszeni i spojrział w dym. Skinął głową w milczeniu, po czym podszedł do parapetu.

Wyjął szmatę z foliowej torby, złapał ją za niezwilżony koniec, po czym pstryknął zapalniczkę. Była duża, niemal nieporęczna, srebrna, dawała płomień długości palca. Ścierka zapaliła się błyskawicznie. Zamachnął się, po czym ostrożnie, uważając, żeby nie włożyć ręki dalej niż wysokość ramy, wrzucił szmatę na stojące przy stole krzesło. Odsunął się trochę i w milczeniu przyglądał się, jak roznosi się ogień.

Czasami udawało mu się nadziać „ducha” na zapalniczkę. Miotacza ognia nie próbował w praktyce, wydawał mu się zbyt nieporęczny.

Szkoda mu było walizki, została w środku.

Z kieszeni, w której była zapalniczka, wyciągnął zapasowe klucze. Ruszył w stronę samochodu.

Zdażył uruchomić silnik, gdy zobaczył, jak tylną bramą na podwórko wchodzi Cuber. Gospodarz przystanął na widok dymu – szarego, nie czarnego – wylatującego przez okno.

– CO PAN...! MÓJ DOM!

Zaczął biec. „Kowalski” zsunął szybę, drugą ręką zmieniając bieg na wsteczny.

– Nie było innego wyjścia! Uratowałem panu życie!

– ŻYCIE? GDZIE JA MAM TERAZ MIESZKAĆ? JEZUS MARIA!

„Kowalski” wykręcił, stawiając samochód przodem do otwartej bramy.

– Ma pan siostrę!

Cuber był parę kroków od niego, gdy wrzucił jedynekę i nacisnął pedał gazu.

– TY...!

Był gdzieś w połowie dojazdu do asfaltowej drogi, gdy przestał słyszeć wyzwiska i szczekanie.

Zastanawiał się, czy zmienić tablice rejestracyjne gdzieś po drodze, czy dopiero z powrotem w domu.

Skręcił na trasę do Warszawy dwie minuty później. Gdy tylko na nią wjechał, na przednią szybę spadł pierwszy płatek śniegu. Roztopił się natychmiast.

Maciej Rogoziński

DZIWNOCI

Zacząć chciałbym od tego, że do pięćdziesiątej linijki wypowiadał się będę w imieniu kogoś innego.

Naprawdę, współczuję ludziom, którzy uważają, że jesteśmy sami we Wszechświecie. Współczuję tym, którzy ośmielają się myśleć, że człowiek to istota wokół której kręci się wszystko, co istnieje. Bóg? Prawa? Idee? Podbój kosmosu? NASZA Ziemia? Nie da się ukryć, że są to piękne hasła. Szkoda tylko, że tak dalekie od rzeczywistości...

Niniejszą historią nie mam zamiaru burzyć starego porządku i obalać odwiecznych reguł i schematów myślenia. Wiem, że i tak nie przekonam wielu, jeżeli w ogóle kogokolwiek. Chce po prostu pozbyć się tych informacji, przekazać je dalej i mieć poczucie, że nie muszę o nich myśleć, bo zajmuje się nimi kto inny.

Uwolnić się od wiedzy i w spokoju organizować sobie czas przed śmiercią.

A propos czasu: ciekawe jest to, że między naszym początkiem a końcem tak chętnie go odmierzamy nosząc na ten przykład elektroniczny zegarek, a potem i tak boimy się umierać.

To bez sensu, prawda?

Człowiek się rodzi, zajmuje się czymś, żeby się nie nudzić i umiera.

Absurd w czystej postaci.

Nie wiem, dlaczego niektórzy próbują na siłę szukać jakiegoś głębszego przesłania w tym tzw. życiu. Myślę, że w umyśle każdego z nas tli się isierka zwątpienia jakoby życie naprawdę miało sens. Niewielu jednak się z tym godzi, niewielu akceptuje to, że perspektywa nicości jest bardziej realna od czegokolwiek innego. Tak bardzo przywiązaliśmy się do życia, tak bardzo nie chcemy się z nim

rozstawać, że wmówiliśmy sobie, że po śmierci czeka nas ten sam stan. Dlaczego? Bo podświadomie każdy z nas wie kim jesteśmy i do czego zostaliśmy stworzeni.

Właśnie – stworzeni.

Nie znam osoby, która twierdziłaby, że człowiek istniał od zawsze. Wielu mówi, że to niemożliwe, że to domena Boga i takie tam. Inni powołują się na to, że to nielogiczne i wysoce nieprawdopodobne. Cóż, tak się składa, że prawdopodobieństwo i logika to wartości cechujące dobre kłamstwo. Prawda wcale nie musi ich spełniać.

Tak czy inaczej, ten sposób myślenia, czyli, że istniejemy od jakiegoś konkretnego momentu, którego i tak nikt nie potrafi wskazać, doskonale świadczy o naszej naturze i przeznaczeniu. W naszej podświadomości wypalone są informacje o tym, że jesteśmy sługami i niewolnikami. Nie myślimy o tym cały czas, gdyż przeszkodziłoby to w wykonywaniu naszego zadania. Ale doskonale zdajemy sobie z tego sprawę.

Mógłbym już teraz napisać, o co mi dokładnie chodzi, jednak straciłbym na wiarygodności. Kto w dobie telewizji, Internetu i innych mediów wierzy w niczym nie poparte informacje? Ludzie się wycwanili, potrzeba im argumentów.

Chociaż...mój głęboko zakorzeniony optymizm czasem mnie przeraża.

Czy jest to konieczne czy nie, i tak spiszę tę historię. Może sprawi ona, że przedstawiona w niej prawda zostanie w was na dłużej.

Zacząć należy od kwestii „inteligentnej rasy pozaziemskiej”. Oczywiście jest to, że jeżeli takowa istnieje, i jeżeli zechciałaby przylecieć na Błękitną Planetę, musiałaby być dużo bardziej rozwinięta od nas. Jeżeli tak, z pewnością byłaby w stanie monitorować wcześniej nasze życie zanim ostatecznie zdecydowała się nas odwiedzić, a wybrałaby z pewnością taki moment, w którym nasze poziomy rozwoju dzieliłaby przepaść, czyli: oni podróżują z prędkością światła, my wynaleźliśmy kalendarz.

Dodając bądź ujmując parę lat, idealnym okresem na odwiedziny mogły być czasy Starożytnego Egiptu, tudzież czasy prekolumbijskie, konkretniej świetność Majów i Azteków. Z drugiej jednak strony, mogli odwiedzić Ziemię zanim jeszcze pojawił się na niej człowiek. Albo odwiedzić ją wtedy, kiedy człowiek człowieka jeszcze nie przypominał. I to jest właśnie to, do czego zmierzam.

Prowadząc badania w ramach antropologii kultur, natknąłem się niegdyś na wzmiankę o pewnej malutkiej osadzie położonej w środku lasów deszczowych. Ciekaw byłem jak wyglądają i jak zachowują się ludzie nie skażeni cywilizacją.

Czym prędzej się spakowałem, i poleciałem do Afryki. Niestety, na miejscu okazało się, że nikt o tej osadzie nie słyszał. Zaraz, jak ona się nazywała? Maraiyug czy Meraiyug? W zasadzie to nieistotne, i tak jej nie znalazłem.

To ona znalazła mnie.

Nie wiem czym się wyróżniałem, ale dowiedziałem się potem, że starszyzna (sześć osób) miała ten sam sen, w którym widziała właśnie mnie. Nie pytałem o szczegóły, nie chciałem ich nawet znać, zresztą byłem i tak zbyt zszokowany wizytą...osadnika...by mieć jakiegokolwiek racjonalne myśli.

W panoramicznym skrócie przywołam te spotkanie:

W wynajmowanym przeze mnie hotelowym pokoju panował półmrok. Nie jest istotnym jaki był to hotel i gdzie się znajdował. Po prostu – panował tam półmrok.

Pokoik był mały; łóżko z wystającymi sprężynami, próchniejąca szafka, stolik, zżarty przez mole dywan i ta cholerna tapeta tworząca wyjątkowo duszną i klaustrofobiczną atmosferę – to wszystko co się w nim znajdowało. Ach, zapomniałbym o łazience znajdującej się w oddzielnym pomieszczeniu. Konkretniej na korytarzu, gdyż była wspólna.

Tamtego wieczoru siedziałem przy laptopie, i starałem się dowiedzieć czegoś o wiosce, którą chciałem znaleźć. Tym jednak razem Internet nie był po mojej stronie; nie dość, że nie znalazłem niczego ciekawego, to się co chwila rozłączał.

Za oknem wieczorny skwar i ukrop odbierał chęci do czegokolwiek.

Lampa, która była gołą żarówką zawieszoną na suficie, migiała.

Migiała.

Aż w końcu zgasła.

Ciekawe, że z chwilą zniknięcia światła w pokoju zapanowała tak głucha cisza, że słyszałem bicie własnego serca. Nawet laptop przestał wydawać jakiegokolwiek dźwięki.

Wstałem i już miałem odkręcać żarówkę, gdy światło nieoczekiwanie wróciło.

Nieco zdenerwowany powróciłem do moich poszukiwań, jednak wtedy wydarzyło się coś dziwnego; strona, na której jeszcze niedawno byłem, została zamknięta, a na pulpicie pojawił się plik tekstowy, którego nigdy przedtem nie widziałem. Nosił tytuł „Otwórz mnie”.

Oczywiście go otworzyłem.

Zawierał w sobie znaki, symbole i ikony, które były dla mnie zupełnie obce. Miałem wrażenie, że przyglądam się hieroglifom, albo czemuś jeszcze dziwniejszemu.

Z niedowierzania rozwarłem szeroko oczy i odrobinę przybliżyłem się do monitora.

Wtedy miałem wrażenie, że jeden z symboli przypominających martwego ptaka, poruszył się.

Tak po prostu, ptaszyczo skierowało w moją stronę swój pikselowy dziób. A potem wszystkie znaki poczęły się ruszać.

Zrzuciłem laptopa na ziemię. Chwilę potem malutki ptaszek uderzył w okno mojego pokoju.

Światło zgasło.

Nie wiem czemu, ale zrobiłem krok w tył i niechybnie natknąłem się na łóżko. Przewróciłem się i trafiłem wprost w ramiona jakiegoś człowieka.

Nie wiem co było później; z chwilą gdy spadłem na nieznanego poczułem taką niemoc, że straciłem przytomność. Przez moment słyszałem jakieś dziwaczne, wyjątkowo nieprzyjemne dźwięki, które nie przypominały niczego.

Ocknąłem się w małej wiosce, znajdującej się w środku lasu deszczowego.

Leżałem na ziemi. Chodziło po mnie robactwo.

Słyszałem śpiewy.

W zasadzie jak teraz o tym pomyślę, to nie były to śpiewy. Raczej żalosne wycie i beznadziejne zawodzenie. Gdy podniosłem głowę, stałem się świadkiem rytuału tak chorego i obrzydliwego, że zakreśliło mi się w głowie.

Mianowicie:

Spostrzegłem młodą Murzynkę, prowadzoną przez dwóch mężczyzn. Była naga. Nie posiadała ani jednego włoska na ciele. Mężczyźni, w gwoli ścisłości także Murzyni, odprowadzili ją na kamienny ołtarz, na którym tamta się położyła. Nieopodal ołtarza znajdowały się dwie kadzie.

I wtedy się zaczęło.

Do dziewczyny podszedł szaman, który pod prawym uchem miał osobliwą, chyba metalową płytkę z kilkoma diodami. W ręce trzymał wielki, rzeźnicki nóż. Spojrzał nieszczęśnicy prosto w oczy, mruknął coś, po czym wbił jej ostrze noża w lewe ramie.

Dziewczyna nawet nie pisnęła.

Szaman przeciągnął nóż do drugiego ramienia, wykonał potem jeszcze parę cięć i począł zdejmować z Murzynki skórę.

Ona milczała.

Obnażył mięśnie rąk i klatkę piersiową, zajął się nogami, potem głową.

Dziewczyna została całkowicie pozbawiona skóry.

Żyła.

Szaman wziął szczypce i począł wyszarpywać mięśnie, potem dokopał się do żołądka i wątroby, wszystko wrzucał do jednej kadzi.

Żyła.

Wyciągnął młodej dziewczynie oczy i wyrwał język, po kolei wybijał jej zęby. Usunął wszystkie tkanki miękkie.

Wtedy zobaczyłem w jej czaszce niewielki otwór, a stamtąd wydobywające się słabe światło.

Gdy na ołtarzu leżały w zasadzie same tylko kości posklejane resztkami mięsa, szaman począł wrzucać je do drugiej kadzi. Okazało się, że znajdowała się tam woda, która w dodatku się gotowała. Mówiąc krótko: dziewczynę pozbawiono narządów i mięsa, po czym z jej kości ugotowano zupę.

To jednak jeszcze nic, to co zdarzyło się potem, było najbardziej abstrakcyjną rzeczą jaką w życiu widziałem.

Po ugotowaniu zupy, dziewczynę składano z powrotem.

Szaman ułożył kości na ołtarzu tak, by przypominały ludzki szkielet, po czym z pierwszej kadzi wyjmował całą resztę i dopasowywał do całości. Zupełnie jakby bawił się jakimiś chorymi puzzlami. Następnie zza paska wyciągnął coś, co przypominało sześcian i trójkąt jednocześnie.

Urządzenie z pewnością nie skonstruowane przez człowieka.

Przedmiot był tak dziwaczny, że zdawał się nie istnieć. Wydawało mi się, że patrząc na niego zapadam w osobliwy sen, i śnię tylko i wyłącznie o tym czymś.

Szaman ścisną dziwną rzecz i zaczął smarować nią lepkie, cuchnące ziołami, roztopiające się ciało Murzynki.

Pojawiło się słabe, bladoniebieskie światło niewiadomego pochodzenia.

Nie mogłem tego zobaczyć, ale biorąc pod uwagę to, co zobaczyłem potem, wnioskuję, że w miejscach, które zostały posmarowane wydzieliną, pojawiały się blizny i względnie zdrowe ciało. Na stawach wytworzyły się tej biednej dziewczynie napuchnięte znamiona wielkości mandarynki. Twarz przypominała groteskową, obrzydliwą porcelanową maskę, która się stłukła i którą powtórnie skleiono. Wyglądała jak porąbany przed wielu laty pień drzewa, z którego wyrzeźbiono członki marionetki, które to skleiono i połączono w jedną kukłę.

Podbiegło do niej trzech mężczyzn. Zaczęli ją podpieierać.

Szaman w tym czasie podszedł do kadzi z zupą z kości, podniósł ją, i podał dziewczynie do wypicia.

Dopiero teraz zrozumiałem co widzę: oto młoda Murzynka, którą zamordowano, której kości

zostały oddzielone od mięsa i która to z owych kości pije wywar, powróciła do świata żywych.

Próżno pisać o tym, co wtedy czułem. Może mniej więcej to, gdy spojrzałem na dziwny, sześciennie-trójkątny przedmiot?

Dziewczyna zakrzuszyła się. W tym samym niemal czasie kadz z wodą została energicznie wyrzucona, a nieszczęśnica wykrzyknęła dziwaczne słowa, a zrobiła to takim głosem, że zmroziło mi duszę.

Choćbym nie wiem jak nie chciał o tym myśleć, fraza ta na zawsze pozostanie w mojej głowie. Wybaczcie, że mimo usilnych prób, mimo wielkiego zaangażowania, nie jestem w stanie zamienić jej na litery...

Wszyscy, którzy byli tam obecni padli na kolana i zaczęli powtarzać upiorną sentencje. Wtedy dziewczyna wstała i chwiejnym krokiem sunęła w mój kierunek.

Strach odebrał mi rozum i zdolność ruchu. Leżałem i czekałem na to, co nieuniknione. Stała tuż nade mną. Przypominała wtedy boginię, wielką panią Wszechświata.

Hrabinę Piekieł.

Spojrzała swym zimnym, krwistym i makabrycznym spojrzeniem, otworzyła usta. Ostatnim widokiem jaki pamiętam za życia, są chodzące zwłoki dwudziestoletniej dziewczyny, których kościec został ugotowany, i którym ohydny wywar posłużył jako medium, łącznik potrzebny do kontaktu z niemożliwie do wyobrażenia przerażającymi nadistotami.

Zanim skończę i wytłumaczę dokładnie o co chodzi, postaram wam się opisać, jak wygląda prawda:

Ludzie zostali stworzeni przez rasę istot poruszających się w zupełnie innym czasie. Gdyby pojawili się na Ziemi, machnięcie ręką zajmowałoby im tydzień. To oni, w swych biokomorach doświadczalnych powołali do życia nas.

Nasze życie ma cel, o tak.

Istoty te to kolonizatorzy, którzy przybyli do miejsca, które zwiemy Wszechświatem z zupełnie innej płaszczyzny rzeczywistości. Chcą podbić wszystko, co nadaje się do podbicia. Nowe warunki sprawiły jednak, że musieli szukać nieco innych rozwiązań niż dotychczas. Postanowili więc, że stworzą jakieś nowe, biologiczne organizmy działające w ich imieniu.

Tak, jesteśmy niezwykle rozwiniętą bakterią, której jedynym celem jest pozabawianie planet tego, z czym nie mogą sobie poradzić nasi władcy.

Nawet nie próbujcie myśleć, co to takiego. Jest to rzecz wysoce dla nas niepojęta. Nie chodzi

oczywiście o degradację środowiska, karczowanie lasów ani zanieczyszczanie powietrza. Raczej o coś w rodzaju zabójstwa duszy planety. Poprzez życie i działania w sferze, z której nie zdajemy sobie sprawy.

Pomagamy im nieświadomie, od chwili narodzin po godzinę śmierci. Choćbyśmy nie wiem jak się starali, nie ma dnia, w którym im nie służymy. Nie ważne co wyznajemy, w co wierzymy, komu ufamy – nasza natura jest jedna, naszym celem jest służyć.

Jedynym wyjściem jest organizowanie sobie czasu, by się nie nudzić przed śmiercią. Wedle uznania.

Zdarzają się jednak ludzie, którzy to odkrywają. Wtedy istoty w sobie tylko wiadomym celu, nakazują innym bakterię usunąć „chorego” osobnika.

Sam rytuał picia wywaru z kości jest bezsensowny; nie próbujcie przypadkiem tego w jakiś sposób powtórzyć. Nasi władcy mają po prostu poczucie humoru; śmieszy ich to, z jakim zaangażowaniem szukamy sensu życia. Bardzo im się podobało wyrywanie serc i budowa okazałych budowli, które w teorii istniały na chwałę bogom. Picie kostnej zupy jest kwintesencją wspaniałej zabawy w ich mniemaniu.

Na zakończenie pragnę napisać:

Tak, umarłem, nie żyję od roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego ósmego. Wiem, że potem odkryto tę wioskę, wiem, że znaleźli moje zwłoki. Wasz rząd to ukrywa, boi się utraty kontroli nad wami. Gdyby wiadomość o mojej śmierci wyciekła do opinii publicznej, gdyby opisano makabryczne rytuały, które tam miały miejsce, wszystko, powtarzam, wszystko, co ludzkość osiągnęła przez cały czas swego istnienia, przestałoby mieć jakiegokolwiek znaczenie. Prawa fizyczne, moralne, religia, ekonomia, historia, nauki opisujące przyrodę – wszystko utraciłoby sens.

Ludzie, którzy sprawiają, że świat się kręci, są sojusznikami tych istot. Nie wiem tylko na jakich zasadach polega ten sojusz, lecz jest rzeczą pewną, że są z nimi w zмовie. Być może dostali intratne propozycje, i posprzedawali wasze dusze. Być może są opętani. Albo w ogóle nie są ludźmi. Ten tekst będzie krążył i zmuszał was do myślenia. Nikt z żyjących nie jest jego autorem, napisałem go przecież ja, osoba, która umarła przed wielu, jak sądzę, laty. Po prostu wstąpiłem w jakieś ciało, i za jego pomocą kreśliłem te litery.

Maciej Andrzejewski

PEJZAŻ

Gdy tylko go ujrzał, od razu wiedział, że musi go mieć. Z pozoru nie różnił się od wielu innych, ale on czuł różnicę. Był to pejzaż, czy raczej Pejzaż, jak myślał o nim. Przedstawiał nieskazitelną plażę z czystym piaskiem i błękitnym, jaśniejącym morzem. Słońce świeciło radośnie z czystego, niczym umysł dziecka, niebosłonu. Marek odwrócił ramę w poszukiwaniu ceny, lecz nie znalazł jej. Zwrócił się do sprzedawcy:

– Przepraszam, proszę Pana.

Stary sprzedawca w szarej kamizelce i staromodnych okularach spojrział na niego .

– Tak ? – zagadnął miłym tonem wychodząc zza lady – w czym mogę Panu pomóc?

– Chciałbym zapytać o cenę tego obrazu – odparł Marek wskazując palcem na pejzaż.

– Ach, ten... – mruknął sprzedawca markotniejąc – nie pamiętam, musiałbym sprawdzić. Naprawdę chce Pan go kupić? – zapytał z niemym błaganiem.

– Tak – nie dał się zniechęcić Marek – bardzo mi się podoba.

Starzec z cichym westchnieniem zaczął gmerać w szufladzie.

– Dwadzieścia pięćdziesiąt – odparł wreszcie.

Marek poszukał po kieszeniach należności, wreszcie wy dobył zeń banknot dwudziestozłotowy, dwie dwudziestogroszówki oraz jedna dziesiątkę, podał je sprzedawcy.

– Zapakować? – zapytał zrezygnowanym głosem sprzedawca

– Tak, poproszę – odparł Marek patrząc ze zdziwieniem. Jeszcze nigdy nie spotkał sprzedawcy, który martwił się, że coś sprzedał. Wziął zapakowany obraz i wyszedł, pożegnawszy się z patrzącym na niego ze strachem zmieszonym z litością starcem. Gdy odwrócił się, przechodząc przez ulicę, ujrzał jeszcze siwego sprzedawcę, kreślącego za nim znak krzyża zza okna sklepiku.

Zmieszany dziwną sytuacją Marek szybkim krokiem ulotnił się sprzed sklepiku staruszka w szarej kamizelce. Wsiadł do swojego Fiata i otrząsnąwszy się wreszcie ze zdumienia, włączył silnik.

Radio, ustawione na cały regulator, zawyło donośnie. Kiedyś próbował przestawić jakąś stację, która słabo odbierała, ale skończyło się to tym, że teraz radio zawsze włączało się z głośnością ustawioną na maksa.

Zmienił stację. Dwójka nadawała wiadomości. Zgłośił odrobinę. Spiker mówił coś o kryzysie w Grecji i zamieszkach. Marek mruknął niezadowolony i przełączył stację. Czekala go długa droga i nie zamierzał słuchać po raz setny o tym samym.

Następna stacja nadawała słuchowisko. Starszy pan o miłym głosie czytał „Drakulę” Brama Stokera.

– No – mruknął z zadowoleniem i pogrążył się w myślach.

Dwie godziny później dotarł do domu. Wsiadł, przeciągnął się i wyjął z kieszeni marynarki paczkę LM-ów, ale po namyśle schował ją z powrotem.

– Nie ma sensu się truc – pomyślał – i bez tego stres skróci mi pewnie życie o połowę.

Podniósł z tylnego siedzenia zapakowany obraz i ruszył w kierunku drzwi.

Nagle, śpiący jeszcze przed chwilą pies sąsiadów zbudził się nagle i zaczął wściekle ujadać. Marek skrzywił się z niechęcią. Nienawidził tego kundla. Wiele razy myślał, czy nie zastrzelić go z wiatrówki, zwłaszcza gdy był na kacu, ale ostatecznie to nie wina psa, że on zawsze pił do nieprzytomności.

Powiesił marynarkę, zdjął buty i udał się do salonu. Włączył światło i zaczął rozwijać papier. Po chwili przyjrzał się rozpakowanemu obrazowi i aż usiadł ze zdumienia. Na pozór wszystko było jak trzeba - piasek, słońce, morze, tyle że na pustej wcześniej plaży siedział jakiś człowiek i moczył nogi w nieskazitelnie czystym morzu. Co dziwniejsze, choć Marek nie widział twarzy siedzącego, gdyż ten odwrócony był doń plecami, to przekonany był, że tajemnicza postać była do niego bardzo podobna, wręcz identyczna.

Skonsternowany, położył pejzaż na stole i otworzył, stojące na szafce obok, piwo. Jeszcze parę piw i udało mu się wreszcie uspokoić.

– Mogłem go przecież nie zauważyć – odparł, sam w to nie wierząc – a jego podobieństwo do mnie – pociągnął solidny łyk – a jego podobieństwo do mnie to nic takiego. Przecież nie jestem jakiś jedyny w swoim rodzaju, czy coś.

Wypił jeszcze dwa piwa. Z zadowoleniem stwierdził, że zaczyna wierzyć w to, co wymyślił, postanowił jednak utrwalić efekt. Parę piw później był już całkowicie pewny. A właściwie, to było mu wszystko jedno, bo leżał nieprzytomny na podłodze.

Rano obudził się z potwornym bólem głowy. Pieruński pies sąsiadów oczywiście

wył na całe gardło. Marek wykrzywił twarz w złowieszczym grymasie, zrezygnował jednak z chęci zabicia kundla i udał się do kuchni. Rozpuścił sobie alka seltzer i wypił duszkiem. Nie poskutkowało, wziął więc kolejny i zaczął go żuć. Poczuł się odrobinę lepiej. Przypomniawszy sobie o obrazie i z niejakim lękiem udał się do salonu.

Podniósł leżący na stole obraz i przyjrzał mu się. Plażowicz nadal tam był, lecz Marek ujrzał coś jeszcze, czego wcześniej nie zauważył. Był to czerwony szpic wystający jakby zza skraju kartki, z grubsza przypominający żądło gigantycznej osy. Zdziwiony zmarszczył brwi. Tego tu nie było, pomyślał. Odwrócił wzrok od rysunku. Muszę wyjść, pomyślał, bo zaraz zwariuję albo znowu się upiję. Wrócił po godzinie i od razu pognął do salonu, pchany jakimś złym przeczuciem.

Domniemane żądło okazało się być długim, zakrwawionym na końcu nożem dzierzonym przez bladą, kościstą dłoń szaleńca w okropnie zgniecionym, szarym garniturze i czarnym kapeluszu z szerokim rondem na głowie. Morderca był już w połowie drogi do niespodziewającego się niczego plażowicza. Siedzący odwrócił twarz w lewo, tak że nie widział zbliżającego się obląkańca, za to Marek wreszcie ujrzał jego twarz. Z przerażeniem poznał w siedzącym sobie samym, spostrzegł także swoje znamię na szyi, niewidoczne do tej pory. Nagle poczuł się słabo i stracił przytomność.

Ocknął się w nieprzeniknionych ciemnościach. Zapadł zmrok. Marek z przerażeniem zerwał się na równe nogi i, z obrazem w rękach, pognął do włącznika. Gdy jego oczy przyzwyczyły się do światła, spojrzał na pejzaż i niemalże krzyknął z przerażenia. Morderca był już tylko parę kroków od patrzącego beztrosko w dal bruneta, od jego sobowtóra. Coś mówiło mu, że jeśli oderwie wzrok od obrazu na dłuższą chwilę, kapelusznik dopadnie go, i zabije, mimo że istniał tylko na tym obrazie. Ogarnął go obezwładniający strach. Wprawdzie umysł mówił mu, że to niemożliwe, żeby zabicie jego podobizny na obrazie miało zrobić mu krzywdę, ale... Ale przecież postacie na obrazku nie pojawiają się z nikąd, a już na pewno się nie ruszają.

Nagle zapragnął się napić, wiedział jednak, że to nie jest dobry pomysł. Postanowił więc zrobić coś, żeby nie zasnąć, przynajmniej dopóki czegoś nie wymyśli. Trzymając obraz przed oczami zaczął iść na oślep w kierunku kuchni. Wszedłszy tam namacał kontakt i włączył światło. Natychmiast ruszył na poszukiwanie zgrzewki Red Bulla, którą niedawno kupił w Lidlu. Idąc na oślep zaczepił nogą o szmatę leżącą na podłodze. Odwrócił na chwilę wzrok od obrazu, ale natychmiast spojrzał na niego z powrotem. Kapelusznik unosił nóż do zadania śmiertelnego ciosu. Przerażony Marek namacał leżący w zlewie nóż i porwawszy go z krzykiem rzucił się na pejzaż.

Przed domem Marka Kazimierczyka stał ambulans i dwa policyjne radiowozy. Wysoki policjant w średnim wieku dyktował swojemu młodemu koledze protokół.

– Imię i nazwisko – Marek Kazimierczyk, lat – 34, stan cywilny – niezamężny. Prawdopodobnie popełnił samobójstwo, wbijając sobie kuchenny nóż w krtań. Obok denata leży obraz przedstawiający plażę, prawdopodobnie przed samobójstwem denat miał go w ręce. Noga owinięta w szmatę do podłogi...

– Szefie – przerwał policjantowi jego młodszy kolega – myśli Pan, że jak zamkną sprawę, będę mógł wziąć sobie ten obraz, dzieciakom pewnie by się spodobał.

Starszy policjant spojrzał na kolegę z pogardą. Ta dzisiejsza młodzież, pomyślał, niczego nie uszanuje.

Chociaż, zadumał się obraz, naprawdę był fajny, świetnie prezentowałby się na ścianie w kuchni...

Izabela Ficek

SREBRNY SZNUR

1.

Zimne powietrze sprawiło, że oblałem się gęsią skórą. Stare schody skrzypiały wściekle pod stawianymi ostrożnie krokami, jakby zawodziły w największych boleściach. W spiżarni było chłodno i ciemno. Ściany z ubitej ziemi zawsze podczas deszczu wydzielały wilgoć, ściekającą po nich krętymi strużkami. Woń, która unosiła się w powietrzu, była mi doskonale znana. Mroczna mieszanina zapachu ziemi i warzyw. Nacisnąłem palcem czarny pstryczek i wewnątrz ziemianki oświetliła brudna żarówka, dyndająca pod sufitem. Odruchowo złożyłem dłonie. Wykrzywiając dziwacznie palce, spojrziałem z uśmiechem na ścianę. Pojawiły się na niej wydłużone cienie zajęczków. Robiłem tak za każdym razem, gdy w dzieciństwie matka wysyłała mnie do spiżarni po warzywa lub owoce. Sama robiła przetwory, w dużych szklanych wekach z gumkami, które wkłada się pod wieczko. Weki tłoczyły się na licznych półkach i w kilku kartonowych pudłach, zaś w prawym rogu spiżarni stała spora beczka z ogórkami kiszonymi. Uśmiechnąłem się na wspomnienie czasów dzieciństwa, gdy jako smarkacz panicznie bałem się tego miejsca. A raczej straszylem, jakie wedle mojej dziecięcej wyobraźni, kryły się w jego zakamarkach. To tutaj można było usłyszeć złowieszcze kapanie wody, lepkie pajęczyny przypominały parzydełka meduz, a włochate pająki mogły niepostrzeżenie wplątać się we włosy. Mimo wyłożonej trutki, zejście do spiżarni groziło spotkaniem z tłustym szczurem, większym od dorosłego kocura. Zawsze bałem się, że żarówka nagle zgaśnie i o nogę otrze się szorstkie cielsko. Wiedziałem, że jeśli w ciemności rozbłyszczą jarzące się na czerwono ślepia, a ciszę rozedrą wysokie piski, nie będzie dla mnie ratunku. Najwięcej strachu dostarczała myśl, że szczur potrafiłby odgryźć mi stopę. Jednak odkąd skończyłem dwanaście lat, wszystkie lęki prysły jak bańki mydlane. Muszę przyznać, że zwyczajnie polubiłem to ciemne, ciche miejsce, jego klimat i specyficzną woń. Zacząłem rozkoszować się poczuciem bezpieczeństwa, które można porównać chyba tylko z bezpieczeństwem, jakie daje łono matki.

Przystanąłem, szukając wzrokiem słoików z borowikami, których prawdziwy wysyp miał miejsce zeszłorocznej jesieni. Mama zdążyła je jeszcze zamarynować. A zimą... Zimą już jej nie było. Każdego kiedyś to czeka. Memento Mori! Im człowiek jest starszy, a na głowie rodziców pojawia się coraz to więcej białych kosmyków, podświadomie przygotowujesz się na ten dzień. Czujesz pismo nosem, wiesz, że piasek nieubłaganie przesypuje się przez klepsydrę życia, na powiększającą się, złotą kupkę. Ale jeśli sądzisz, że możesz być na to gotowy, gównu wiesz!

– Marek! Ile mam jeszcze czekać na te grzyby?

Zniecierpliwiony głos Magdy szybko i skutecznie wyrwał mnie z zamyślenia.

– Już idę! – odkrzyknąłem i sięgnąwszy po słoje z borowikami odwróciłem się na pięcie. Gdy opuszczałem spiżarnię, schody raz jeszcze zaskrzypiały cierpiętniczo.

Stałem w drzwiach kuchni. Magda wrzucała właśnie makaron do garnka z osoloną wodą. Łypnęła na mnie groźnie, gdy tylko postawiłem słoje na stole. Cierpliwość zdecydowanie nie była jej mocną stroną.

– Szybciej się nie dało? – zapytała kąśliwie. – Nie miej później pretensji, że obiad nie w porę...

– No nie bocz się tak – odparłem przymilnie, próbując zapobiec bezsensownym złośliwościom. – Co dobrego dziś przyrządza moja mistrzyni kuchni?

Tak jak przypuszczałem, „mistrzyni kuchni” załatwiła sprawę. Mężczyzna przez całe swoje małżeństwo, pieczołowicie nakreśla w kajecie umysłu strategiczny plan na każdą okazję, aby w razie zagrożenia zerknąć prędko na odpowiednią stronę i użyć tego jednego, odpowiedniego słowa bądź zwrotu. Tak, by agresywny, spragniony świeżego mięsa tygrys, zamruczał i zwinął się w kłębek, niczym zadowolony pers. I co najważniejsze, stracił apetyt.

– Tagiatelle z borowikami – powiedziała dumnie Magda. – Bogna wczoraj dała mi przepis.

Nie mając zielonego pojęcia, czym jest tajemnicze tagiatelle, udałem zachwyconego. Ostatnia taka niespodzianka zaowocowała najgorszym, w moim trzydziesto paroletnim życiu, sraniem. Mimo to, postanowiłem być dobrej myśli.

2.

W trakcie obiadu prawie nie rozmawialiśmy. Powoli zaczynałem przyzwyczajać się do tych cichych, wspólnych posiłków. Chyba lepiej nie rozmawiać wcale, niż rozprawiać o dupie Maryni.

– I? – odezwała się w końcu Magda.

– Co „i”?

Twarz żony była napięta, oczy wpatrywały się we mnie wyczekująco.

– I jak? Smakowało ci?

– Bardzo – odparłem pośpiesznie, i ze zdziwieniem odkryłem, że mówię prawdę.

Kąciki ust Magdy zadrżały lekko i widziałem GO przez krótką chwilę. To tak, jakby raz na setki lat na niebie pojawiła się kometa. Na pochmurnej twarzy żony rozkwitł uśmiech, choć wydawało się, że wszystkimi siłami starała się go powstrzymać. Bywały momenty, kiedy pytałem sam siebie, co sprawiło, że Magda Milewska została przed laty moją żoną. Czy obawiałem się podświadomie, że taka okazja już mi się nie trafi? Nie byłem typem przystojniaka, mogącego mieć każdą. Przeciętniak, o wątpliwych walorach fizycznych. Chudy, szary, nijaki. I te cholerne okulary! Jeśli jednak dysponujesz walorami portfela, nie jesteś jeszcze na straconej pozycji. Kto by pomyślał, że szkolna piękność, brylująca przez pięć dni w tygodniu na korytarzach żywieckiego liceum, zainteresuje się takim szarakiem? Wszyscy mi jej zazdrościli. Grube kasztanowe loki i czekoladowe oczy rekompensowały zmienne nastroje. Jak to ze szkolnymi pięknościami bywa, Magda nie zdecydowała się na studia. Nie paliła się też do pracy, ale na nic nie nalegałem. Moja własna kancelaria prawnicza pozwalała nam na całkiem przyzwoity byt w szarej, polskiej rzeczywistości. W końcu to mężczyzna powinien wziąć na swoje barki konieczność utrzymania rodziny. Prawdę mówiąc, marzyłem o takim życiu. Dobra praca, piękna żona zajmująca się domem i dziećmi, która po ciężkim dniu uraczy twój żołądek smacznym obiadem, a wieczorem zadbać o siebie nawzajem. Czas weryfikuje wszystko. Magda była piękna, nie można zaprzeczyć. Gotowała też nienajgorzej, ale cóż innego miała do roboty, oprócz szlifowania talentu kulinarnego, oglądania durnych seriali i plotkowania z koleżankami? Gdyby pojawiły się dzieci... Tak, gdyby tylko się pojawiły. Było nas na nie stać, jakkolwiek brutalnie by to nie zabrzmiało. Tyle się słyszy o niemowlakach porzuconych na śmietnikach, o dzieciach, którym matki nie mają za co kupić nowych butów na zimę. Naszemu dziecku niczego by nie zabrakło. Ale Magda nie chce jeszcze tracić figury. I najlepszych lat. Na dzieci przyjdzie odpowiedni czas, powtarza jak mantrę. A ja odpuszczam, mając nadzieję, że doczekam się potomka przed pięćdziesiątką.

– Wiesz, przeglądałam dziś gazetę i natknęłam się na...

– Daruj sobie – wpadłem żonie w słowo, nie pozwalając dokończyć. Nie musiała. Wiedziałem aż za dobrze, że natknęła się na kolejne ogłoszenie w stylu „taka okazja już się nie powtórzy”.

– Ale taka okazja na pewno się już nie powtórzy!

– Trudno – odparłem sucho. – Znasz moje zdanie na ten temat, więc naprawdę nie rozumiem, po co wciąż zwracasz mi tym głowę...

- Jezu, Marek! Nawet nie zdążyłam ci powiedzieć, co to za mieszkanie – upierała się Magda.
- Przestronne, blisko parku, no i za taką cenę...
- Nie słuchasz...
- ...nie znajdziemy lepszego! Jest po prostu idealne.

Moje wrodzone opanowanie stanęło w szranki z narastającą irytacją, i jak na razie, radziło sobie całkiem nieźle. Żona najwyraźniej za wszelką cenę nie chciała dopuścić mnie do słowa i dalej paplała jak najęta.

– Marek, no sam pomyśl. Do pracy miałbyś bliżej. Miasto to miasto, nawet nie wiesz jak się tu nudzę.

– To znajdź sobie jakieś zajęcie.

– W tym wygwizdowie? Żartujesz chyba!

– Nie, jestem śmiertelnie poważny – Opanowanie nerwów było coraz trudniejsze. – To tylko siedem kilometrów od miasta. Mogłabyś poszukać sobie pracy. Przecież dojazd to nie problem.

– Może dla ciebie – prychnęła Magda.

No tak, pomyślałem. Księżniczka musiałaby wstawać szybciej o jakieś pół godziny. A jakże to tak? Sądząc po spojrzeniu, jakim od kilku chwil obrzucała mnie żona, na mojej twarzy ironiczne myśli musiały malować coraz to wyraźniejszy grymas.

– Pomyślałeś choć przez chwilę o dzieciach? – wypaliła jak armata. – No jasne, że nie. Przecież pan egoista myśli tylko i wyłącznie o sobie!

– Magda, przeginasz – odparowałem wściekle. – Nagle zachciało ci się dzieci, tak? Sięgnij po lepsze karty, bo tymi mnie nie ograsz.

Twarz żony wyraźnie spurpurowiała, lecz po chwili przybrała chłodny, blady odcień, sugerujący pozorne opanowanie. Wiedziała, że mimo wszystko trafiła w mój czuły punkt.

– Przeprowadzka do miasta zmieniałaby postać rzeczy, Marek. Tam są lepsze przedszkola, szkoły, moglibyśmy się wtedy postarać o...

– Kotku, nie sprzedam tego domu – odparłem stanowczo. – Rodzice zbudowali go dla mnie i dla mojej przyszłej rodziny, obiecałem o niego zadbać. Mama nie chciała, aby zamieszkali w nim jacyś obcy ludzie. A ja jej obiecałem, że tak się nie stanie, rozumiesz? Muszę spełnić jej ostatnią wolę.

– Gównu musisz! – wybuchła Magda, czując, że jej taktyka wzięła w łeb. – Twoi rodzice nie żyją. Co im do tego, jak i gdzie będziemy żyć?

– Proszę, skończmy już tę dyskusję, zanim ktoś powie o jedno słowa za dużo...

– Maminsynek! Pieprzony maminsynek!

– Uspokój się, do jasnej cholery!

– Mamusia już dawno kopnęła w kalendarz, a Ty nadal się jej słuchasz! – wrzasnęła Magda, opryskując stół śliną. – Jesteś żaloszny, słyszysz? Żaloszny! Gdyby zabroniła ci się ze mną ożenić, też byś jej posłuchał?

Zanim trzasnąłem drzwiami, rzuciłem żonie przez ramię lodowate spojrzenie.

– Wiesz, czasami żałuję, że nie posłuchałem.

3.

Wszedłem do sypialni nie zapalając światła. Wyglądało na to, że Magda już śpi, a bynajmniej żywiłem nadzieję, że tak właśnie jest. Po wcześniejszej kłótni, przez resztę dnia unikaliśmy się jak ognia. Żadne z nas nie miało też ochoty na wieczorne starcie, żona położyła się znacznie wcześniej niż zwykle, ja natomiast odczekałem na tyle długo, by zastać ją pogrążoną we śnie. Wsunąłem stopy z kapci i ostrożnie ułożyłem się na swojej części łóżka. Chryste, kiedy to było, gdy zasypialiśmy wtuleni w siebie, niczym dwa spragnione ciepła gołębie podczas ostrej, grudniowej zimy? Dawno, bardzo dawno temu. Dziś wygoda zwyciężała nad bliskością. Przynajmniej można było wierzyć się do woli. Ciepła pościel i rozkoszna ciemność kołysały mnie do snu, tak przecież upragnionego. Czując przyjemne odprężenie, wyczekiwałem na ten nieuchwytny moment. Jednak, jak co noc, sen nadszedł niespodziewanie, sam nie wiem, kiedy przekroczyłem drzwi onirycznego świata. Obudziłem się gwałtownie po niespełna kilku godzinach i usiadłem na łóżku. Zabawne, miałem wrażenie, że wcale nie otwierałem oczu. Spojrzałem w prawo. Księżyc wydawał się jakiś dziwny. I jakby większy. Dużo większy! Otulony świetlistą luną, zdawał się wisieć tuż za oknem. Mimowolnie zerknąłem na łóżko. Magda ani drgnęła, wciąż pogrążona we śnie, a obok... Obok niej leżał jakiś facet! Zaraz, zaraz... Wyglądał jak... Wyglądał zupełnie jak ja! Chryste, przecież to byłem ja! Ze zdumieniem patrzyłem na własne ciało. Śniłem? Obrazy były tak bardzo realistyczne. Może umarłem? Czyżbym spoglądał na swoje martwe ciało? Nagle ogarnęła mnie fala czystej paniki i strachu. I wtedy poczułem silne szarpnięcie, a uczucie, które temu towarzyszyło można porównać chyba tylko do zasysanej wody, gdy wyciągnie się korek z wanny. Błyskawicznie zapadłem w głęboki sen.

(Następny?)

Kolejne przebudzenie nastąpiło dopiero wczesnym rankiem. W drodze do pracy rozmyślałem

o swojej nocnej przygodzie. Bez wątpienia był to najdziwniejszy sen, w jakim kiedykolwiek przyszło mi się znaleźć. Mgliste wspomnienie ekscytacji mieszającej się z przerażeniem, wciąż przyprawiało moje ciało o lekki dreszcz. Wiele razy widywałem w snach samego siebie, pełniąc rolę obserwatora nierzeczywistych zdarzeń, będących wynikiem projekcji umysłu. Zazwyczaj byłem jedynie niewyraźną postacią, mglistym bohaterem marzeń sennych i nierzadko ledwo co rozpoznawałem własne, nieco zniekształcone oblicze. Wczorajszej nocy było zupełnie inaczej. Prawie uwierzyłem, że patrzę na swoje materialne ciało, tak wyraźne, że niemal rzeczywiste. Nigdy wcześniej śniąc, nie zdałem sobie sprawy z tego, że śnię. Tak wiem, trochę to wszystko pokręcone. Prawnik twardo stąpający po ziemi nie powinien zaprzętać sobie głowy takimi bzdetami. Staralem się myśleć tak bardzo racjonalnie, jak to tylko możliwe. Jednak jakaś częśćka mnie, nieśmiała i skryta w najgłębszych zakamarkach umysłu, próbowała przedostać się na jego wyższe piętra. Ta częśćka mnie szeptała cicho, że wydarzyło się coś niesamowitego. Nie mogło jednak równać się z tym, co miało dopiero nastąpić.

4.

Rozpoczął się najbardziej ponury tydzień października. Niebo zasnuły szczelnie ciężkie, ołowiane chmury, skutecznie odcinając Beskidy od ciepłych promieni słonecznych. Droga z Żywca do Pewli Ślemieńskiej zdawała się ciągnąć w nieskończoność. Choć niewątpliwie mieliśmy z Magdą „ciche dni”, marzyłem by jak najszybciej znaleźć się w domu i usiąść wygodnie w ulubionym fotelu. Osiem godzin spędzonych za biurkiem w kancelarii wyraźnie dało mi w kość. Nie pomogła nawet godzina na basenie, na który chodziłem regularnie od półtora roku, by ratować kręgosłup, który nie był niestety w najlepszym stanie. Jak na moje trzydzieści sześć lat, nie miałem się czym chwalić. Bez przerwy obiecywałem sobie, że powrócę na szlak. Otaczały mnie góry, a ja nawet nie miałem kiedy wyruszyć, by zdobyć którąś z nich. Wciąż plulem sobie w brodę, że tak zaniedbałem młodzieńczą pasję. Kochałem górskie wyprawy, zarówno te przypominające relaksującą przechadzkę, jak i te, które wyciskały z człowieka siódme poty. Zmęczone ciało wielokrotnie odmawiało dłuższego wysiłku, jednak stopy niestrudzenie maszerowały dalej. Pochłaniając łapczywie czyste powietrze, z czołem zroszonym potem, dzielnie brnąłem naprzód, delektując się spokojem i karmiąc uszy soczystymi ariami ptaków. I tak, aż do wyznaczonego celu. Tylko ktoś, kto odda górcom serce, może to zrozumieć. Uśmiechnąłem się na wspomnienie tamtych lat. Dziś większość z moich kompanów rozjechała się po świecie, bądź dzieliła czas między bliskich a pracę. Sam skończyłem podobnie. Choć spełniałem się w zawodzie, nie byłem do końca pewien, gdzie i jak daleko leży mój obecny cel. Zdyszany i zziąjany

podążałem naprzód, mając nadzieję, że kiedyś go osiągnę. Deszcz zaciął coraz mocniej. Wycieraczki miarowo przecierały przednią szybę, a w radio spiker zapowiadał właśnie kawałek Stonesów. Po chwili wtórowałem Mickowi Jaggerowi, rycząc na całe gardło niczym młodociana gwiazda rocka. Czas jakby przyspieszył, a wraz z nim moja toyota avensis, bombardowana przez strugi deszczu. Gdy dojechałem na miejsce, z ogromnymi oporami opuściłem ciepłe i suche wnętrze samochodu. Postawiłem kołnierz płaszcza i z neseserem pod pachą pognałem do domu. Bóg najwyraźniej zapomniał zakręcić kurek w swej niebiańskiej łazience, zalewając okolicę, jak nieszczęsne mieszkanie znajdujące się piętro niżej. Niech to szlag! Zaledwie kilkadziesiąt sekund wystarczyło ulewie, by zdążyła przemoczyć mnie do ostatniej suchej nitki. Od rana dręczyła mnie myśl, że czegoś zapomniałem. To jedna z tych natarczywych myśli, która nie odpuści, aż do momentu, gdy odgadniesz, co to za rzecz. Na moje nieszczęście, była to parasol. Szczerze mówiąc, tego dnia wolałbym odkryć, że brakuje mi slipek na tyłku.

5.

Podczas kolacji wymieniliśmy z Magdą kilka zdawkowych uwag o pogodzie i innych mało istotnych pierdołach. Ot, taka gadka szmatka, która rozluźniła nieco napiętą atmosferę. Żona nie poruszała ponownie tematu przeprowadzki, ale byłem pewny, że prędzej czy później powróci on jak pieprzony bumerang. Wiedziałem też, że Magda nie odpuści, dopóki nie dopnie swego. Problem polegał na tym, że nie zamierzałem ulec. Ile to jeszcze burz przed nami? Wolałem na razie o tym nie myśleć. Gorący prysznic. Tak, tego właśnie było mi trzeba. Kabinę opuściłem dopiero po godzinie. Czysty i odprężony, wkroczyłem do sypialni. Lampka nocna wciąż paliła się na stoliku obok łóżka, na którym leżała już Magda, okryta satynową pościelą w orientalne wzory. Tak jak i poprzedniego dnia, zastałem ją pogrążoną we śnie. Może tylko udawała, że śpi? Nieważne. Przeszedłem na palcach obok łóżka i stanąłem przy oknie. Deszcz bębnił o parapet i zalewał ogródek, zamieniając grządki mamy w płytkie bajorko. W moim śnie, srebrzysty księżyc był tak blisko, że gdybym wystawił rękę przez okno, mógłbym przeczesać palcami jego szarą powierzchnię. Niebawale. Tej nocy jego blask nie był w stanie przebić się przez skorupę deszczowych chmur. Najciszej jak potrafiłem, zaciągnąłem grube zasłony, pozostawiając świat za oknem na pastwę ulewy. W dzieciństwie bałem się, że deszcz zmyje z niego wszystkie kolory. Zwłaszcza jesienią, gdy w cieplejsze, słoneczne dni, drzewa zachwycały wielością barw. Zgasilem lampkę nocną i wśliznąłem się pod kołdrę, niemal bezszelestnie, jak wąż. Z lubością wtuliłem prawy policzek w miękką poduszkę i przymknąłem powieki. Błogi sen otulił

mnie niczym aksamitne płótno. Nie mam pojęcia, kiedy i w jaki sposób znalazłem się pod sufitem. Z niedowierzaniem spoglądałem na siebie, śpiącego obok żony i opatulonego kołdrą po samą brodę. Przez krótką chwilę, zupełnie jak poprzedniej nocy, ogarnął mnie lęk. Strach, wywołany przez tą absurdalną sytuację, szybko ustąpił ciekawości, która powoli przeradzała się w coś zbliżonego do ekscytacji. Pomyślałem, że nie mogę być martwy, gdyż pościel miarowo unosi się i opada w rytm mojego oddechu. Pierwszy raz przyszło mi usłyszeć własne pochrapywanie, przywodzące na myśl rżenie zakatarzonego, podstarzałego niedźwiedzia, mającego poważny problem z przegrodą nosową. Co prawda Magda przebąkiwała od czasu do czasu, że mógłbym pójść z tym do lekarza, gdyż w przeciwnym razie będzie zmuszona nabyć stopery do uszu, ale nie spodziewałem się, że wydawane przeze mnie odgłosy, mogą brzmieć... TAK! Aż dziw, że żona do tej pory nie wyniosła się ze wspólnej sypialni. Lewitowanie pod sufitem zaczynało być coraz bardziej przyjemne. Nie byłem pewien „co” konkretnie lewituje, skoro większość mnie przebywała w tym czasie na łóżku. Mój umysł? Dusza? Myśl? A może byłem tylko obserwatorem najnudniejszego snu w historii, w którym to ja, jako główny bohater, przesypiam smacznie noc? Powietrze było jakieś gęstsze, jakbym pływał w niezwykle przezroczystej cieczy. Spróbowałem zerknąć do okna (ignorując zupełnie fakt, że ciężko jest zerkać bez udziału istotnego organu, jaki stanowią gałki oczne) i niemal oniemiałem. Tuż za szybą iskrzyła się srebrna tarcza księżycy, przysłaniana co chwilę przepływającymi kłębowcami popielato – mlecznej mgły. A więc śniłem! Dureń! Jak mogłem pomyśleć, że to wszystko może dziać się naprawdę? Jeszcze niedawno nocny krajobraz rozmywał się w strugach deszczu, a teraz? Pragnąłem bez końca wpatrywać się w księżycową tarczę, ale nagle szarpnięcie sprawiło, że w ułamku sekundy znalazłem się na łóżku. Nie przebudziłem się jednak, a tylko miękko przepłynąłem do kolejnego snu, a może i do kilku, których rano i tak nie zdołałbym sobie przypomnieć.

6.

Coraz częściej budziłem się pod sufitem sypialni. Na początku to dziwne, nieznanne mi bliżej zjawisko, budziło we mnie lęk i niepewność. Wpatrywałem się w swoje śpiące ciało z ciekawością i niedowierzaniem. Byłem też coraz mocniej przekonany, że nie może być to tylko zwyczajny sen. Próbowałem wymachiwać rękami i nogami, czując się jak niemowlę wrzucone w głębinę oceanu. Pierwsze kroki były niezdarne i nieśmiałe. Bez przerwy przyglądałem się swojemu drugiemu ciału, a raczej niematerialnej powłoce, w jaką wskakiwałem. Tworzona przez świetliste włókna, nie mogła być sensownie porównana do niczego, co znałem i widziałem w życiu. Powiedzieć, że była niesamo-

wita, to tak, jakby nazwać różę chwastem. Powoli oswajałem się z tą dziwną sytuacją, a każde kolejne wyjście poza ciało było bardziej śmiało od poprzedniego. Na początku latałem swobodnie po sypialni, czując się lżejszy od powietrza, niczym puch popychany przez oddech wiatru. Pozbyłem się w końcu ograniczającego lęku, dając się porwać lawinie fascynacji. Do tej pory myślałem, że w życiu nie ma nic przyjemniejszego od seksu. Myślałem tak do czasu, zanim nie poznałem tego uczucia. Marzyłem, by pozostawać w tym stanie jak najdłużej, jednak za każdym razem powracałem do ciała w najmniej odpowiednim momencie. Zacząłem w końcu liczyć swoje „wyjścia”. Podczas dwunastego z kolei, postanowiłem spotęgować doznania. Wciąż czułem się jak uczeń, który szlifuje swoje doświadczenie, i stara się osiągnąć coraz to wyższy poziom. Byłem wystarczająco oswojony z sytuacją, by spróbować. Wystarczyła jedna myśl, iskra, która niczym impuls zainicjowała ruch. No i stało się! Niczym nocna zjawy, przepłynąłem przez ścianę. Tak po prostu! Jakbym przetopił się przez płynną przeszkodę. Pierwszy raz znalazłem się poza bezpieczną przestrzenią sypialni. Lekko oszołomiony, spojrzałem przez okno. W pół mroku dostrzegłem własne łóżko, a na nim samego siebie, śpiącego obok niczego nie świadomej Magdy. Starłem się skupić i opanować obawę, by nie powrócić zbyt szybko. Nie tracąc czasu, spróbowałem się przemieścić. No dalej, krótka myśl. Jezu, cóż to było za uczucie! Krążyłem swobodnie wokół starej jabłoni, czując, że robię to z większą płynnością, niż szybujące ptaki. Delektując się rozkoszną lekkością bytu, skierowałem się w dół i przyspieszyłem, niczym pikujący jastrząb. Zatrzymałem się tuż nad ziemią, balansując w mroku nocy, jakby gęstszym tu, pod jabłonią. I wtedy je zobaczyłem. Dwoje święcących, połyskujących zielenią oczu. Ich właściciel krył się pod krzakiem czarnej porzeczki. Gdybym tylko mógł, na pewno przełknąłbym wtedy ślinę. Usłyszałem cichy, niski pomruk. Podobnie brzmiały dźwięki wydawane przez koty, gdy niespodziewanie spotykały się po przeciwnych stronach grządki, wyraźnie z tego faktu niezadowolone. Miałem rację. Krzak zatrzęsł się lekko, i wystrzelił spod niego wielki kocur. Przemknął w pośpiechu przez podwórko i jednym susem wskoczył na ogrodzenie. Po chwili zniknął, zatapiając się w ciemnościach na sąsiedniej posesji. Mógłbym przysiąc, że wyraźnie się we mnie wpatrywał. Czy to możliwe? Przecież byłem czymś w rodzaju ducha, niematerialnym i nienamacalnym bytem. Nie byłem nawet pewien, czy to wszystko działo się naprawdę. Może tylko mój przepracowany umysł płatał mi figla? Diabli wiedzą, w końcu koty posiadają szósty zmysł. Podobno. Moje rozważania w tym kierunku zostały gwałtownie przerwane, gdy poczułem znajome szarpnięcie w okolicach pępka, a bynajmniej tam, gdzie normalnie powinien się znajdować i w okamgnieniu powróciłem na łóżko. Równie szybko pogrążyłem się w głębokim śnie.

7.

Do kancelarii dotarłem grubo po dziewiątej. Budzik nie zadzwonił, a desperackie poszukiwanie czystych skarpetek pożarło dodatkowe, cenne minuty. Dałbym sobie rękę uciąć, że wieczorem naszykowałem świeżo wypraną parę. Grunt to dobra organizacja – a dobra organizacja czasu, to dobry nawyk. Nie ma nic gorszego, niż poranne poszukiwania czystych części garderoby, zwłaszcza, kiedy wskazówki zegara przesuwają się ponaglająco, i jakby za szybko. Pieprzone skarpety, diabeł ogonem zamiótł! Szczerze mówiąc, dałbym sobie uciąć drugą rękę, że nastawiłem budzik. Nawet dwa razy sprawdziłem, takie skrzywienie z czasów dzieciństwa. Punktualność od zawsze była moją mocną stroną, przez co raczej nie zdarzało mi się spóźnić do pracy.

– Marek! – zawołała Sandra, moja współpracownica. Zdziwiona, wyjrzała zza komputera. – Już miałam dzwonić do ciebie – dodała rozemocjonowana, i gdy tylko otaksowała mnie wzrokiem, wybałuszyła błękitne oczy. – Jezu, wyglądasz jakbyś całą noc nie spał...

– Wybacz... Budzik nie zadzwonił – odparłem zgodnie z prawdą, i szybkim krokiem ruszyłem w kierunku drzwi do swojego gabinetu.

– Zrobić kawę?

– Może później, dzięki.

– Daj spokój! Mocna kawa dobrze ci zrobi.

– No, niech będzie – Poddąłem się i posłałem Sandrze wdzięczny uśmiech. – Ale musi być cholernie mocna. I czarna, jak ją ekspres stworzył!

– Bez kropli śmietanki, czarna jak tyłek murzyna!

– Wiesz, co lubię.

– No pewnie – rzuciła wesoło Sandra. – Lata obserwacji, drogi współpracownika.

W gabinecie przywitał mnie stos papierów, piętrzących się na biurku. Westchnąłem ciężko i rzuciłem neseser na małą, skórzaną kanapę. Cholernie nie chciało mi się dziś pracować. Po około dziesięciu minutach w gabinecie pojawiła się Sandra, trzymając ostrożnie ucho dymiącej filiżanki. Zapachniało aromatyczną kawą. Jak co dzień, włosy miała upięte w elegancki kok, lśniący aksamitną czernią. Pochyliła się lekko nad biurkiem, kładąc przede mną porcelanową filiżankę w chińskie wzory. Gdy spostrzegła, że gapię się na jej obfity biust, uśmiechnęła się filuternie.

– Mogę coś jeszcze dla ciebie zrobić? – zapytała przymilnie. Brzmienie jej głosu przywodziło na myśl delikatne mruczenie kota.

Poprawiłem nerwowo okulary i przełknąłem ślinę. Z trudem przywołałem do porządku myśli, które rozbiegły się niepostrzeżenie na bardzo niebezpieczne tory. Miałem swoje zasady i bardzo nie chciałem ich łamać. Coraz trudniej jednak było ich przestrzegać. W dodatku ona wcale mi tego nie ułatwiała. Wręcz przeciwnie. Wiedziałem, że leci na forszę, w końcu do Banderasa było mi daleko. Ta myśl studziła lepiej, niż kadź pełna lodu. Żadna z moich fantazji nie była warta urzeczywistnienia.

– Marek?

– Nie, dzięki – odparłem krótko i stanowczo. – Mam sporo pracy, więc jeśli pozwolisz...

– Jasne, już mnie nie ma – wycedziła Sandra, siląc się na obojętność. Przemaszerowała przez gabinet, ostentacyjnie kręcąc tyłkiem i nieco zbyt mocno zamknęła za sobą drzwi.

Okazja czyni złodzieja, a pokusa...

– Dasz radę, chłopie – pocieszyłem sam siebie i zabrałem się wreszcie do roboty.

8.

W drodze do domu, moje myśli skupiały się tylko na jednym. Prawdę mówiąc, dręczyły mnie przez cały dzień. Nie mogłem doczekać się nocy, bezustannie zastanawiając się, czy i tym razem doświadczę czegoś niezwykłego. Wtedy jeszcze nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo w tym ugrzęzłem. Byłem na głodzie. Narkoman, potrzebujący swojej działki. Narkoman, który zaprzeda duszę diabłu, za odrobinę koki. Marzyłem tylko o tym, aby się położyć i... No właśnie, i co? Nie miałem pojęcia, ale to najbardziej mnie w tym kręciło. Ta ekscytująca niepewność, wypełniająca godziny oczekiwania na nadejście nocy. Tak. Była jak balsam na monotonię dobrze mi znanej codzienności. Żwir na podjeździe zachrząścił cicho, a reflektory oświetliły duży, ładny dom. No, nareszcie na miejscu. Już niedługo. Zgasilem światła, zatrzasnąłem drzwi toyoty i żwawym krokiem ruszyłem w stronę drzwi frontowych. Co dziś, co tym razem?

9.

Listopad, wraz z niższą temperaturą, przyniósł pierwsze w tym roku opady śniegu. Biała pierzynka okryła szczelnie drzewa i krzewy, a z nieba bezustannie spadały drobne płatki, wirując na

wietrze niczym łyżwiarze figurowi w swoim najlepszym tańcu. Słupek rtęci na termometrze ogrodowym konsekwentnie się obniżał, aby pod koniec miesiąca zacząć straszyć prawdziwie niską temperaturą. Zimne powietrze cięło policzki niczym ostrze noża, a wierzchołki Beskidów przypominały świąteczne babki, grubo oprószone cukrem pudrem. Nieskazitelna, emanująca niewinnością biel była wszechobecna, ukrywała pod sobą świat. Przykryła jego wszystkie skazy, brud i nieczystości. Do czasu, gdy wiosenne roztopy zmyją z niego tę białą maskę, a wtedy będzie mógł przyodziać kolejną, tym razem zieloną i soczystą. Gdyby nie one, mógłby się nam wydać wyjątkowo paskudny. O, tak. Pierwszy grudnia przybył na skrzydłach porywistego wiatru. Niebo przybrało kolor chłodnej stali, a silne podmuchy zaczęły usypywać białe zaspę. Wieczorem usadawiłem się w swoim ulubionym fotelu, przysuwając go uprzednio niemal pod sam kominek. Rozkoszny żar szczypał skórę na moich gołych stopach. Wnętrze kominka przywodziło na myśl (tak, tak, stary. Gapi się na ciebie! Nie widzisz, jak się do ciebie uśmiecha?) rozpaloną gardziel diabła. Bukowe drewno trzaskając w ogniu, wydawało niskie pomruki. Jakby piekielne szepty przedostawały się do naszego salonu. Zamrugalem. Kominek na nowo stał się tylko kominkiem (uśmiechał się do ciebie...), a pomarańczowe ognie tańczyły wesoło za lekko osmoloną szybą. Leniwie zmrużyłem oczy. Cóż za błogostan. Cisza i ogień. Za oknem, ciężkie płatki śniegu intensywnie bombardowały ogród. Przenikliwie zimno było daleko, a ja byłem poza jego zasięgiem. Cień wiatru powoli osuwał się z moich kolan, gdyż wiotczejące mięśnie nie pozwoliły dłoniom dłużej utrzymać książki. Dzieło Zafona upadło cicho na miękki dywan. Stało się. Z lekkim niedowierzaniem, spojrzałem na siebie, siedzącego w dużym, skórzanym fotelu, z głową oklapniętą na lewym ramieniu. U bosych stóp, leżała otwarta książka. Blask bijący od kominka, obsypywał moją pogrążoną we śnie twarz, złocistymi refleksami. A niech mnie! Pierwszy raz doświadczałem tego poza własną sypialnią. Nabierałem pewności, teraz niemal absolutnej, że to nie mogą być tylko senne majaki. I wtedy dostrzegłem go bardzo wyraźnie. Niemal przezroczysty, a jednak iskrzący się w przytłumionym świetle salonu i w blasku kominka. Srebrny sznur. Wyglądał jak gładki, elastyczny kabel, promień słońca. Podobny do linii energetycznej wyrastającej z mojej głowy. Czulem, że jego drugi koniec, połączony jest z obecnym „mną” (czymkolwiek się stawałem). Dyndałem sobie gdzieś pod sufitem salonu, lecz nie całkiem swobodny. Zupełnie jak balonik, unoszący się w powietrzu, podczas gdy dziecięca rączką kurczowo ścisną koniec sznurka, by za daleko nie odleciał. Niemal natychmiast postanowiłem sprawdzić długość sznura, który najwyraźniej łączył mnie z ciałem. Powoli. Myśl popchnęła mnie poza mury domu. Tak jak poprzednio, zwyczajnie przepłynąłem przez ściany. Świetlisty kabel przedostał się wraz ze mną, ciągnął się niczym ogon. Szybko

opuściłem ogród i poleciałem dalej, wzdłuż uśpionej uliczki. Pod płotami zalegał śnieg, był jednak nieco innej barwy, jakby osnuty błękitną, fluorescencyjną mgiełką. Mijałem latarnie, które sączyły w mroku blade światło. W ich blasku można było dostrzec, że prószy śnieg. Równie błękitny, jak ten zalegający po obu stronach ulicy. Im dalej leciałem, noc jakby gęstniała. Łyse, pozbawione liści drzewa, zaczęły przypominać przygarbione, mroczne sylwetki. Odczułem dziwne wrażenie, że czyhają na nieostrożnych, spragnionych wrażeń śmiazków (na mnie?), gotowe niepostrzeżenie pochwycić ich w swoje konary. Wokół zaczął narastać nieprzyjemny szum, taki, jaki powstaje, gdy bezskutecznie szuka się radiowej stacji. Sam nie wiem, dlaczego postanowiłem odwiedzić ten dom. Czy chciałem schronić się w jego (bezpiecznych?) murach? Dziwny lęk popchnął mnie na obcą posesję, przeleciałem swobodnie nad ogrodzeniem i skierowałem się w stronę drzwi frontowych. Mógłbym przysiąc, że kiedy mijałem starą gruszę, rosnącą tuż obok domu, gołe gałęzie zaskrzypiały upiornie, niczym rozprostowujące się palce. Może to tylko wiatr zaszumił złowrogo wśród gałęzi, gdzie spały ptaki? (a może palce, Marek?)

Mahoniowe drzwi na szczęście nie były przeszkodą. W okamgnieniu znalazłem się w obcym holu, ciemnym i ponurym, gdyż nie paliło się tu żadne światło. Ruszyłem dalej, na piętro, frunąc tuż nad drewnianymi schodami. Tu także nie paliło się żadne światło, jednak dostrzegłem zarysowujące się w mroku kontury drzwi. Kilka sekund wystarczyło, abym znalazł się po ich drugiej stronie. Pomieszczenie, w przeciwieństwie do pozostałej części domu, było nieznacznie oświetlone. Wszystko wskazywało na to, że znalazłem się w cudzej sypialni. Balansując tuż pod sufitem, i czując się jak pieprzona zjawka, rozejrzałem się po wnętrzu. Ciche prychnięcie skłoniło mnie do spojrzenia na parapet. Znowu te oczy! Nie miałem żadnych wątpliwości... Należały do tego samego kocura, który czujnie obserwował mnie jakiś czas temu, gdy fruwałem wokół jabłoni w swoim ogrodzie. Połyskujące jasną zielenią, ponownie wpatrywały się we mnie, tym razem zza prześwitującej firanki. Kocur prychnął i zeskoczył na podłogę, nie spuszczając ze mnie wzroku. Cholerny pchlarz, naprawdę spoglądał w moim kierunku! Jednym susem wskoczył na szerokie łóżko, wciąż wodząc za mną spojrzeniem. Dopiero teraz ją zobaczyłem. Pani Barbara! Starsza wdowa, mieszkająca w sąsiedztwie. Odkąd jej mężowi, Henrykowi, odmówiono katolickiego pogrzebu, przestała pojawiać się w kościele. Uznano, że celowo rzucił się pod pociąg, choć Barbara wiedziała jak było naprawdę; wracał późno w nocy zalany w pestkę, torami, jak to miewał w zwyczaju, co w końcu doprowadziło do nieszczęśliwego wypadku. Jego przyjaciel, Antoni (i zarazem najwierniejszy kompan do kieliszka), twierdził, że od dłuż-

szego czasu przebąkiwał to i owo o depresji, często odgrzając się w alkoholowym amoku, że z sobą skończy. Tłumaczył mętnie, że nic go już na świecie nie trzyma. Oczywiście Barbara nie dawała temu wiary. Jej Antek? Na pewno by coś zauważyła. Żona na pewno by zauważyła. Nigdy nie była zbyt rozmowna, unikając wręcz jakichkolwiek, bliższych poufałości z sąsiadami. Spotykając ją niekiedy w sklepie, wyczuwało się charakterystyczną woń. Jej ubrania zawsze przesiąknięte były mieszaniną zapachu kiszonej kapusty, kociej karmy i nikotyny. Teraz, wpatrywałem się w panią Barbarę, śpiącą na łóżku pod pikowaną kołdrą. Jej wyliniały kocur kręcił się niespokojnie, pomrukując i jeżąc przegowaną sierść. Bałem się, że zaraz ją obudzi. Zdziwiony, spojrzałem na stolik nocny. Palila się na nim gruba świeca, ociekając gorącym woskiem. Kto śpi przy zapalanej świecy? Pożar jej nie straszny? Za oknem wzmagał się wiatr, a gałęzie gruszy bębniły lekko o szybę.

(a może palce?)

To piekielne drzewo najwyraźniej próbowało mnie dopaść. Chryste, czy zaczynałem bzikować? Pani Barbara poruszyła się niespokojnie, a po chwili jej powieki zaczęły się powoli unosić. Płomień świecy rzucał na jej twarz nikły blask, uwidaczniając głębokie bruzdy i zmarszczki. Czas jakby się zatrzymał, a świst wiatru ucichł na kilkanaście sekund. Otworzyła oczy szerzej, lekko zmętniała tuż po przebudzeniu. Teraz, nie podnosząc się z łóżka, wpatrywała się w ten sam punkt, na który patrzył jej kot. Stęknęła cicho.

– Henryk?

Ogarnął mnie paraliżujący lęk, zacząłem zapadać się w ciemność, jakby to pani Barbara była nade mną, czas ponownie ruszył i znacznie przyśpieszył. Czulem jak sypialnia pani Barbary oddala się coraz bardziej, jak malejący otwór studni, gdy spada się w jej głębię.

– Marek? Marek!

(Henryk?)

Znajomy głos był coraz wyraźniejszy. Ocknąłem się na fotelu. Z czołem lekko zroszonym przez zimny pot, z mięśniami napiętymi niczym struna. W kominku dogasał ogień.

– Marek – szepnęła Magda, wciąż lekko mną potrząsając. – Nic ci nie jest?

– Co się stało?

– Zasnąłeś przed kominkiem – wyjaśniła z lekko strapioną miną.

– Która godzina?

– Dochodzi w pół do dwunastej.

Magda przyglądała mi się badawczo, lekko przygryzając dolną wargę. Miała na sobie nocną koszulę i kremowy szlafrok.

– Miałeś koszmar, Marek? Wyglądałeś strasznie...

– To nic – nerwowo przełknąłem ślinę i szybko otarłem czoło wierzchem dłoni. – Nie martw się, już wszystko w porządku.

– Byłeś cały zlany potem – jęknęła Magda. – Jakiś taki... zeszywniały! Bałam się... Na pewno dobrze się czujesz?

– Tak – odparłem wymijająco, mimo wszystko szczęśliwy, widząc troskę w jej orzechowych oczach. A więc gdzieś tam, wciąż czają się uczucia. – To zwykły koszmar. Już nawet nie pamiętam, co mi się śniło... No, chodźmy na górę.

– Ale...

– Wszystko gra, naprawdę.

Wciąż czując lekkie dreszcze, przemaszerowałem przez salon, by zgasić światło. Magda ociągając się, ruszyła na piętro, zerkając na mnie ukradkiem. Ku jej uldze, nie zamierzałem jeszcze wyznać ducha. Szybko opuściłem salon, zostawiając go pogrążony w matowej ciemności. Ruszyłem za żoną do sypialni, ale tej nocy nie zdołałem już zasnąć. W mojej głowie kołatała się myśl, jakby objęła się o wewnętrzną stronę czaszki. Tak, bym słyszał ją wyraźnie, nie pozwoliła o sobie zapomnieć. Jedna myśl. Boże. Czy to możliwe? Czy mogła mnie widzieć?

10.

Szczerze powiedziawszy, czułem się coraz gorzej. Z kilkudniowym zarostem, podkrążonymi oczyma i szarą, ziemistą cerą, wyglądałem co najmniej, jak bohater weekendowej imprezy. W domu Magda obrzucała mnie dziwnym spojrzeniem, ledwo zaś przekroczyłem próg kancelarii, Sandra wybałuszała na mój widok błękitne oczy. Gdyby mnie nie znały, pomyślałyby, że ćpam. Choć co wieczór kładłem się, zapadając w swoje dziwaczne... (sny?) wstawałem niewyspany, jakbym w ogóle nie zmrużył oka. L4! Tego było mi trzeba. Dobrze jest mieszkać na wsi, gdzie od niepamiętnych czasów lekarzem rodzinnym jest dobrze ci znany gość. Kiedyś, od czasu do czasu, oglądał mecze z twoim ojcem, a ciebie pamięta, jako zasmarkanego berbecia. Bez zbędnych pytań, od ręki wypisuje kwitek. I nawet nie musisz dawać mu w łapę! W pierwszy wieczór wolnego, zaszłyłem się na poddaszu z laptopem. Wszechwiedzące Google musiało położyć kres wszystkim moim wątpliwościom. Przejrzałem kilka stron i nareszcie mogłem nazwać to, co spotykało mnie już od jakiegoś czasu. Podróże astralne,

wyjście poza ciało, „oobe” ... Wszystkie te nazwy sprowadzały się do tego samego zjawiska i odpowiadały moim przeżyciom. Przygryzłem wargę, gapiąc się w monitor. Nie wiedzieć czemu, lekko spocily mi się dłonie, a serce biło jakby szybciej. Odpaliłem kolejną stronę, natrafiając na informację o jakimś srebrnym sznurze.

„Srebrny sznur, łączy się z szyszynką, ważnym gruczołem endokrynicznym w środku głowy. Na głowie zaś, znajduje się niewielki wyrostek, który służy za punkt stykowy duszy i ciała, biegnie w górę niczym antena. Niektórzy twierdzą, że jego korzeń znajduje się już w sercu...

Cicho przełknąłem ślinę, pocierając dłonią brodę, na której straszyl zaawansowany zarost.

...w czasie snu, podczas odprężenia i głębokiego wyciszenia, dusza człowieka jest zdolna do podróży poza ciało. Wtedy człowiek znajduje się jakby w zwyczajnym śnie, jest jednak zdolny do obserwacji własnego, śpiącego ciała, a więc przeżycie to różni się od normalnego snu. Dusza nie posiada jednak pełnej swobody, którą ogranicza srebrny sznur. Po śmierci człowieka, dusza opuszcza ciało, ale jeszcze przez kilka dni zostaje z nim złączona poprzez energetyczny sznur. Kiedy ciało ulega rozpadowi ta nić stopniowo się rozplywa...”

„Święta Teresa z Avila zostawiła w swoich wspomnieniach opis własnych spirytualnych doświadczeń: ...odgłosy w mojej głowie są tak głośne, że zaczynam się zastanawiać, co się tam dzieje... Moja głowa wygląda jak szumiące potoki... I jak gromady małych ptaków ciągle śpiewających, nie w uszach, ale w górnej partii głowy, tam gdzie ma siedzibę moja wyższa dusza... Bowiem, czasami wyższa dusza może przycupnąć na czubku głowy.”

To niedorzeczne! Ogarnęła mnie dziwna wściekłość i rozdrażnienie. W mojej głowie ścierały się dwa głosy. Jeden krzyczał, że to wszystko bujdy starego Żyda, mrzonki, totalne dziwactwo! Wprawił mnie wręcz w zakłopotanie i wstyd, wypominał, że zajmuje się takimi głupotami. Drugi jednak krzyczał równie wytrwale, przekonując, że to wszystko spotyka mnie naprawdę, jest rzeczywiste i realne. Złapałem się za głowę, jakby dopadł mnie właśnie uporczywy atak migreny. Potrzęsnałem nią kilkakrotnie, na próżno starając się pozbyć jazgotu obu głosów. Wyłączyłem laptopa i powlokłem się do łazienki. Otworzyłem apteczkę i sięgnąłem po opakowanie aspiryny. Jedna, biała tabletką błyskawicznie wylądowała na moim języku. Przełknąłem, odkręciłem kran i zamoczyłem wargi w lodowatym strumieniu wody. Czy rzeczywiście wariowałem? Diabli wiedzą. Niewiele myśląc, podreptałem do sypialni. Położę się wcześniej. Potrzebuję snu, normalnego snu. Za każdym razem nie mogę przecież opuszczać ciała (czy aby na pewno?). Chryste, gadam jak potłuczony! W dodatku sam do siebie... Sen, zwyczajny, zdrowy sen. Pragnąłem, aby w nim pograżyć się dzisiejszej nocy. Niedoczekanie

głupca.

12.

Ocknąwszy się pod sufitem, nie byłem już ani trochę zdziwiony. Iskrzący się lekko sznur, przecinał przestrzeń między mną na łóżku, a mną lewitującym w powietrzu. Nim zdążyłem o czymkolwiek pomyśleć, usłyszałem niewyraźny głos. Płynął gdzieś z oddali, aksamitny, nieco przytłumiony... Zdołałem jednak wyłowić jedno słowo. Było nim moje imię. Głos był ciepły i spokojny, takim głosem matka usypia swoje dzieci, niemal szepcząc do małego ucha. Znałem ten głos. Nie może być... Jakaś magnetyczna siła popchnęła mnie w stronę ściany. Przepląnąłem. Głos stał się jakby wyraźniejszy. Teraz byłem prawie pewien... Zatopiłem się w mroku nocy i pofrunąłem za dom.

(a może palce, Marek?)

Nie odważyłem się znaleźć między nimi. Leciałem tuż nad splątanymi konarami drzew, szubując ponad pograżonym we śnie sadem. W dole zalegał śnieg, a na niebie mrugało nieśmiało kilka bladych gwiazd. Tej nocy rogal księżycy krył się za chmurami, jakby celowo pragnął spotęgować mrok. Przyciągany delikatnym głosem, frunąłem dalej, jednak im bardziej oddalałem się od domu, uczucie niepokoju potęgowało się z każdą kolejną sekundą. Nie mogłem wyzbyć się wrażenia, że noc i powietrze stają się coraz gęstsze, a wszystko dookoła traci na ostrości. Minąłem ostatnie domy, w których ich mieszkańcy pochrapywali beztrąsko, nie mając o mnie pojęcia. Przede mną pojawiła się czarna ściana lasu. To tam, gdzieś tam, wśród drzew... Nawołujący mnie głos przybierał na sile. Byłem pewny, że lada chwila ją zobaczę. Ze strachem i nadzieją, wpatrywałem się w mroczne drzewa. Usilnie starałem się dostrzec między nimi jej drobną, lekko przygarbioną sylwetkę. Nagle inny, mocny i szorstki głos, odwrócił moją uwagę. Na skraju lasu stała sfatygowana łada, a koło niej kręciło się dwóch zakapiorów.

– Dawaj go! – wychrypiał jeden, o posturze Conana. Naciągnął na uszy czapkę – uszanke i potarł zziębnięte dłonie, niechronione przez rękawice.

Drugi, jak na komendę, obszedł samochód i otworzył bagażnik.

– Może byś mi, kurwa, pomógł? – burknął do kompana. – Ciężki jest, skubaniec!

Podleciałem bliżej, pełen lęku, czy aby na pewno mnie nie widzą. Nie widzieli. Otepiały patrzyłem, jak z mozołem wywlekają z bagażnika ciało. Na jednej ze sztywnych stóp, brakowało buta. I wtedy po raz pierwszy poczułem się totalnie bezsilny. Nie byłem w stanie nic zrobić, krzyknąć, zaatakować, ratować... Mogłem tylko patrzeć. Jeden z zakapiorów chwycił ciało pod pachy, drugi złapał za nogi.

Sapiąc i dysząc, ponieśli je między drzewa. Śnieg skrzypiał pod ciężkimi butami, było za ciemno bym dostrzegł na nim ślady krwi. Jezu, to musi być sen! Jutro wrócę tu za dnia i nic nie znajdę! Nie będzie tu żadnych, pieprzonych zwłok!

– Trzeba go zakopać! – usłyszałem zdenerwowany głos, dobiegający z lasu. – Ja pierdołę, mieliśmy go tylko nastraszyć!

– A masz przy sobie łopatę, idioto? Bo ja nie – syknął drugi. – Przykryjemy go jakimiś gałęziami i przysypimy... Może dobiorą się do ścierwa jakieś zwierzęta, zanim ktoś go zdąży znaleźć.

(Mareeeek)

Zaskoczony, odwróciłem się, słysząc wypowiedane imię, niemal tuż za sobą. Głos jednak się zmienił. Spodziewałem się jej, wierzyłem, że ponownie ją zobaczę, choć to marzenie świadczyć mogło o pomieszaniu zmysłów! Nie było jej. Zamiast matki, ujrzałem niewyraźną postać. Nie mogłem dostrzec rysów twarzy, jakby była zbudowana z ciemnego dymu. Tak jak ja, balansowała w powietrzu. Wokół mnie narastał ogłuszający szum, rzeczywistość jakby się rozmywała, kształty ztracały ostrość.

– Kim... – w myślach zapytałem sam siebie. – Kim jesteś?

I wtedy noc rozjaśniły błyszczące iskry z przerwanego sznura.

13.

– Halo? – Magda w ostatniej chwili zdążyła podnieść słuchawkę. Zdyszana, próbowała wyrównać oddech.

Odpowiedziała cisza.

– Kto mówi? – Zniecierpliwiona, ponowiła próbę.

W słuchawce odezwał się po chwili cichy, kobiecy głos.

– Czy zastałam pana Marka?

– Marka nie ma – odpowiedziała chłodno Magda. – Mogę wiedzieć, kto pyta?

– Barbara Kruszecka – przedstawiła się rozmówczyni. – Mieszkam w sąsiedztwie...

– Tak, wiem kim pani jest – ucięła szorstko Magda. – O co chodzi?

– Zależy mi na rozmowie z pani mężem, właściwie to dość pilne.

– Marek jest w tej chwili w Żywcu, ogląda nowe mieszkanie.

– A kiedy wróci?

(Co ta stara wariatka od niego chce?)

– Nie wiem – rzuciła sucho Magda. – Właściwie, jest obecnie bardzo zajęty, więc jeśli to rzeczywiście pilne, oczywiście mu przekażę... Halo, jest tam pani?

– Proszę mu powiedzieć, że go widziałam.

– Słucham?

– Widziałam go! – powtórzyła Barbara z naciskiem. – Wtedy... On będzie wiedział. Musi go pani ostrzec. To, co robi, jest niebezpieczne!

– Dalej nie rozumiem? Doprawdy...

– Musi się ze mną jak najszybciej skontaktować! – wybuchła nagle Barbara. – On najwyraźniej nie wie, że za którymś razem może nie wrócić. Jeśli on go wywęszy i przerwie sznur...

– Do diabła, o czym też pani bredzi?! Jaki on?

– Pasożyt astralny – wymamrotała Barbara ledwie słyszalnie, jakby wstydziła się tego, co mówi. – Coś... w rodzaju demona. Jeśli go wywęszy, spróbuje go zwabić i przerwać sznur. Wtedy pani mąż nie zdoła już wrócić, a on się zagnieździ...Wiem, że to brzmi nieprawdopodobnie, ale...

– O, tak! – krzyknęła Magda do słuchawki. – Brzmi gorzej! Jak bełkot pomyłonej, starej kobiety. Ma pani zostawić mojego męża w spokoju, jasne?

– Proszę mnie wysłuchać...

– Ogłuchła pani? – warknęła Magda. – Całe szczęście, że za tydzień będziemy już gdzie indziej! – Z wściekłością rozłączyła się, i cisnęła telefon na kanapę.

W rogu salonu buczał włączony telewizor. W połowie pasma popołudniowych wiadomości lokalnych, prezenter przekazywał informację o odnalezionych zwłokach mężczyzny. Na ciało natrafił przypadkiem leśniczy, prawie miesiąc po zgonie. Okoliczności śmierci pozostawały niejasne.

– Boże – jęknęła Magda. – Morderstwo? W tej dziurze?

Nagle w pokoju pojawił się Marek, a jego płaszcz bielił się od śniegu.

– Jesteś! I jak? – Magda zarzuciła mu ręce na szyję. – Wciąż nie mogę uwierzyć, że w końcu się zgodziłeś.

– Możemy się wprowadzać – szepnął Marek, obejmując żonę w tali. – Choćby jutro. Odezwał się też potencjalny kupiec, może uda się sprzedać dom za przyzwoite pieniądze.

– Cudownie! – pisnęła Magda i mocniej przywarła do męża. Nie zauważyła, że Marek nie ma okularów. Nie wiedziała też, że już nie są mu potrzebne. Widział świetnie.

– Zjadłbym coś.

Magda pocałowała męża w policzek i pomaszerowała do kuchni odgrzać obiad. Postanowiła

nie wspominać na razie o dziwnej rozmowie z Barbarą Kruszecką. Nie będzie psuć nastroju. Marek odłożył nesesor i z błyskiem w oku spojrzął na sufit. Wpatrywał się przez chwilę w jeden punkt, jakby widział coś, czego nie widzi nikt poza nim.

– Teraz zjem twój obiad – mruknął cicho, niemal nie poruszając wargami. – A później kolejny raz będę miał twoją żonę. Możesz patrzeć.

Usta rozciągnęły się w złowrogim uśmiechu i mężczyzna zniknął w kuchni.

Weronika Borek

PĘTLA ADRIANNY

Ada wybiegła ze szkoły. W czwartek miała tylko godzinę pomiędzy lekcjami a kółkiem plastycznym, które odbywało się po drugiej stronie centrum. Kiosk, bilet, tramwaj, godzina jazdy, szybki kebab, na drugą stronę ulicy i... światła, trąbienie, krzyk, ból, upadek, ciemność, przyspieszone pikanie, unoszenie się w górę, pobudka w łóżku, zdezorientowanie.

„To był tylko sen?” – to pytanie. – „Sen, tak, po prostu śniło mi się, że potrącił mnie samochód.”

Wstała, chciała zejść na śniadanie i zastygła przy elektrycznym kalendarzu.

CZWARTEK, 17 MARCA 2011

– Nie, nie. Po prostu musi być źle ustawiony. Czwartek był wczoraj – mruknęła do siebie i zeszła na dół. – Cześć, mamó. Co na śniadanie?

– Grzanki, Słońce.

– Ale tosty były wczoraj.

– Och nie, przecież wczoraj była środa. Jedliśmy płatki z mlekiem, pamiętasz?

– Nie, wczoraj był czwartek. Mamy piątek.

– No co ty, kochanie. Coś ci się pokręciło.

Ada zamrugnęła. Nie, nie. To był tylko głupi sen. Coś jej się pokręciło z nim i wydawało jej się, że naprawdę szła na plastykę. Wczoraj jednak musiała być środa. Tak, zdecydowanie.

Zjadła, przygotowała się i pojechała do szkoły. Tak, zdecydowanie był czwartek, lekcje były właściwe. Po nich poszła na plastykę. Tramwaj, kebab, ulica, światła, trąbienie, ból, upadek, ciemność, przyspieszone pikanie, unoszenie w górę, znowu rano...

– Co się stało?! – gwałtownie usiadła na łóżku, zerknęła na kalendarz.

CZWARTEK, 17 MARCA 2011

Pokręciła głową. „Nie, nie, nie!” Ogarnęło ją przerażenie. Pobiegła na dół.

– Co na śniadanie?

– Grzanki, Słońce.

„Jak to jest możliwe?! Trzeci raz ten sam dzień?! Nie, nie, nie. To nie dzieje się naprawdę, coś mi się tylko wydaje. Chyba że... czytałam o czymś takim. Kolejna szansa, aby naprawić błędy...” Adrianna wbiegła na górę, otworzyła laptopa, niecierpliwie czekała, aby się włączył. Automatycznie otworzyła jej się poczta, ale zniecierpliwiona zminimalizowała ją i wpisała w Google.pl hasło: „pętla czasowa”. Otworzyła pierwszy wynik, stronę paranormalne.pl. Coś piknęło. To jej e-mail. Dostała wiadomość. Nieznany nadawca. Otworzyła ją.

„Chciałabyś, aby to okazało się kłamstwem.”

Tylko to, nic więcej. Ale to pewnie tylko jakiś głupi żart... No cóż. Przeczytała notkę ze strony. Nic jej to nie dało. „Może lepiej będzie dzisiaj zostać w domu” – zastanawiała się. Weszła do łazienki, spuściła wodę, obmyła sobie twarz i ociężała zeszła ze schodów.

– Zwymiotowałam – mruknęła cicho.

– Zostań w domu, Słońce – powiedziała mama, podchodząc do niej. Sprawdziła temperaturę.

– Wydaje się normalna. No cóż... dasz sobie radę sama? Misiu ma szkołę, a tata i ja pracę...

– Tak, poradzę sobie – odparła, wchodząc na górę. Usiadła na łóżku w swoim pokoju. – To na pewno nie jest pętla czasowa. Takie coś nie istnieje. Nie, nie, nie. A jeśli... jeśli nawet to może zniknie, jeżeli nie przejedzie mnie samochód. Nie! Nic mnie nie potrafiło, to był tylko sen!

Opadła na poduszki. Zaczęła czytać, czekając aż wszyscy wyjdą z domu. Wreszcie nastąpiła cisza. Zeszła na dół, pooglądać telewizję. Nic ciekawego, jak zwykle. Nic nazbyt interesującego. Na dworze zerwał się wiatr. Huczał dookoła domu. Nagle ekran rozmazał się. „Pewnie coś uszkodziło antenę.” Po chwili obraz znów się pojawił. Inny program, no i czerwony. Głos był zniekształcony – skrzypiący, ostry.

– *Wypadek w Warszawie. Kks* – mówił prezenter wiadomości. Przerywały mu drobne zakłócenia. – *Trzy osoby krrr ...te, pięć... krr ra... krr ...ych. Wiele osób umiera w wypadkach samochodowych. Krr.* – Obraz pokrył się kreskami i pojawił ponownie. – *Wiele osób umiera w wypadkach samochodowych. Krr.* – Znowu to samo. – *Wiele osób umiera w wypadkach samochodowych. Krr.*

– I jeszcze raz. – *Wiele osób umiera w wypadkach samochodowych. Krr.* – I ponownie.

– *Wiele osób umiera w wypadkach samochodowych. Krr.* – Adrianna próbowała przełączyć

program. Nic. Chciała wyłączyć telewizor. Pilot nie działał. Wyjęła kabel z gniazdka. Ekran zgasł. I za-
błysnął ponownie. Dziewczyna wstała, już dosyć wystrasza. – *Na twoim miejscu nie próbowałbym
tego robić ponownie, Adrianno.* – Wrzasnęła i pobiegła do przedpokoju. Miała tego dosyć! Pójdzie
do sąsiadów, tam zostanie. Tak, właśnie tak. Ubrała buty, kurtkę, wzięła klucze, wyszła, zamykając
drzwi. Naprzeciwko mieszkała Anita, osiemnastolatka, która kiedyś przyjaźniła się z Adrianną.

Dziewczyna rozejrzała się. Nic nie jechało. Spokojnie weszła na ulicę. Nagle z za zakrętu wy-
padło białe volvo i... światła, trąbienie, krzyk, ból, upadek, ciemność, przyspieszone pikanie, unosze-
nie się w górę, pobudka w łóżku.

– Co?! – krzyknęła Ada, zerkając na kalendarz. – Jak to jest możliwe, że znowu jest czwar-
tek?! – Pobiegła na dół.

– Dzisiaj grzanki, Słońce – powiedziała jej mama, przeczuwając, że tamta zaraz zapyta o śnia-
danie.

– Dzisiaj grzanki, Słońce.

– Tak, mamo, już to mówiłaś – mruknęła dziewczyna.

– Dzisiaj grzanki, Słońce.

– Mamo?

– Dzisiaj grzanki, Słońce.

– Mamo?! Czy dzisiaj czwartek?

– Dzisiaj grzanki, Słońce.

– Tato! Michał!

– Co jest, Słońce? – Ojciec zbiegł po schodach.

– Dzisiaj grzanki, Słońce.

– Z mamą coś jest nie tak...

– Co jest, Słońce? – Ojciec zbiegł po schodach.

– Dzisiaj grzanki, Słońce.

– Michaaa!

– Nie drzyj się tak! – nadeszła odpowiedź z góry.

– Co jest, Słońce? – Ojciec zbiegł po schodach.

– Dzisiaj grzanki, Słońce.

– Z rodzicami jest coś...

– Dzisiaj grzanki, Słońce.

– Nie drzyj się tak! – nadeszła odpowiedź z góry.

– ...nie tak!

– Co jest, Słońce? – Ojciec zbiegł po schodach.

Krzyknęła, wbiegła do przedpokoju, ubrała buty, płaszcz i wyszła. Z dala od ulicy. Z dala od samochodów. Dla niej było już jasne, że znalazła się w jakiejś dziwacznej pętli czasowej. Może, jeśli zdoła przeżyć i nie położy się spać to się skończy.

Minęła kiosk. Jeden z nagłóweków głosił:

„Chciałabyś, aby to okazało się kłamstwem.”

Ada potrząsnęła głową i poszła dalej. Minęła panią z psem, a później kiosk. Jeden z nagłóweków głosił:

„Chciałabyś, aby to okazało się kłamstwem.”

Przeszła obok pani z psem, a później obok kiosku. Tytuł artykułu w gazecie głosił:

„Chciałabyś, aby to okazało się kłamstwem.”

Obok była pani z psem.

– No co jest?! – krzyknęła dziewczyna, widząc przed sobą po raz kolejny ten sam kiosk.

„Chciałabyś, aby to okazało się kłamstwem.”

Och, chciałaby. Jasne, że by chciała. Chciała końca. Wyszła na ulicę, nie dbając o żaden samochód. Światła, trąbienie, ból, przyspieszone pikanie i pobudka w łóżku nie były zaskoczeniem.

– Dzisiaj grzanki, Słońce.

* * *

Prawda jest taka, że do pętli czasowej trafiasz raz i nigdy już się z niej nie wydostajesz, a świat płynie dalej, już bez ciebie. Bo w pętli zawsze giniesz. Gdzieś tam odbywa się twój pogrzeb, krewni się zbierają, pocieszają, podnoszą na nogi, żyją dalej, a ty umierasz. Umierasz. I jeszcze raz umierasz. I chcesz, aby to okazało się kłamstwem.

Prawda jest taka, że do pętli czasowej trafiasz raz i nigdy już się z niej nie wydostajesz, a świat płynie dalej, już bez ciebie. Od nowa przeżywasz swój koszmar w miejscu, które istnieje w czasie, lecz poza przestrzenią. Od nowa przeżywasz swój koszmar przez całą wieczność i nic nie możesz na to poradzić.

Ktoś kiedyś powiedział, że boi się bezradności. Całkiem słusznie, bo to ona doprowadza cię w pętli do szaleństwa. To ona sprawia, że czujesz się martwy, jeszcze zanim nastąpi śmierć. Ona idzie w parze z biernością. Często nie korzystamy z szans, aby coś naprawić. W końcu jest już za późno.

* * *

Ada wybiegła ze szkoły. W czwartek miała tylko godzinę pomiędzy lekcjami a kółkiem plastycznym, które odbywało się po drugiej stronie centrum. Kiosk, bilet, tramwaj, godzina jazdy, szybki kebab, na drugą stronę ulicy i...

Dominika Świątkowska

PISARZ

Mężczyzna położył książkę na blacie lady sklepowej i czekał cierpliwie, aż ekspedientka obsłuży klienta przed nim.

– ...oczywiście, nie ma sprawy – zakończyła rozmowę z uśmiechem firmowym numer jeden. – Dziękuję bardzo, do widzenia. Dzień dobry, w czym mogę... – zwróciła się do policjanta, ale jej uśmiech zamierał stopniowo, gdy bezwiednie spojrzała w dół, na książkę.

Kilkoro innych klientów kręcących się po sklepie spojrzało na dziewczynę z zaciekawieniem. Zazwyczaj usta jej się nie zamykały, więc każda jej przerwa w mówieniu, zwłaszcza tak gwałtowna, zwracała uwagę. Ci którzy stali bliżej, podążyli za jej wzrokiem, a kiedy zobaczyli to co i ona, w sklepie zapadła grobowa cisza. Inspektor wiedział, że ludzie tak zareagują i poniekąd poczuł lekką wewnętrzną dumę. Czuł się lepszy od tych wszystkich małomiasteczkowych zabobonników i tak naprawdę trochę specjalnie wybrał akurat ten sklepik, żeby zakupić książkę, zamiast po prostu zajechać do pobliskiego miasta. Poza tym oczywiście, że oszczędzało mu to czasu.

Po chwili ciszy w pomieszczeniu rozległ się szum. Tak, tego też się spodziewał. Sądził, że plotki o nim rozejdą się po miasteczku jeszcze przed północą. Plotki o nim, wielkomijskim policjancie, który nie daje wiary w to, co usłyszał o dziwnych zaginięciach. Pewnie mu się wydaje, że tutejsi mieszkańcy to tylko banda wariatów, że porywacz jest uchwytny, a on na pewno szybko go dopadnie. Buńczuczny ten policjant, oj tak, a teraz spójrzcie, co robi – kupuje tę przeklętą książkę! Pewnie jeszcze mu się wydaje, że jego to nie dotyczy, albo że jest nietykalny, co? Oj, skończy jak ci wszyscy pozostali biedacy, wtedy popamięta, tylko że wtedy już będzie za późno na refleksję. Z pewnymi rzeczami i ludźmi nie powinno się zadzierać. Ludzie żyjący w takich miasteczkach jak to, wiedzieli o tym najlepiej. Takie miasteczka zawsze miały swoje tajemnice.

Kasjerka drgnęła lekko i pokręciła głową, jakby chcąc się otrząsnąć ze zdziwienia, ale książki dotknąć nie chciała, choć powinna zeskanować jej kod kreskowy. Trudno, najwyżej będzie miała

potem braki na stanie, zapłaci za to tyle, ile da jej teraz ten gliniarz i jakoś się to wyrówna. Wszystko było dla niej lepsze od dotknięcia książki.

Inspektor popatrzył na dziewczynę z nieco wrednym uśmiechem.

– Dziesięć dolarów – poinformowała go, starając się ukryć lekkie trzęsienie głosu.

Mężczyzna pogrzebał w kieszeni spodni, gdzie trzymał luźno wrzucone pieniądze, wyjął zmięty banknot i rzucił nim niedbale o ladę. Kobieta szybko go zgarnęła, jakby bała się, że policjant coś jej zrobi, gdy ta tylko wyciągnie rękę. Patrzyła na niego przez chwilę, zanim wreszcie wykrztusiła:

– Dziękuję.

W odpowiedzi uśmiechnął się tylko wyniośle wiedząc, że wszyscy na niego patrzą.

Wyszedł ze sklepu i odetchnął głęboko świeżym powietrzem, po czym znów się uśmiechnął, tym razem do samego siebie.

Tak, zdecydowanie opłacało się tu przyjść, choćby po to, żeby zobaczyć miny tych naiwniaków. Lubił działać po swojemu, nie do końca tak, jak kazali mu przełożeni, dlatego kupił powieść, a przy okazji mógł zaobserwować reakcje ludzi. Nie wątpił w to, że byli zastraszeni. Oczywiście nie wierzył w jakiegokolwiek zdolności nadprzyrodzone książki, dlatego tak bardzo chciało mu się śmiać z tego, czego przed chwilą był świadkiem w sklepie, ale jednocześnie zdawał sobie sprawę z powagi sytuacji i w głębi duszy był śmiertelnie poważny. Zginęło kilkoro ludzi i mogli zginąć następni. Wszystkich łączyło jedno: ich ostatnią czynnością, według zeznań świadków, było sięgnięcie po felerną książkę, której autor dziwnym trafem nagle zniknął.

Nie, mężczyzna nie wierzył, że z okładki wychodzi pieprzony potwór i pożera czytelnika, a nawet gdyby w to wierzył, nie mógłby tego umieścić w żadnym raporcie. Uważał jednak, że pisarz mógł, świadomie lub nie, umieścić w swoim tekście jakieś wskazówki dotyczące czy to jego życia, czy może nawet motywów, którymi się kierował, porywając swoje ofiary (zakładając oczywiście, że miał on z tym coś wspólnego i że chodziło o porwania, nie o zabójstwa, ale na tym etapie śledztwa przyjmowano wszystkie pomysły i założenia, a brak żądania okupu jeszcze nie wykluczał pierwszej opcji), a więc rzeczą nieuniknioną był przyjazd do miasteczka, z którego poszukiwany pochodził.

Zadzwonił telefon. To była jego partnerka, którą mu przydzielono do tej sprawy.

– Słucham cię? – rozpoczął rozmowę całkiem wesoło.

– Dojechałeś już na to zadupie?

– Owszem, zdążyłem już nawet zrobić najważniejsze zakupy.

– Czyli?

– Mam książkę.

Chciał jej opowiedzieć o reakcji miejscowych na ten zakup, ale ona ubiegła go pobłażliwym westchnięciem.

– Uparłeś się. Naprawdę zamierzasz bawić się w psychologa?

– Naprawdę.

– Co chcesz tam znaleźć? Myślisz, że facet opisał w książce jakiegoś mordercę jako swoje alter ego, albo miejsce, gdzie składuje zwłoki?

– Uważasz, że to strata czasu?

– Czego w zasadzie szukasz?

– Wskazówek. Jakichkolwiek. Uwierz mi, że przeczytałem w życiu trochę więcej, niż na to wyglądałem. Miałem swego czasu sporo do czynienia ze środowiskiem literackim, sam nawet kiedyś coś próbowałem skrobać i wiem co robię. Każdy pisarz umieszcza jakieś bliskie mu elementy w swoich tekstach. Nieważne, jakie: poglądy polityczne, imiona postaci, miejsca z dzieciństwa, zwierzątko domowe, swoje własne fantazje – nieważne. Zawsze coś jest, a ja zamierzam to znaleźć.

W odpowiedzi znów usłyszał westchnięcie.

– Niech ci będzie. Nie uważasz, że mimo wszystko lepiej byłoby najpierw porozmawiać z ludźmi? Zajrzeć do jego domu?

– Nie mamy...

– Wiem, ale pozwolenie powinno przyjść natychmiast, jak tylko przedstawimy wystarczające dowody. Dowody, które ty właśnie powinieneś zbierać. Pogadaj, popytaj, pokręć się, a potem poczytaj sobie tę książkę na dobranoc, jak już musisz, i może faktycznie wyłapiesz coś, o czym wcześniej już usłyszałeś od mieszkańców. Będziesz miał wtedy potwierdzenie ich słów. Nie uważasz, że taka kolejność działania byłaby lepsza?

Inspektor uśmiechnął się lekko.

– Być może, ale ponieważ i tak jest już późno...

– A ty tak bardzo chcesz przeczytać tę książkę – weszła mu w słowo.

Nie wytrzymał i zaśmiał się.

– Skoro wszyscy zaginieni znikają po zaopatrzeniu się i, zapewne, przeczytaniu jej, w dodatku podejrzania zaczynają padać na jej autora, to czy i my nie powinniśmy tego zrobić, jeśli to wszystko się o nią rozbija? Jak możemy nad nią pracować, nie znając jej treści?

Jego partnerka milczała przez chwilę. Tu ją miał i poczuł wredną satysfakcję z tego powodu.

Lubił jej dokuczać odkąd zauważył, jak bardzo ona rumieni się na jego widok.

– Niech cię szlag – zażartowała w końcu – Daj znać, jak coś znajdziesz.

Pożegnali się i mężczyzna schował telefon do kieszeni, wciąż uśmiechając się lekko. Podniósł książkę na wysokość oczu i przyjrzał się okładce, na której widniał potwór rodem z horrorów klasy B, po czym kiwnął w jej stronę lekceważąco głową, jakby chciał jej powiedzieć: już ja cię wezmę w obroty.

Oczywiście jego partnerka miała rację, powinien iść w teren i rozmawiać z ludźmi, a nie tracić czas na czytanie, inaczej jego przełożeni dobiorą mu się do skóry, jednak zaczynało już zmierzchać, zamierzał więc zwalić swoją decyzję na późną porę i, w związku z nią, niechęć wyrażoną przez ludzi, dotyczącą rozmów na ich nowy temat tabu. Tak, gdyby ktoś się czepiał. To małe miasteczko, nie ma co robić wieczorami, więc wszyscy o tej porze już przesiadują w pubie, nie da się z nimi sensownie pogadać, przyjdźcie jutro.

No, oczywiście nie wszyscy, ale na pewno ci, którzy mogą mieć coś do powiedzenia o temat zaginionego pisarza.

Miał z nimi umówione terminy na jutro. Dziś zamierzał czytać.

Pokoik w hostelu, który wynajmował policjant, pomimo tego w jakiej zabitej dechami dziurze się znajdował, wyposażony był w miękki fotel z wysokim oparciem. Wydawał się być idealny do czytania, dlatego inspektor usiadł w nim wygodnie. Obok nawet stała lampka z dość staromodnym kloszem, więc zapalił ją. W końcu wziął książkę do ręki i zaczął czytać wstęp. Po chwili jednak, zniecierpliwiony, przerzucił kartki i wziął się za pierwszy rozdział. We wstępie na pewno nie było niczego ważnego, takie rzeczy zawsze pisze się pod ludzi, jakichś tam krytyków, wydawców, rodziny i Bóg wie jeszcze kogo, komu chce się niby podziękować za pomoc w pisaniu.

Jego interesowała treść właściwa.

Musiał przyznać, że czytało mu się dobrze. Książka wciągała. Po jakimś czasie zorientował się, że przestał już zwracać uwagę na treści mogące zawierać jakiegokolwiek wskazówki dotyczące życia autora, i po prostu pochłaniał każde kolejne zdanie z ciekawością małego dziecka. Facet miał talent do pisania, to trzeba mu było przyznać. Nawet fakt, że opisywał on jakiś dziwny świat i tandetne potwory, jakoś nie przeszkadzał i niczego książkę nie ujmował.

W pewnym momencie wydawało mu się, że przysnął. Nie, żeby książka była taka nudna, wprost

przeciwnie, po prostu musiał się zasiedzieć do późna.

Zamrugał, rozglądając się dookoła. Chyba coś mu śniło i chyba obraz z tego snu jeszcze nie do końca wyblakł pod jego powiekami.

Czerwona, spalona ziemia, niskie pagórki niewiadomej konsystencji i czerwone, zadymione, apokaliptyczne niebo. W tle odgłosy jakby wybuchających wulkanów i basowy tętent jakichś ciężkich stworzeń. Te potwory... ciężko było powiedzieć, co to było, najbardziej przypominały szaroniebieskie dinozaury o niezbyt długich szyjach i czerwonych, wściekłych oczach bez źrenic. Biegały niezwykle szybko, w dużych stadach, po tej smutnej pustyni kojarzącej się pesymistom z jakimś końcem świata.

Poczuł, że coś nim trzęsie i zamrugał jeszcze raz. Obraz nie zniknął.

Znowu trzęsienie.

Zdarzyło mu się już parę razy, że wiedział, iż śni i musi przestać, ale nie mógł.

Cholera, pewnie zaspalem pomyślał, zły na siebie i pewny, że to ktoś nim potrząsa, żeby go obudzić. I pewny, że cały dzień będzie chodził z zeszywniałym karkiem po nocy spędzonej w fotelu.

Nagle o mało nie wyleciał z niego, gdy ten podskoczył. To już zakrawało na trzęsienie ziemi, a nie na potrząsanie kimś, kto jeszcze śpi.

A może jakiś napad?

Przez sekundę był tego pewien, gdy gdzieś niedaleko coś huknęło i rozniosło się donośnym echem, jakie może dźwięczeć w głowie tylko komuś, kto się jeszcze nie obudził, a dźwięki z jawy przenikają się z sennymi tak, że nie sposób rozróżnić jednych od drugich.

Potem poczuł zapach siarki i zorientował się, że nie śpi.

Czerwona pustynia, istne ziemie jałowe, podobne jak te, o których pisał Stephen King. I potwory...

Inspektor rozejrzał się dookoła żeby zorientować się, że go otaczają. Wciąż siedział w fotelu, tylko że teraz ten fotel znajdował się na grzbiecie jednego z dinozauropodobnych. A ten chyba o tym wiedział.

Biegł przez siebie, dlatego fotel tak się trząsał. Jego pobratymcy poruszali się luźną, rozproszoną grupą w tą samą stronę co on.

Mężczyzna czuł, że one o nim wiedzą i że są wściekłe. Chciał uciec, ale dokąd?

Nie pomyślał, żeby chociaż spojrzeć na książkę. Z jego gardła wydobył się narastający krzyk, dość dobrze wyróżniający się na tle basowych dudnień i wybuchów wulkanicznych.

Być może to zdenerwowało dinozauropodobnego jeszcze bardziej. Parsknął i przyspieszył

swój bieg. Zatrzęsło jeszcze mocniej i fotel z wciąż krzyczącym policjantem podskoczył w powietrze, po czym poleciał na ziemię, przekrzywiając się do przodu. Mężczyzna zsunął się z niego i zanim zdążył wyciągnąć przed siebie ręce, uderzył z całym impetem twarzą w jeden z niewysokich, płaskich pagórków, roztrzaskując sobie czaszkę. Odgłos był suchy i krótki.

Ciało spadło na ziemię, twarzą w dół. Dłonie wciąż kurczowo trzymały książkę.

Dinozauropodobny zatoczył małe półkole w miejscu i pobiegł dalej, tyle że w drugą stronę. Przebiegł po trupie, aż ten podskoczył lekko od siły uderzenia.

Już nie trzask, a trzaski, i to w kilku miejscach na raz.

Stwór wyhamował lekko, by zatoczyć półkole, i znów bez zastanowienia ruszył przed siebie.

Siedziała na łóżku, w całkowitych ciemnościach. Patrzyła tępo przed siebie. Od czasu zaginięcia jej partnera minął prawie tydzień. Śledztwo oczywiście, jak i inne dotyczące ofiar pisarza, niczego nie wykazało.

Nie chciała o nim myśleć jak o ofierze, ale gdyby chodziło o porwanie, czy już nie pojawiłoby się żądanie okupu? Oczywiście mężczyzna mógł po prostu zniknąć z własnej woli, ale po co miałyby to robić? I czemu miałyby zostawiać wtedy w hostelu swoje rzeczy?

Coś musiało mu się stać, wiedziała to. Mogło to mieć związek z pisarzem, o którym to policjant przyjechał porozmawiać z mieszkańcami miasteczka. Teraz był kolejną osobą, która zaginęła najprawdopodobniej po przeczytaniu powieści, a w każdym razie na pewno po raz ostatni był widziany właśnie z nią w ręku...

Wiedziała, że nie powinien się brać za tę książkę. Nie powiedziała mu, że skoro inni po jej przeczytaniu znikali, to i jego może to spotkać, ale tak uważała. Nie wierzyła, tak samo jak on nie wierzył, że książka „była nawiedzona i siedział w niej diabeł”, jak też już zdążyła usłyszeć od ludzi z miasteczka, ale teraz już zaczynała rozumieć podejście jej zaginionego partnera. Im dłużej o tym myślała, tym bardziej przekonująca wydawała jej się możliwość, że autor horroru ukrywał się, bo miał jakiś związek z tymi zaginięciami, a nie dlatego, że był niewinny i bał się niesłusznych oskarżeń oraz linczu w rodzinnych stronach. Nieważne, jak to robił, czy działał sam, czy miał pomocników – musiał być w to zamieszany.

A może znalazł jakąś wskazówkę? pomyślała nagle.

Wstała, zapaliła lampkę ze staromodnym kloszem, wzięła z podłogi książkę i usiadła z powrotem na łóżku, przypatrując się okładce.

A może jej partner znalazł, tak jak się uparł, że to zrobi, jakieś konkretne wskazówki dotyczące mrocznego życia poszukiwanego mężczyzny, ukryte gdzieś między wierszami? Może tak, jak to robią pisarze, i ten bardziej lub mniej świadomie opisał w swoim tekście coś, co tak naprawdę chciał ukryć? Może miał jakiś sekret, który nigdy nie miał ujrzeć światła dziennego, a w swojej książce nieopatrznie umieścił drogowskaz do niego, nawet jeśli dość skomplikowany?

A co, jeśli inni też się zorientowali? Jakiś znajomy pisarza z dawnych lat albo psycholog, tak dobrze znający się na ludziach? Może ktoś jeszcze próbował wtrącić nos w nie swoje sprawy po tym, czego się dowiedział, i dlatego zginął? Przecież to całkiem znany człowiek, pomimo niedawnej premiery na pewno już wiele osób przeczytało jego powieść, a przecież aż tylu zaginionych do tej pory nie mieli. Może ginęli tylko ci najbardziej spostrzegawczy?

A może...

Zanim pomyślała, co robi, złapała z powrotem za książkę, którą pod wpływem zamyślenia automatycznie odłożyła na łóżko, i zaczęła ją czytać.

Miała trochę czasu, przełożeni kazali jej zabrać rzeczy zaginionego inspektora, gdy tylko wpuszczono ją wreszcie do wcześniej przeszukiwanego pokoju, gdzie tamten się zatrzymał, i wrócić do miasta dopiero następnego dnia.

Nie pomyślała o tym, że powinna zachować ostrożność, bo może pisarz, choć w ukryciu, wciąż się tu kręci i czatuje teraz na nią, jako kolejną wścibską osobę zamierzającą wtrącić się w nie swoje sprawy. Pomyślała jedynie o tym, że, sądząc po pogiętych kartkach na środku książki, śladzie po jej upadku, że o ile upadła ona dość adekwatnie do pozycji, w której była trzymana, to jej czytelnik całkiem sporo już przeczytał.

Nie znoszę horrorów pomyślała kobieta, wzdrygając się mimowolnie na widok pierwszego opisu w książce, dotyczącego kolumn składających się z ludzkich ciał, i zabrała się za czytanie.

Szła przed siebie w prawie zupełnej ciemności. Wiedziała, że to sen, miała dobrą podświadomość. Nie mogła sobie przypomnieć, skąd się tu wzięła, poza tym pomimo tego, że była w lesie i suche liście szeleściły jej pod stopami, gdy szła miękką wyściółką, miała wrażenie, jakby była na zewnątrz i w zamkniętym pomieszczeniu jednocześnie. Gdzieś pomiędzy drzewami widziała zarysy muru.

Najlepszy dowód na to, że to sen.

Nie wiedziała tylko, gdzie ma iść, co zdarzyło jej się po raz pierwszy, bo do tej pory zawsze

w snach szła gdzieś, żeby zrobić coś konkretnego. Tym jednak też się nie przejęła, bo już po chwili usłyszała szum wody gdzieś nieopodal. Oczywiście, że postanowiła iść w danym kierunku.

Świadome śnienie, super! pomyślała, pewna, że skoro może robić co jej się żywnie podoba i fabuła snu nie jest jej narzucona, to musi być to.

Szła z rękami wyciągniętymi lekko przed siebie, żeby nie wejść w drzewo. Po dłuższej chwili wreszcie gdzieś przed nią zaczęło się rozwidniać. Podejrzewała, że to musiał być jakiś wodospad i to duży, dlatego było tak jasno – światło księżyca odbijało się od sporej powierzchni wody. Im bliżej jednak była, tym mocniej czymś jej zalatywało. Coś jakby zgniłe mięso.

Pewnie gdzieś leży jakieś zdechłe zwierzę.

W pewnym momencie smród zaczynał stawać się do zniesienia, ale potem jej nos zaczął się przyzwyczajać. Ponoć po parunastu sekundach zawsze się przyzwyczaja.

W końcu doszła do skraju lasu i poczuła orzeźwiający podmuch znad wody.

Miała wrażenie, że stoi na skarpie albo stromym pagórku – schodził tak ostro w dół, że nic poza krawędzią nie było widać, tylko samo niebo. Powoli podeszła na skraj. Widok, który ujrzała, przeraził ją do tego stopnia, że wciągnęła głośno powietrze, po czym na chwilę wstrzymała oddech. Dolina znajdująca się przed nią wydawała się być jednocześnie daleko i blisko. Z naprzeciwka była otoczona wysokimi wodospadami, za nimi było coś co wyglądało jak morze. Woda spadała z okropnym szumem w dół, wzbijając w górę tumany mgły, a na samym końcu... znikająca chyba w ziemi, bo z mgły nic już dalej nie wypływało. Na niej się kończyło. A spomiędzy mlecznobiałych smug, nad ziemią wynurzały się białe kolumny. Niedługi rząd zakończony gzymsem, ale bez żadnej podstawy. Wyglądały jak lewitujący portyk prowadzący do jakiejś jaskini w głębi, za wodospadem.

To już przestało jej się podobać. Mignął jej w głowie obraz, o którym czytała. W książce tego cholernego pisarza, którego sprawę miała prowadzić. W książce, po przeczytaniu której ludzie ginęli.

Poczuła się tak, jakby gdzieś niedaleko niej walnął piorun, tak mocno ją uderzyła ta myśl. Stała w połowie drogi w dół (nawiasem mówiąc, kolumny dalej, choć dość blisko do nich podeszła, wydawały się być jednocześnie bardzo odległe, trochę tak, jakby w rzeczywistości znajdowały się gdzieś niżej, niż na to wyglądały) i gapiała się przez chwilę na kolumny czując, jak ciężko było jej oddychać. Obejrzała się za siebie. Tam nic się zmieniło, ale nagle stała się dziwnie pewna, że nie mogłaby już tam teraz wrócić. Jakby na szczycie pagórka coś na nią czekało.

Usłyszała czyjś szept, jakby jednego i wielu ludzi jednocześnie, jakby przebiegli (przelecieli?) gdzieś koło niej i szybko uciekli. Trwało to nie dłużej niż sekundę.

Odwróciła się gwałtownie i spojrzała w dół. Miała wrażenie, że przybyło kolumn. Coś się między nimi piętrzyło, może nie dosłownie, w każdym razie to było jedyne słowo, jakim byłaby w stanie to określić. Coś się między nimi ruszało, choć tak naprawdę nawet nie drgnęły.

Nie chciała, ale podeszła jeszcze bliżej. Musiała. Nie miała wyjścia. Znow uderzył ją smród zgnilizny, połączony z zapachem brudnej wody.

Wreszcie zobaczyła. To nie były kolumny. To były ludzkie ciała. Nagie. Blade. Sine. Jedne zapadnięte, inne dziwnie wybrzuszone, wzdęte. Ciężko jej było określić, ale chyba wszystkie były kobiece.

Nie mogąc zrobić nic innego (nie wiedziałyby nawet, co mogłyby zrobić), zasłoniła dłonią usta. Wtedy jedna z „kolumn” poruszyła głową w taki sposób, jakby chciała rozruszać zastele kości. Potem otworzyła oczy. Były pokryte bielmem, ale gdy zwróciły się w stronę kobiety, dostrzegła pod mleczną zasłoną duże, czarne źrenice. Teraz wyglądały jak szare i zamglone, dopóki nie dostrzegły policjantki. Nagle jakby zabłysnęły.

Chciała krzyknąć, ale ze ściśniętego gardła wydobyło się tylko ciche kwilenie. Trup gapił się na nią z radosnym obłędem w oczach, a w końcu uśmiechnął się szeroko. Wszystkie jego zęby wyglądały jak kły.

Szepty, które słyszała, wróciły. Miała wrażenie, że latały wokół niej, wzmagając się, gdy kolejne trupy ustawione w rzędach zaczynały się budzić. Poczula straszne ciśnienie w skroniach, gdy szepty przybrały na sile, zacieśniając się wokół niej. Napierały na nią. Świdrowały ją w uszy, zamieniając się w coraz wyższy skrzek. Złapała się za głowę, próbując je zasłonić. Oczywiście nic to nie dało. One były już w środku. Zaczynały się na nią drzeć, jednocześnie wciąż szepcząc. Nagle jeden z nich krzyknął piskliwie. Poczula ból, kiedy pękły jej bębenki, i ciepło pod palcami, gdy zmoczyła je krew.

Jęknęła.

Ciała wierciły się na podeście, szepty stawały się coraz bardziej piskliwe, a ciśnienie rozsadzało kobiecie głowę, jakby siedziały w środku i rozpychały się. Poczula wewnętrzny napór na czaszkę, usłyszała suchy trzask. Poczula falę gorąca uderzającą ją w twarz, a potem wszystko pograżyło się w chaosie.

Ciało, które obudziło się pierwsze, zeszło z podestu i ruszyło w stronę kobiety, która teraz też była już tylko trupem. Wciąż uśmiechało się, szczerząc drobne, ostro zakończone zęby.

Hubert Malak

PODRÓŻ DO RAJU

Najpierw przygotowania, najważniejsza rzecz to jedzenie. Podróż może trwać kilka godzin, a nawet dłużej. Dlatego zabieram z sobą dwa termosy w jednym jest gorąca herbata w drugim kawa. Do tego kilka kanapek i batoników by zapewnić organizmowi odpowiedni poziom energii. Trochę pieniędzy, mogą się przydać, nie zawsze mam ochotę jeść kanapki i batoniki, lubię się zatrzymać na jakimś zajeździe i zjeść porządny obiad. Zabieram także świeżo wyprany gruby koc, i kilka innych niezbędnych rzeczy.

Jest niedziela, listopad, wczesne popołudnie, słońce jest dość ostre i jasne, a powietrze chłodne, orzeźwiające. Dzień na podróż do raju jest idealny. Wyłączam telefon komórkowy, zakładam okulary przeciwsłoneczne i wyruszam.

Jestem w drodze od około godziny, kręcę się po różnych wioskach, małych miejscowościach i miasteczkach, czekam na odpowiednią okazję. To nie może być pierwsze lepsze miejsce, muszę wiedzieć, że to tu i teraz. Muszę wyczuć tą nieuchwytną magię w powietrzu. To jest niczym słuchanie głosów duchów, podpowiadających kiedy się zatrzymać i rozejrzeć.

Przejeżdżam przez kolejną miejscowość, jest po piętnastej, prawie pusty chodnik, po wyglądzie wnioskuję, iż niedawno założony. Nowa kostka jeszcze niewychodzona i nie pozdzierana, brak wyrastającej trawy i krzywizn, które z czasem się pojawiają. Mijam starszego pana, który zamiata część chodnika przed swoją posesją. On mnie nie interesuje, powoli zmierzam dalej, wiem że tutaj coś musi być.

Mam rację, jakieś dwieście metrów dalej dostrzegam dziewczynkę, idzie spokojnie chodnikiem, uśmiechnięta. Pewnie cieszy się ostatnimi tak słonecznymi popołudniami. Nie wiem skąd wraca ani dokąd idzie. Ma blond włosy, jest niewysoka, na oko około 10–11 latka. Może być, mnie

w każdym razie pasuje. Ubrana jest w szarą kurtkę i dżinsy, do tego adidas, jak na niedzielę, to nie wygląda na zbyt odświętnie ubraną. Nie ma to zresztą znaczenia.

Zatrzymuję się obok niej, uchylam okno, przepraszam i grzecznie pytam o drogę. Odpowiada, że muszę jechać prosto, a na drugim rondzie skręcić w prawo. Otwieram drzwi od strony pasażera i proszę ją jeszcze, by zerknęła na mapę i wskazała, gdzie właściwie się znajduję. Tłumaczę, że chyba się pogubiłem, że jadę w odwiedziny do siostry. Mówię coś o GPS–ie, że się zepsuł i muszę korzystać z mapy. Podchodzi i nachyla się nad mapą, czuję jej zapach, jest delikatny i przyjemny, wyczuwam w jej włosach woń owoców, może stosuje owocowy szampon? Odwraca mapę w inną stronę, rozgląda się.

Serce bije mi szybciej, a dłonie się pocą. To jest ten moment, ściskam w lewej ręce zawiniątko z materiału nasączone środkami nasennymi. Moja receptura, trochę nad nią pracowałem, ale działa natychmiastowo. Szybko wyciągam rękę i przykładam do twarzy dziewczynki, chwilę szamocze się, aż w końcu upada na fotel gniotąc mapę. Pośpiesznie wciągam ją do środka, zatraskuję drzwi, odjeżdżam.

Jestem cholernie podekscytowany, głośno oddycham, ale czuję się szczęśliwy, lecz to dopiero początek drogi do raju. Muszę jeszcze tyle zrobić. Ale jest dobrze, nikt mnie nie widział. Dlatego tak bardzo lubię te niedzielne popołudnia w tych małych miejscowościach, świat wtedy zwalnia, sklepy są pozamykane, ludzie jeżdżą do rodzin, bądź to ktoś z rodziny przyjeżdża. Siedzą w kościele lub w domu i dzięki temu ulice są prawie puste, wymarłe.

Co chwilę spoglądam na dziewczynkę, czuję rosnące podniecenie, ale muszę się powstrzymać. Jeszcze nie teraz, wszystko po kolei, wszystko w swoim czasie. Najpierw muszę wyszukać odosobnione miejsce, aby dziewczynę związać i przenieść do bagażnika. Te środki działają szybko, jednak niezbyt długo. Mam może około godziny zanim się przebudzi. Wyjeżdżam z wioski. Rozglądam się za polnymi drogami, za lasem, bądź opuszczonym budynkiem.

Parę kilometrów dalej skręcam w lewo, jadę około pięćset metrów, aż do niewielkiego zagajnika. To wystarczy by zniknąć z oczu innych kierowców. Wsiadam, otwieram bagażnik, znajduje się tam zestaw amatorskiego psychopaty. Kanister z benzyną w razie gdyby trzeba było daleko jechać, jest tam szpadel i toporek. Kilka metrów sznurka, wspomniany wcześniej koc, oraz dwie paczki folii i dwie szerokie rolki taśmy klejącej. Do tego szczypce do metalu, czasem się przydają i kilka innych

drobiazgów, jak noże czy nożyczki.

Wyciągam ciało dziewczynki, sprawdzam puls, jest okej, żyje. Związuję jej ręce i nogi, a także, co bardzo istotne, knebluję usta. Robię trochę miejsca w bagażniku, by wygodnie ją ułożyć, jest drobna, więc bez problemu się mieści. Mimo, że jest jesień i trochę mroźno, to czuję jak wypełnia mnie ciepło. Wspaniały stan, mam wrażenie że moje duchy są zadowolone. Mówię duchy, chociaż w żadne takie istoty nie wierzę, jednak to, co czuję w tej chwili, to co odczuwam w taki dzień jest na tyle specyficzne, że mam wrażenie mistycyzmu. Muszę się otrząsnąć, to jeszcze nie koniec, dopiero wszystko się zacznie, przede mną najtrudniejsze zadanie. Czyli znaleźć odpowiednie miejsce, by odprawić główną ceremonię. Takie miejsce musi spełniać kilka cech, po pierwsze, powinno być na tyle daleko od ludzi, by nikt mnie tam nie zauważył. Po drugie, ma być w miarę łatwo dostępne, nie mogę przecież nieść ciała zbyt daleko. I najlepiej żeby było zadaszone, chociaż to nie jest aż tak konieczny warunek.

Odjeżdżam i rozglądam się za czymś takim, za starą fabryką, lub szopą gdzieś w polu, albo opuszczoną glinianą chatką. Gdzieś około dwudziestu kilometrów dalej natrafiam na coś odpowiedniego. To jest to!

Nowy dom, w surowym stanie, jeszcze bez okien i drzwi, gołe ceglane ściany i zaczątek dachu. Bardzo dobre miejsce, pod warunkiem że właściciel nie zechce dziś przyjechać i dojrzeć jak idzie budowa. Trzeba jednak trochę zaryzykować, w okolicy nie ma dużo domów, wjeżdżam więc na podwórko, parkuję za domem, tak by z ulicy nikt nie widział samochodu.

Jest prawie siedemnasta, otwieram bagażnik, dziewczynka jest przytomna, ma rozbiegany i wystraszony wzrok. Uśmiecham się do niej, ale na razie omijam i wyciągam koc. Wchodzę do domu, wybieram odpowiednie pomieszczenie i rozkładam kocyk. W środku jest chłodno, a niedługo się ściemni. Teraz kolej na małą boginię, która dziś zaspokoi wszystkie moje żądze. Delikatnie biorę ją na ręce i zanoszę do środka. Kładę na podłodze i kucam obok, głaskam po włosach, po twarzy. Dotykam całego jej drobnego ciała, czuję pod dłonią jej gęsią skórę, ja też takiej dostaję. Przechodzą mnie ciarki po plecach, ach zaczyna robić się niesamowicie. Każę jej zaczekać chwilkę – i tak wiem, że nigdzie nie ucieknie, ale po prostu staram się być grzeczny. Wracam z nożyczkami i workiem na śmieci oraz jednorazową foliową torebką.

Powoli przecinam kurtkę, zdejmuję i pakuję do worka, to samo robię z bluzą i koszulką. Nie będą już jej potrzebne. Następnie zdejmuję z niej buty i skarpetki, również trafiają do worka. Jeszcze

dżinsy, z nimi zawsze najtrudniej, bo są z grubego materiału, lecz większych problemów nie sprawiają. I już ją mam, prawie całkiem naga, zostały tylko majteczki w małe misie, na swój sposób jest to słodkie. Rozcinam po lewej i prawej stronie, i z największą ostrożnością zdejmuję. Tą część garderoby odkładam na bok, majteczki nie pójdą do kosza, są zbyt ważne, to takie moje małe trofeum, zostawiam je na później. Będą pamiątką po tym pięknym wspomnieniu.

Leży teraz naga i bezbronna, próbuje coś powiedzieć, wydaje z siebie charczące odgłosy i piski. Nie mam ochoty ściągać knebla, bo co ona może mi powiedzieć? Ot to co zwykle, żebym tego nie robił, zacznij prosić mnie i błagać, abym przestał, i tak dalej. Po którymś razie nie chce się już tego słuchać. Przede mną najważniejsze, oglądam ją dokładnie, jej malutki tyłeczek, jest świeży i pachnący. Wąziutka cipeczka, jeszcze nie obrośnięta tymi paskudnymi włosami. Liże ją, wkładam język tak głęboko ja się da, cudowny smak, dziewiczy, nienaruszony. Jestem już tak podniecony, że nie wytrzymam. Szybko się rozbieram, mój penis jest sztywny i gotowy. Odwracam dziewczynkę na brzuch, każe jej się wypiąć. Nie słucha mnie, to normalne, będę musiał zmusić ją do posłuszeństwa. Przecinam więzy na nogach, by mieć łatwiejszy dostęp do środka, do tego mięciutkiego i wilgotnego miejsca. Wierci się i nie pozwala mi wejść, jest spięta. Nie lubię tego!

Sięgam po leżący obok kawałek cegły i uderzam ją w głowę, nie tak mocno by zabić lub zataić, ale na tyle, by zrozumiała, iż ma być posłuszna. Uderzam kolejny raz i kolejny, na ślicznych włoskach pojawia się brzydka plama krwi. Po następnym uderzeniu, trochę mocniejszym, zrozumiała, o co chodzi. Zrozumiała, że nie przestanę, dopóki nie zrobi tego, na co mam ochotę. Rozluźniła się, pluję na palce i rozcieram ślinę po pochwie. Chwytam penisa w lewą dłoń i wkładam w odpowiednie miejsce, w szparkę rozkoszy. Jest wąska i ciasna, wolę te luźniejsze, ale ta też może być. Zaczynam posuwiste ruchy, to w przód to w tył, słyszę jej ciche piski. Czuję ciepło i lepkość. Lepkość krwi, która wypływa z niej. Nie przeszkadza mi to, kontynuuję. Robię to coraz szybciej i coraz głośniej dyszę, zbliżam się do orgazmu. Jeszcze chwilka, jeszcze tylko kilka ruchów i już będzie. I jest!

Odczuwam niesamowitą ulgę i zadowolenie, to jest to, co kocham!

Wstaję, ocieram pot z czoła, szybko robi mi się zimno. Dziewczynka przyjmuje pozycję płodową, skula się w sobie. Ubieram się, żeby nie zmarznąć, to jeszcze nie koniec, muszę chwilę odpocząć, odsapnąć i przejdę do rundy drugiej. Przynoszę z samochodu pojemnik z kanapkami i termos z herbatą, robię przerwę. Ciepła herbata dobrze mi robi, zjadam dwie kanapki i czuję że mogę dalej przeżywać mistyczne stany.

Ponownie przewracam dziewczynę na brzuch, tym razem chcę wejść w drugą dziurkę, może być trudniej. Ale czego się nie robi dla przyjemności. Najpierw zwilżam odbyt śliną i wsuwam paluszek. Kilka razy posuwam nim w przód i tył, wyciągam i wążam, miły zapach. Myślę, że jest gotowa, tak jak wcześniej pomagam ręką, by dobrze wcelować. Nie jest to takie proste, jest o wiele ciaśniej, lecz powoli wchodzę w środek, do końca. Pierwsze ruchy są bardzo mozolne i ciężkie. Czuje w sobie na tyle dużą potrzebę że staram się bardziej. Z każdą chwilą jest lżej, jest przyjemniej, obiema rękoma chwytam jej pośladki i przysuwam do siebie, mocno i pewnie. Wsłuchuję się w te odgłosy, w te chłapnięcia, jeszcze przez wiele dni będę wspominał tą chwilę. Teraz mogę wytrzymać dłużej i zanim dojdę, miną długie minuty.

Czuje że jestem blisko, coraz bliżej, jeszcze chwilka! Doszedłem! I jak wcześniej, cóż za ulga. Wstaję, wydaję chusteczki higieniczne, ocieram twarz, czoło oraz penisa. Podciągam spodnie, czuję wypieki na twarzy.

Ona tam leży, zziębnięta, przerażona, ciężko oddycha, a z oczu płyną jej łzy. Ceremonia dobiega końca, na dworze jest szaro, niedługo będzie ciemno. Teraz muszę pomyśleć, co zrobić z ciałem. Obok domu są wylane fundamenty pod garaż chyba. W środku jest piach, czyli pewnie wewnątrz będzie jeszcze zalewane betonem. Mam więc pomysł, wykopię w piachu dziurę i wrzucę tam dziewczynkę, jutro jak przyjedzie ekipa budowlanców, to może zaleją garaż i nikt się o niczym nie dowie. Tak, to dobry pomysł, nie muszę już nigdzie jeździć, by pozbyć się ciała. Najpierw jednak z powrotem zawiążę nogi dziewczynie. Nie chcę, żeby uciekła, nie wydaje mi się, aby była w stanie choćby się podnieść. Lepiej jednak nie ryzykować.

Biorę szpadel i kopię dół, staram się to robić szybko i sprawnie, już nie mogę się doczekać, żeby wrócić do domu i radować się tym dniem. Natrafiam na gruzy, dalej nie mogę kopać, na oko dziura ma około pół metra głębokości, tyle wystarczy. Wracam do dziewczynki, nadal leży i szlocha. Zastanawiam się czy pochować ją żywą czy martwą. Aaa niech pozna moje dobre serce! Najpierw ją zabiję, biorę przygotowaną wcześniej foliową torebkę. Nachylam się nad dziewczynką, ocieram kciukiem jej łzy, uśmiecham się, podnoszę jej główkę i wkładam nań torebkę. Zaczyna się szarpać i wierzgać nogami, nozdrza poruszają się jej, próbując łapać ostatnie hausty powietrza. Ściskam mocno torebkę, muszę mieć pewność, że nigdzie nie przedostaje się tlen. Ma coraz mniej siły, słabnie, jak ryba zdychająca na brzegu, przestaje się wiercić, aż w końcu wypuszcza ostatni oddech.

Owijam ciało w koc i zanoszę do dołu. Kawalek zakrwawionej cegły oraz worek z ubraniami

również tam wrzucam. Zakopuję wszystko, wygładzam teren, rozglądam się jeszcze dokładnie, czy nie zostawiłem żadnych śladów. Gdy upewniam się, że wszystko w porządku, mogę wracać do domu, wybieram tą samą drogę.

Zwalniam, obok miejsca gdzie poznałem dziewczynkę, stoi tam kilka rozświetlonych radiowozów. Zatrzymuję się, jeden z policjantów podchodzi do mnie, otwieram okno. Pytam, co się stało, ten wskazuje na rozhisteryzowaną kobietę i mówi coś, że jej córeczka wyszła po obiedzie do koleżanki, i do tej pory nie wróciła. Tłumaczy mi, że koleżanka twierdzi, iż wyszła od niej po piętnastej. Że to tylko kilka domów stąd, uświadamiam sobie, że zabrałem ją praktycznie sprzed domu. Policjant każe mi chwilę zaczekać, przybiega z powrotem ze świeżo wydrukowanym zdjęciem, pyta się, czy nie widziałem tej osóbkę. Oczywiście mówię że nie, że właśnie wracam od siostry. Coś mi tam jeszcze wyjaśnia, iż za chwilę przyjadą posiłki z psami i będą poszukiwać dziecka po okolicznych lasach.

Czyli na mnie już czas, żegnaj się, życzę powodzenia i przybieram zatroskaną, smutną minę. Obok widzę grupkę młodych ludzi w bojowych nastrojach, przekrzykują coś, że jak znajdą tego skurwiela, co ją porwał, to go zajebią i zapierdolą. No i fajnie, niech próbują. Odjeżdżam zostawiam tych ludzi, niech się ekscytują dalej. Może za parę dni ukaże się informacja w lokalnej prasie lub telewizji. Może znajdą jej ciało i będą powtarzać cóż za zwyrodnialec i potwór to zrobił...

Szymon Plasota

POWIEDZ CZEGO PRAGNIESZ

Ubrany w biały garnitur staruszek spojrział na siedzącą obok kobietę i powiedział:

– Kiedyś mój dawny znajomy, dzisiaj sławny malarz, zabawił mnie taką dykteryjką. Chce pani posłuchać? Lata temu, kiedy zajmował się handlem, pojechał w interesach do PGRu i spotkał tam Ruska. Takiego swojego znajomego, nazwijmy go Sasza. I ten Sasza, opatulony od stóp do głów, mówi do niego – Nu Marek, co to za wasz nowy generał ten Wałęsa, że my od dwóch tygodni w kufajkach śpimy? Ha, generał! Rozumie pani?

Plac 11 Listopada, na samym początku, był niczym więcej jak czekającą na zagospodarowanie ubitą ziemią leżącą w centrum miasta. Z czasem, siłą koniecznych praw urbanistyki, powstał tam rynek, który z biegiem lat przemienił się w niewielki skwer pełen zieleni. Rozwijały się na nim oceniające trawę wierzby płaczące oraz pomniejszych krzaki, bez powodzenia próbując zarosnąć ustawione przy uliczkach ławki. W jego centrum znajdował się, wykuty z jasnego kamienia, ponad czterometrowy monolityczny pomnik bohaterów wojny, przy którym przez dziesięciolecia celebrowano najważniejsze święta państwowe. Innym miejscem, równie obowiązkowym dla składających wieńce lokalnych tuzów, był stojący przy hydrancie grób nieznanego żołnierza.

Minęła Polska Rzeczpospolita Ludowa, minęły pierwsze dziesięciolecia krtuszenia się demokracją, a grób nieznanego żołnierza pozostał tam, gdzie był, tuż obok hydrantu. Wciąż składano przy nim wieńce, podobnie jak przy pomniku bohaterów. Z tą różnicą, że pomnik został pocięty na kawałki i przeniesiony gdzieś na ubocze. Krzywo sklejonny, stanął w miejscu bardziej pasującym do nowej koncepcji architektonicznej, przemieniającej zielony skwer w całkowicie wybrukowany kostką chodnikową reprezentacyjny plac z rozregulowanymi fontannami i wznoszącą się w centrum, odlaną

w brzoisie, postacią Jana Pawła II. Prowokująco wyciągając ręce, pochylała się nad Marią Anną Linde, młodą przewodniczącą rady miasta, składającą pod stopy papieża Polaka, przetkany biało–czerwoną szarfą, wieniec z polimerowych kwiatów koloru ecru. Po jej lewej ręce podnosił się z kolan elegancki i przystojnie ugarniturowany doradca burmistrza numer jeden, ukradkiem zerkając, czy zajmujący miejsce po prawej doradca numer dwa utrzymuje tempo. Wokół nich, dotarłszy na plac zaraz po porannej mszy, licznie zgromadzili się mieszkańcy. Było tłoczno, bez przerwy ktoś komuś przydep-tywał but, pantofel, potęrał, szarpał, cicho bekał i dyskretnie spoglądał na schowany pod rękawem zegarek. Oczy wszystkich zwrócone były w kierunku walczącej z rozwiewaną przez wiatr fryzurą pan-nie Linde. Szeptano, że miała przemawiać w bardzo palącej dla miasta sprawie. Coś o kupcach, coś o zezwoleniach, taki jej manifest polityczny i votum separatum względem popleczników burmistrza. To dlatego obstawił ją swoimi zaufanymi ludźmi, by się strzegła. Mieszkańcy czekali w skupieniu, aż upora się z włosami. Zastępcy w pozycji pokornych ministrantów, wpatrzeni w kostkę chodnikową, byli gotowi w każdej chwili głośno odchrząknąć i posłać przewodniczącej piorunujące spojrzenie. Burmistrz siedział w zaparkowanym obok placu samochodzie czekając na dalszy rozwój wypadków. Maria zamaszystym ruchem ręki przeczesła długie włosy, mlasnęła gęsto uszmińkowanymi ustami i zaczęła przemawiać. Wszyscy nadstawili uszu.

Po drugiej stronie ulicy, przy pawilonach sklepowych, stał mały chłopiec o krótko ściętych włosach. Ze znudzoną miną przyglądał się kolorowemu tłumowi skutecznie zasłaniającemu składa-nie kwiatów. Powoli żuł wyzutą ze smaku gumę i dmuchał z niej balony. Te pękały mu przed oczami zalepiając lepka substancją piegowaty nos. Przeszedł kilka metrów w stronę wznoszącego się przy skrzyżowaniu krzyża misyjnego i tuż przed nim skręcił w lewo, podchodząc do szyby wystawowej sklepu RTV. Szeroko otworzył usta, przytykając nos do przeźroczystej powierzchni. Zobaczył coś pięknego. Coś, po co codziennie tam przychodził, by chociaż na chwilę poprawić sobie humor. Tym cudownym przedmiotem był aparat fotograficzny. Wielki, mięsisty, z białymi napisami na czarnych przyciskach oraz z wystającym na prawie dziesięć centymetrów, grubym jak bochen chleba, karbo-wanym obiektywem. Usta chłopca rozwierały się coraz bardziej, tak jakby stracił nad nimi panowa-nie. W rzeczy samej nawet o nich nie myślał. Nic poza aparatem fotograficznym nie mogło, nie miało prawa dostać się do jego świata. Nic poza...

– Chciałbyś mieć taki? – usłyszał dobiegający zza jego pleców głos.

Dziecko odwróciło się i zobaczyło umundurowanego na ciemny granat strażnika miejskiego ze skrzyżowanymi na piersiach rękami. Uśmiechał się kącikiem ust puszczając zawadiacko oko.

– Chciałbyś takiego, co? – powtórzył.
– Tak proszę pana – cicho odpowiedział chłopiec, rozglądając się niepewnie na boki.
– To kiedyś ci tata kupi – kiwnął głową strażnik. Jego twarz z przyjaznej błyskawicznie przybrała srogi wyraz. – A teraz zrywaj się gnojku i nie brudź szyby. – Dla podkreślenia słów tupnął masywnym butem.

Nie musiał powtarzać reprimendy. Dzieciak już po chwili zorientował się w czym rzecz, ziewając w podskokach za róg w stronę farbiarni. Gdy znalazł się poza zasięgiem wzroku strażnika, podbiegł jeszcze kilka metrów do optyka, wykręcił obok banku, przeskoczył przez ogrodzenie, by ponownie znaleźć się przy placu 11 Listopada, tylko przy ulicy prostopadłej do tej, na której stał sklep RTV. Jeszcze omiótł wzrokiem całą tę piętrzącą się pod pomnikiem ciżbę, ominął zaparkowany samochód z rozmawiającym przez telefon burmistrzem i wszedł w bramę ostatniej przedwojennej kamienicy w mieście.

Wstał, poprawił na sobie białą marynarkę i stuknął dwa razy połączoną laską o chodnik.

– Proszę o uwagę! Przyszliście tutaj celebrować jedną z najważniejszych uroczystości, jaką Polakowi wypada świadomie świętować. Zjedliście śniadania i przybyliście w grupie, watahą. A zastanawialiście się chociaż, dlaczego tak naprawdę tutaj jesteście? Nie mówię o tej panience z bukietem, bo ona to z obowiązku. Mówię o każdym normalnym człowieku, który nie ma tego w kontrakcie. Ja wam powiem dlaczego. Dlatego, że nie rozumiecie ludzi! Nic a nic! Obsesyjnie utylizując, nie potraficie współodczuwać. Jesteście zamknięci w sobie jak ten reklamowany tuńczyk w puszcze. Każdy jest dla was obcy, nawet własne dzieci, własne matki, ojcowie. Uronicie łzę nad ich grobem, ale to będzie łza uroniona tylko i wyłącznie nad waszym własnym poczuciem braku. A tutaj proszę, wystarczy, że umrze ktoś wielki, wszyscy płaczą, zbierają się w gromadę, dzieląc tanie uczucia, rozumiejąc jeden drugiego. Bo to, co was łączy, staje się wreszcie tak siermiężne, że wasz zdegenerowany płomyk duchowości w końcu może to pojąć. Przejrzyjcie na oczy, zrozumcie prosty fakt, iż im więcej katastrof, im więcej nieszczęść, tym bardziej jesteście ludźmi. Prawda proszę pani? Niech pani nie odchodzi. Pani też może być człowiekiem.

Sala gimnastyczna była po brzegi wypełniona ludźmi. Rodzice z dziećmi oraz ich nauczycielami siedzieli na długich ławkach, klaszcząc i szurając stopami naprzemian. Naprzeciwko nich, pod ścianą, stał chłopiec o krótkich włosach. Jedna po drugiej, podchodziły do niego elegancko ubrane panie, potrząsały gratulacyjnie jego ręką i wracały na swoją ławeczkę, gdzie siadały krzyżując dłonie na spódnicach. Na środek wyszedł gruby mężczyzna w okularach. W serdelkowatych palcach trzymał sztywną kartkę z ozdobnymi napisami. Na jej powierzchni robiły się tłuste plamy.

– Mam zaszczyt wręczyć dyplom za zdobycie trzeciego miejsca w szkolnym konkursie fotograficznym panu Karolowi Malinowskiemu, uczniowi klasy czwartej Be. Jednocześnie składam gratulacje, wychowawczyni pani Jadwidze Kalosz oraz nauczycielce od przedmiotów plastycznych Annie Wołkowskiej, za wyśmienite przygotowanie laureata.

Rozległy się brawa. Najmłodsze dzieci klaskały tak, jakby nie potrafiły trafić jedną dłonią w drugą, rodzice patrzyli na to z czułością. Stojący na środku chłopiec wziął od mężczyzny dyplom, uklonił się i poszedł w kąt, tam, gdzie siedział jego kolega grający na keyboardzie. Idąc na miejsce minął, wychodząc na środek, dziewczynkę o kręconych włosach, laureatkę drugiego miejsca, która po chwili uniesienia, idąc w kąt, minęła znowuż zdobywczynię pierwszego. Ta ostatnia, poza dyplomem, dostała również nagrodę rzeczową ufundowaną przez Urząd Miasta z dotacji unijnych przeznaczonych na rozwój kultury. Wręczył ją sam burmistrz, wyraźnie w dobrym humorze, uśmiechając się szeroko, podał dziewczynce połyskującą torbę z nadrukowanym herbem miasta. Ta ukradkiem zajrzała do środka, a jej twarz cała się rozpromieniła.

– Ten aparat fotograficzny z dwoma wymiennymi obiektywami, niech będzie dla ciebie zachętą do kontynuowania twojej pasji – jeszcze szerszy uśmiech nakierowany na robiącego zdjęcie dziennikarza darmowej gazety. – I oczywiście do odnoszenia sukcesów rozślawiających nasze miasto.

Wszyscy głośno klaskali. Nauczycielki wyprowadziły z kąta dwoje pozostałych laureatów, ustawiły ich obok burmistrza, który serdecznie im pogratulował. Dziennikarz błysnął jeszcze kilka razy flashem i zgromadzeni powoli zaczęli rozpychać się w stronę wyjścia. Rodzice poszli do domów, a dzieci wraz z nauczycielami do klas na zajęcia. Idąc po schodach, ignorując poszturchiwania kolegów, Karol nie mógł napatrzeć się na swój dyplom. Obracał go w dłoniach, raz po raz czytał na nim swoje imię i nazwisko, wypisane tak wielkimi literami, jakimi jeszcze nigdy nie były wypisane. W końcu upadł mu na podłogę, ktoś go przydeptał, ale i z odciskiem brudnej podeszwy trampka dyplom prezentował się znakomicie. Chłopiec był tak szczęśliwy, że nawet nie zrobiła na nim wrażenia

jedynka, którą dostał z języka polskiego. Poruszyła go dopiero ta z matematyki, za brak odrobionej pracy domowej.

Staruszek spojrział na swój lśniący sygnet, wystawił go jeszcze bardziej do słońca i zmrużył oczy.

– Widzi pani jaki piękny? Mam go po moim pradziadku. Był hrabią w tym mieście zanim miastem się stało. To wszystko należało kiedyś do niego. Tamto drzewo, to on podobno własnoręcznie posadził. Umarł na gangrenę. Wtedy była częstą chorobą. Śmierć nie wybiera, czy szlachcic czy cham, wszyscy równi. Jest lepsza w tym od Marksa i Rousseau razem wziętych. Ba, gdy stajesz z nią twarzą w twarz, więcej myśli skotłuje ci głowę niż gdybyś czytał największe dzieła filozoficzne. Takie jak „Krytyka czystego rozumu” albo „Fenomenologia Ducha”. Czytała pani? Nie? Ale przynajmniej pani umrze.

Cicho przekręcił klucz w zamku, ciągnąc klamką do góry podważył drzwi, by nie skrzypiały przy otwieraniu. Wszedł bezszelestnie. Przydeptując zapiętki zdjął trampki, ułożył je równo przy stojących w kącie czarnych pantoflach. Zmierzając do dzielonego z matką pokoju zatrzymał się w pół kroku i delikatnie odsłonił wiszącą naprzeciw drzwi wejściowych kotarę. Kawał szmaty, w zielone kontury kwiatów na zażółconym tle, skrywał zimną kuchenkę węglową z garnkiem na fajerce. Przykrywka leżała obok. Ktoś rozmazał na niej masło. Chłopiec, widząc w naczyniu odrobinę ciemnej cieczy z warzywami, dotknął jego brzegu i smutno westchnął. Było zimne. Mimo tego wyjął z szuflady łyżkę, mocno zamieszał w garnku tak, by rozpędzić wypływające plasterki marchewki, nabrał zupę i z siorbnięciem ją przełknął. Skrzywił się z obrzydzenia. Odłożył łyżkę na kratkowaną ceratę stolika, zasłonił kotarę i wszedł do pokoju.

W powietrzu unosił się mdły zapach brudu. Przez zasłonięte zasłony wpadały tylko lekkie promienie światła, jednak wystarczające, by uwidocznic leżące na podłodze stare szmaty, pokruszone kawałki chleba i pojedyncze kartki gazet wysmarowane kocim kałem. Pod ścianą, na prawo od

wejścia, stało skotłowane łóżko, a w nim, schowana pod starym kocem, spała matka chłopca.

Nachylił się nad nią i pogłaskał po włosach, wyczuwając pod palcami ich lepkość. Zawsze mu się podobały, tak czarne, że aż przechodziły w granat. Jak u Japończyków. Kilka lat temu twarz też miała ładną, bez opuchniętych oczu, zmęczonej skóry i ropnych pryszczu. Spod pokrytych zmarszczkami powiek wypływała łza. Starszy ją delikatnie palcem zbliżył nos do jej ust. Pachniało alkoholem.

Zdjął z siebie sweter. Rzucił go na pobielone krzesło, a sam ostrożnie wszedł do łóżka, kładąc się obok matki. Mocno ją objął i całym sobą wtulił w jej plecy. Były dla niego kościste, a zarazem miękkie. Roztaczając przykrą woń wilgoci, jednocześnie ujmowały delikatnością. Ich obcość była tak bliska, jak nic innego na świecie.

Przez kilka chwil, leżąc z zamkniętymi oczami, wyobrażał sobie aparat fotograficzny. Smoliscie czarny, plastycznie niczym ciasto układający się w dłoniach i drżący. Drżący przy każdym naciśnięciu przycisku, uwalniającym dźwięk tak ostry jak odgłos rozłupywanego orzecha czy kłapanięcie szczęki. W myślach, raz za razem, wbijał go palcem wskazującym w obudowę, czując, wyzwalającą się w nieogarniętym mechanicznym procesie, siłę powstrzymywania czasu. Takiego, jak ten uwięziony na starej fotografii z ojcem, stojącym na brzegu morza w samych majtkach i mamą, która zasłaniając kapeluszem oczy, śmiała się do niego szczerząc perliste zęby. Wtedy jeszcze nie wiedziała, że gdy tylko czas odrobinę ruszy do przodu, towarzyszący jej mężczyzna zawiśnie w piwnicy sąsiadów na sznurze od żelazka. Później go odetną i białego jak papier położą na workach ziemniaków. Karol zrobił w myślach jeszcze jedno zdjęcie. Tym razem, przedstawiające jego rodziców na plaży, rzucających do siebie kolorową piłką. Nie wiedział czy faktycznie taką mieli. Ale mogli mieć. I on by to uwiecznił. Zasnął.

Obudził go odgłos pobrzękujących naczyń. Przetarł zaspane oczy i spojrzał przez otwarte drzwi na krzątającą się w kuchni matkę. Usłyszawszy jak Karol przekręca się na łóżku, kobieta pomachała do niego nożem.

– O już wstałeś. Nie chciałam cię budzić.

Za oknem było już ciemno. Wiszący w pokoju plastikowy zegar ścienny wskazywał godzinę dwudziestą pierwszą trzydzieści pięć.

– Pewnie jesteś głodny? Nie mam dzisiaj nic specjalnego, chcesz trochę zupy? – kiwnęła głową w stronę kotary.

Chłopiec skrzywił się wymownie i pokręcił głową.

- Nie, kanapkę sobie zrobię.
- Jest tylko kilka plasterków mortadeli.
- Starczy.

Kobieta wyrzuciła coś do stojącego przy kuchence kubła na śmieci. Wytarła ręce w ręcznik i stanęła w drzwiach opierając się o framugę. Jej chuda postać wydawała się tonąć w workowatym swetrze opadającym na dresowe spodnie. Ze zmechaconych rękawów wypelzały małe nitki.

– Będę musiała wyjść na chwilę po cukier.

– Dobra. A jest chleb?

– Jest, zaraz ci ukroję – podeszła bliżej i usiadła obok niego na łóżku. Spojrzawszy na chłopca rozbieganym wzrokiem zmierzwiła dłonią jego włosy. Uśmiechając się obnażyła brak górnej jedyńki.

– Strasznie urosłeś – czule szepnęła.

Karol milcząco uległ matczynej dłoni – rachitycznej o żółtych paznokciach i wiecznym zapachu dymu papierosowego, który na jej skórze stawał się mdlący. Była tak zimna, że chłopiec po chwili odsunął głowę czując się nieswojo.

– Masz lodowate ręce.

W odpowiedzi prychnęła śmiechem.

– Jasne, mały mężczyzna wstydzi się swojej matki.

– Nie, naprawdę jesteś zimna.

– Myłam ręce – ze skrzypnięciem sprężyn wstała z łóżka i zniknęła za framugą. Po chwili znowu była w jego polu widzenia. Chwiejąc się na nogach skrobała nożem ćwiartkę bochenka chleba. Robiła to wyjątkowo niezgrabnie. Ostrze ślizgało się po skórcie pieczywa o milimetry mijając jej palce.

– Mamo, zostaw to. Sam sobie ukroję – odezwał się chłopiec patrząc na to z niepokojem.

– Już, tylko oskrobię ci z zieleniny.

– Oskrobię sobie sam.

– Dobra – rzuciła chleb na stół, aż brzęknęły leżące obok sztucce. – Jak sobie chcesz. Sam zrobisz lepiej – trzęsąc się zaczęła wsuwać stopy w pantofle. – Ja mam reumatyzm, ledwo chodzę, a tobie wiecznie coś nie pasuje, zupa źle, wszystko źle – założyła fioletową cienką kurtkę. – Nie mam czasu na bzdury, idę po cukier. Żebyś miał co zjeść.

Wyszła z domu trzaskając drzwiami. Klucz w zamku przekręcił się ze zgrzytem. Karol został sam. Przez chwilę trwał w bezruchu próbując opanować trzęsące nim nerwy, po czym poszedł do

kuchni pokroić chleb. Zanim to zrobił, bezskutecznie przywołał kilka razy kota zaglądając pod krzesła i łóżko. Nalał mu do miseczki kwaśnego mleka, a sam zrobił sobie kanapki.

O dwudziestej drugiej, leżąc na łóżku, czytał pożyczony od kolegi komiks o ekspedycji, która, szukając tajnych baz hitlerowców utknęła na biegunie południowym. O dwudziestej drugiej dwadzieścia kapitan Fred Madox wraz z doktorem Hexem odnaleźli, ukryty wśród seraków, włącz do tunelu. Dwudziesta druga czterdzieści przyniosła dzielnym podróżnikom odkrycie skarbu. Na samym końcu nowoczesnej bazy, po licznych walkach ze zmutowanymi faszystami, przebili się do sejfu, gdzie odnaleźli zagrabione przez Hitlera arcydzieła malarstwa i rzeźby. Nie to było jednak najważniejsze. Najcenniejszym znaleziskiem okazała się, wyeksponowana w szklanej gablotce, księga oprawiona w poczerniałą skórę. Nosiła tytuł „Nekronomikon”. Na obrazku, widzący ją doktor Hex, otworzył szeroko usta ze zdziwienia, a towarzyszący mu kapitan rozwarł ręce w geście niedowierzania, jak jakaś książka może robić większe wrażenie niż cała reszta znajdujących się tam cudów.

O dwudziestej trzeciej komiks upadł śpiącemu chłopcu na twarz.

Obudził go kot szeleszcząc rozłożonymi na podłodze gazetami. Zwierzę zrobiło kupę na papier i spoglądając spod pochylonej głowy zagrzebywało pazurkami ekskrementy. Przeciągnąwszy się chłopiec pogroził mu palcem. Zaspany poszedł do kuchni uświadamiając sobie, że jego matka jeszcze nie wróciła. Zamknął okno, przez które wlatywało bardzo zimne, nocne powietrze, pogasił światła i wrócił do rozgrzebanego łóżka. Była godzina dwunasta czterdzieści.

W końcu usłyszał znajomy dźwięk otwieranego zamka. Wyrwany ze snu, zobaczył jak w kuchni zapala się światło, a na otwartych drzwiach do pokoju zatańczył koślawy cień jego matki. Podtrzymując się ściany, próbowała zdjąć buty, co nie bardzo jej wychodziło. Potrafiła umazaną masłem pokrywkę od garnka, która spadła z dudnieniem na podłogę. Kobieta głośno sapała, a im mocniej to robiła, tym bardziej zaczynała kaszleć. Zgasiła światło. Wreszcie, przytrzymując się framugi, weszła chwiejnym krokiem do pokoju, wymacała na oślep łóżko i niezdarnie wgramoliła się na nie. Po chwili już spała głośno chrapiąc. Wysłuchany w rytm jej oddechów Karol poczuł jak ogarnia go spokój. Zanurzony w błogostanie alkoholowych wyziewów zasnął tak, jakby ktoś delikatnym dmuchnięciem zgasił płomyk świecy.

Jak co dzień wstał o godzinie siódmej rano. Na wpół przytomny zwlekł się z łóżka, przemył twarz zimną wodą ze stojącej pod oknem miednicy i włożył na siebie sweter. Chciał pójść do szkoły wcześniej, mając nadzieję, że po drodze jeszcze zdąży ukraść jabłko z pobliskiego marketu. W domu

nie było już nic do jedzenia. Nie licząc tej nieszczęsnej zupy. Wychodząc z pokoju jeszcze rzucił okiem na śpiącą matkę i nagle jakby skamieniał. Zmarszczył brwi wstrzymując jednocześnie oddech. Podszedł bliżej. Klatka piersiowa kobiety była nieruchoma. Przyłożył dłoń do jej nosa. Nic nie poczuł.

– Mamo – potrząsnął nią lekko. – Mamo! Słyszysz mnie? – coraz mocniej szarpał ją za ramię.

– Obudź się! – krzyczał przez łyzy. Nie dawała znaku życia.

Przewróciwszy ją na plecy kilkukrotnie potrząsał jej ciałem. Jedyłą reakcją było opadnięcie żuchwy i rozwarcie się posiniałych ust ukazujących cofnięty język, wyglądający jak ślimak chowający się w szczelinie skalnej. Była martwa. Chociaż biel jej skóry nie wiele różniła się od koloru, który miała zazwyczaj. Przestraszony chłopiec, cofając się bezwładnie, usiadł na stojące z tyłu krzesło. Jeszcze przez chwilę patrzył na ciało swojej matki i nie wierzył, że to dzieje się naprawdę. Że ona może tak odejść, umrzeć. Tak po prostu. Bez zapowiedzi. I nigdy. Przenigdy nie wrócić. Widząc ją w całości, jakby w pierwszym rzędzie, nabiegało mu do oczu coraz więcej łez. W końcu głośno się rozplakał. Podszedł do łóżka, z wysiłkiem przekręcił matkę na bok i wtulił twarz w sweter na jej plecach.

Leżał tak może z pół godziny, a może więcej. Kiedy już trochę się uspokoił, usiadł koło zwłok i przez chwilę nad czymś rozmyślał. Po chwili wybiegł z domu. Na klatce schodowej najpierw zapukał do sąsiada naprzeciwko. Postał chwilę pod drzwiami, a gdy upewnił się, że nikogo nie ma, poszedł na piętro do właścicieli. Oni też mu nie otworzyli, mimo, iż słyszał jak ściszą dźwięk telewizora i szurają kapciami po podłodze. Nikt więcej nie mieszkał w tej kamienicy. Pozostałe dwa pomieszczenia wykupił bank na biura, które miały powstać w bliżej nieokreślonym czasie.

Chłopiec ciężko oddychając popędził na podwórko, a stamtąd na plac 11 Listopada. O tak wczesnej porze było tam niewielu ludzi. Na otaczających fontannę ławkach siedziało jedynie dwóch pijących klina bywalców oraz skryty za ciemnymi okularami pan Aleksander, jak zwykle rwący kawałki bułki i rzucający je gołębiom. Karol dobrze znał każdego z nich. Dwójka pijaków czasami przychodziła do jego matki. Bywało nawet, że dzieliła z nimi ławeczkę. Natomiast pan Aleksander sprawiał wrażenie wariata. Zawsze z sygnetem na palcu, połączoną laseczką, ubrany w biały garnitur, potrafił całymi dniami siedzieć przy placu, karmić ptaki, zagadując każdego, kto obdarzył go chociażby cieniem zainteresowania. Dlatego bywalcy trzymali się od niego z daleka. Chłopiec czasami podchodził do tego dziwaka i słuchał jego bezsensownych monologów o ciągle zmieniających się tematach. Niewiele z tego rozumiał, ale czuł, że sprawia tym człowiekowi radość. Teraz jednak szukał

pomocy i zdecydowanie bardziej nadawały się do tego pijaki. Podbiegł do nich, pokazując palcem swoją kamienicę zaczął krztusić słowa.

– Moja mama chyba umarła – jego głos stawał się coraz bardziej piskliwy, a twarz wykrzywiła się w grymasie rozpaczony. – Leży w domu, niech mi panowie pomogą. Panowie ją znają. Wiola Malinowska.

Jeden z mężczyzn zakrztusił się winem i pokaszując splunął chłopcu pod nogi. Przybierając zdziwione miny, mężczyźni popatrzyli po sobie, a ich twarze z czerwonych stały się białe. Po chwili ciszy, ten ze złamanym nosem zebrał w sobie tyle odwagi, by odpowiedzieć.

– Pewnie śpi. Ona to jak sobie golnie to czasami jak kamień – zaśmiał się sztucznie.

– Jak kamień w wodę – dodał jego kolega, zwięźając brwi i kiwając głową.

– W wodę – poprawił pierwszy, zdobywając się jeszcze na wymuszone, urwane wydechy powietrza imitujące śmiech. – Musimy lecieć, mały. Czas na nas.

Poderwali się gwałtownie, jeden wylał resztki wina na beton, drugi schował butelkę pod kurtkę i szybko oddalili się, ginąc za rogiem salonu telefonicznego. Chłopiec bezradnie spuścił głowę. Czując, że traci siły usiadł na ławce. Schował twarz w dłonie i ponownie zapłakał.

– Mały! – odezwał się skądś chropowaty głos. – Mały! Chodź tu!

Załawionymi oczami spojrzał w stronę, z której dochodziło wołanie. To pan Aleksander. Siedział z wyciągniętymi nogami, pobłyskiwał złotym zębem i machał do niego ręką.

– No chodź tu! – klepnął dłonią siedzenie ławki. – Nie zjem cię.

Nie widząc lepszego wyjścia Karol podszedł do niego i usiadł obok. Mężczyzna uśmiechnął się szeroko pokazując szereg żółtych zębów przetkanych złotymi wstawkami. Lekko przekręcając głowę przyglądał się chłopcu.

– Co się stało? – zapytał. Nie czekając na odpowiedź stuknął laską w chodnik odganiając przy tym gołębie. – Stała się bieda – odpowiedział sam sobie. – Wielka bieda, tylko jaka? No?

– Chyba mama mi umarła – wyszeptało dziecko.

Pan Aleksander jeszcze bardziej obróciwszy głowę, nachylił się tak, że jego ucho znalazło się tuż obok ust chłopca i warknął:

– Mów głośniej.

– Moja matka umarła! – krzyknął w złości Karol, aż twarz mu poczerwieniała.

– A to co innego. Dawno?

– Dzisiaj w nocy. Albo rano. Jak się obudziłem. Leży teraz w łóżku.

– Wciąż leży? – zdziwił się mężczyzna. – Niebywale!

– No i szukałem pomocy, nie mamy telefonu... – czując rosnący ucisk w gardle coraz trudniej było mu mówić.

– Tak! Tak! – Aleksander, wyjątkowo sprawnie jak na jego wiek, poderwał się na nogi i poprawił kantkę białych spodni. – Trzeba iść. Nie tracić czasu! Prowadź! Prowadź Wergiliuszu!

Karol spojrział na niego ze zdziwieniem. Na początku poczuł nutę niepewności, jednak mimo, że wariat, ten mężczyzna był dorosły. I stary. A starzy ludzie wiedzą więcej o życiu. A jak o życiu to pewnie i o śmierci. Wydał usta nieświadomie pokazując, że jest mu już wszystko jedno, byle tylko ktoś mu pomógł. Wstał i zaprowadził mężczyznę do domu.

Gdy znaleźli się w pokoju, w którym leżała matka, Aleksander usiadł na stojącym naprzeciw łóżka krześle, nonszalancko zakładając nogę na nogę i zdejmując okulary. Był wyjątkowo ruchliwy jak na swój wygląd. Zdecydowanie zbyt ruchliwy – pomyślał chłopiec i poczuł narastającą nieufność.

Starzec, przyglądał się długo zwłokom, wyglądając jakby je drażył spojrzeniem. Podniósł laseczkę i szturchnął nim martwą kobietę.

– Martwa – powiedział eksperckim tonem. – Martwa, ale miękka jeszcze.

– Proszę przestać – krzyknął Karol, zbijając ręką lasekę, aż ta wypadła Aleksandrowi na podłogę. – Niech pan zadzwoni lepiej na pogotowie.

Mężczyzna pokręcił głową cmokając przy tym głośno ustami.

– Oj dziecko, dziecko.

Podniósł lasekę, oparł na niej wyprostowane ręce i dobrotliwie spojrział na chłopca naznaczonymi pajęczynami żyłek, wodnistymi oczami.

– Synu, ja zrobię więcej niż lekarz – przetarł pozbawioną włosów brodę, sterczącym na palcu sygnetem. – Oni ją tylko zabiorą. A ty będziesz mieszkał na ulicy. Bo kto ciebie przygarnie? Co? – Karol nie zdążył odpowiedzieć, że „nikt”. – Nikt! Człowiek rodzi się w samotności, żyje sam i umiera, nie wart splunięcia nawet psa z kulawą nogą.

Chłopiec przytaknął mu nieśmiało, a mężczyzna widząc to poczuł się jeszcze swobodniej.

– Ale to nijakie życie można napełnić sensem! – podniósł rękę do góry machając wskazującym palcem, wyglądając przy tym jak natchniony pastor z amerykańskiego filmu. – Ty też będziesz takim trupem jak twoja matka. Przyjrzyj się jej uważnie. Będziesz zimny. Z czasem zeszywniejesz i zakopią cię w ziemi. Ale ale – uśmiechnął się. – Ale jeszcze nie teraz. Teraz masz jeszcze możliwość

wypełnić czymś ten worek ze skóry, którym jesteś – mówiąc to, nawet nie zauważył, jak Karol powoli cofał się w kierunku drzwi. Kiedy przy nich stanął, ostrożnie ważąc słowa, powiedział:

– Proszę stąd wyjść. Nie potrzebuję już pana pomocy.

– Potrzebujesz, potrzebujesz – rozwarł usta w szelmowskim uśmiešku. – Mogę dać ci wszystko czego chcesz. Nawet teraz.

– Nie chcę od pana niczego – odparł niepewnie. Nie miał pojęcia do czego dążył ten mężczyzna. Czuł tylko, że ogarnia go strach. I byłoby dobrze gdyby tylko to. Jednak dochodziła do niej jeszcze ciekawość.

– Powiedz, czego pragniesz? Tak najbardziej na świecie? – zapytał starzec.

Nie odzywając się przez chwilę chłopiec udawał, że się namyśla. Doskonale wiedział, czego naprawdę chciał. Jednak trzeba było powiedzieć coś bardziej oczywistego.

– Żeby mama żyła.

Wyraz twarzy Aleksandra stał się jeszcze bardziej złowieszczy.

– A tak naprawdę?

Karol czując jak traci władzę nad kącikami ust zaczął się uśmiechać. Spojrzał w wiszące na ścianie lustro z trudem rozpoznając w nim swoje odbicie. Na jego twarzy, nabrzmiałej i lśniącej od łez, malował się szeroki grymas groteskowej radości. Płakał i cieszył się jednocześnie nic z tego nie rozumiejąc. Wreszcie udało mu się trochę odzyskać kontrolę nad wargami, na tyle, by powiedzieć:

– Chcę aparat fotograficzny.

Mężczyzna wybuchł głośnym śmiechem. Nagle urwał i wyciągnął rękę do chłopca.

– Umowa stoi.

– Naprawdę? – odparło zaskoczone dziecko.

– Naprawdę. Ale pod pewnym warunkiem.

– Jakim?

– Jak dam ci pieniądze, to od razu pójdziesz i kupisz sobie ten aparat. Ja w tym czasie zajmę się twoją mamą.

– Tylko tyle?

– Tak – oblizując usta odpowiedział poważnie starzec. – Chociaż, właściwie to nie – podrapał się palcem po głowie. – Chciałbym, żebyś co jakiś czas zostawiał mnie sam na sam z twoją mamą. Przychodziłbym, dajmy na to, dwa, trzy razy na tydzień.

– Pan chyba zwariował – rzucił mu w twarz chłopiec. – Przecież tak nie można. Trzeba to

zgłosić, zrobić pogrzeb. Ona nie może tutaj tak leżeć. Gdzie ja będę mieszkał?

– Zrozum chłopcze – wyprostował się poprawiając sobie wiązanie krawata. – Jeśli ktoś się dowie, to zabiorą cię do sierocińca. A tak, zajmę się twoją matką, tobą, kupię ci aparat, jedzenie i przy okazji będziesz mógł tutaj spać. Ten pokój się zamknie, do kuchni wstawi łóżko. To lepsze niż ulica albo łaska urzędników. Właściwie będzie ci jak w raju. Może ostatni raz.

Chłopiec przyłożył zwiniętą piastkę do ust mocno ją przygryzając. Przez moment tkwił nieruchomo w tej pozycji walcząc z myślami. W końcu wziął głęboki wdech i podał mężczyźnie rękę.

– Umowa stoi.

Aleksander wyjął z kieszeni portfel i odliczywszy około dziesięciu banknotów wręczył je Karolowi.

– Masz i uciekaj. Możesz wrócić nie wcześniej niż za piętnaście minut.

Nie dziękując chłopiec wziął pieniądze i poszedł w kierunku wyjścia, co raz zerkając za siebie, na stojącego nad łóżkiem mężczyznę. Kiedy zamknął za sobą drzwi, zatrzymał się na chwilę. Żując nerwowo wargę zrobił kółko po klatce schodowej. Stał przy ścianie, oparł o nią głowę i palcem wskazującym zaczął oskrobywać z niej odpadający tynk. W końcu uderzył pięścią, wrócił pod swoje mieszkanie i przyłożył ucho do drzwi. Z początku nic nie było słychać. Ta cisza zaczęła się niemilośnie przedłużać. W końcu skrzypnęło łóżko. Po chwili ponownie. I jeszcze raz, dźwięcząc rytmicznie sprężynami w coraz gwałtowniejszej melodii. Piszczalo i zgrzytało na zmianę, zgrzytało i piszczało coraz szybciej, szybciej, przyjmując do wtóru miarowy stukot drewna o ścianę. A potem jęki, eksplodujące starcze rżenie.

Czując wzbierające mdłości oderwał głowę od drzwi i prawie przewracając się o próg wybiegł do ogródka.

Kłęcząc nad zarzyganą grządką, starł zwisający z ust lepki glut żółci. Otworzył zaciśniętą do tej pory pięść i spojrział na zwinięty w niej wilgotny rulonik banknotów. Rozwinął je, przekładając z ręki do ręki, przyjrzał im się uważnie. Wreszcie zacisnął na nich dłoń, zgniótł i wyrzucił w trawę.

Wychodząc z kamienicy spojrział jeszcze za siebie.

– Chciałbym kupić aparat fotograficzny. Taki, jaki był na wystawie.

– Przykro mi. Już został sprzedany. Mam za to inny, spójrz.

- Nie, ja chcę taki jak tamten.
- No dobrze, ale będziesz musiał poczekać aż go sprowadzę.
- A kiedy to będzie?
- Przyjdź pod koniec tygodnia. Szóstego kwietnia.
- Przyjdę. Na pewno.

KONIEC

Karolina Cisowska

SIELANKA

1.

Czasem mam wrażenie, że tak naprawdę zaczęłam żyć dopiero na tym pogrzebie. Całe nasze istnienie rozciągało się jak luźna nitka pajęczyny między celebracją ważnych dla nas wydarzeń. Całe nasze życie służyło w końcu temu, by jak najbardziej zbliżyć się do Boga i zasłużyć na życie wieczne w Niebie.

Człowiek, który leżał w grobie był już w lepszym świecie.

Czy to śmierć czyniła go pięknym czy fakt, że jeszcze się jej opierał? Siny cień już wkradł się w głębokie oczodoły, policzki zapadły, wyrazistsze niż kiedykolwiek; wargi ledwo uchyliły (zawczasu widać podwiązano mu szczękę) jakby spał spokojnie, i tylko siność zdradzała, że na zawsze pozostaną milczące. Włosy koloru starej miedzi nie straciły blasku. Wiły się wokół jego twarzy aż do ramion, zgarnięte z wysokiego czoła, widać nie uwierzyły we własną śmierć. Niezwykłej urody był z niego trup.

Nie widziałam go za życia. Nie znałam go. Mieszkał z rodzicami w mieście, ale to właśnie w Sielance znajdował się ich rodzinny grobowiec. Nigdy miałam się nie dowiedzieć, czy by mnie pokochał.

Pogrzeb przebiegł dużo szybciej niż bym się spodziewała. Nie było żadnego zasypywania trumny kwiatami i jasną ziemią ani długich mów. Spieszyło się księdzu, który ledwie zdążył odklepać swoje; spieszyło się grabarzom, którzy niestarannie wpuścili trumnę uderzając o ściany dołu; spieszyło się „płaczkom”, które po nasyceniu oczu cudzą rozpaczą potrucztały do domu; spieszyło się rodzinie. Wszyscy zniknęli z cmentarza zanim zdążyłam pozbierać myśli.

Podeszłam do grobu. Leżało na kim kilka bukietów i cementowe płyty, nieszczelnie nawet zasunięte. Widziałam przez nie kawałeczek trumny. Przez chwilę przyszło mi na myśl żeby je rozsunać i, póki grób nie zasypany, otworzyć trumnę i dotknąć ukochanego, ale nie miałam dość sił. Wiedziałam, że

tej zmarnowanej szansy będę żałować do końca życia. Klęczałam więc przy grobie bawiąc się kwiatem fioletowej frezji i rozmyślając aż do zachodu słońca. Jego ostatnie promienie padły na pojedynczą tabliczkę, która, jak zauważyłam, nie była powieszona na krzyżu, a oparta na kamieniu.

„Dawid Zweilt

21.06.1963 – 11.04.1986

REQUIESCAT IN PACE”

Niezwykła, przyznam. Ani jednego krzyżyka, ani słowa o Bogu. Ateusz? Nie... Nie pochowali by go tu. A może...?

Mieszkam nieopodal wzgórza. W wiosce o której świat zapomniał i która już dawno zapomniała o świecie. Sielanka mieści w sobie ledwo kilkadziesiąt domów, ma poskręcane uliczki, o których rozłożeniu nie decyduje logika i ze wszystkich stron otaczają ją pola i lasy. Mieści się tu mały budynek szkoły połączonej z biblioteką, boisko na którym pasą się krowy, plac zabaw na którym pani Gościec rozwiesza swoje pranie, sklep pana Pana, drewniany czterystuletni kościółek z niemal równie starym księdzem i cmentarz oddalony od wioski, na skraju lasu. Na cmentarzu tym pokolenia ludzi chowa się warstwami, bo umiera nas tu tak mało, że nigdy nie opłacało się otworzyć nowego. Głównym źródłem dochodów jest oczywiście rolnictwo. Nie ma pośród nas mieszkańca, który nie miałby ziemi. Nawet mój tata, który zajmuje się myślistwem i garbarstwem ma swoje cztery hektary na których uprawiamy żyto, owies dla koni, pszenicę i ziemniaki. Zawsze zastanawiałam się czy nasza wioska jest tak bardzo odcięta od świata z powodu naszej samowystarczalności, czy też nasza samowystarczalność jest wymuszona przez odległość od najbliższego miasteczka.

Kiedy doszłam do domu było już ciemno. Żyjemy z daleka od wioski, odgradza nas od niej rzeka. Nasz domek stoi na wzgórzu, na skraju lasu. Przyznam, że czasem gdy słyszę łopot skrzydeł nietoperzy wolałabym, byśmy mieszkali w centrum. Poza tym, mama zawsze mówiła, że pewnego dnia, gdy będę przechodziła przez mostek po zmroku porwie mnie wodnik i uczyni topielicą. Widziałam topielce na ilustracji, i przyznam, że to nie jest największym marzeniem w moim życiu. Kiedy jednak usłyszałam chlupot w wodzie nie mogłam się powstrzymać i przechyliłam się przez barierkę. Przez chwilę wydawało mi się, że w odbiciu obok swojej głowy widziałam cudzą twarz, jednak nikogo

za mną nie było. Chłopak z trumny. To jego widziałam. Oparłam się jeszcze bardziej.

– Maju, co ty robisz?

Zdusiłam w sobie krzyk. Zdałam sobie sprawę, że cały czas byłam napięta i oczekiwałam czegoś.

– Nic takiego, mamu. Oglądam gwiazdy.

– Czyś ty zwariowała? Noc już. Chcesz żeby cię wilki porwały?

– Jestem dwa kroki od domu – powiedziałam siląc się na przeproszający ton.

– Kiedy cię pogryzł byłeś krok od domu.

Spuściłam wzrok. Nienawidziłam, gdy ktoś wypominał mi moje blizny. Bez słowa ruszyłam w jej stronę.

Wszyscy siedzieli już przy kolacji. Marta podniosła na mnie zaciekawione spojrzenie.

– Byłeś na tym pogrzebie? – spytała.

– Byłam – odpowiedziałam starając się nie dać nic po sobie poznać.

– Kto to był? – dopytywała się. – Bo przecież nikt z naszej wioski, zupełnie obce nazwisko.

– Młody chłopak – powiedziałam z westchnieniem. – Zbyt młody na umieranie.

Noszę na sobie piętno wilczej nienawiści i strachu.

Wilki nie są tak straszne jak się wydaje ludziom. Nie są ogromne, nieśmiertelne, ani najgroźniejsze w lesie. To co nas przeraża to samotność mnożona przez ilość osobników w watasze. Jakby w ich wyciu słycać było żal do całego świata, jakby w ich zjednoczeniu była odrębność od wszystkich innych zwierząt. Wilki nie są panami lasu. Wilki są wyrzutkami.

Kiedy leżałam w łóżku w swoim malutkim, ale własnym pokoiku, usłyszałam jak Marta zakrada się przez drzwi.

– Wiesz co dzisiaj słyszałam? – spytała konspiracyjnym szeptem.

– Co takiego? – spytałam znudzona.

– Słyszałam o studni w środku lasu.

– Na co komu studnia w środku lasu?

– A czy to ważne skąd ona się tam wzięła? Ważne, że tam jest.

– I co w związku z tym?

– Podobno kiedy stanie się nad nią i krzyknie do środka pytanie, to ona da odpowiedź.

Nie mogłam się powstrzymać od śmiechu. Starłam się być wyrozumiała dla Marty, w końcu miała dopiero dwanaście lat, ale jednak nie wytrzymałam.

– Jesteś pewna, że ktoś tam w okolicach nie ukrywa się i nie wrabia małych dziewczynek?

– Nie wiem. Ale jeśli ją kiedyś znajdziesz, to zadasz dla mnie pytanie?

– Jasne. Jakie?

– Spytaj się jak umrę.

Zastanowiłam się przez chwilę czemu dwunastoletnia dziewczyna może sobie zadawać takie pytanie. Doszłam w końcu do wniosku, że ona jest jeszcze w takim wieku, w którym wolałaby wiedzieć.

– Dobrze, zrobię to.

Wyszła. Zrobiło się ciemno. Zostałam sam na sam z wżartym pod powieki obrazem znajomego mi nieboszczyka.

2.

Ludzie są jak powietrze. To znaczy: mają w sobie wszystko i nic. Wierzę, że nie można mówić o dobrych i złych cechach, bo nie ma gorszych i lepszych od innych, tak jak nie ma lepszych i gorszych pierwiastków.

Moja rodzina uważa jednak inaczej.

Lustro wisiało jak dotąd u mojej prababci. Rodzice uznali, że najbardziej przyda się mnie. Nie zgadzałam się z nimi, ale nie wiedziałam jak im to powiedzieć.

– Będziesz miała więcej przestrzeni i światła w pokoju – powiedziała mama, ale tylko wzruszyłam ramionami. – Poza tym jest piękne, nie sądzisz?

Przyjrzałam się uważnie powierzchni lustra. Było odbarwione w kilku miejscach od starości, a stalowa czarna rama była obwieszona między fikuśnie zawiniętymi drucikami mnóstwem pajęczyn.

– Jest stare – powiedziałam bez entuzjazmu. – I wielkie.

– Właśnie. Zobaczysz jak bardzo okaże ci się pożyteczne.

Tak, tak właśnie było. Mama zawsze wiedziała dokładnie, co dla nas najlepsze.

Spojrzałam w lustro z powątpiewaniem. Zobaczyłam drobne blizny znaczące mój nos i policzek. Nie oszpecały mnie, ale za każdym razem kiedy je widziałam byłam zmuszona do przypomnie-

nia sobie o swojej przynależności do wilków. Tamten darował mi życie, należałam do niego.

– Wreszcie będziesz mogła robić sobie porządne warkocze.

Warkocze. Nie lubię warkoczy.

– Oczywiście mam. Dziękuję wam.

Kiedy wyszli zostałam z lustrem sam na sam. Zawsze unikałam patrzenia na swoje odbicie we wszelkich polerowanych powierzchniach, a teraz ono samo przyszło do mnie i zajęło mnóstwo miejsca na mojej ścianie.

Już miałam odejść od lustra i nie poświęcić mu więcej ani trochę uwagi, gdy zobaczyłam cień w samym rogu. Odwróciłam się, ale nic ciemnego w tamtym miejscu nie było. Przesunęłam palcami po powierzchni lustra chcąc sprawdzić, czy to nie jakaś plama, ale wtedy cień czmychnął. Przez chwilę zamarłam zdjęta nagłym strachem, ale zaraz zachciało mi się śmiać z samej siebie.

Widocznie znowu się nie wyspałam.

Miałam tej nocy niezwykle sen. Śniło mi się, że się przebudziłam w środku nocy. Mój pokój był oświetlony przez błądzący poblask księżycy, w rogach kładły się cienie. Gałęzie drzewa rosnącego przy moim oknie poruszały się gięte wiatrem, sprawiając, że na ścianach pełzała mi mozaika światła i ciemności. Zobaczyłam najpierw dwa błyszczące punkty, a potem z ciemności wyłoniła się cała jego postać. Był ubrany w ten sam garnitur, w którym go pochowano. Nawet w tej chwili trudno mi określić, czy więcej czułam strachu czy ekscytacji. Jego twarz była upiorna w tym świetle, oczy błyszczały niemal jak u wilka. Drżałam cała, nieświadoma, że to tylko sen. Wyciągnęłam rękę w jego stronę.

Nie – przemówił. Przyłożył palec do ust. Usiadł na oknie i zachęcił mnie bym poszła za nim. Wstałam z łóżka. Skoczył z okna, więc jedyne co mi zostało to skakać za nim. Kwieciste gałęzie wiśni omiotły moją twarz, i wydawało mi się, że lecę bardzo długo, ale w końcu upadłam na ziemię i nic mi się nie stało. Dawid znów stał w lekkim oddaleniu ode mnie, przyglądając mi się z zagadkowym wyrazem twarzy. W całym śnie nie słyszałam nic. Ani szelestu moich stóp w trawie, kiedy szłam za nim, ani szumu drzew na wietrze, który szarpał nimi wściekle. Nie czułam też przejmującego zimna, które powinnam była czuć.

Wszedł w las. Zawsze bałam się lasu. Bałam się wilków, które nocą podchodziły naszą zagrodę, bałam się pohukiwania puszczyków, które podobno zwiastowały rychłą śmierć. Tej nocy jednak nie słyszałam nic.

Mężczyzna którego goniłam miał wspaniały chód, jakby płynął w przestrzeni. Jego obraz

chwał się i chwilowo zanikał. Rozpływał się w ciemności i drgał, jak źle dopasowany miraż. Las był tak cichy... Zupełnie jakbym całkowicie ogłuchła. Ani powiewu wiatru na skórze, ani chłodu. Tylko obraz wyłaniający się z mroku, źle posklejany i nałożony, ale realistyczny. Wierzyłam w to, co się ze mną działo. Bałam się. Las dosłownie pożerał mnie z wyciągniętymi łapczywie gałęziami. Wszystko w nim było straszniejsze niż kiedykolwiek. Drzewa patrzyły na mnie spomiędzy poskręcanych sęków, żadnych zwierząt, tylko one. Zagłębiałam się za coraz bardziej zlanym z tłem Dawidem. Nie miałam odwagi się obejrzeć, wiedziałam, las zamknął już za mną swoje szczęki. Byłam zdana już tylko na mojego towarzysza. Szliśmy długo, zdawało mi się, że całymi godzinami. Zdążyłam zapomnieć jak to się właściwie stało, że się tam znalazłam. W końcu nie miałam już siły się bać, ani rozglądać.

W końcu wyszliśmy na polankę. Była idealnie okrągła, a w jej środku stała stara kamienna studnia bez cembrowiny. Niemal wrosnięta w ziemię, porośła mchem i krótką trawą. Podeszłam do niej i zachęcona przez Dawida zajrzałam. Była tak głęboka, że nawet nie zobaczyłam wyraźnie swojego odbicia. Przypomniła mi się historia mojej siostry o tej studni i jej prośba. Postanowiłam ją spełnić.

– Jak umrze moja siostra? – wykrzyknęłam pytanie w głębie, a echo powtórzyło je i poniosło po ścianach. W odpowiedzi w lesie zawyły wilki. Nie smutno a groźnie, ostrzegawczo, przejmująco. Ale było to bez znaczenia. I tak nie zrozumiałam, co dawały mi do zrozumienia.

3.

Adam Morszczyń nie jest właściwie osobą, której warto by było poświęcić historię. Nie należy on do najprzystojniejszych ani do najsilniejszych mężczyzn. Ma co prawda zwałistą budowę i gruby kark na którym rosną mu ciemne włosy, ale jego zgarbiona postura nie pozwala mu unosić kowadła, jak to robi na przykład mój ojciec. Adam nie należy też do najmądrzejszych. W zasadzie nie jestem pewna co mu się kryje w głowie, bo nie mówi zbyt wiele. Został wychowany przez samotnego ojca pijaka, matka uciekła od nich, gdy był jeszcze dzieckiem. O jego ojcu wiem trochę więcej, nie należy do milczących lub skrytych ludzi. Swoimi słowami nigdy nie przyczynił się do tego, żebym pałała do niego sympatią lub choćby szanowała go. Pamiętam jak kilka lat temu odwiedził nas i pił z moim ojcem. Siedziałam na schodach i przypatrywałam im się między tralkami. Nie dlatego, że byłam szczególnie ciekawska, po prostu byli tak głośno, że nie mogłam przez nich spać. Starszy Morszczyń wypowiedział wtedy słowa które wypaliły się w mojej pamięci, zwłaszcza przez późniejsze zdarzenia:

– Kobiety są jak suki, jak dają to trzeba brać, a jak nie dają to trzeba wziąć samemu. One nigdy

nie wiedzą, czego chcą.

Nie rozumiałam wtedy tych słów. Nie rozumiałam skąd w nich tyle jadu i czemu mój ojciec zaczął się śmiać w sposób, który sprawił, że wstydziłam się za niego. Wiedziałam tylko, że człowiek, który mówi o kobietach w ten sposób nie może być dobrym wzorem do naśladowania dla syna. I miałam rację. Nie wiedziałam jednak, jakie będzie to miało dla mnie w przyszłości konsekwencje.

*

Ten dzień nie był wyjątkowy, dzwony nie były od rana, a niebo nie miało szkarłatnej barwy. Nie było to rankiem, kiedy mgły błękałyby się nad trawami łąki, ukrywając ciche zbrodnie, ani wieczorem, kiedy niesione przez wiatr nawoływanie kruków sprawiałoby, że dreszcz przebiegał po plecach. Księżyc nie był w pełni. Stworzenia nocne nie wychodziły na światło dzienne, właściwie żadne znaki na ziemi ani na niebie nie wskazywały na to, że miało się zdarzyć coś tragicznego. Bo też nie zdarzyło. Właściwie. Nikt przecież nie wiedział o tym, że tego dnia moja dusza umarła. Nawet mnie nie wydało się to tak ważne, jak być powinno.

Właściwie to był nawet pogodny dzień. Bardzo lubię takie dni, kiedy na niebie zdają się odbijać wszystkie kolory ziemi. Bardzo lubię takie dni, kiedy na ziemi we wszystkich roślinach i kamieniach zdaje się odbijać słońce i eteryczny posmak chmur. Kiedy myślę o takich dniach czuję w ustach słodki smak poziomek, a w nozdrzach znajomy i jednocześnie odległy zapach leniwie poruszanych wiatrem zbóż. Nie czułam niepokoju wychodząc z domu z koszykiem, ale nie podśpiewywałam niesiona skrzydłami szczęścia. Spieszyłam się, musiałam zanieść sąsiadce pożyczone niegdyś druty i szydełka i wrócić przed wieczornym obrządzaniem krów.

Nie mam pojęcia czy czekał na mnie czy po prostu tamtędy przechodził. Nie mam pojęcia czy to potoczyłoby się inaczej gdyby to Marta zaniósła te kłębki wełny, albo gdyby tego dnia Adam Morszczyn miał jakieś obowiązki i jeżeli mam być szczerą w tym momencie, gdy jest mi już wszystko jedno, wolę się nie zastanawiać. Układ wypadków tego dnia sprawił, że około trzeciej po południu zobaczyłam na polnej drodze między dwoma polami owsa Adama Morszczyna idącego w moją stronę. Nigdy mi się nie podobał. Miał zbliżone do siebie ciemne oczy pod wysuniętym czołem i brutalny wyraz warg. Spojrzał na mnie i uśmiechnął się paskudnie. Skojarzył mi się ze starym, wściekłym bykiem Kwackiego. Zeszłam na lewą stronę, i spuściłam głowę, ale szybko znalazłam się w jego cieniu. Stał tam, czekał na mnie.

– Spacerujemy sobie? – spytał.

– Idę odnieść wełnę pani Jadzi – powiedziałam nie podnosząc na niego głowy.

– Ale nie spieszy ci się, prawda?

– Spieszy – powiedziałam i ruszyłam. Wpadłam na niego. Przytrzymał mnie dłońmi.

– Eh, wy Więcówny, zawsze wyobrażacie sobie za wiele – powiedział tonem, który nie wiadomo dlaczego sprawił, że oblała mnie fala strachu.

– Nic sobie nie wyobrażam, po prostu chcę przejść.

– Ale nie przejdiesz. Jesteś na mojej ziemi. I masz pecha, bo akurat w tej chwili mam ochotę na co innego niż spełnianie twoich zachcianek. Chociaż kto wie, może mi jeszcze za to podziękujesz.

Nie rozumiałam o czym mówił, ale coś w jego słowach i sposobie ich wypowiedzania mnie przeraziło. Wyrwałam się i gubiąc kłębki wełny uciekłam w zboże.

I to był błąd.

*

Jedyne co do mnie wtedy docierało to to, że wydawało mi się, że widziałam gdzieś tam Dawida. Gdzieś ponad moją głowę, gdzieś w niskim owsie. Stał i przypatrywał się całej sytuacji, nie podszedł mi pomóc, bo też jak, przecież był martwy. Wydawało mi się też, że słyszę głos mojej matki nawołującej mnie, ale to też musiało być złudzenie, bo przecież gdyby matka naprawdę zaczęła się martwić wyszłaby na ścieżkę i usłyszała moje krzyki. Chociaż i te krzyki i płacz tłumione były najpierw przez jego rękę a potem przez mój własny wstyd. Po co miałam krzyczeć. Gdyby ktoś nas zobaczył potępiłby mnie, nie jego. Byłam tego całkowicie pewna. Dlatego kiedy w końcu mnie zostawił zebrałam się czym prędzej, wróciłam i pozbierałam dokładnie wszystkie kłębki wełny, a kiedy sąsiadka spytała czemu nie obrządzam w domu, powiedziałam, że zrobiłam to bo zamyśliłam się nad zachodem słońca. Śmiała się ze mnie. Słusznie. Sama bym się śmiała gdybym usłyszała taką historię. Wróciłam do domu by spotkać się tym razem nie ze śmiechem, a z naganą. Wysłali mnie do pokoju bez kolacji, ale i tak nie miałam ochoty jeść. Zwinęłam się w łóżku i dopiero wtedy, kiedy byłam pewna, że wszyscy śpią pozwoliłam sobie na cichutki płacz.

Miałam wrażenie, że to jego twarz widzę w lustrze. Że patrzy na mnie bez potępienia i bez współczucia. Zwyczajnie, obojętnie. Jak na trupa przystało. Powoli, rozmyślając uświadomiłam sobie, co się właśnie stało i jakie by tego mogły być konsekwencje. Ale nie, niemożliwe. Przecież to się nie dzieje za każdym razem, Agata mówiła. Więc większe prawdopodobieństwo, że się nie stanie niż stanie. Ale jeśli... Jeśli by rosło we mnie życie tego potwora znaczyłoby, że wszyscy się dowiedzą. A wtedy nie będzie już siniaków na dowód, że tego nie chciałam. Nie będzie już bólu w moich oczach,

którego pewnie i tak nie chcieliby dostrzec. Wtedy możliwe, że już nawet ja zapomnę, jak to się stało, że noszę w sobie dziecko. Ale nie. Mimo to, nie było mowy o tym, żeby się przyznać. Jeśli ja zapomnę to i Jezus zapomni. Może znowu będzie chciał mnie w swojej świątyni, mimo że nie wypowiadałam się z tego grzechu. Może nie ześle na mnie dziecka, wiedząc jak wiele by to we mnie zniszczyło. Zlituj się, Panie Jezu. Proszę cię, zlituj się nade mną.

4.

Wszystko zaczyna przejrzywać i umierać. Uwielbiam patrzeć na przyrodę, gdy jest tak złota, tak piękna jakby była doskonale świadoma tego, co ją czeka. Jakby swoim szkarłatnym, podobnym płomieniom wyglądem chciała się pożegnać z tymi, którzy mają przetrwać ten straszliwy, nadchodzący czas. Wszystko wokół mnie umiera, boję się jednak, że w moim ciele rodzi się nowe życie. Nie jestem pewna. Nie wiem jak się o tym przekonać. Jedynym, co daje odpowiedzi na pytania, na które nie powinno się odpowiadać jest kamienna studnia w środku lasu. Już od dwóch miesięcy w środku każdej nocy wyruszam.

Wychodzę przez okno, tak jak teraz, gałęzie trzeszczą pode mną żałośnie. Zsuwam się po pniu raniąc sobie bosc stopy. Jestem w koszuli nocnej, tak jak zawsze. Włosy zaczepiają mi się o gałęzie, ale nigdy ich nie związują. Podnosząc się z coraz zimniejszej trawy staram się sobie wyobrazić, że mam przed sobą dające poczucie bezpieczeństwa i jednocześnie niepokojące plecy mojego martwego przyjaciela. Ale jego nie ma. Las szumi niepokojąco, nie jest cichy i przytulny, nie jest ciepły. Nie wita mnie wyciągniętymi gałęziami. Runo leśne rani moje stopy. Zagojone rany ozywają bólem na nowo. Nic nie jest tak proste jak było we śnie. Wszystkie drzewa patrzą na mnie równie wrogo. Wszystkie są do siebie zbyt podobne bym pośród nich znalazła dobrą drogę. Tę drogę, która prowadzi do studni w lesie. Boję się tak, że gdyby nie jeszcze większy lęk, który przygnał mnie do lasu uciekłabym natychmiast. Nawet nie do domu, bo tam nie czuję się bezpieczna od nich. W sam środek wioski, tam gdzie nigdy by mnie nie dogoniły. Do domu pani Skorek. Błądzą między drzewami aż do świtu. Błądzą, chociaż już niemal znam odpowiedź.

Bo minęły już trzy miesiące, a ja nie miałam krwawienia.

5.

Patrzę w lustro. Szukam w odbiciu zmian w moim ciele. Widzę je już powolutku, brzuch zaczyna twardnieć i puchnąć jakby rósł w nim nowotwór. Nie mogę uwierzyć, dlatego nadal co noc szu-

kam studni w lesie. Zdaje mi się, że przeczesałam już całą okolicę, że drzewa patrzą na mnie jak na znajomego i omijają wszystkie leśne zwierzęta, mimo to każdej kolejnej nocy od nowa towarzyszy mi strach. Nie on jest jednak najgorszy. Strach jest moim towarzyszem, strach uświadamia mi, że nadal żyję. Najgorsza jest tęsknota do Dawida. Do jedyne go człowieka, którego dane mi było kiedykolwiek zapragnąć. Siedzę przed lustrem i patrzę na swoje odbicie. Cień, już całkiem wyraźnie i zupełnie bez wstydu, wypływa z rogów. Powoli, bardzo powoli, ale też bardzo nieubłaganie. Jest go już coraz więcej, zdaje się otaczać moją postać, jakby zostawiał mnie sobie na koniec, na deser. Jakby wyczekiwał na moment, w którym będzie mógł mnie pochłonać.

Moje serce puchnie od emocji, ale moja głowa jest zupełnie pozbawiona myśli. Moja mama sądzi, że jestem poważnie chora, przynosi mi jedzenie i co rusz przyprowadza jakieś znachorki. Kolejna, która pojawi się w moim pokoju na pewno zorientuje się, co jest ze mną nie tak. Wtedy mnie zabiją. Nie wiem, czy na pewno. Może tylko pobiją, do krwi, do nieprzytomności. Będą zadawali pytania, na które nie chcę im dać odpowiedzi. Powiem im, że to dziecko Dawida. Czekam na niego. Czekam kiedy się tu wreszcie pojawi. Wyglądałabym go, gdybym wiedziała skąd. Wybiegłabym mu na spotkanie, gdybym wiedziała w którym kierunku. I tylko jedno mnie teraz przeraża: myśl, że być może nigdy go już nie zobaczę, że coś mu się tam stało po drodze. Że nigdy tak naprawdę nie usłyszę jego głosu.

Kiedy się budzę widzę jego twarz tuż nad moją, tak, że mogłabym go dotknąć wargami gdybym się tylko nie bała. Jest chłodny jak grobowa ziemia i pachnie jak wiąz. Jego oczy pochłaniają światło, które ośmieliło się w nie wpaść. Moje serce bije tak mocno, że zaraz umrę. Nie wiem, czy ze szczęścia, czy ze strachu.

– Długo na ciebie czekałam.

– To dlatego, że nie czekałaś dość mocno – mówi. Jego głos jest piękny. Brzmi jak pocierane o nagrobki skrzydła anioła. Niczym marmur jest całkowicie gładki przez swoją chropowatość. Światło księżycy prześwituje przez dymną powłokę jego twarzy i kładzie się miękko na poduszce obok mnie. Nie mam odwagi oderwać od niego oczu.

– Nasze dziecko rośnie we mnie.

– To nie jest nasze dziecko – podnosi się i jego długie włosy ocierają się o moją twarz. – To nawet nie jest dziecko. To, co w tobie rośnie nie ma prawa bytu.

– Czym więc ono jest?

– Chodź do studni życzeń. Pokażę ci.

Odpywa. Podnoszę się i gonię go. Jego powłoka jest rozedrgana jak gorące powietrze. Jak wtedy, latem kiedy...

Nie.

Zeskakuję z okna. Czuję jak coś we mnie się porusza, ale to bez znaczenia. Jak powiedział Dawid, to nie jest nasze dziecko. On to musi wiedzieć, w końcu jest wszystkim co mam.

Późnojesienny wiatr szarpie cienką koszulą nocną, którą mam na sobie. Nie czuję zimna bo nie jestem sama. W moim sercu nastał spokój, jakiego nie oczekiwałam. Teraz już wszystko będzie dobrze. Teraz on pokaże mi, co mam zrobić i jak sobie poradzić. On mnie poprowadzi tam, gdzie nic mi nie grozi. Chcę go dogonić, by chwycić jego rękę. Nie udaje mi się. Zawsze jest o kilka milimetrów za daleko. Odwraca się i uśmiecha się do mnie ciepło. Jest inny niż kiedyś. Jest bliski. Jest już niemal na wyciągnięcie ręki.

– Aby dojść do studni życzeń musisz śnić lub zamienić swoje życie w sen. Stać się kroczącym nocą lunatykiem na zawsze martwym dla promieni światła. Aby być ze mną musisz zapomnieć o wszystkim co cię łączyło z twoim dawnym życiem. Przekonasz się, że niedługo wszystko stanie się dla ciebie prostsze.

Nie odpowiedziałam. Nie byłam pewna, czy dobrze zrozumiałam jego słowa.

Studnia stała na swoim dawnym miejscu. Księżyc oświetlał całą polanę, otaczał ją kotarą delikatnego światła. Dawid stał w pewnym oddaleniu od niej. Rzuciłam mu pytające spojrzenie. Przytaknął, więc podeszłam. Zajrzałam do środka. Ciemność zdawała się sięgać wyżej. Wrzała z niecierpliwości, wrzała i wpatrywała się we mnie. Czekala.

– Dziecko, które noszę w sobie – zaczęłam. – Nie jest Dawida. Do kogo więc należy?

Woda w studni zawirowała. Usłyszałam wycie i odwróciłam się od niej. Z lasu spoglądały na mnie wilcze oczy. Jednego z nich, całkiem srebrnego widziałam zupełnie wyraźnie. Patrzył na mnie wyczekująco, jakby porozumiewawczo. Jakby ze mnie drwił.

Poczułam obecność Dawida tuż za sobą. Pachniał mimozą.

– Bądź cierpliwa. Niedługo zrozumiesz, dlaczego dokładnie tak musi być.

Cierpliwa. Dobrze, będę cierpliwa.

6.

Pierwszą osobą, która zorientowała się o mojej hańbie nie była jednak żadna znachorka, ani moja matka. Była to moja siostra, która weszła do mojego pokoju dokładnie w momencie, w którym

przechodziłam przez parapet. Zaczęła krzyczeć, ale jedyne, o co się martwiłam, to to, że zobaczy Dawida. Rzuciłam na niego spojrzenie, ale on uważnie przypatrywał się mojej siostrze. Jego oczy miały barwę i wyraz wilczych ślepi. Grymas jego ust wyrażał głód, o którym nigdy nie ośmieliłabym się pomyśleć.

Rozpłynął się jednak zanim do pokoju wpadła reszta mojej rodziny. Szarpali mną i wrzeszczeli. Byłam w stanie wyłowić tylko pojedyncze zdania z tego przerażającego i kakofonicznego chóru: „Gdzieś ty się puszczała?”, „Gdzie łazisz po nocach?”, „Dziecko... Boże, zrobiła bękarta!”.

Wyksztusiłam wtedy, nadludzkim wysiłkiem, bo nie ustawiali w potrząsaniu mną.

– To był gwałt.

Znieruchomieli. Popatrzyli na mnie wszyscy i kiedy ja rozglądałam się po nich, to widziałam właściwie tylko ciemne oczodoły zwrócone w moją stronę. Nie wiem dlaczego, ale skojarzyło mi się to ze studnią w lesie, wpatrującą we mnie ciemnością zamkniętą w kamiennych ścianach.

W końcu matka zamachnęła się i wymierzyła mi policzek.

– Kłamiesz! Nikt na wsi, nie zrobiłby czegoś takiego! Jesteś rozpustną dziwką i puszczałaś się na prawo i lewo, więc to się w końcu musiało stać!

Gdybym była dawną sobą po takich słowach zapewne padłabym do jej stóp i błagała o wybaczenie. Teraz wiedziałam tylko, że muszę być cierpliwa.

– Adam Morsztyn mnie zgwałcił, gdy szłam do sąsiadki. Powiedział, że mu się to należy jako mężczyźnie od kobiety.

Już miała mi wymierzyć kolejny policzek, kiedy ojciec ją zatrzymał.

– Byłaś dziewicą wcześniej?

Pokiwałam głową.

Wkrótce w moim domu pojawił się Adam Morszczyń z ojcem. Klęczałam przy swoim łóżku w półprzeźroczystej, poszarpanej od gałęzi nocnej koszuli z białymi koronkami i wysłuchiwałam obelg z ust starego Morszczyńa tak soczystych, że gdybym była dawną sobą to zapewne po każdym takim słowie robiłabym znak krzyża, a zdając sobie sprawę, że one wszystkie we mnie są wycelowane zakopałabym się głęboko w ziemi żywcem. Teraz jednak były mi obojętne. To zabawne, Morszczyń był dobrym ojcem swojego syna, jednocześnie traktował wszystkie kobiety jak obiekty, które powinny mu „dać”, bez zadawania pytań i wszystkie je miał za puszczałskie kurwy. Zaczęli szarpać się z moim ojcem i pewnie zrobiliby sobie krzywdę, gdyby nie to, że Adam się odezwał.

– Zrobiłem to – powiedział. – Ale dziewczyna zdatna już, to pomyślałem, że co ma się marno-

wał. A skąd miałem wiedzieć, że w ciąży zajdzie? Nie zdarza się to często ani od razu.

– Bóg cię opuścił?! – zaczął wrzeszczeć ojciec Morszczyna. – Taką nawiedzoną flądre chytać? Ja ci mówię, nic z tego dobrego nie będzie. Wilki jej duszę zabrały razem z urodą wiele lat temu.

Uśmiechnęłam się, bo ze wszystkich obelg ta jedna była prawdziwa. Ale akurat ta przypadła mi do gustu.

Bardzo szybko do naszych drzwi zapukał ksiądz. Gruby obrzydliwie, spasiony naszą ofiarą, syty jak komar nażarty cudzym staraniem. Pierwszy raz ośmieliłam się tak o nim myśleć, ale im dalsza byłam Boga tym bliższa byłam prawdy. Czyżbym tak nisko upadła, że wątpię?

Kazał wszystkim wyjść, nie chcąc słuchać ich wrzasków. Usiadł ciężko na łóżku. Wstałam. Nie chciałam przy nim klęczeć.

– I coś ty dziecko narobiła? – spytał. – Warto ci było? Bóg cię pokarał.

– Wziął mnie siłą – powiedziałam cicho.

– Siłą, wszystkie tak mówią, a potem opiekuj się tym.

– Ksiądz to chyba sporo musi o tym wiedzieć – powiedziałam, choć sama przeraziłam się własnych słów w chwili ich wypowiedzienia. W lustrze zobaczyłam uśmiech pod wilczymi oczyma Dawida Zweilta. Ksiądz patrzył na mnie z początku blady z przerażenia, potem czerwony z wściekłości.

– Co cię opętało gówniarno przekłeta?! Będziesz mi tu teraz zarzucać nie wiadomo co.

– Śmierć mnie opętała. Śmierć tego życia, które jest we mnie. Śmierć jako koniec, a nie początek. Bóg mnie nie opuścił, Boga nigdy we mnie nie było.

Wstał gwałtownie i nienaturalnie szybko jak na niego. Odsunął się ode mnie daleko. Prawie dotykał lustra, w którym czekał na niego Zweilt wykrzywiony w wilczym uśmiechu.

– Ja cię egzorcyzmował nie będę. Morszczyn z ciebie pięścią diabła wybije. Wyjdiesz za niego!

Padłam na kolana bezsilnie.

– Nie... – wyszeptałam.

– Tak. Ale przed hańbą cię to nie uchroni, na mszach będę się modlił za twoją grzeszną duszę. Każde katolickie dziecko musi mieć ojca.

Spojrzałam na niego z całą nienawiścią, na jaką mnie było stać. Czym prędzej wyszedł z pokoju. Zostałam w nim sama. Dawid pojawił się tuż przy mnie.

– Teraz już wiesz co musimy zrobić z nimi wszystkimi żebyś nie musiała żenić się z człowiekiem który zrobił ci to – wskazał na mój brzuch.

– Tak – powiedziałam podnosząc na niego oczy. – Ale nie podołam.

– Pomogę ci. Wszyscy ci pomożemy. Nauczymy cię wszystkiego.

– Tak – powiedziałam tym razem z uśmiechem. Poczułam jego dotyk i przeszył mnie zimny dreszcz. Nagle wszystkie gorące, wirujące we mnie uczucia umilkły i zgasły, a pojawiła się świadomość. Straszliwa i bolesna świadomość, której z początku nie mogłam znieść. Z uczuciem podobnym umieraniu straciłam przytomność.

7.

Kolejne dni przepływały mi przez palce niemal nie zauważone. Karmiono mnie, pojono, dbano o mój stan zdrowia i higienę. Nie odzywałam się, do nich, a oni nie mówili zbyt wiele do mnie. Przestałam rozumieć ich intencje i postępowanie. Przygotowywali mnie do porodu i ślubu z Adamem Morszczynem.

Rozmawiałam już tylko z Dawidem. Mówił z pozoru bez związku, ale powoli wszystkie jego słowa zaczęły układać się w mojej głowie w spójną i sensowną całość.

– Wiesz dlaczego tak jest? Czy wiesz jaki smutek kryje się w wyciu wilków?

Pokręciłam głową. Nie wiedziałam.

– Ludzie pożerają wszystko, co jest na tej planecie by przedłużyć swoją egzystencję. Nie zastanawiają się na tym, czy na dalsze życie zasługują bardziej niż to, czemu odbierają energię. Wydaje im się, że są wybrańcami. Każdemu z ludzi osobno wydaje się, że jest wybrany. Możesz to sobie wyobrazić?

Mogłam. Tego nas uczyło pismo.

– Źe Bóg, Wszechstota jest podobna ludziom. Oni nie zdają sobie sprawy, że żyją tylko dlatego, że zabijają. Rośliny, zwierzęta, to bez różnicy, zagarniają ziemię i odbierają miejsce jego naturalnym mieszkańcom, niewolą zwierzęta i ubijają je według własnej woli. Sami siebie ustalili bogami w tym miejscu. Gdyby jak wilki polowali w stadzie, karmili się krzepnącą krwią i parującym od uciekającego życia mięsem, gdyby słyszeli dogasające serce pod mięśniami, w które się wgrzają zrozumieliby, że śmierć każdej istoty ma takie same znaczenie. Źe truchło wszystkich istot śmierdzi tak samo. Źe nie są właścicielami ani tej ziemi, ani tych roślin i zwierząt, ani nawet własnego ciała. Boże... Nie wierzyć w ciebie to jak nie żyć. Urodziłam się z tą wiarą wtartą mi w skórę i wrośniętą w kości; przelewającą się w mojej krwi, bo czerpałam ją słuchając i patrząc i dotykając... Moja matka i moja prababka i wszyscy których geny miałam w sobie wierzyli w nieśmiertelne dusze. Ale jak ja

mam wierzyć skoro WIEM, że tak nie jest?

...muszę odciąć korzenie...

– Musisz odciąć korzenie – powiedział Dawid patrząc na mnie. – Musisz się odciąć od wszystkich krzywd jakie chcą ci zrobić i od obrzydliwości, które w ciebie wpoili. Zrobimy to razem. Pomogę ci.

Pomożesz mi...

A więc wszystko będzie dobrze.

*

Mój brzuch jest ogromny, jakby mieściło się w nim całe zło świata. Czuję, jak to, co jest we mnie pożera mnie od środka i wysysa moją drogocenną energię. Moja dusza została pożarta już przy samym akcie tworzenia tego nowego życia. Wielkiego pasożyta, który odstaje od mojego korpusu jak potworna narośl. Chciałabym już odciąć to i pozbyć się tego straszliwego żartu boskiego w imię, którego każą mi oddać się w ręce człowieka, który obdarował mnie czymś gorszym niż śmierć.

Panie Jezu, to moja ostatnia do Ciebie modlitwa. Przez całe swoje życie zawsze zdążałam ścieżkami, które mi wytyczyłeś. W zdrowiu i chorobie odwiedzałam dom twego ojca i chwaliłam Twoje imię. Z ochotą lub bez, każdego wieczoru i każdego ranka wyznawałam cię na kolanach, z pokorą i miłością skłoniona przed Twoją podobizną wiszącą nad moim łóżkiem. Byłeś stałym elementem mojego życia i zwracałam się do ciebie częściej niż do jakiegokolwiek żyjącego człowieka na tym świecie. Kochałam cię tak bardzo, że kiedy nagle zabrakło cię w moim życiu poczułam się jakby ktoś tak naprawdę wydarł tylko kawałek mnie. Oni to zrobili, by móc powiedzieć: „Niech mi się stanie według woli twojej”.

Spójrz na mnie, Jezu, spójrz, do czego mnie natchnąłeś.

Tobie, a nie wilkom, ani wszechwiedzącej studni dedykuję to, co robię. Bo tak naprawdę ty, a nie Dawid Zweilt włożyłeś w moje ręce ten nóż, którym mama kroila naszą codzienność, a w moją kieszeń nożyce, które służyły jej do szycia naszej szarości.

Żółte oczy spoglądały na mnie spomiędzy drzew ciemnego lasu. Noc przesłaniała świat gęstą mgłą, jak mój milczący sprzymierzeniec. Śnieg przykrywał całą wioskę białym płaszczem spokoju. Księżyc tylko nieśmiało wychylał się zza drzew, ale widziałam jego subtelny blask odbijający się w moim nożu. Było cicho, nienaturalnie cicho jakby cały świat zamarł w oczekiwaniu. Nawet płatki śniegu zawirowały w powietrzu. Nie mogłam się już wycofać. Jedna z par żółtych oczu należała do wyłaniającego się z ciemności Dawida Zweilta. Wszystkie domki w wiosce osunęły się w mroku nocy

w głęboki, cichy sen. Myśl o żyjących w niej ludziach skojarzyła mi się z myślą o uśpionym podczas zimy pod korą robactwem. Czy uda nam się ze wszystkimi, zanim pierwsze krzyki zaalarmują resztę?

Wilki przeszły obojętnie obok zagród z uśpionymi zwierzętami. Tej nocy chciały innego mięsa i innej krwi.

Żaden pies nie zaalarmował swojego pana, spały wszystkie głęboko, jakby noc je dla nas uśpiła. Lub, jakbyśmy wszyscy byli tylko wkradającym się do wioski cieniem.

Taką zamgloną, pochmurną, zimową nocą krew ma czarną barwę. Jakby z ludzi wypływał ich mrok. Ciepło ich ciał gaśnie, mają otwarte usta krzyczące milczeniem.

Dzwony zaczęły bić za późno, by uratować kogokolwiek. Moją rodziną zajęłam się samodzielnie. Na mój widok, jak na widok upiora wrzeszczeli z paniką przerastającą lęk przed śmiercią. Jakby miał ich zabić sam strach. Nawet nie uciekali. Krew zaplamiła mój biały fartuch i granatową sukienkę. Odsunęłam warkocze na plecy, by nie lepiły się od niej. Ich krzyki nie przypominały mi dźwięków, jakie zazwyczaj wydają ludzie. Ojciec celował we mnie, ale nie ośmielił się wystrzelić. Ręce drżały mu aż broń upadła na ziemię. Oddałam go wygłodniałym zemsty wilkom. Zjadały moją rodzinę chciwie, jakby czekały na to od dawna. Musiałam im pomóc dopełnić dzieła, czekała na nas cała Sielanka.

Kiedy stoję nad studnią i wykrawam płód z mojego ciała, nie czuję bólu. Jestem znieczulona pogardą i upojona nienawiścią. Pierwszy raz czuję się prawdziwie żywa. Wyjmuję z siebie zakrwawione żyjątko, odcinam ostatnią łączącą mnie z nim więź. Wilki, które zgromadziły się wokół mnie zlizują z trawy płyny, które wypłynęły z mojej macicy. Patrzą chciwie na pokraczną, poruszającą się karykaturę człowieka, którą trzymam w rękach, ale nie mogę im jej dać. Należy się czemuś innemu. Kiedy upuściłam płód do studni, woda wzburzyła się jeszcze przed jego upadkiem, jakby chciała pochłonąć go chciwie. Zaraz, kiedy w niej zniknął bez plusku, znieruchomiała, jakby zamarła.

Wracam do domu.

Ścieżka za mną i przede mną jest oznaczona śladami krwi. Księżyc wychyla się pomiędzy drzew i nabiera ona lekko szkarłatnego połysku. Nigdy nie widziałam nic piękniejszego. Wiatr znów szumi, śpiewa psalm o spokoju i stałości natury. O świecie, gdzie nikt nie próbuje wytyczać, co jest dobre, a co złe. Wracam do domu i wchodzę po schodach. Nadjedzone truchła mojej rodziny w niczym nie różnią się od rozwleczonych w rzeźni przez psy odpadów zwierzęcych. Żegnám ich ostatni raz z uśmiechem. Wchodzę do swojego maleńkiego pokoju, mojego słodkiego więzienia i azylu. Lustro już całkiem wypełniło się czernią. Nie widzę w nim swojego odbicia tylko wyłaniającą się z ciem-

ności rękę Dawida.

Wchodzę.

Piotr Kucharski

SPRAWIEDLIWOŚĆ

*„Więc ci rzuciłem marzenia pod stopy,
Stąpaj ostrożnie, stąpasz po marzeniach.”*

— William Butler Yeats

1.

Wskazówka na moim zegarku właśnie przesunęła się, wskazując drugą w nocy. Niezbyt dobra pora na jazdę samochodem, zwłaszcza gdy z nieba leją się strugi deszczu sprawiające, że człowiek czuje się jakby przejeżdżał pod wodospadem.

Byłem w trasie dwanaście godzin, poprzedzonych nieprzespaną nocą spędzoną na zajmowaniu się długą listą spraw do załatwienia przed wyruszeniem w podróż. W tym niezwykle męczącą rozmową z moim wydawcą, który zawzięcie tłumaczył mi, że mój pomysł na nową serię artykułów się nie sprzeda i że nie mam co liczyć na zwrot wydatków związanych z moją planowaną wyprawą.

– Pieprz się – warknąłem do niego, wyczerpany bezsensowną wymianą argumentów.

– Andrew, uspokój się – powiedział, uśmiechając się przy tym lekko – Nie mówię, że to zły pomysł. Mówię tylko, że nie do tego są przyzwyczajeni nasi czytelnicy.

– Gównu mnie to obchodzi. Jasne, ta banda półmózgów najchętniej czytałaby o gustach muzycznych Kate Middleton i problemach z prawem Ashleya Cole’a. Ale, wyobraź sobie, mnie pisanie o tych głupotach nudzi. Chcę im dać coś więcej.

– Dobra – mruknął po chwili ciszy – Dostaniesz to, co chcesz. Masz cztery dni na zebranie materiałów. Wydamy pierwszą część, zobaczymy jak się sprzeda. Jeżeli nie będę zadowolony, to wracasz do pisania o normalnych sprawach. Zgoda?

Wybiegłem bez pożegnania. Nie miałem czasu na przejmowanie się bzdetami.

Parę godzin później wyjechałem z Liverpoolu, kierując się na północ kraju, do małej wioski Dovesgrove.

Przede mną rozciągała się perspektywa jazdy przez jeszcze jakieś pięćdziesiąt kilometrów. Problem polegał na tym, że ogarnął mnie poziom zmęczenia tak wysoki, że żadne ilości kawy nie dałyby rady doprowadzić mnie do stanu używalności.

Lało coraz bardziej, a moje powieki stawały się ciężkie jak marmurowe płyty. Nie miałem żadnych szans na dotarcie do celu bez spowodowania wypadku lub wjechania w przydrożny rów.

Gdy tylko ujrzałem światła motelu wznoszącego się na małym wzgórzu tuż przy drodze zdecydowałem się zatrzymać na postój – resztę dystansu mogłem pokonać z samego rana.

Samochód zostawiłem na małym parkingu znajdującym się o stóp wzgórza.

Kiedy przemoczony wkroczyłem do recepcji, właściciel motelu spał spokojnie na krześle za ladą - sztuka godna podziwu, biorąc pod uwagę, że krzesło wyglądało na wyjątkowo niewygodne.

Nacisnąłem dzwonek, a gdy to nie podziałało, spokojnie, acz stanowczo, trzasnąłem dłonią o ladę.

Właściciel poruszył się niespokojnie, a następnie spojrzał na mnie przekrwionymi oczami.

– Tak? – głos miał chrapliwy. Powodem pewnie była butelka taniej whisky, którą teraz niedolnie starał się przesunąć stopą poza granicę mojego wzroku.

– Chciałbym wziąć pokój.

– Szóstka jest wolna – wyburczał i rzucił w moją stronę klucz. Po chwili podsunął mi też książkę rejestru.

Podpisałem się i ruszyłem do pokoju numer sześć. Po sekundzie moim krokom zaczęło towarzyszyć donośne chrapanie.

Sam zasnąłem w jakieś pięć minut później.

Nie śniło mi się absolutnie nic.

2.

Obudziły mnie promienie słońca padające przez szczeliny w rolecie prosto na moją twarz. Okazało się, że było już grubo po dziewiątej – godzinę później, niż miałem nadzieję wstać. Widocznie

budzik w telefonie zadzwonił, ale moja podstępna podświadomość go wyłączyła zanim zauważyłem co się dzieje.

Czas jakoś nie miał zamiaru czekać, więc nie do końca wypoczęty zwlokłem się z łóżka i podjąłem się wszelkich porannych czynności, które sprawiły, że znów mogłem uchodzić za człowieka – może nie kogoś, kogo chciałoby się zaprosić do ekskluzywnej restauracji, ale na pewno wypadałem znacznie lepiej niż indywiduum będące właścicielem motelu.

Kiedy wychodziłem, facet dalej spał na krześle – strużka śliny spływała po jego nieogolonym podbródku.

Nie chcąc niszczyć tego uroczego obrazka, w ciszy położyłem na ladzie klucze a obok nich kilka wymiętych funciaków.

Po drodze zatrzymałem się w przydrożnym barze, gdzie wypilem poranną kawę i zjadłem śniadanie. Z telewizora wiszącego w rogu pomieszczenia patrzyła na mnie twarz Davida Camerona. Premier mówił o dwóch rzeczach, które nigdy nie przemijają – o śmierci i podatkach – ale nie wzbudził mojego zainteresowania na tyle, bym został w barze do końca przemówienia.

Był kwadrans po dwunastej, gdy wreszcie dojechałem do Dovesgrove.

Była to rzeczywiście mała wioska, jakich pełno na północy Anglii. Kilka rozrzuconych bez ładu domków, sklep, pub i całkiem ładny rynek, na którym rósł rozłożysty dąb. Ale to nie Dovesgrove miało być tematem mojego reportażu, choć tu właśnie musiałem zacząć zbieranie materiałów.

Samochód zostawiłem tuż przed wioską, decydując się na krótki spacer – pogoda była idealna, więc mając w pamięci wczorajszą ulewę postanowiłem ponapawać się trochę słońcem i świeżym powietrzem. W Liverpoolu o świeżym powietrzu krążą legendy, ale większość mieszkańców boi się przekonać o jego istnieniu na własnej skórze – obawiając się zapewne, że rozsadziłoby im płuca.

Idąc w stronę rynečku zauważyłem, że wielu mieszkańców Dovesgrove przygląda mi się z zaciekawieniem. Turystów najwidoczniej miewali rzadko, więc pojawienie się nowej twarzy musiało wzbudzać sensację.

Pub był o tej porze jeszcze zamknięty, więc udałem się do drugiej najlepszej jaskini plotek i wieści w okolicach takich jak ta – do miejscowego sklepu.

Stanowił on połączenie warzywniaka, drogerii, kiosku i cholera wie czego jeszcze. Sprzedawczyni była starszą kobietą, chudą i o końskiej twarzy. Miała dość przyjemny uśmiech.

– Dzień dobry. Mogę jakoś panu pomóc? – zapytała.

– Poproszę butelkę wody mineralnej.

– Jest pan turystą? – spytała, wbijając cenę na kasie.

– Dziennikarzem. – odpowiedziałem i podałem jej swoją wizytówkę – Nazywam się Andrew Mycroft, pracuję dla „Daily Inquiries”.

– Z Liverpoolu – powiedziała, oglądając uważnie kartonik, który jej wcześniej wręczyłem – Jest pan daleko od domu. Co pana tu sprowadza, panie Mycroft?

– Przygotowuję właśnie serię reportaży na temat angielskiego folkloru: legendy, tajemnicze wydarzenia. Takie rzeczy. A nazwa Dovesgrove już od jakiegoś czasu pojawia się podczas rozmów ludzi zainteresowanych tym tematem.

– Och – machnęła ręką i uśmiechnęła się lekko – Wie pan jak to jest, chyba każda mała społeczność na północy otacza się własnymi legendami i przesadami. Rzadko kiedy kryje się za nimi prawda.

– Owszem – powiedziałem, przybierając tajemniczy wyraz twarzy – Ale nie każda może się pochwalić swoim własnym diabłem.

Zmierzyła mnie uważnym wzrokiem, a następnie parsknęła stłumionym śmiechem, jakby dopiero po chwili zrozumiała dowcip. Dowcip, którego tam nie było.

– Niech pan nie będzie dzieckiem – mruknęła, widząc moją poważną minę – Diabłów nie ma. A jeśli już by jakiś istniał, to pewnie by siedział w parlamencie zamiast nękać porządných ludzi.

– Czyli nic mi pani nie powie na ten temat?

– Niestety, mój chłopcze. Ale jeśli naprawdę ci na tym zależy, to za dwie godziny otwiera się pub. James Pinewood, właściciel, jest chyba najbardziej przesadnym człowiekiem jakiego znam. Może on powie panu coś, co przyda się do tej pańskiej gazety.

Podziękowałem jej i postanowiłem zastosować się do jej rady.

Kiedy się odwracałem, w oko wpadł mi pewien drobiazg – kobieta ścisnęła w prawej dłoni mały, wykonany z obsydianu krzyżyk.

Przystanąłem za progiem i, zapalając papierosa, rzuciłem szybkie spojrzenie przez przeszkolone drzwi. Właścicielka sklepu wpatrywała się tępo w blat lady sklepowej i prawie niezauważalnie poruszała wargami.

Coś wisiało w powietrzu, a ja bardzo chciałem się dowiedzieć, co to takiego.

3.

James Pinewood okazał się mężczyzną niskim, o kruchej budowie, swoje najlepsze lata mającym już dawno za sobą. Kiedy z nim rozmawiałem, wiercił się nieustannie i patrzył wszędzie, gdzie tylko się dało – w jakiś punkt tuż nad moim uchem, w okna wychodzące na ulicę, we własne stopy – byle tylko nie w moje oczy.

Siedzieliśmy wewnątrz pubu, przy stoliku najbliższej baru. Poza nami w środku nie było nikogo.

– Dobrze, panie Pinewood – rzekłem, kładąc pomiędzy nami dyktafon – Niech pan mi powie coś o waszym diable.

Mężczyzna przez chwilę milczał, tak jakby zastanawiał się, czy rzeczywiście pytam na poważnie. W końcu odchrząknął nerwowo i powiedział:

– Diabeł grasuje w naszej wiosce już jakieś pół wieku. Sprawia, że ludzi dotyka nieszczęście i spotykają ich złe rzeczy. Parę osób zginęło przez niego, choć większość mieszkańców Dovesgrove w niego nie wierzy i twierdzi, że to były fatalne wypadki.

– Ma pan jakiś powód by sądzić, że było inaczej?

– Widziałem ciała – przelknął slinę i skrzywił się, jakby sama myśl o tym, co widział, sprawiała go o odrazę – Były okropnie, nienaturalnie powykręcane. Nie wiem, jak miałyby wyglądać... wypadek, który zrobiłby z człowieka to, co spotkało tych ludzi. Poza tym... – zawahał się.

– Poza tym?

– Wiem, kto jest diabłem. Ludzie mi nie wierzą, ale wiem kim on jest. A raczej kim był, zanim stał się bestią, którą jest teraz.

Odchyliłem się w krześle i głęboko zaciągnąłem papierosem.

– Czyli nosi jakieś imię? – pozwoliłem, by znak zapytania opadł ciężko na końcu zdania.

– Cóż, ci którzy wierzą w jego istnienie nazywają go Jack Ketch...

– Cholernie oryginalnie – parsknąłem.

– Ale ja wiem jak nazywa się naprawdę. Kiedy jeszcze był człowiekiem, mieszkał niedaleko stąd. – Pinewood po raz pierwszy podczas naszej rozmowy spojrzął mi w oczy – Nazywał się Arthur Macmillan i...

– Zaraz – przerwałem mu – Mówi pan, że ten domniemany diabeł był człowiekiem i mieszkał tu, w okolicy?

– Zgadza się.

– To świetnie – uśmiechnąłem się – To teraz niech mi pan powie, gdzie znajdował się jego dom.

4.

Nie wierzyłem w opowieść Pinewooda, ale stwierdziłem, że warto odwiedzić dom Arthura Macmillana. Cóż, diabła może i bym nie spotkał, ale miałem zamiar opisać genezę lokalnej wiary w niego, a dziennikarz musi opierać się na faktach.

Niecałą godzinę zajęło mi dotarcie na miejsce. Droga wiodła mnie głównie przez pola, ale w pewnym momencie zagłębiłem się w niezbyt duży las, na skraju którego stało dawne domostwo domniemanego Diabła z Dovesgrove.

A raczej to, co z niego zostało.

Ściany małego domu były zmurszałe, gdzieś tam poobłaził je bluszcz. Szyby w oknach już dawno zostały wybite, zapewne przez dzieciaki mieszkające w okolicy.

Z boku budynku, tam gdzie pewnie kiedyś był mały ogródek, wyrastały gęste krzaki pokrzyw.

Zbliżyłem się do drzwi i delikatnie je otworzyłem.

Nagle z wnętrza domu dotarł do mnie ledwie słyszalny dźwięk.

Cichy, urywany oddech.

Kiedy wszedłem do środka, moim oczom ukazało się zrujnowane pomieszczenie, pełne kurzu i pajęczyn. Wyglądało na całkowicie niezdatne do zamieszkania.

Dlatego moje zdziwienie było tym większe, gdy zobaczyłem postać siedzącą w fotelu przed pozostałościami kominka. Nie poruszała się, ale świst powietrza wydobywającego się z jej ust świadczył o tym, że żyła.

Był to bardzo stary mężczyzna. Siedział i wpatrywał się w wygasłe wieki temu palenisko, nie zdawał się również zauważyć mojej obecności.

– Pan Macmillan? – zapytałem, robiąc kilka wolnych kroków w jego stronę.

Wymruczał coś niezrozumiałego, więc podszedłem jeszcze bliżej. Jego ciało nakryte było pledem, na głowie zaś miał wytartą czapkę pilotkę. Poczulem też zapach fekaliów w powietrzu i uświadomiłem sobie, że czynności życiowe starca sprowadzały się do robienia pod siebie, spania i spożywania posiłków – sporadycznych, biorąc pod uwagę jego wychudzoną twarz.

Mieszkańcy Dovesgrove musieli podrzucać mu jedzenie – w końcu jakoś musiał podtrzymy-

wać swój wegetatywny stan, ale nikt już nie zadał sobie trudu by posprzątać jego domu czy zapewnić mu odpowiednią opiekę. A James Pinewood, mały skurwiel, twierdził, że Arthur Macmillan nie żyje.

Poczułem jak wzrasta we mnie wściekłość.

Na co społeczeństwu diabeł, jeśli samo tak dobrze radzi sobie z czynieniem zła?

– Panie Macmillan – powiedziałem spokojnie, kładąc mu delikatnie rękę na ramieniu – Arthurze... Pójdź po kogoś, kto będzie mógł panu pomóc, dobrze?

Wycofałem się z pomieszczenia, które przypominało grobowiec. Jednakże zatrzymałem się w pół kroku, gdy usłyszałem słowa wydobywające się z ust Macmillana.

– Moje marzenia...

I tyle. Starzec pogrążył się w swoim letargu.

A ja wróciłem do Dovesgrove, z zamiarem rozmówienia się z pewnymi ludźmi.

5.

– O co panu chodzi?! – Pinewood, jak na takiego pokurcza, był zadziwiająco silny i wyrwał się z moich rąk. Reszta bywalców pubu zachowywała bezpieczny dystans, przynajmniej narazie. Lubili dobrą rozrywkę, jak wszyscy, a moje agresywne najście właściciela lokalu zapowiadało niezłą zabawę.

– Macmillan nie żyje, co? – warknąłem, ale póki co dałem sobie spokój z czynną napaścią – Jesteś idiotą, czy specjalnie mnie tam posłałeś? Bawisz się w grę „głupi turysta z południa robi to co chce”?

– Ale, panie Mycroft... – James Pinewood poprawił kołnierz koszuli, a jego rozbiegane oczka znów patrzyły wszędzie, tylko nie na mnie – Arthur Macmillan naprawdę nie żyje. Zastrzelił się w 1946. Mój tato mi opowiadał, był na pogrzebie.

– To prawda – wtrącił się barczysty mężczyzna, który do tej pory patrzył z rozbawieniem na całą scenę – Macmillan wrócił z wojny, coś mu odwalilo i strzelił sobie w łeb z rewolweru Enfield. Każdy o tym wie.

Popatrzyłem się na krąg szczerych twarzy. Wyglądało na to, że mówili prawdę.

– Ale... widziałem starego człowieka w ruinach domu Macmillana – zacząłem, ale mój głos brzmiał słabo.

– To pewno był włóczęga – zauważyła jakaś starsza kobieta siedząca w kącie – O tej porze

roku pełno ich w okolicy.

Wszyscy pokiwali głowami i rozeszli się do swoich stolików. Awantura się skończyła.

– Najmocniej pana przepraszam, panie Pinewood – powiedziałem, czując się jak krety.

– Nie ma problemu – odpowiedział, po czym widząc moją zboląłą minę dodał: – Zdarza się.

Nie wiedząc, co jeszcze mógłbym powiedzieć, po prostu wyszedłem na zewnątrz pubu.

Powietrze ochłodziło się, a ciemne chmury na niebie zwiastowały ulewę. Powoli nadciągał wieczór.

Stałem chwilę, rozmyślając nad własną głupotą i paląc papierosa.

– Moje marzenia... – wyszeptałem, nie zdając sobie sprawy z tego, co właściwie mówię.

Był tylko jeden sposób, by poznać prawdę. Robiło się już ciemno, a ja byłem zmęczony, ale pewna myśli nie dawała mi spokoju.

Ruszyłem polną drogą prowadzącą do domu Arthura Macmillana.

6.

Cicho zbliżyłem się do zrujnowanego domostwa. W okolicy panował całkowity spokój, jeżeli nie liczyć cykania świerszczy.

A jednak niewytłumaczalny niepokój wisiał nade mną. Czułem, że ktoś mi się przygląda.

Zbliżyłem się do okna i zajrzałem do środka izby mieszkalnej. Fotel przed kominkiem był pusty.

Nie zorientowałem się, co się dzieje, dopóki nie usłyszałem chrapliwego świstu ciężkiego oddechu.

Coś złapało mnie z monstrualną siłą i uniosło nad ziemię, uderzając moimi plecami o ścianę domu, na tyle mocno, że na moje ramiona opadł tynk. Poczulem smak krwi w ustach.

Tuż przed moją twarzą pojawiła się twarz starca, którego spotkałem wcześniej. Była potwornie wykrzywiona, a głęboko osadzone w niej oczy czerwieniały w paroksyzmie nienawiści. Nie były to oczy człowieka.

Słodka woń zgnilizny wepchnęła się w moje nozdrza, a ja poczułem, że mi niedobrze.

Wciąż mnie trzymając, przerażający mężczyzna kopniakiem otworzył drzwi i wrzucił mnie do środka domu.

– Leż – warknął, widząc jak próbuje się podnieść – Nie skrzywdzę cię.

Przestałem się ruszać, sparaliżowany strachem.

– Nazywam się Arthur Macmillan – mówił, a mówiąc powoli ściągał z głowy czapkę pilotkę. Usłyszałem odrażający dźwięk, jakby ktoś odrywał skórę od mięsa.

W prawym boku głowy starca ziała dziura, z której wciąż sączyła się krew i ropa. Zwymiotowałem, a moim ciałem targały spazmy obrzydzenia. Mężczyzna cierpliwie czekał, aż skończy.

– Nazywam się Arthur Macmillan, nieznajomy – powtórzył – I jestem martwy. Zginąłem w 1946 roku, odbierając sobie życie tym samym rewolwerem, za pomocą którego odbierałem życia podczas II wojny światowej. Ale wciąż jestem tutaj i nie mam zamiaru odejść. Rozumiesz?

Przytaknąłem, choć nie miałem pojęcia o czym mówi.

– Moje ciało starzeje się, gnije od środka. Ale JA nie mogę stąd odejść.

– Dlaczego?

Patrzył na mnie przez chwilę, a ja zauważyłem, że w jego oczach pojawiła się nowa emocja: bezbrzeżny smutek.

– Byłem młodym oficerem Armii Brytyjskiej, kiedy wojna się skończyła. Podczas walk widziałem koszmary, które trudno było nawet opisać słowami. Wielu moich przyjaciół z frontu pograżyło się w szaleństwie. Ale nie ja. Ja miałem swoje marzenie, które podtrzymywało mnie przy życiu. Nie, nie przy życiu. Przy zdrowych zmysłach.

Było to proste marzenie, na które powinien móc sobie pozwolić każdy mężczyzna. Widzisz, w rodzinnych stronach, w Dovesgrove, czekała na mnie moja żona. Chciałem po prostu do niej wrócić, mieć dzieci, umrzeć jako szczęśliwy dziadek, który już dawno zapomniał o horrorach wojny.

Zamilknął, wpatrzony we własne wspomnienia. W końcu uniósł wzrok i rzekł:

– Z różnych powodów mój powrót do domu się opóźnił. Jednak gdy udało mi się wrócić, okazało się, że moja żona nie żyje. „Potworny wypadek” mówili. A ja, młody oficer, który przeżył Afrykę i Francję, załamałem się nerwowo i wybrałem jedyną drogę ucieczki, jaka mi pozostała – Macmillan wskazał na bok swojej głowy i skinął głową, jakby zgadzając się ze samym sobą.

– Więc jak...? – bałem się zadać to pytanie, ale starzec oczywiście rozumiał, o co mi chodzi.

– Kiedy umierałem, przede mną pojawił się szkop. Nie miał munduru gestapo, ani nic takiego, ale potrafię poznać szkopa, kiedy go widzę. I powiedział: „To nie był wypadek”.

Moja żona nie zginęła w wypadku. Została zgwałcona, a następnie pobita na śmierć przez czterech miejscowych mężczyzn, tych samych, z którymi piłem piwo tuż przed wojną. Szkop wyjawiał

mi ich imiona i imiona każdego, kto o tym wiedział i ukrył prawdę przede mną. Zapytałem go, czy jest jakimś aniołem zemsty. A on tylko uśmiechnął się, uśmiechem szelmy. I sprawił, że wróciłem do swojego ciała i zacząłem akt zemsty.

Pomyślałem, że zabicie ludzi winnych mojego nieszczęścia nie wystarczy. Więc niszczyłem ich życia, systematycznie. Dziwne wypadki, śmierć w rodzinie. Tak się narodził Diabeł. Wszyscy w niego wierzą, choć większość temu zaprzeczy. A dzisiaj, po tylu latach, gdy w końcu opowiedziałem komuś moją historię, zakończę to, co zacząłem wieki temu.

Arthur Macmillan zbliżył się do mnie, tak że patrzyłem prosto w jego szalone, tak strasznie szalone oczy.

– Pamiętaj, synu – powiedział, chwytając mocno moją dłoń – Marzenia są często jedynym, co człowiek posiada. Bądź z nimi ostrożny, bo jeśli je zniszczysz to nie pozostanie nic więcej, jedynie pustka. Pustka, która staje się jądrem nienawiści i zła.

Nim zdążyłem cokolwiek odpowiedzieć, Macmillan chwycił mnie za włosy i trzasnął moją głową o ścianę.

Otchłań otworzyła się przede mną.

7.

Kiedy odzyskałem przytomność, zapadła już noc. Po Macmillanie nie było śladu. Obolały wstałem z podłogi i, chwiejąc się lekko, wyszedłem na zewnątrz. Po chwili, gdy tylko poczułem się na siłach, puściłem się biegiem wzdłuż drogi.

W Dovesgrove panowała nienaturalna cisza. Gdy szedłem wzdłuż domów, nie towarzyszył mi żaden dźwięk, nawet ujadanie psów.

Aż w końcu dotarłem do centrum wioski, gdzie wznosił się rozłożysty dąb.

Byli tu wszyscy mieszkańcy wioski. Sprzedawczyni o końskiej twarzy. James Pinewood. Każdy z bywalców pubu.

Dzieci.

Wszyscy oni wisieli na gałęziach drzewa, a wiatr delikatnie bujał ich ciała, jakby brali udział w wolnym tańcu.

Pod drzewem spoczywało martwe ciało Arthura Macmillana. Wyglądało na pogrążonego we śnie.

Śnie sprawiedliwego.

15.12.2011

Przeczytaj o potworach, które mogą kryć się w każdym z nas, poznaj światy rodem z sennego koszmaru, przekonaj się, że są rzeczy gorsze niż śmierć...

„Nowa” to antologia 20 opowiadań rodzimych twórców horroru, podlanych sosem niesamowitości, absurdu, groteski, czarnego humoru i przeszywającej do szpiku kości grozy. Zgromadzone tu teksty zaskakują niezwykłą dojrzałością, błyskotliwym konceptem i konstrukcją godną prawdziwych literackich rzemieślników.

Do świata grozy zapraszają: Marek Grzywacz, Paweł Mateja, Paul T. T. Rogue, Paweł Pietrzak, Dariusz Kick, Karolina Stasiak, Krzysztof Krasowski, Krystian Kochanowski, Bartosz Mikołajczyk, Paweł Różycki, Robert Bączkowski, Maciej Rogoziński, Maciej Andrzejewski, Izabela Ficek, Weronika Borek, Dominika Świątkowska, Hubert Malak, Szymon Plasota, Karolina Cisowska, Piotr Kucharski.



ISBN 978-83-62255-02-3



HORROR.COM.PL

PATRONI MEDIALNI:



carpe noctem
www.CarpeNoctem.pl



KOSTNICA
POZORNIE MĄRTWA STRĘCĄ
www.kostnica.com.pl